

Collins Joan

Czas dla gwiazdy

Przeład MARIA KOWALSKA

*Wszystkim aktorkom, które kiedykolwiek doświadczyły wzlotów i upadków
przewrotnej fortuny, będących doświadczeniem nas wszystkich... i Ojcu, który
jest częścią mnie samej.*

*Michaelowi Kordzie i Nancy Nicholas, moim edytorom - za słowa zachęty i
twórczo pobudzający krytycyzm...*

Irvingowi Lazarowi - za wiarę, że potrafię to zrobić...

Cindy Franke

- za staranne odczytanie mego skomplikowanego rękopisu...

*Judy Bryer - za miłość i wsparcie
dziękuję*

Część pierwsza

I

Chloe Carriere szła żwawo przez poczekalnię odlotów lotniska Heathrow, z niewielkim powodzeniem usiłując umknąć wszędobylskim obiektywom dobrze z jej znanego tłumu dziennikarzy. Gdy fotografowie i reporterzy brzęczeli dookoła jak pszczoły, kilku businessmenów czekających na odlot oderwało wzrok od porannych gazet, by przyjrzeć się jednej z najślawniejszych i najbardziej seksownych piosenkarek. — Jak długo zostanie pani w Hollywood?— dopytywał się pryszczaty pismak z „Sun”.

Chloe uśmiechnęła się, zaczęła iść szybciej. Oblamowany sobolami płaszcz falował dookoła jej pełnej gracji i znów szczuplejszej sylwetki. Spędziła tydzień męczarni na farmie odnowy biologicznej w Walii, usiłując naprawić spustoszenia wyrządzone przez Josha, sześciomiesięczne mordercze tournée prowincjonalne i pierwszą rolę dramatyczną w fabularyzowanym dokumencie BBC o kobietach przebywających w więzieniu. Schudła bardzo, wyglądała i czuła się teraz świetnie — od wielu lat tak nie wyglądała.

— Jakiego rodzaju roli spodziewa się pani po zdjęciach próbnych? — szczerzył zielone zęby facet z „Mirror”.

— Czy to będzie nowy serial telewizyjny?

— Naprawdę jeszcze niewiele wiem — asekurowała się.

— Podobno będzie tylko nieco oparty na bardzo popularnej noweli „Saga”.

— Czy zależy pani na roli? — pytał ktoś z Reutersa, z naroślą na twarzy i wystającym jabłkiem Adama.

Czy zależy jej na roli? Co za głupie pytanie! Oczywiście, pragnęła tej cholernej roli. Po dwudziestu latach śpiewania w Wielkiej Brytanii, Europie i Stanach bardzo jej pragnęła, ale odpowiedziała na pytanie zdawkowo: że jeśli będzie miała tyle szczęścia, by dostać rolę Mirandy Hamilton, może to być punktem zwrotnym w jej karierze, może nawet zapracować na sławę supergwiazdy. Nie chciała rozmawiać z tymi małuczkimi łobuzami — ani z większymi łobuzami — czekającymi w Hollywood, żeby przyjrzeć się dokładnie, czy naprawdę zależy jej na roli, czy z desperacją na nią czeka, szczególnie że była jedną z czterech czy pięciu aktorek, którym zaproponowano zdjęcia próbne.

Test próbny! Co za głupie wyrażenie, ale co u licha! Wiedziała, że ten business to nie bajka. Całymi latami miewała wzloty i upadki, i znów wzloty i upadki. Siedem płyt z przebojami w ciągu dwudziestu pięciu lat. Stała miejsce w dziesiątce przebojów Top Ten, a potem nagle nie mogła nawet zmieścić się w setce przebojów Billboardu. Dwadzieścia pięć lat na scenie a nadal musi walczyć o przetrwanie; cud boski, że pozostała przy zdrowych zmysłach. Podchodząc do bramki kontrolnej odlotów, posłała reporterom uśmiech i przyjaźnie pomachała ręką. Znów trzaskali aparatami, chcąc mieć jak najlepsze ujęcie; miała nadzieję, że zdjęcia w jutrzejszych dziennikach będą udane.

Zrelaksowała się dopiero w wygodnej kabinie pierwszej klasy British Airways. Od uśmiechającego się stewarda wzięła szklaneczkę Buck's Fizz, jednak zmieniła zdanie — wiedziała, że w studiu będzie ją czekało szczegółowe badanie „grubych ryb”, więc zamiast alkoholu poprosiła o wodę Evian.

Odsunęła orzeszki cashew i kawior, sięgnęła po „Herald Tribune” i „Daily Express”. Zdjęła kremowe

młodzieżowe botki i pasek, odchyliła siedzenie do jego maksymalnej pozycji i pomyślała o roli charakterystycznej.

Miranda Hamilton w „Sadze”. Historia intrygi, korupcji, zdrady, ambicji i żądzy, osadzona w realiach wielkiej zamożności, pośród bogatych posiadłości, luksusowych jachtów i nowoczesnych biur w wieżowcach Newport Beach, w Kalifornii. Opowieść o kobiecie i mężczyźnie, którzy kochali się i nienawidzili z namiętnością większą niż życie. Ta książka znajdowała się na listach bestsellerów „New York Timesa” przez sześć miesięcy, teraz mieli zrobić z niej serial telewizyjny. Jak mówił agent Chloe, Jasper Swanson, do różnych ról wypróbowali już wielu znanych aktorów, ale do tej pory nie znaleźli Mirandy — czarnego charakteru o wyglądzie bogini. Właściciele kanału chcieli, by była to urzekająca władca ladacznica, zepsuta do szczytu i bez serca, niezwykle

ambitna, ale seksowna i elegancka kobieta światowa. Miała to być kobieta złośliwa, ale tak wspaniała, żeby każdy mężczyzna chciał uprawiać z nią miłość lub... poczęstować ją jej własną bronią. Miała to być kobieta wzbudzająca zazdrość lub pragnienie rywalizacji, oczywiście jeśli serial będzie cieszył się powodzeniem. Aktorka, która ją zagra, może być wyniesiona na wyżyny telewizyjnej sławy i zarobić wielkie pieniądze, może osiągnąć sukces. Miranda Hamilton nie mogła być zwykłą hollywoodzką blondyneczką. Powinna mieć co najmniej czterdzieści lat, nawet bliżej czterdziestu pięciu. Powinna zaliczać już trzecie lub czwarte małżeństwo, mieć trzy czy cztery tuziny przygód, urodzić troje czy czworo dzieci. Powinna być właścicielką trzech czy czterech posiadłości rozrzuconych po świecie, mieć biżuterię wartości trzech czy czterech milionów dolarów, już nie wspominając o dwustu lub trzystu milionach dolarów na koncie w banku. Aktorka wybrana do tej niecodziennej roli powinna rzeczywiście mieć coś wspólnego z Mirandą, która byłaby wiarygodna dla publiczności, która będzie musiała ją nienawidzić i kochać jednocześnie. Niełatwo osiągnąć taką kombinację: dziwka, ale niewinna, pełna żądzy, ale i ciepła, osoba dominująca, ale dająca mężczyźnie wrażenie dominacji. W zeszłym tygodniu producenci — dynamiczny Abby Arafat i jego partnerka, równie dynamiczna Gertruda Greenbloom — doszli do wniosku, że spróbują, jak zagra to Chloe. Chloe przyciągnęła uwagę Abby'ego Arafata w czasie koktajlu u lady Sarah Cranleigh w mieszkaniu przy Eaton Square. Wróciła właśnie z tournée po Skandynawii i nie mogła się zdecydować czy wrócić do męża, Josha, mieszkającego w Los Angeles. Postanowiła więc spędzić kilka dni w Londynie, gdzie mieszkała druga osoba tak bliska jej sercu. Czuli, że jest już niewielka nadzieja, by sprawy z Joshem ułożyły się. Nie miała wątpliwości, że jest dla niego kochającą, wierną żoną. Cóż, wyglądało na to, że to on nie może kontrolować swego pociągu do innych kobiet. Była mu obojętna: narzekał, gdy jej nie było w pobliżu, gderał, gdy była tuż obok. Był mężczyzną, który zmiennymi nastrojami o mało nie zniszczył swej kariery. Wytwórnice płyt odwoływały kontrakty, przepadały jego tournée. Często całymi dniami był w złym humorze, nie chciał rozmawiać z Chloe, zamykał się w studiu nagrań będącym jego królestwem, godzina za godziną miksował własne nagrania. Upływał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a on nie pozwalał innym ludziom zbliżyć się do siebie. Dzień przed wyjazdem, gdy przechodziła obok jego łazienki, zobaczyła jak się masturbuje przeglądając magazyn dla mężczyzn. Zrobiło się jej niedobrze, ale nie okazała, że widziała jak to robił. Jeżeli podniecało go zdjęcie w tanim magazynie, dlaczego już nie potrafił kochać się z nią we właściwy sposób? Upłynęły tygodnie — nie, całe miesiące — odkąd kochali się ostatnio. Była optymistką, wierzyła, że wszystko się zmieni po ostatniej separacji. Oczywiście myliła się. Pojawił się napis „proszę zapiąć pasy”. Chloe westchnęła i przestała marzyć. Niosąc beżową torbę podróżną firmy Morabito, ze skóry krokodyla poszła do

małej toalety samolotu. Dlaczego, zastanawiała się, wkłada się tyle wysiłku w projektowanie, a toalety nie są nawet tak duże, by można było uczesać się nie tłukąc sobie przy tym łokcia? Zdjęła kremową jedwabną bluzkę i spódniczkę firmy Gianni Versace, włożyła welurowy strój podróży. Przeczesała wspaniale, kręjące się czarne włosy, usunęła makijaż, by skóra mogła oddychać, potem nałożyła warstwę kremu nawilżającego — nie miała wątpliwości, że latanie samolotem źle wpływa na jej cerę — i wróciła na miejsce.

Świadoma była, że niektóre z pasażerek zauważyły jak się zmieniła i przyglądały się czy ma już zmarszczki, lecz nie obchodziło jej to. Jeśli chodzi o wygląd, była nieco próżna. Uważała, że i bez makijażu wygląda świetnie, nawet zwyczajnie ubrana. Nie dla niej są wyszukane środki, po które sięgają eleganci, by ukryć przed światem swe prawdziwe twarze. Uśmiechnęła się przypominając sobie swą partnerkę w serialu telewizji BBC, który właśnie ukończyła. Każdego ranka Pandora zjawiała się o szóstej rano z dokładnie zrobionym makijażem, nawet ze sztucznymi rzęsami, w jednej z wielu peruk firmy Kanekolan (miała ich wiele, różnie uczesanych). Przez ostatnie dziesięć lat Pandora King, aktorka amerykańska grająca drugorzędne role w popularnych serialach i filmach, rzadko bywała bez pracy. Choć widzowie nigdy naprawdę nie poznali jej prawdziwego nazwiska, zawsze rozpoznawali atrakcyjną lisią twarz i urzekające kasztanowe włosy. Popisywała się codziennie innym futrem, miała je w przeróżnych kolorach, potem znikła w garderobie na trzy godziny. Jej pudło z kosmetykami było wielkości małego samochodu, zawierało wszelkie środki upiększające dostępne w drogerii i w aptece, od plastikowych paznokci po galaretkę dopochwową. Jedynie Bóg i charakterystyczny wiedzieli, co robi w tym pokoju; gdy się z niego wyłaniała, była inną osobą.

Obie kobiety czasem spędzały wesoło godzinę przerwy na lunch, próbując zawartości „puszki Pandory”, jak zwykła ją nazywać. Zdarzało się to dość rzadko, gdy tajało nieco lodowate podejście Pandory do świata, a szczególnie do innych aktorek.

Chloe zastanawiała się nad pytaniem, które zadał jeden z dziennikarzy: czy Pandora też będzie brała udział w zdjęciach próbnych do roli Mirandy? Jeśli tak, to jest ona ostatnią osobą, która przekazałaby Chloe taką wiadomość. Bardzo uważała, by niczego nie rozpowiadać, szczególnie jeśli dotyczyło to ich zawodu.

Dziesięć godzin później Chloe była na lotnisku w Los Angeles; czekająca na nią limuzyna pomknęła bezkresnymi autostradami miasta.

Skrzywiła się obserwując wciąż powtarzające się i nieatrakcyjne ulice i bulwary. Szara, ciężko wisząca mgła, szczypała jej oczy i gardło, choć okna cadillaca były zamknięte, a klimatyzator działał sprawnie.

Przez ostatnie dwadzieścia lat Chloe wiele czasu spędziła w Los Angeles, nadal jednak nie lubiła tego miasta. Było brzydkie, miejscami wręcz brudne, tak jakby żyjący tu ludzie jedli jedynie hamburgery i donaty, a popijali je

wodą sodową rozprowadzaną przez liczne przedsiębiorstwa sprzedające te specjały. Jak grzyby po deszczu wyrosły centra sprawności fizycznej, kluby gimnastyczne i rekreacyjne. Naliczyła szesnaście nowych. Mieszkańcy rzeczywiście potrzebowali ich jako przeciwwagi swych złych nawyków żywieniowych.

Mijała rzędy wyblakłych budynków z napisami reklamującymi wspaniałości: „Yoghurt City”, „The Popcorn Palace” i „Chuck's Chilli Dogs”. Chloe westchnęła. Nic się nie zmieniło przez sześć miesięcy odkąd wyjechała, chyba tylko więcej było duszącego smogu.

Wtulila się głębiej w płaszcz oblamowany sobolami, drżała mimo 26°C. Była w Los Angeles, wracała do domu z nadzieją, że spotka się z Joshem, że z magii lat spędzonych razem uda się cokolwiek uratować.

Limuzyna przebrnęła przez gąszcz autostrad, skręciła w prawo prosto na Pacific Coast Highway wzdłuż Bulwaru Zachodzącego Słońca. Chloe odetchnęła, rozpięła płaszcz i otworzyła okno, by poczuć na twarzy chłodny powiew morskiej bryzy. Kochała ocean, jego tajemniczość i potęgę. Całymi godzinami siadywała na plaży, nie znudzona nigdy patrzeniem na zielonoszarą płaszczyznę Pacyfiku zmieniającą się w olbrzymie białe fale wściekle bijące o brzeg. Początkowo, gdy kupili dom w odosobnionej części Trancas Beach, poniżej Malibu, ona i Josh spędzali ranki i wieczory spacerując wzdłuż plaży. Umykając falom, rozmawiali o wszystkim, śmieli się z młodych brodzieców, oddychali słonym czystym powietrzem, tak różnym od zadymionego miejskiego, pozbawionego tlenu. Byli tak szczęśliwi, iż Chloe sądziła, że żadne małżeństwo nigdy nie było oddane sobie z taką namiętnością. Tak było kiedyś, a teraz jest tak jak jest. Czas sprawdzić, czy zmienił się przez te sześć miesięcy, które spędzili osobno.

Jak zwykle rozparty w ulubionym wygodnym fotelu, wpatrywał się w telewizor. Pocałowali się roztargnieni — kochankowie, których pożądanie straciło całą moc. Miał na sobie wymięte ciemnoniebieskie spodnie z aksamitu i kaszmirowy sweter w serek. Czarne włosy, przyprószone siwizną, były w nieładzie. Choć wiedział, że wraca do domu, nie zadał sobie trudu, by ogolić się; na delikatnym policzku poczuła jego szczeciniasty zarost.

— Przywiozłam ci trochę specjalnego miodu. Jest całkiem nowy, z hrabstwa Devon — mówią, że jest wspaniały!

— Objęła go mocno. Nie zwracał na to uwagi, rozluźniony i zrelaksowany. Może jest już za późno — zastanawiała się, ujmując w ręce twarz, którą uwielbiała przez tyle lat; usta, które całowała, były zimne. Pomimo jego gasnącego zainteresowania nią i jakiejś zniewieściałości, nadal nie mogła uwierzyć w to, co się z nimi dzieje. Dlaczego się od niej odwraca? Po sześciu miesiącach rozstania nie chce zrobić najmniejszego wysiłku? Ani cienia zadowolenia z jej powrotu do domu, nie pofatygował się nawet, by wstać. Co zrobiła, że jest taki obojętny? Nawet zanim wyjechała na tournée, zbyt wiele było takich chwil w łóżku, zazwyczaj arenie ich pojednania, gdy musiała

namawiać go do uprawiania miłości. Czula się jak ostatnia dziwka. Czy to dziesięć lat małżeństwa tak wpływa na pociąg seksualny mężczyzny? — zastanawiała się gorzko, tuląc do niego swe ponętne ciało. Nic nie czuła. Żadnego wstrząsu, żadnego porozumienia. Tak zachowywał się mężczyzna mający światową sławę wspaniałego kochanka. Może nadal nim jest, lecz nie dla niej.

Odwróciła się, udawała, że jest zajęta przeglądaniem sterty listów. Gorące łzy kręciły się pod jej powiekami, w gardle czuła ucisk. Jak długo to może trwać? Taka farsa bez elementów komedii.

— Dzwonił twój agent — powiedział chłodno Josh przyciszając telewizor. Oczy wlepił w Clintę Eastwooda.

— Zadzwoń do niego. Mówił, że to ważne! — ostatnie słowo zabrzmiało jak szyderstwo. Zignorowała jego ton, uśmiechnęła się promiennie. Podeszła do antycznego drewnianego barku, by zrobić sobie zakazanego drinka z wódki z lodem. Na farmie odnowy biologicznej mówili, by nie pić alkoholu co najmniej przez tydzień. Do diabła z nimi!

Zadzwoiła do Jaspera z sypialni, nie chciała, by Josh słyszał co mówi.

Ostatnio byle drobiazg wyprowadzał go z równowagi. Spróbuje zachować spokój tak długo, jak będzie mogła.

— Serduszek, tak się cieszę, że dzwonisz! — słyszała, że Jasper jest naprawdę zadowolony. — Wszystko na najlepszej drodze z „Sagą”, wygląda na to, że wszystko na najlepszej drodze, kochanie.

— Cudownie — Chloe uśmiechnęła się, wódka szumiała jej w głowie.

— Prawdopodobnie będą kręcili zdjęcia sześć lub siedem dni w miesiącu w Newport Beach — mówił Jasper.

— Resztę zdjęć w jednym ze studiów. Pewnie to będzie Metro albo Fox.

— Wspaniale, w Newport jest tak ślicznie. Będą kręcili na jakichś łodziach?

— Tak, tak, moja droga — Jasper zwykle był niecierpliwy, gdy jego klienci chcieli znać szczegóły. — Posłuchaj mnie, Chloe, dwudziestego piątego jesteś wpisana do rozkładu zajęć. Aby i Maud Arafat wydają jeden z ich zwykłych małych obiadków dla dwudziestu czy trzydziestu najważniejszych osób w tym mieście. Chcę, żebyś tam była, miła dziewczyno. Masz dwanaście dni na przygotowanie się, więc wyciągnij najlepszą kieckę. Mam nadzieję, że straciłaś całe brzuszysko na tej farmie dla grubasów. Co, kochanie? Brzuch nie pasuje do pięknej sukni.

— Tak, Jasper, schudłam — powiedziała posłusznie.

— Nie zawiodę cię, obiecuję.

— Lepiej tego nie rób, kotku, to nie byle co, wierz mi.

Możesz zrobić KARIERĘ, kotku, prawdziwa karierę

— Wiem, Jasper, wiem.

Wiedziała, co to znaczy zwykły mały obiadek dla dwudziestu czy trzydziestu osób. W Hollywood już nie zdarzały się zwykłe małe obiady. Każde takie spotkanie odbywało się w interesach. Nawet zwykły lunch, czy się o tym mówiło czy nie, mógł kryć w sobie możliwość załatwienia interesów.

Zgromadzenie dwudziestu czy trzydziestu najświetniejszych osobistości miasta w domu ważnego producenta miało zwykle wagę spotkania na szczycie w Waszyngtonie.

Znając Abby'ego i jego partnerkę Gertrudę Greenbloom, która niewątpliwie też tam będzie, Chloe domyślała się, że trzy lub cztery inne potencjalne kandydatki do roli Mirandy też się pojawiają. Wiedziała, że włączenie jej do tego grona było rezultatem niedawnego szczęśliwego spotkania w Londynie.

Rozcięcie czarnej jedwabnej spódnicy Chloe, kupionej u Valentino, sięgało wystarczająco wysoko, by można było zobaczyć mocne, ponętne udo. Jej rzeźbione rysy mówiły o żywiołowości, włosy były czarną aureolą loków, sylwetka szczupła, ale zmysłowa.

Abe strzelił już sobie dwie szklaneczki martini, powściągliwość nigdy nie była jego mocną stroną. — Chciałabyś zagrać rolę Mirandy? Jak słyszę, poradziłabyś sobie, a jak widzę, masz z pewnością wszystkie jej atrybuty. — Oczami śledził jej twarz i sylwetkę, jakby ją badał promieniem lasera.

Chloe roześmiała się. — Abby, wiesz, że jestem tylko piosenkarką.

Choć zdawała sobie sprawę, że poszukiwanie aktorek do pierwszoplanowych ról w „Sadze” było najważniejszą sprawą w tym businessie, była zbyt doświadczona, by dać się złapać na lep Abby'ego, a właściwie... właściwie — dlaczego by nie? Od jakiegoś czasu śpiewanie nie dawało jej satysfakcji.

Młoda Stevie Nickses i Pat Benitares dziś bardziej podobały się publiczności niż czterdziestoletnia piosenkarka, a Bóg jeden wie, jak bardzo męczyły ją tournee. Może to, że znów osiadzie na stałe w Kalifornii, będzie miała stałą pracę, pozwoli jej i Joshowi znów się do siebie zbliżyć?

— Tak mówiły Streisand, Garland, a nawet Liza — Abby uśmiechał się zachęcająco, gdy już ją obejrzał. Rzeczywiście wyglądała wspaniale, metr siedemdziesiąt wzrostu przy jego metr osiemdziesiąt dziewięć, w czarnych satynowych sandałkach Maud Frizon, które podwyższyły ją o osiem centymetrów i pozwalały patrzeć mu w oczy. — One też uważały, że są tylko piosenkarkami.

— Tak naprawdę nie jestem aktorką, Abby. Zagrałam tylko w jednym filmie, to wszystko — sączyła swój wiśniak obserwując go spod gęstych naturalnych rzęs. — Choć rzeczywiście podobałam się krytykom... Jestem pewna, że czytałeś co pisali! — uśmiechnęła się jak zadowolona kotka; to był jeden z jej zawodowych chwytów.

Zaczynał mięknąć. Abby był jednym z rzadko spotykanych hollywoodzkich fenomenów, producentem, który naprawdę lubił i podziwiał aktorki.

Dmuchał dymem cygara, przyjrzał się jej szczegółowo od czubka głowy po stopy. Ma klasę — co do tego nie miał wątpliwości. Jest śliczna, ma sex appeal i urok dziewczyny.

— Nikt nie będzie się zastanawiał, czy umiesz grać. Do zagrania Mirandy potrzebny jest ktoś, kto świetnie wygląda, ma charyzmę i przyciągnie widzów. Większość wielkich aktorek ekranu nie potrafiła grać. Popatrz na Hayworth,

Grabie, Bardot, Ave Gardner. Żadna z nich nie potrafiła grać, ale na miłość boską, robiły to. Myślę, że ty też to potrafisz, mała, dajmy więc szansę losowi. Przyjedź do Kalifornii, zrobimy ci, kochanie, próbne zdjęcia. Będiesz wspaniała. Wiem, że będziesz!

— Pozwól mi się zastanowić Abby, naprawdę rozważę to. — Chloe podejrzewała, że entuzjastyczne przemówienie Abby wystosował do każdej z aktorek, których kandydatury rozważał. — Czy Miranda nie musi się zestarzeć od dwudziestki do wieku dojrzałego? Uważasz, że będę to w stanie zagrać? — żartowała.

— Tak, tak — odpowiedział ochoczo Abby. — Zanim rozpoczniemy serial nakręcimy czterogodzinny film. Tam pierwszy raz spotkamy Mirandę, ma wtedy osiemnaście lat i jest dziewczą.

— O, nie ma mowy! — krzyknęła Chloe chichocząc — nie mogę wyglądać na osiemnastolatkę!

— Jasne, że możesz — śmiał się z jej protestów. — Lazlo Dominik robi dla nas oświetlenie. Na miłość boską, potrafiłby z Betty Davis zrobić dwudziestolatkę. Jesteś wspaniała, świetnie wyglądasz i masz sex appeal. Myślę, że masz talent. Proszę, zrób dla nas zdjęcia, serduszek, i nic się nie martw.

— Dobrze, Abby — zgodziła się Chloe. — Dobrze, przyjadę na zdjęcia, ale ostrzegam cię, że będę przerażona.

— Cudownie — dowcipkował Abby. — Olivier też jest przerażony — to jest oznaką wielkiego talentu. Kochanie, skontaktujemy się z tobą w przyszłym tygodniu, nie musisz się bać. Będiesz wspaniała. Czuję to w kościach.

— Komu jeszcze będą robić zdjęcia? — spytała Jaspera nieco zbyt obojętnie.

— Pewne sugestie są obłąkańcze, po prostu szalone! — Jasper roześmiał się.

— Wiesz, moja droga, że miasto oszalało na punkcie obsady ról. Nie było nic tak podniecającego od czasu gdy Selznick szukał odtwórczyni Scarlett O'Hary. Posłuchaj, jak się spierają.

— Kto stara się o rolę? — głos Chloe już nie był obojętny. Potrzebowała tych informacji.

— Sissy Sharp — wszyscy wiedzą, że od lat nie nagrała niczego dobrego, bardzo jej zależy na tej roli. Cudowna aktorka. Zero sex appealu, ale oczywiście zdobyła Oscara.

— Wiem — powiedziała smutno Chloe. — Byłam tam, Jasper, pamiętasz? Śpiewałam piosenkę w czasie rozdawania nagród. Co to była za piosenka?

— Kogo to obchodzi? — powiedział Jasper z żalem.

— Nikt tu nie pamięta nazwisk zwycięzców z ubiegłego roku, a cóż dopiero piętnaście lat temu! Moja droga, Sissy zabiega o tę rolę, zależy jej na niej jak lichu. Zabiega o zdjęcia próbne, a udaje, że nie zależy jej na telewizji, jedynie na wielkim ekranie. Dziś już nikt się nią nie interesuje. Na szczęście Abby i Gertruda nie sądzą, by nadawała się do tej roli.

— Ona chyba ostatnio za dobrze nie wygląda? — powiedziała Chloe. — Nie chcę być niesprawiedliwa, ale widziałam ją w zeszłym tygodniu w

„Lifestyles”. Cóż, wyglądała na zagłodzoną, jak uciekinierka z obozu w Belsen.

— Głodziła się jak nastolatka — powiedział szorstko Jasper. — Jest szalona, myśli, że się ciągle odmładza tymi wszystkimi zbzikowanymi dietami, nie mówiąc już o operacjach chirurgicznych. W ciągu ostatnich pięciu lat podciągali jej twarz i pośladki co najmniej trzy razy.

Chloe wzdrygnęła się. Przeraziła ją sama myśl o nożu w pobliżu jej ciała.

— Jest jeszcze Emeralda — powiedział gładko Jasper.

— Jak na razie ona ma największe szanse. Chloe, radzę— uważaj na nią! Emeralda Barrymore. Nigdy wcześniej nie było większej gwiazdy. Ani Brando, i Kelly, ani nawet Monroe. Nikt również nie stoczył się na takie dno jak ona. Narkotyki, alkohol, mężczyźni i skandale, wszystko przyczyniło się do jej upadku.

— Moja droga, ona częściej była na pierwszych stronach gazet niż ty jadłaś obiad — kontynuował Jasper. — Ale przetrwała to. Ostatecznie widowia i tak ją uwielbia.

— I nadal jest gwiazdą pierwszej wielkości — Chloe słyszała we własnym głosie szacunek, jaki zawsze wywoływało nazwisko Emeraldy.

— Moja droga, to samo jest z Kim Novak — powiedział złośliwie Jasper. — Ona też nie może znaleźć pracy. Emeralda naprawdę potrzebuje chleba. Odkąd zostawił ją ostatni kochanek, z desperacją szuka pieniędzy. Pragnie tej roli, używa więc wszelkich wpływów.

— Kto jeszcze, Jasper?

— Rozalinde Lamaze. Wszyscy wiemy, że Lamaze to flądra — mruzczał Jasper swym gładziutkim angielskim tonem. — Ale widzowie uwielbiają ją — szczególnie mężczyźni. Oni wszyscy chcieliby pieprzyć się z tą idiotką. Może jest nieco zbyt latynoska do roli Mirandy, jednak popiera ją olbrzymia liczba fanów, choć trzy ostatnie jej filmy nawet nie pokryły kosztów negatywów. Chloe przełknęła łyk wódki. Konkurencja była naprawdę duża. Nie rozumiała właściwie dlaczego w ogóle włączono ją do tej grupy. Była świadoma, że telewizja ciągle szuka nowych, świeżych twarzy — może to był powód. W Ameryce była zupełnie nieznana. Tak dawno tu nie śpiewała. Można ją było uznać za nową twarz.

— Ratunku! — Chloe przełknęła resztę wódki. — Jasper, w tej grupie będę ostatnią osobą, którą producenci wezmą pod uwagę.

— Nonsens! — sprzeciwił się prędko. — Rzeczywiście masz większość atrybutów potrzebnych do tej roli. Abby chce sprawdzić kilka innych aktorek, zapewniam cię jednak, że Meryl Streep, Jackie Bisset i Sabrina Jones nie będą tym zainteresowane, choć z fanfarami będzie mówiło się o tym, że rozważa się ich udział. Moja droga, odpocznij teraz trochę. Nie martw się i zawsze pamiętaj: należy myśleć pozytywnie. Przegnaj te negatywne wibracje. Położył słuchawkę, zostawiając Chloe z „pozytywnym myśleniem”, nadal jednak uważała, że ma niewielkie szanse. W bawialni Josh nadal siedział gapiąc się w telewizor; wydzielał „negatywne wibracje”. W programie

„Hollywood Squares” występowali niektórzy jego koledzy, uciszył więc Chloe usiłującą zrelacjonować mu rozmowę z Jasperem. Tak chciała, by ją rozweselił, pożartował jak niegdyś, jednak on był zimny jak kamień. Łzy wypełniły jej oczy, gdy szła do łazienki. Odkręciła kurki nad wielką marmurową wanną. Zbudowano ją dla nich obojga. Teraz Chloe leżała samotna, bąbelki piany oblepiały jej ciało, przyglądała się pięknemu oceanowi, rozpryskującym się falom i zastanawiała się, czy sprawy z Joshem jakoś się ułożą. Ile jeszcze separacji i powrotów będzie musiała znieść zanim przestanie walczyć o ich małżeństwo i zwróci obojgu wolność? Ta separacja była drugą na tyle lat małżeństwa. Przypomniała sobie tę pierwszą, dwa lata temu.

2

Osiem lat panowało przekonanie, że są jedną z najszcześniejszych i odnoszących największe sukcesy par w przemyśle rozrywkowym. Od trzech lat, gdy trzy ostatnie single Josha zrobiły klapę, zaczął zachowywać się tak bezczelnie i nie do wytrzymania, że musiała od niego odejść. Miała nadzieję, że próbna separacja pozwoli mu dostrzec powód, że zrozumie co traci — tracąc ją.

Krople deszczu spływały po szybie przedziału pierwszej klasy pociągu mknącego do Szkocji.

Ponury styczniowy dzień. Śnieg z deszczem rozbryzgiwał się o dachy identycznych buro-szarych domów, pociąg Chloe zbliżał się do przedmieść Edynburga. Wszystko wyglądało szaro i przygnębiająco; ona też tak się czuła. Owce tłoczyły się razem, by było im cieplej, nasycone wilgocią łąki wtórowały nieszczęściu Chloe.

Do grubej szklanki kolei brytyjskich naląła wina Liebfraumilch; poczucie winy szybko zostało zastąpione uczuciem bezpieczeństwa i ciepła.

Uciekała od wszystkiego. Uciekała od Josha, jego kłamstw, picia, narkotyków i flirtów. Uciekała od swej pasierbicy, Sally, upartego bachora Beverly Hills, którego płomienna miłość do ojca mieszała się z równie płomienną nienawiścią do macochy.

Chloe nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego Sally tak jej nienawidzi. Bóg jeden wie, jak bardzo musiała się nagiąć, by być dobrą macochą, oczywiście na miarę swoich możliwości. Rozumiała doskonale, jakie wrażenie musiało wywrzeć na małej dziewczynce obserwowanie własnej matki umierającej na raka. Zrobiła wszystko, jak sądziła, by zastąpić jej matkę, pomimo tego Sally nienawidziła jej coraz bardziej. W 1972 roku, gdy Chloe poślubiła Josha, Sally miała prawie osiem lat. Ponuro wyglądająca mizerota z warkoczykami jak mysie kosmyki i oczami koloru zielonych winogron, dominującymi w drobnej, dziwnie dorosłej twarzy. Jakby za sprawą czarów wylaniała się ukradkiem zza rogu, gdy tylko Josh i Chloe przytulili się do siebie. Czy to na kanapie, kiedy oglądali telewizję, albo jedli sute posiłki, które

uwielbiali — ciemny chleb z masłem i miodem, z odkrojoną skórką — a szczególnie wtedy, gdy tulili się do siebie chcąc okazać sobie gorące uczucia. Małe dziecko stało cichutko, nie zauważone przez kochanków, w milczeniu przyglądając się ich szczęściu. Josh nigdy wylewnie nie okazywał małej uczuć ojcowskich, więc Chloe niczego małej nie zabierała. Sally jednak uważała Chloe za rywalkę zabierającą miłość ojca. W miarę upływu lat zazdrość o macochę zamieniła się w nienawiść do niej, Sally rosła ze świadomością, że im gorzej się zachowuje i obwinia Chloe, tym więcej uwagi ojca skupia na sobie. Zaraz po ślubie, w pierwszym tygodniu małżeństwa, gdy omawiali menu, Roberto, ich służyący zwrócił się do Chloe, mówiąc „pani Brown”. Sally, zagłębiona w książeczkę z obrazkami, nagle odwróciła się gwałtownie do przerażonego Filipińczyka, wrzeszcząc: — Nie nazywaj jej panią Brown! Jest tylko jedna pani Brown — moja matka!

— Szlochając pobiegła do sypialni i zamknęła drzwi. Nie chciała nikogo wpuścić oprócz Josha. Na szczęście przyszedł właśnie ze studia nagrań i uspokoił rozhisteryzowane dziecko.

Tuż po ślubie z Chloe, by uspokoić Sally, Josh zaczął wciągać małą w krąg swojej muzyki. Zainteresowało ją to. Lekcje gry na gitarze rozpoczęła mając osiem lat, na trąbce — gdy miała dziewięć! Josh rozmawiał z nią o różnych aspektach muzyki. Choć tak młoda, była surowym, o rozległej wiedzy krytykiem: on miał pewien respekt dla jej pomysłów i opinii, a ona uwielbiała go za to.

Bóg jeden wie, ile było figli, chichotania, ściskania, zapasów i wspinania się na kolana taty, przez te osiem lat małżeństwa Chloe i Josha. Sally robiła to, by odciągnąć ojca od Chloe, robiła wszystko, co tylko mogła, by ją zranić. Często się udawało.

Od początku Chloe usiłowała zajść w ciążę z Joshem.

Czuła, że dziecko byłoby dopełnieniem wspólnego życia. Nie udawało się. Chloe jeździła do najlepszych na świecie ginekologów. Twierdzili, że nie ma fizycznego powodu, by nie mogła zajść w ciążę, powinna tylko „zrelaksować się i próbować do skutku” — to była ich jedyna rada.

Myślała, że gdyby tylko mogła dać Joshowi dziecko, ich małżeństwo byłoby lepsze. Wiedziała, dlaczego tak się nie dzieje. Choć lekarze twierdzili, że jest absolutnie zdrowa, wiedziała, że stało się coś złego, gdy urodziła Annabel. Poród trwał dwanaście godzin, mało nie oszalała z bólu. W klinice prawie nie zajmowano się nią w położu.

Chloe nigdy nie powiedziała Joshowi o swoim dziecku. Początkowo bała się, że będzie ją potępiał za oddanie małej. W miarę upływu czasu zaczęła myśleć, że lepiej zachować prawdę dla siebie, bo Josh myślałby, że nie może już mieć dzieci z powodu trudnego porodu.

Miała dwadzieścia jeden lat, gdy urodziła Annabel. Dzięki młodzieńczej prężności szybko odzyskiwała siły. Blizny, jakie pozostawił trudny poród, i moralne męczarnie, gdy musiała oddać dziecko — śliczną maleńką Annabel,

tak bliską wiekiem Sally, choć tak inną pod względem temperamentu — nigdy nie znikną.

Teraz było za późno. Annabel wychowywała się u brata Chloe i jego żony, w ich maleńkim domku w Barnes. Nikt niczego nie podejrzewał. Nikt. Ani szmatławce z Fleet Street, ani personel kliniki. Nie wiedziała sama Annabel — pomyślała smutno Chloe, zapalając papierosa pomimo napisu „dla niepalących”. Nikt oprócz jej brata i bratowej nie wiedział, że ma dziecko i jak bardzo jest mu oddana.

Była świadoma, że Annabel stała się dla niej obsesją— zauważyła to również Sally. Chloe zadrżała, gdy usłyszała ją śpiewającą „Dość już wyszukanych prezentów dla twojej bratanicy! Ktoś mógłby pomyśleć, że jest twoim dzieckiem”.

Nastoletnia Sally zdawała sobie sprawę, że Chloe uparcie pragnie dziecka, i często jej dokuczała. — Jesteś bezpłodna, prawda? — cieszyła się z bólu Chloe. Leżały tego dnia obok basenu, usiłowały się opalać, słońce zerkało ledwie przez gęstą zasłonę smogu. Sally czytała historię epoki elżbietańskiej. — Tak jak Maria, córka Henryka Ósmego. Bezpłodna! — chichotała głośno, rozweselona. — Bezpłodna, bezpłodna, BEZPŁODNA! — dała nurka do basenu, ochlapała książkę, którą czytała Chloe. Chloe wreszcie porzuciła pozory przyjaźni, ich stosunek stał się małym polem walki.

Pewnej wiosny Chloe i Sally były w Paryżu. Josh występował tu w wypełnionej po brzegi Olympii. Chloe poszła robić zakupy w Galeries Lafayette, a Sally, której instynkt podpowiadał, że może to być jeszcze jedna szansa do skłócenia z macochą, nalegała, by zabrała ją ze sobą. Chloe wybierała pasujące kolorami koszule i sweterki dla kuzynek, wreszcie starannie wybrała burgundowy płaszcz Christiana Diora z welurowym kołnierzykiem, pasujący do niego kapelusz i sukienkę dla Annabel. Miała jechać do Londynu, odwiedzić brata. Perspektywa zobaczenia córki napełniała ją radosnym podnieceniem. Sally, teraz już nastolatka, nosiła kolekcję obszarpanych szmat, które tego roku były szczytem mody w Beverly Hills. Szydziła z wyboru Chloe. — Konserwatystka — tak, Annabel musi być straszną nudziarą! — powiedziała przetrząsając stos skarpet w jaskrawych kolorach i wpychając kilka par do kieszeni obszernego żakietu, gdy nikt nie patrzył. Nie miało znaczenia, że ojciec mógł jej kupić skrzynię skarpet — Sally uwielbiała to, co zabronione.

Annabel — typowa, dobrze wychowana, o nienaganych manierach, angielska paniątka, była pełnym przeciwieństwem Sally. Uwielbiała ładne stroje. Była czarująca, rozkoszna i nieśmiała. Po lunchu szły z Chloe pełną zieleni angielską uliczką. Zwierzyła się ciotce, że tak jak ona chciałaby kiedyś zostać piosenkarką, dlatego zaczęła brać lekcje gry na gitarze.

— Jesteś jeszcze taka młoda — sprzeciwiała się Chloe. Chciała dla córki czegoś lepszego niż życie, jakie sama wybrała.

— Och, cioteczko Chloe, kocham gitarę i uwielbiam śpiewać. Bardzo kocham!
— dziewczyna podskakiwała radośnie, policzki miała zaróżowione, ciemnozielone oczy błyszczały.

— Słucham twoich płyt cały czas, ciociu. Uwielbiam sposób, w jaki śpiewasz. Nigdy ci tego nie mówiłam... — zaczerwieniła się i popatrzyła w bok.

— Co, co mówisz, kochanie? — Chloe czuła ucisk w gardle, z trudem opanowała łzy. Kochana dziewczyna, jej kochane słodkie dziecko. Gdyby tylko mogła z nią być... Nie mogła. Przestań, Chloe — mówiła sama do siebie. Uspokój się, żadnych wyznań, zniszczyłyby życie wszystkim — szczególnie Annabel.

Uważnie wysłuchiwała dziewczynki cichutko szepczącej w tajemnicy, jak bardzo podziwia i uwielbia „ciocię”.

— Kiedy dorosnę, ciociu, chcę być taka jak ty — szczebiotała. Jej mała twarzyczka była bardzo ożywiona. — Mam nadzieję, że potrafię śpiewać choć w połowie tak dobrze jak ty.

— Och, Annabel, kochanie, dziecinko! — Chloe już nie mogła powstrzymać łez. Uklękła na drodze, gwałtownie tuliła córkę. — Kochanie, zrobię co w mojej mocy, by ci pomóc, obiecuję.

— Jestem taka dumna, że jesteś moją ciocią! — Annabel zastanawiała się, dlaczego ciocia Chloe, zazwyczaj tak chłodna, teraz płacze. To ją wprawiało w zakłopotanie; dorośli ludzie są czasem tacy dziwni.

Nagle szarpnięcie pociągu wyrwało Chloe z zadumy. Westchnęła, zdjęła ciemne okulary. I tak nie uchroniły jej przed rozpoznaniem przez kelnerów i kilku pasażerów. Wyglądała paskudnie. Dwie butelki wina co wieczór, i bezsenne noce pomimo seconalu i trudne tournee nie wpływają dobrze na urodę. Tydzień na farmie odnowy biologicznej powinien pomóc. Pomagał co roku. Przy odrobinie szczęścia znów będzie wyglądała o pięć lat młodziej. Z kości policzkowych zniknie opuchlizna, turkusowe oczy już nie będą okolone czerwonymi obwódkami od nadmiaru wódki, znów będą błyszczące, a paski od ubrań i odzyskają wygodny luz.

Sączyła wino, usiłowała pozbyć się goryczy. Sally będzie podekscytowana jej wyjazdem. Będzie mogła mieć ojca tylko dla siebie. Pewnie zapalą skręta, będą słuchali jego ostatniego singla tak głośno, że przestraszony Labrador skomląc będzie szukał schronienia w piwnicy. Och, są tacy podobni, ojciec i córka, jak dwie krople wody. Oboje skorpiony, oboje samolubni, pogardliwi, urodziwi i arogancy. Czterdziestolatek i szesnastolatka, a rozumieją się doskonale. Ich wzajemna bliskość powodowała, że tęsknota za własną córką pogłębiała się jeszcze bardziej.

W 1964 roku, urodzenie nieślubnego dziecka mogło zniszczyć kwitnącą karierę Chloe. Właśnie zaczynała śpiewać, pięła się w górę, pracując najpierw w klubach dla mężczyzn, później, umieszczając swoje piosenki na listach przebojów. Pięć lat oddania się jazzowym utworom w stylu starego Cole Portera. Pięć lat zawziętości i poświęcenia, pracy nad własnym głosem, naśladowania fraz Elli Fitzgerald, niuansów Sinatry, chrapliwych

zmysłowych tonów Peggy Lee. Udało się jej nadać właściwe znaczenie i zmysłowość nawet najbardziej znanym tekstom.

Gdy Chloe była jeszcze nastolatką obsługującą stoliki, i każdej nocy szła spać, bez względu na to jak zmęczona, przy dźwiękach jednego z trojga ulubionych wykonawców kołyszących ją do snu. Nie śniła, sen miał służyć temu, co miała najlepsze, twarzy — spędzała całe godziny nakładając i zmieniając szminki, cienie, kredki do brwi, analizowała i korygowała za pomocą magii kosmetycznej zadowalając proporcję wielkich niewinnych oczu, zadartego noska, skośnych kości policzkowych i pełnych ust. Efektem tych i zabiegów była ponętna egzotyczna twarz, która mogłaby zdobić każdy magazyn mody. Przyjmowała propozycje wyjazdu na jedną noc w najodleglejszych zakątkach Brytanii — przyglądała się, uczyła, imitowała, stawiała wszystko na jedną kartę. Wreszcie talent i pałająca ambicja, by zwyciężyć przyniosły jej sławę popularnej piosenkarki, znanej ze zmysłowości i elegancji.

Nie miała czasu na mężczyzn. Szczególnie ci spotykani w Leeds, Glasgow czy Birmingham byli takimi tumanami, że odrzucanie ich zalotów wymagało małego wysiłku. Bywali kumple przypadkowi z tego samego tournée, zazwyczaj żonaci, zazwyczaj gasnące gwiazdy, podczas gdy Chloe — wiedziała to — zaczynała błyszczeć. Był przypadkowy młody perkusista z zespołu, przypadkowy klarncista czy saksofonista, a nawet sam maestro, lider grupy. Zawsze były to żalosne doświadczenia, w żaden sposób nie odpowiadające ideałom Chloe.

Obserwowała Susan, najlepszą koleżankę szkolną, teraz żonę brata, Richarda, obciążoną odpowiedzialnością za zakupy, gotowanie, sprzątanie i opiekującą się małym dzieckiem, choć znów była w ciąży. Susan już traciła młodzieńczą świeżość i zamiłowanie do sztuk pięknych, dzięki którym były najpopularniejszymi dziewczynami w szkole. Żaden mężczyzna nie jest tego wart — myślała Chloe — nie jest wart wysiłku ani bólu. I żaden nie był — dopóki nie spotkała Matthew Sullivana.

Matt był dziennikarzem. Pracował dla „Daily Chronical” jako dziennikarz zajmujący się show-businessem. Przeprowadzał wywiady z byłymi amerykańskimi gwiazdami, które stadami leciały do Londynu, by sprzedawać swe gasnące aktorstwo prosperującemu przemysłowi filmowemu Wielkiej Brytanii wczesnych lat sześćdziesiątych. Pił whisky, flirtował z każdą w mini-spódniczce, opowiadał sprośne dowcipy. Pół-Irlandczyk, pół-Żyd, hukaj, uosobienie uroku, cynik, popijający i nie dbający o to, z kim baraszkuje. Częściej można go było znaleźć podpierającego barek jakiegokolwiek pubu na Fleet Street, gdzie zabawiał kolegów anegdotkami, niż w rodzinnym gnieździe w Shepherd's Bush, z żoną i ich bliźniakami. Wszyscy znali jego reputację zagorzałego psa na kobiety, nicponia i nie biorącego życia na serio kawalarza. Wszyscy oprócz Chloe.

Myślała tylko o sławie i sukcesie, mężczyźni byli na końcu listy priorytetów. Chloe, pełna życia, o błyszczących oczach, dwudziestojednoletnia dziewczyna, występowała w Cavern — obskurnym, ale bardzo popularnym disco w

Liverpoolu, znanym ostatnio z odkrycia czterech miejscowych chłopaków, późniejszego zespołu „Beatles”.

Wcześniej kilkakrotnie spotykała Matta w różnych klubach niezbyt zdrowej północnej części Anglii. Pisywał o scenie rockowej, jego czytelnicy interesowali się wieloma nowymi grupami, takimi jak Beatles, Stones, Animals, Herman's Hermits. Chloe wiedziała, że nią też się interesuje, choć gdy spotkali się ostatnio, był z żoną. Poszli wszyscy razem do nocnego klubu na drinka. Chloe była ze swym tymczasowym klarncistą, Rickiem, którym już nie była zainteresowana. Rick wiedział, już przewracał oczami szukając kogoś nowego. Matt rozśmieszył Chloe pikantnymi plotkami i niewybrednymi żartami. Gdy przestała się śmiać, spostrzegła, że przygląda się jej. Nie spuszczała z siebie oczu, rozumiała o czym myśli. Zacerwieniła się, gdy poprosił ją do tańca. Śpiewał Vic Damone — coś łagodnego i namiętnego. Zadymiony klub miał aurę seksu. Ciało kołyszące się razem, ciepłe, spoczone, mokre. Matt trzymał ją jak ktoś, komu można zaufać. Nie jakieś zwykłe obmacywanie — pomyślała z wdzięcznością, choć ramiona dookoła niej były władcze. Był pewny siebie; wiedział, że jest atrakcyjny. Gdyby tylko zechciał, mógłby mieć każdą z kobiet, które go tak pożądały. To się czuło.

Objął ją mocniej, gdy muzyka była wolniejsza; ich ciała były coraz bliżej siebie. Zdawała sobie sprawę z jego podniecenia. Czuła, że sama też jest podniecona. Niezwykle dla Chloe uczucie — pożądanie mężczyzny.

Prawdziwe pożądanie. Zadrżała, zaglądając znów w jego czarne oczy.

Spojrzenie mówiło wszystko. Przeraziło ją nieznanne uczucie — czuła, że się rozplywa. Zafascynowana nadal patrzyła mu w oczy, trzymała blisko siebie, dopóki żona nie poklepała go po ramieniu mówiąc, że o dwunastej trzydzieści wychodzi opiekunka do dzieci i muszą już iść.

Matt zadzwonił trzy dni później. Znów wrócił do Liverpoolu — bez żony. Po występie w Cavern czuła się jak pijana.

Chloe nie wahała się. Zbyt często myślała o jego twarzy, ciele, czarnych oczach okolonych gęstymi rzęsami, o jego mocno zarysowanych ustach. Żegnaj, Rick. W klubie Matt był miły i zabawny, ale nie patrzyli na siebie znacząco. Chloe zastanawiała się: może tylko wyobraziła sobie fizyczne pożądanie, jakie dał jej odczuć ostatnim razem... Zaprosiła go na kawę. Gdy dotarli do jej mieszkania, poprosiła, by zachowywał się jak najciszej podczas wspinaczki po chwiejnych schodach. Gospodyni nie aprobowała nocnych wizyt mężczyzn. Często była to dla Chloe dobra wymówka, by pozbyć się natrętnych amantów. Tym razem nie chciała wymówki. Chciała Matta. Kiedy obudziła się następnego dnia, już wyszedł. Czuła się niewiarygodnie cudownie rozpalona. Ostatniej nocy doświadczyła przeżycia nie do opisania. Został do świtu, a każdej minuty, jaką z nim spędziła, była coraz bardziej zakochana.

Przynajmniej czuła się jak zakochana, myślała o tym przesuwając rękami po ciele, na którym nadal czuła jego pieszczoty. Przeciągnęła się z rozkoszą. Czy sześć lub siedem godzin najwspanialszego kochania jakiego kiedykolwiek

doświadczyła było miłością? Jeśli nie, to było to lepsze niż cokolwiek, co napisał o tym Cole Porter. W tym momencie nie mogła, nie chciała myśleć o kimkolwiek innym, oprócz Matta. Czuła, że cała drży. Mając dwadzieścia jeden lat poczuła się kobietą.

Annabel została poczęta w Londynie podczas pewnego pięknego święta bankowego, gdy żona Matta i bliźniaki pojechali odwiedzić jej matkę w Bognor. Matt miał dokończyć ważny artykuł o Beatlesach. Spytał Chloe, czy chce spędzić z nim weekend. Nie mogła się oprzeć. Zakochała się gorąco w nieodpartej kombinacji irlandzkiego uroku i żydowskiego dowcipu. Nie chciała stracić okazji bycia znów w jego ramionach, i to przez cały weekend. W powietrzu czuć było zapach majowych kwiatów, gdy dzwoniła do odrapanych drzwi frontowych w Shepherd's Bush. Ledwie mogła oddychać, kiedy podszedł do drzwi. Choć o osiemnaście lat od niej starszy, Matt był niezwykle przystojnym mężczyzną. Czarne włosy, przyprószone pasemkami siwizny, kręciły się niedbale wokół jego twarzy. Czarne oczy pożerały ją, gdy go uścisnęła.

— Och, kochanie, kochanie, tęskniłam za tobą, tak bardzo za tobą tęskniłam — dyszała chrapliwie, trzymając się blisko jego ciała.

— To tylko tydzień, kochanie, nie miałaś czasu by za mną tęsknić w czasie tego okropnego tournee. Chodź, chodź — zobaczą nas sąsiedzi.

W małym saloniku nalał dwie duże whisky w źle t dobrane szklaneczki. Poprosił Chloe, aby usiadła na wytartej welwetowej sofie. W oknie żółty kanarek huśtał się w klatce, rozchlapując krople wody na tackę. Popielniczki były pełne petów, rozrzucone gazety i magazyny zaśmiecały podłogę. Na stole, obok starej maszyny do pisania, przewracała się pizza, a obok stało w nieładzie siedem czy osiem filiżanek z nie dopitą kawą. Z wyrzutami sumienia rozejrzała się po pokoju, na pianinie zobaczyła duże kolorowe zdjęcie kobiety i bliźniaków. Udawała, że tego nie widzi.

— Matt, och, Matt! Tak cudownie znów cię zobaczyć! Czuła się bardzo podniecona. Nie mogła spuścić z niego oczu, nie potrafiła powstrzymać rąk.

— Świetnie wyglądasz, mała, świetnie. Bawiąc się ścisnął jej ramiona, poklepywał tył szyi, co sprawiało, że cała drżała. Chciała go teraz, bardzo go pragnęła. Ale on nie był jeszcze gotowy.

— Papieroska? — spytał, zapalając dwa Lucky Strikes i podając jej jednego.

— Podzielimy się twoim — dyszała, pamiętając jak to było ostatnim razem. Zaciągnął się, odetchnął nieco i podał jej papierosa. Całowali się lekko uchylonymi ustami, jej były delikatne i wilgotne jak młode płatki róży, jego zimne, ale zmysłowe — pocałunek był delikatny jak skrzydła motyla. Poczowała cierpki dym płynący w jej usta. Czuła też smak jego ust, jego język. Wydzielał męską woń papierosów, whisky, trochę potu, lecz dla niej ten zapach miał słodczy. W tych ustach był smak żądz. Błyszczące, czarnookolone oczy topiły się w jej oczach, język leniwie penetrował zakątki jej ust. Widziała, że pożądanie jak u uczniaka powoduje wzwód. Dłońmi delikatnie dotykał jej

bluzki, pieścił zarys pełnych piersi. Cały czas patrzył jej w oczy, hipnotyzował ją, ogień w jego oczach oddawał żar obojga.

— Och, kochanie, kochanie — dyszała. — Tak bardzo, cię pragnę!

— Jeszcze nie, maleńka, jeszcze nie — dzięki doświadczeniu potrafił się powstrzymać. Była taka chętna — jak dziecko. Pomimo jej uczonych piosenek, robiła w majtki jak szczeniak, umierała, by poczuć go w sobie. Wiedział, że im dłużej każe jej czekać, pragnąć go, pożądać całkowicie, tym lepiej dla nich obojga.

Grał na niej jak wirtuoz. Wolno, z nieskończoną cierpliwością, rozpiął jej bluzkę; najpierw palcami, potem ustami pocierał o jej chętne sutki. Wreszcie, gdy była już bez ubrania, delikatnie położył ją na kanapie i językiem wodził po całym ciele, wprawiając ją w stan ekstazy. Czowała jego twardość przez sztruksowe spodnie. Spróbowała ją uwolnić — nie pozwolił jej.

Chloe myślała, że umrze z rozkoszy. Jedyłą częścią ciała, jaką pozwalał dotykać, były usta. Drażnił jej lechtaczkę językiem, dopóki nie eksplodowała. Każda część jej ciała płonęła ogniem, jakiego nie знаła do tej pory. Nie znała mężczyzny, który poświęciłby tyle czasu i sprawiał taką rozkosz ustami, językiem, czubkami palców.

Dopiero gdy czuła, że zwariuje, jeśli w nią nie wejdzie, gdy dotykając ją sprawił, że wijąc się osiągnęła następny orgazm, gdy błagała, prosiła płacząc — proszę kochanie, Matt, najdroższy, teraz, zrób to teraz! Pragnę cię! Proszę! — dopiero wtedy zdjął ubranie i połączył swe ciało z jej ciałem.

To była noc, jakiej Chloe nigdy nie doświadczyła. Znała jedynie muzyków i piosenkarzy, których celem było zdjąć jak najszybciej majtki, natychmiast zainstalować swój organ wewnątrz niej, pompować szaleńczo przez kilka minut, by opaść równie szybko. W najlepszym razie było to umiarkowanie podniecające. Nigdy nie osiągnęła szczytów takiej ekstazy, jak to było z Mattem.

Kilka godzin później, wyczerpaną, nasyconą w nadmiarze, a ciągle pragnącą go, zaniósł na górę do maleńkiej sypialni. Tu w ciemności trzymał ją mocno, przemawiał słowami miłości tak pięknie i kochał się z nią całą noc. Przyłgnęła do niego, z namiętnością wielokrotnie powtarzała, jak bardzo uwielbia go, potrzebuje i pragnie.

Niestety, sześć tygodni później, gdy poinformowała go, że jest w ciąży, już jej nie pożądał ani nie potrzebował.

Obsesja Chloe w stosunku do Matta nasiliła się przez te dwa miesiące tak bardzo, że teraz seksualna namiętność wprost ją pożerała. Nie mogła przestać myśleć o jego czarnych oczach, ciągle złączonym z nią ciele, pieszczotach rąk, ustach wynoszących ją na szczyty pożądania.

Znała jego wady. Wady! Miał kilka cech charakteru, innych niż niezwykle dar uprawiania miłości. Kłamał. Wiedziała, że kłamie cały czas — oczywiście żonie, ale i Chloe również. To był jego sposób na życie. Kłamstwa wypływały z jego ust szybciej niż prawda. Bez wątpienia za dużo czasu spędził na Fleet Street. Wybacziała mu wszystko, gdy tylko był w jej łóżku. Nigdy nie miała go

dość — widywała go tak rzadko. Wszystkiego pięć razy, wtaczając w to ten niesamowity weekend. Pięć magicznych, cudownych nocy, które rozplomieniały ją, i pięć poranków podczas których tak bardzo za nim tęskniła i pragnęła jeszcze bardziej.

Nie dane jej było mieć go częściej. Wyjaśnił to bezceremonialnie. Nie kocha jej. Był zupełnie szczery. Pożądał jej cielesnie, uwielbiał kochać się z nią, ale znał samego siebie zbyt dobrze. Miał prawie czterdzieści lat, nie zamierzał się rozwodzić. Jeśli Chloe opuści go, będą wokół inne dojrzałe młode ciała, inne rybki do złapania. Miał wiele pomysłów; nie ma mowy, by zaakceptował dziecko Chloe.

W swej naiwności Chloe nie mogła uwierzyć, że robił to z nią z taką namiętnością, a nie zakochał się. Nie mogła zrozumieć jego gruboskórności. Całymi miesiącami płakała, by móc zasnąć.

Uważała, że usunięcie ich dziecka, dziecka ich miłości, byłoby zbrodnią. Atawistyczny, pierwotny instynkt kobiety sprawił, że chciała je mieć. Pomimo jego odmowy i odsunięcia się od niej, zniosła te dziewięć miesięcy i w styczniu 1964 roku, w szpitalu w Plymouth pod przybranym nazwiskiem urodziła dziewczynkę, którą po babce nazwała Annabel.

Podjęła jedną trudną decyzję; teraz musiała podjąć następną. Wiedziała, że nigdy nie będzie mogła zatrzymać dziecka. Musiała zarabiać na życie, a jedyny sposób, w jaki umiała to robić, wiązał się z powrotem do śpiewania. To nie było życie dla Annabel.

Richard, brat Chloe, i jego żona Susan zgodzili się wychowywać dziecko razem ze swoją dwójką. Wyjaśnili sąsiadom, że Annabel jest córką kuzynki Susan, tragicznie zmarłej w wypadku samochodowym w Australii. Sąsiedzi nie zadawali pytań. Chloe wkrótce z całą energią wróciła do pracy. Śpiewała, by zarobić na życie, w całej Anglii, Irlandii, Szkocji i Walii. Przez siedem lat dotarła na szczyty swej profesji.

Chloe była wspaniałą piosenkarką popularnych i standardowych songów, wykonawczynią dającą publiczności więcej niż warte były zapłacone za bilet pieniądze. Bezsporny talent w połączeniu z niezaprzeczalnym sex apealem zniewalały zarówno publiczność, jak i krytyków. Wspięła się na szczyty w Brytanii, teraz Ameryka wyciągała po nią ręce, by i tu spróbowała.

Rozważała ofertę zagrania w Las Vegas tej nocy, gdy pierwszy raz ujrzała Josha.

Chloe nigdy nie przestała kochać Annabel. Cały rok, kiedy tylko widziała inną kobietę z dzieckiem, czuła ból i gorycz, że nie może zobaczyć, jak rozwija się jej mała dziewczynka. Susan i Richard przysyłali regularnie zdjęcia; czuła się jeszcze gorzej widząc małą słodką dziewczynkę o ciemnych oczach Matta i kręconych włoskach jej samej, śmiejącą się rzadko, co pokazywały zdjęcia. Na kamienistej plaży w Brighton, w ogrodzie za domem, stojąca z Richardem i jego przyjaciółmi, ubrana w strój do krykieta, przed pubem, Richard dumnie trzymający małą na kolanach, Annabel z ulubioną lalką, Annabel z kotkiem,

Annabel z nową najlepszą przyjaciółką, Annabel z braćmi i siostrami. Rosła... cały czas rosła. Bez prawdziwej matki.

Chloe przechowywała album swego dziecka. Z miłością przeglądała utrwalone momenty, zdjęcia, maleńkie liściki nagryzmołone dziecinnym pismem — sumienna Susan pilnowała, by mała pisywała do niej. Chloe wysyłała jej prezenty z całego świata, zawsze otrzymywała listy z podziękowaniami: zabawki, ubrania, książki, upominki. Gdziekolwiek Chloe występowała, zawsze namiętnie szukała czegoś wspianiałego lub niezwykłego dla Annabel. Nie miała ochoty oglądać tego przedstawienia. Właśnie zakończyła tournée po czterdziestu miastach, czuła się i wyglądała na zmęczoną. Było dla niej jasne, że ma dwadzieścia dziewięć lat, a nie dziewiętnaście. Teraz każdej nocy potrzebowała pełnych ośmiu godzin snu, inaczej — żegnaj, piękna twarzyczko. W ciemności teatru otworzyła puderniczkę, zerknęła na swą cerę prawie bez skazy, potem popatrzyła na Josha, na scenę. Wbrew sobie uśmiechnęła się: Boże, jest wspianiały.

Josh zawsze pociągał Chloe falą zmysłowego podniecenia i zainteresowania. Nie czuła tego od czasu Matta.

Joshua Brown w show-businessie był królem swingującego Londynu. Trzydziestolatek, błyskotliwe, utalentowane dziecko szczęścia, przysparzające innym kłopotów. Niezwykły wygląd i nowy styl śpiewania sprawiły, że West End

miał u swych stóp. Chloe nie była wyjątkiem. Pożądało jej tysiące mężczyzn słuchających jak śpiewa namiętne piosenki. Teraz sama doświadczyła tego uczucia — gorąco pragnęła artysty występującego na scenie. Dlaczego Josh Brown wśród tylu ludzi? Takiego zamętu nie doświadczała od lat. Upajała się nim. Zanurzała się w nim.

Olbrzymie turkusowe oczy rozszerzały się, podziwiała występ atletycznie zbudowanego Josha. Naśladował gwiazdę kina niemego z lat dwudziestych, w stylu Douglasa Fairbanksa. Od prawie trzech godzin był na scenie, skakał i tańczył przed audytorium, grał, tak się popisując, z taką wirtuozerią i śmiałością, że rozentuzjasmowana publiczność biła brawo, często wstając z miejsc.

W zeszłym tygodniu Chloe obejrzała show dwa razy w ciągu trzech dni. Tym razem zamiast siedzieć w siódmym rzędzie, specjalnie wybrała środkowe miejsce w pierwszym rzędzie. Przyszła sama.

To jest mężczyzna, którego poślubię — pomyślała, nie spuszczać oczu z jego przystojnej twarzy, z silnego ciała. Gdy kurtyna podniosła się jeszcze raz, gdy wystąpił przed innymi wykonawców, owacja była przeznaczona tylko dla niego. Jej dłonie były czerwone od oklasków; siłą woli zmusiła go do spojrzenia w jej oczy.

Uklonił się odpowiadając na falę braw, zgiał się w pół; widać było, że kocha publiczność. Gęste czarne włosy opadły na opalone czoło. Miał metr osiemdziesiąt trzy wzrostu i diabelską twarz, był uosobieniem męskości, uroku, humoru i sex appealu. Mówcie co chcecie, miał to wszystko. Widziała

świetnie ukształtowane mięśnie na piersiach przez rozpiętą do pasa białą batystową koszulę, a przez obcisłe czarne spodnie zarys jego przyrodzenia. Rzeczywiście olbrzymie nabrzmienie. Mankiety koszuli były podwinięte, zauważyła silne dłonie, chciałaby czuć je na swoim ciele. Myślała o plotkach, jakie o nim słyszała.

Przypuszczalnie największy flirciarz w Londynie. Cóż, w jego businessie, dopóki nie jesteś Julie Andrews, miała o tobie nieustannie. To mogła, ale nie musiała być prawda. W tym momencie nie dbała o to. Czowała tylko niewiarygodne fizyczne i metafizyczne przyciąganie. Popatrzył na nią wreszcie. Z uznaniem. Widać było, że jest nią wyraźnie zainteresowany. Ledwie zauważalnie skinął głową. Jak na skrzydłach pobiegła odurzona do garderoby za sceną. Jak czternastolatka podkochująca się w Elvisie. Perry, służący i zaufany człowiek Josha, zaproponował drinka. Czekala pełna nadziei w obskurnym pokoju. Ledwie dostrzegła wyblakłe portrety Edmunda Keana i Henry Irvinga zdobiące żółte, łuszczące się ściany. Słyszała, jak podśpiewuje sobie operowe arie — czy to Verdi? Aida? Czyżby ten piosenkarz komedii muzycznej, bożyszczko kobiet, gwóźdź programu wszystkich przedstawień aspirował do wyższego poziomu — opery? Zanim mogła odpowiedzieć na to pytanie, rozsunięły się wytarte, zielone zasłony z welwetu, a on stanął przed nią. Natychmiast wiedziała, że jest stworzony dla niej. Na zawsze — podpowiadał wewnętrzny głos. Na zawsze. Jego pojawienie się obezwładniło ją.

— Uwielbiam wszystkie twoje piosenki — nie tracił czasu na pochlebstwa. — Szczególnie „Podkochuję się w tobie”. Ciągłe tego słuchamy, prawda, Perry?

— Miał w sobie niesłychaną energię. Chloe czuła ją. Młody mężczyzna uśmiechnął się do Chloe z podziwem, wskazał stos płyt.

— Sinatra, Ella i pani, panno Carriere. Zawsze były to ulubione płyty pana.

— Dziękuję — mruknęła Chloe bardziej niż ujęta, choć starała się zachować wyrafinowany chłód. Dlaczego, ach, dlaczego przed tym mężczyzną czuję się taka słaba, taka kobieca, taka — przyznaj to sama, kochana, mówił wewnętrzny głos — napalona? W twoim wieku nie ma co udawać dziewicy. Łap go, dziewczyno.

— Pewnie nie znajdzie pani czasu, by zjeść ze mną kolację? — spytał niepewnie Josh. Oboje znali odpowiedź.

W czasie kolacji w restauracji w Soho śmiali się i żartowali. Raczył ją okropnymi historyjkami z tournée, opowiadał jakim nieszczęściem był jego występ zanim podbili West End, gdzie ich program stał się najlepszym musicaliem Anglii od czasów Olivera. Nie było wątpliwości, dokąd zaprowadzi ten wieczór. On miał małe mieszkanie w Fulham. Ona takie samo w Chelsea. Rzucili monetę. Wygrał.

Myślała, że nigdy żaden mężczyzna nie będzie lepszy w łóżku od Matta. W czasie ostatnich siedmiu lat przeżyła kilka przygód, lecz szybko decydowała, że nie są warte porwy serca. W łóżku wołała być z książką, grać w karty z przyjaciółmi niż tarzać się w pościeli z kimś obcym, usiłując udawać

pożądanie, jakiego nie czuła. Nie zawracała sobie tym głowy. Leniwie myślała, że od czasu narodzin Annabel pewnie stała się oziębła. Na szczęście myliła się.

Z Joshem było inaczej zanim ją jeszcze dotknął. Piękne, zmysłowe usta musnęły ją jeszcze w windzie podążającej do jego mieszkania. Całował delikatnie i z doświadczeniem — jak mężczyzna znający się na kobietach, naprawdę je lubiący — czytała to z jego ust, dłoni zanurzonych w jej włosach, nie było co do tego wątpliwości. Czuła jak rośnie jego namiętność, gdy stara winda zatrzymywała się. Ich usta powoli oderwały się od siebie.

Poza meblami w sypialni, bardzo ciemnymi prostymi meblami, olbrzymim łóżem z czterema kolumnami, jedyną niezwykłą rzeczą było tu wielkie lustro na suficie, przymocowane do chromowanych kolumn w każdym z rogów łoża, przykryte niestosowną, niebieską, paskudną narzutą.

—Prezent hotelu „Empire” w Las Vegas—śmiał się, gdy ona przyglądała się pytająco. — Podbiłem tam studio w zeszłym roku. Zapytali czy chcę wysadzane diamentami Rolex. Powiedziałem, że wolę to łożo, więc przysłali je tutaj. Świetne, co?

Chyba tak — pomyślała Chloe.

Pięć godzin później, wlokąc się do ciasnej, nieporządnej kuchni po podtrzymującego życie drinka, wiedziała ile radości może dać takie łóżko. Nogi miała takie, jakby gimnastykowała się przez trzy godziny. Z pewnością był cudownie podniecającym kochankiem, radość dawało również rozmawianie z nim. A w przerwach między rundami kochania się, tylko trochę przypominającymi to, czego doświadczyła z Mattem, rozmawiali, śmiali się i żartowali. Tak im było dobrze ze sobą. Całymi godzinami odkrywali swe ciała ustami, językiem, palcami, aż musiała błagać, by ją wziął. Całował ją i drażnił aż do szczytu ekstazy. Myślała, że umrze, jeśli nie wejdzie w nią. Narastające pożądanie powodowało, że jej ciało było jak olbrzymia bateria — miliony zakończeń nerwowych czekały na podłączenie do jego ciała.

Kiedy w końcu zaczął się z nią kochać, uczucie było tak niezwykle, że już żadne z nich nie mogło się powstrzymać. W ciągu kilku sekund oboje osiągnęli tak intensywny orgazm, że Chloe o mało nie zemdląca. Gdy potem trzymał ją mocno, tuląc do ciepłej, muskularnej piersi, gdy gładził jej czarne loczki, mokre teraz od potu ich ciał, czuła, że to musi być on. Zawsze wiedziała, że kiedyś spotka właśnie tego mężczyznę. Mężczyznę jej życia.

W głębi duszy wiedziała, że to może być początkiem czegoś wielkiego. I było. Pasowali do siebie wspaniale. Wspaniała para. Łączyło ich wszystko. Ich okres narzeczeński był krótki, małżeństwo w trzy miesiące później.

Oboje byli bardzo popularni, ślub w Dorchester stał się prawdziwym wydarzeniem w świecie show-businessu, przybyli wszyscy: od Petera Sellersa do sir Lewe'a Grade'a. Miesiąc miodowy spędzili na Capri. Pływali, opalali się, jednak większość czasu spędzili w łóżku.

Od początku Josh nalegał, że chce być wobec Chloe całkowicie uczciwy. Opowiedział jej o wielu przyjaciółkach, wyznał, że żadnej kobiecie nie potrafił być wierny dłużej niż kilka miesięcy, ale naprawdę zamierzał spróbować to zrobić dla Chloe. Miał już trzydzieści lat — najwyższa pora wydorosnąć. Powiedział jej nawet o niewielkich ilościach białego proszku, które od czasu do czasu musiał wdychać, by jakoś dać sobie radę z wyczerpującym występem. Nie przejmowała się tym. Kochała go. Miłość wszystko pokona. Małżeństwo będzie trwało wiecznie. Byli ze sobą szczęśliwi aż do ekstazy, pomimo jego przedwcześnie rozwiniętej córki mieszkającej z nimi. Choć, jak w większości małżeństw, z czasem strona fizyczna miała mniejsze znaczenie, nadal byli niezwykle zaprzyjaźnieni i w dobrych ze sobą stosunkach. Śmiali się, kochali, kłócili i pracowali razem. Wspaniałe małżeństwo — twierdzili wszyscy. Chloe uważała, że więź między nimi, bardzo mocna, będzie owocowała dla małżeństwa i miłości.

Nienawidzili rozstań. Potrzebowali własnego wsparcia, obecności obojga. Często w czasie przyjęć nudzili gospodarzy — choć spędzili cały dzień i noc razem, siadali na kanapie, trzymali się za ręce, zapatrzeni w siebie samych ignorowali resztę gości. Rozumieli się całkowicie, byli sobie zupełnie oddani. Jedynym źródłem nieporozumień był jego nałóg brania kokainy. Czasem nie ruszał jej całymi miesiącami, w końcu — gdy nawał pracy był zbyt duży, znów po nią sięgał.

— Na miłość boską, biorę ją odkąd skończyłem osiemnaście lat — mawiał rozdrażniony. — Nigdy mi nic się nie stało.

— Josh, to zabija! — Chloe zawsze była podekscytowana i zła, gdy przyłapała go na braniu. W czasie tournée, u wielu muzyków, widziała, jakie spustoszenie potrafi wyrządzić branie koki. Nienawidziła tego. To niszczyło życie.

Josh nie obiecywał, że przestanie brać, tylko że zmniejszy dawkę. Chloe uświadomiła sobie, że i teraz tym musi się zadowolić. Przecież i tak rzucił wszystkie dziewczyny. Nikt nie jest ideałem. Ona też nim nie jest. Są dobrym małżeństwem. Wspaniałym małżeństwem. Osiem lat małżeńskiego szczęścia. Szczęśliwa z niej kobieta.

Pewnego dnia wróciła do domu, by poznać straszną prawdę o jego niewierności.

Powiedziała mu, że zje lunch z przyjaciółką u Polo Lounge, a potem pójdzie robić zakupy na Rodeo Drive. W tym czasie kupili już przestronny dom przy plaży w Malibu i mały domek w Londynie. Udało im się pogodzić życie na obu kontynentach z zadziwiającą łatwością; z każdego brali to, co miał najlepszego do zaoferowania.

Po lunchu, idąc na dziedziniec hotelu Beverly Hills, gdzie zostawiła mercedesa, Chloe pomyślała, że upał jest straszny i nie jest w stanie zrobić zakupów. Poza tym miesiącka opóźniła się o pięć dni — może tym razem jej i Joshowi udało się i będą mieli dziecko, którego tak bardzo pragnęli. Miała

już trzydzieści siedem lat, zegar biologiczny szybko odmierzał czas.
Postanowiła wrócić.

Cichutko weszła do zalanego słońcem domu. Z pokoju prób Josha nie dochodziły żadne dźwięki, zazwyczaj pomimo dźwiękoszczelnych ścian słycać było stamtąd stłumione odgłosy ośmiościeżkowego magnetofonu. Josh bez końca miksował następny singel, mając nadzieję, że stanie się kolejnym przebojem. Sally była w szkole, gosposia na zakupach.

Kopnęła buty, szła po niebieskim dywanie ich chłodnej sypialni. To, co zobaczyła, dusiło jak supeł w gardle.

Josh nalegał, by zatrzymali baldachim z lustrami, prezent z Las Vegas. Kazał go przewieźć statkiem z Londynu. Na łóżku, pod lustrem, leżała bardzo młoda blondynka.

Nogi miała ochoczo rozłożone, drugie jasne włosy były rozrzucone na niebieskim satynowym prześcieradle Chloe. Szeroko otwartymi oczami, zafascynowana, przyglądała się swemu odbiciu w lustrze.

Josh klęczał nad nią, jego czarna głowa znajdowała się między nogami dziewczyny. Robił z nią to, co Chloe przyprawiało o spazm zachwytu, gdy obserwowała siebie w lustrze. Silnymi umięśnionymi dłońmi pieścił piersi młodej dziewczyny, kciukiem masował jej sutki. Z ruchów jego ciała, z niskich pomruków wydobywających się z jego gardła Chloe wiedziała, jak wielką radość mu to sprawia.

Dziewczyna była młoda, piętnaście, może szesnaście lat, niedoświadczona; Chloe zauważyła, że jej dłonie, choć zaciśnięte wokół grubego penisa Josha, nie stymulowały go tak, jak lubił. Bez ruchu stała przyglądając się wywołującej nudności scenie. Ci dwoje byli tak zajęci sobą, że nie zauważali jej. Chloe uświadomiła sobie z przerażeniem, że dziewczyna szczytuje, głowa męża zanurzała się szybciej pomiędzy udami dziecka, które wypinało się i jęczało z rozkoszy.

Chloe nie mogła powstrzymać płaczu bezwiednie narastającego w głębi niej. Dziewczyna wrzasnęła, Josh odwrócił się, na twarzy miał szok i przerażenie. Chloe nie mogła się ruszyć. Jak we śnie widziała dziewczynę biegnącą do łazienki. Josh podniósł szlafrok frotte i prawie obojętnie założył go po jakimś czasie. Dziewczyna, teraz już w niebieskich jeansach i podkoszulku, płacząc uciekała z sypialni.

Teraz Chloe popłakując pobiegła do łazienki.

Później, w nocy, Josh błagał ją, by mu przebaczyła. — Uklęknię przed tobą, Chloe — pochlipywał.

— Klęczałeś dziś po południu, ty draniu! — Chloe miała czerwone gardło od krzyczenia na niego, oczy spuchnięte od łez, tak że ledwie mogła widzieć. — W moim łóżku, ty świni! Ty obrzydliwy zboczeńcu! W naszym łóżku! Jak mogłeś? Dlaczego to zrobiłeś? W czym ci zawiniłam? — nie mogła powstrzymać szlochania. Nie mogła znieść zdrady, nielojalności.

— W niczym nie zawiniłam, Chloe. Chryste, nie wiem dlaczego. Byłem w barze na plaży z chłopakami, wypłem kilka drinków — wiesz, jak to jest — Chloe...

— Tak. Wiem, wiem... — nie mogła powstrzymać pisku swego głosu. Otworzyła szuflady szaf, nie patrząc wrzucała ubrania do walizki. — Chłopaki, chłopaki — zawsze musisz być jednym z chłopaków. Ty łobuzie! — usiłowała zatrzasnąć walizkę. — Czy to dlatego potrzebujesz młodych dziewczyn?

Musiała odejść. Nie mogła znieść jego obecności. Sally, słysząc awanturę, zjawiała się w sypialni. To było lepsze niż gry telewizyjne.

— Odpieprz się! — krzyczał ojciec, a rzadko zdarzało się, by podnosił na nią głos. Chloe wiedziała dlaczego, to było jeszcze bardziej obrzydliwe — wstrętne perwersja. W blondynce rozpoznała szkolną koleżankę Sally. To Sally wszystko ukartowała. Wiedziała, że ojciec lubi młode „cipki”, on i jego koledzy muzycy nazywali je tak, gdy w pobliżu nie było kobiet mówiących, że są męskimi szowinistami. „Mruczająca cipka” — tak w slangu określano pewien szczegół kobiecej anatomii. Dziewczyna podkochiwała się w Joshu. Nie tak trudno było Sally wszystko zaaranżować. Dobrze знаła ojca i jego słabostki — jest przecież tylko mężczyzną. Mężczyźni są słabi — Sally wiedziała o tym dobrze.

Josh próbował zatrzymać Chloe, ale wszystko, co powiedział, tylko jeszcze bardziej ją rozwścieczało. — Odpieprz się, Josh. Odpieprz się! Odpieprz się!! Odpieprz się!!! — wrzeszczała, zatrzasnąwszy walizkę. — Brzydzę się tobą! Nie chcę już dłużej z tobą być — nigdy więcej! — jakże chciałaby powstrzymać się od szlochania. — Weź się

w garść — potrzebujesz pomocy... powtarzała sobie.

— Kochanie, proszę cię, posłuchaj, proszę! Nie mogłem się powstrzymać. O Chryste, jestem mężczyzną, wiesz — czasami mężczyźni potrzebują...

— Czego potrzebują? — odwróciła się, turkusowe oczy gorzały wściekłością i bólem. — Pieprzyć nastolatkę? Uprawiać seks grupowy? Chce mi się rzygać, Josh. Rzygać, rozumiesz? — chciała wyjść z pokoju, ale złapał ją za rękę i przytrzymał mocno. Oczy miał delikatne, smutne — prawie wypełnione łzami. Nigdy nie płakał. Był dzieckiem, które przeżyło lata drugiej wojny światowej. Tacy ludzie rzadko płaczą, nawet gdy bardzo boli.

— Wiem, że jestem gównem, kotku, ale kocham cię. Pamiętaj o tym, Chloe. Zawsze cię kochałem. Pragnę cię, jesteś moją kobietą i zawsze nią będziesz. Pamiętaj o tym, gdy będziesz zasypiała sama w pustym podwójnym łóżku. Chciała mu przerwać, nie pozwolił jej. — Znam cię, Chloe. Nie skaczesz z łóżka do łóżka, nie zmieniasz mężczyzn, nie znajdziesz mężczyzny, który będzie cię kochał tak bardzo jak ja. Tak! Popełniłem błąd, okropny błąd. Wielu mężczyzn popełnia błędy. Dowiedziałaś się o tym. Chloe, wiem, że to straszne... ale nie opuszczaj mnie! Chloe — proszę, nie rób mi tego, kochanie...

Nie mogła powstrzymać szlochu, szlochała, gdy próbował wziąć ją w ramiona, całować wilgotne policzki, nie mogła, nie chciała mu na to pozwolić.

Odepchnęła go. Myślała o jego ramionach obejmujących młodą dziewczynę... jego usta, jego język — ile innych dziewczyn tam jeszcze było? Zrobiło się jej

niedobrze. Nie mogła znieść jego obecności. Nie zniosłaby jego rąk znów na swoim ciele, ust na swoich ustach... Te usta całowały inną dziewczynę. Odepchnęła go, wlokąc za sobą ciężką walizkę. Pobiegnęła do drzwi wejściowych, wsiadła do srebrnego mercedesa i oślepią łzami i deszczem padającym z nieba Malibu, pojechała w mokrą kalifornijską noc. Usiłując zapomnieć o nim, natychmiast zgodziła się na sześciomiesięczne tournée po angielskiej prowincji. Niełatwo było zapomnieć o mężczyźnie, którego kochała tak namiętnie. Ból jednak zaczął znikać. Josh dzwonił do niej nieustannie. Przyznawał się do winy. Błagał, by mu wybaczyła. Płakał, przymilał się, przysyłał prezenty i zasypywał różami, liścikami wyznającymi miłość i uwielbienie. Dopóki nie zmięknęła i wreszcie przebaczyła. Czy on zrobiłby dla niej to samo?

To był pierwszy raz, gdy go przyłapała.

Ostatni — rok temu. Gdy odkryła tę drugą zdradę, czuła się tak zraniona i rozbita, że zaczęła pić na umór. Wódka uśmierzała ból. Gdy oprzytomniała po tygodniu rozpusty, postanowiła, że pojedzie na farmę odnowy biologicznej w Szkocji, by odzyskać siły.

Teraz, po sześciu miesiącach nieobecności, widziała, że się nie zmienił, że jest jej obcy, wreszcie musiała przyznać sama przed sobą, że małżeństwo skończyło się. Przyglądała się w kąpieli pękającym bąbelkom. Jakie to smutne — myślała — jakie strasznie smutne. Łączyło ich tyle wspaniałych wspomnień, tyle miłości. Tyle zrobiła, by śmiali się radośnie.

Wszystko przeminęło. Musi skupić się teraz na innych sprawach. Musi myśleć o karierze, myśleć pozytywnie — tak powiedział Jasper. Musi dostać tę rolę. Miranda — Miranda Hamilton. Potrzebowała jej bardziej niż kiedykolwiek.

Część druga

5

Sissy Sharp opadła w gniazdko różowych satynowych poduszek z koronkami, niecierpliwie odepchnęła znajdującą się między jej nogami blond głowę młodego Adonisa.

— Kto? — Sissy wydzierała się do słuchawki, tańczyły jej maleńkie piersi. — Luis, jak mu tam? Cholera, nie on miał zagrać mojego męża. Obiecałeś mi, że to będzie Pacino, Nicholson albo ten angielski aktor — jak się nazywa do cholery, Finney czy jakoś tak — a teraz mówisz, że mam grać z jakimś pieprzonym nie znanym nikomu brudnym Meksykaninem?

Wrzeszczała z taką siłą, że jasnowłosy Adonis o imieniu Nick podniósł się ponuro z łóżka, okręcił się w ręcznik, usiadł niedbale w różowym fotelu w stylu art deco, dla ochrony pokrytym plastykiem i przyglądał się jej ze źle skrywaną wściekłością.

Od ponad godziny starał się zaspokoić tę dziwkę, co najmniej dwa razy już była blisko orgazmu; za każdym razem dzwonił telefon, a ona odbierała go. Odbierała! W czasie gdy jego język grał koncert na jej lechtaczce. Tym razem jej pieprzony agent mówił o jakimś aktorze mającym zagrać obok niej. Dlaczego nie on?

Nick nie pieprzył Sissy z miłości — nie było tu odrobiny pożądania. Jej wychudłe ciało, nie rozwinięte z przodu, i skłonność do pigułek nie inspirowały penisa do wspaniałych wyczynów. Telewizyjny ulubieniec nastolatków tak bardzo chciał dostać się do filmu nim osiągnie podeszły wiek trzydziestu lat. Pieprzenie Sissy Sharp, starszej się gwiazdy, która mieszkała tuż obok, mogło pozwolić mu wejść do świata filmu długometrażowego. Taką miał nadzieję.

To był pomysł Sama. Sam Sharp był mężem Sissy od siedemnastu lat, kiedy to zdołali przekonać amerykańską publiczność, że są jednym z najszcześliwszych małżeństw w Hollywood. To, że Sam wolał własną pleć, było dobrze znane w kręgach Hollywoodu, jak i seksualny apetyt Sissy na mężczyzn dwadzieścia lat od niej młodszych. Zgodnie z tradycją hollywoodzką nie rzucano cienia na wykreowany obraz najlepszych obywateli, żadna publikacja nie napomykała o niczym niestosownym, jeśli chodzi o małżeństwo Sharpów. Wiedli wesołe życie, w oczach publiczności byli zgodnym małżeństwem, a jednocześnie ciągle zabiegali o względy młodych ogierów, których w Hollywood było wielu.

Sam i Nick grali w tym samym studiu, w którym Sam od trzydziestu lat grywał w filmach. Regularnie dostawał siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów za film, mógł tu wybierać wśród ubiegających się o role młodych aktorów.

Nick piął się wysoko, choć był to dopiero jego drugi sezon w telewizji. Gwiazda dochodowych filmów, w których grał tajniaka, uwielbiany przez nastolatków blondyn o nieskazitelnej twarzy i ciele. Był na okładkach wszystkich magazynów telewizyjnych i skandalizujących pism sprzedawanych w supermarketach, gdzie jego życie miłosne — pasmo wspaniałych gwiazdek i modelek — przedstawiano chronologicznie. Jego myśli zaprzętała poważna kariera. Niełatwo jest odbyć drogę od wyrobnika telewizji do gwiazdy wielkiego ekranu, tym bardziej że umiejętności aktorskie nie były jego największym atutem.

Wiedział, iż Sissy zawsze starannie dobiera sobie mężczyznę, z którym ma grać, że zwraca uwagę na odtwórczynię ról, które mogłyby przyćmiewać jej blask. Za dwa tygodnie zaczynała nowy film. Plotkowano, że odmówili wszyscy znaczący aktorzy. Żaden szanujący się popularny aktor nie chciał

grać u boku gasnącej gwiazdy takiej jak Sissy. Dla Nicka to mogła być wielka szansa.

Pozwolił, by Sam zagadywał go w czasie lunchu w kantynie. Dał się zaprosić do jego olbrzymiej garderoby, gdzie po południu razem wypili butelkę Dom Perignon. Pozwolił, by Sam rozsunął suwak jego jeansów i jak ekspert ssął mu penisa. Nie pozwolił całować ust. Nie dotknął żadnej części ciała Sama. Zamknął oczy i wyobrażał sobie, że robi to śliczna dziewczyna. Nie interesowali go mężczyźni. Był jednak ambitny i chciał uzyskać zaproszenie na kolację do posiadłości Sharpów w Bel Air. Dostał je — prawie trzy miesiące później.

Wreszcie poznał Sissy. Jak na czterdzieści cztery lata wyglądała całkiem nieźle: szczupła i obwieszona klejnotami; zmarszczki niezadowolenia i zazdrości krył mocny makijaż, zawodny tylko wówczas, gdy stało się blisko niej. Bardzo blisko. On chciał być bardzo blisko.

W czasie obiadu posadzono go po lewej stronie Sissy. Przy stole tłoczyły się poprzebierane dinozaury, którymi gromadnie otaczali się Sharpowie. Średnia wieku pięćdziesiąt pięć — pomyślał Nick. Żadnej atrakcyjnej kobiety w zasięgu wzroku. Chyba że policzy się lady Sarah Cranleigh. Ta za dnia wyglądała na pięćdziesiątkę — tak była ukryta pod marszczonym koronkowym kołnierzem, naszyjnikiem z pereł, bransoletkami i kryzami, że wszystko, co można było dostrzec, to podwójny podbródek i śmiejące się oczy. Znana w Anglii ze skłonności do młodych mężczyzn, lady Sarah cudownie spędzała czas w Los Angeles. Codzienne wyprawy na plażę w Santa Monica owocowały kontyngentem wspaniałych młodych ogierów, jakich trudno znaleźć w Wielkiej Brytanii. Ostatni podbój, zaledwie dziewiętnastolatek, siedział obok niej skonfundowany; dumiał, którego z trzech złonych widelców użyć do karczocha.

Nick uważał, że lady Sarah jest bardzo zabawna, ale zupełnie bez fantazji.

Prawdziwa rabelaisowska postać: pochłaniała jedzenie ze smakiem, jednocześnie obmacywała chłopaka poderwanego na plaży i pocierała o Nicka kształtnym, obleczonym w satynę kolanem. W przeciwieństwie do niej Sissy, zawsze świadoma swego wieku i wyglądu, grymasiła przy jedzeniu, drobnymi ptasimi rękoma sięgała często po wenecki kieliszek z szampanem dyskretnie dolewany przez majordomusa.

Nick skupił swój niezwykły magnetyzm i urok na Sissy; wiedział, że mając dwadzieścia dziewięć lat jest pewnie ciut za stary jak na jej gust. Zauważył, że szuka oczu chłopaka z plaży — on pewnie bardziej był w jej typie.

Abby Arafat, jeden z najbardziej płodnych hollywoodzkich producentów, omawiał swój ostatni pomysł, mini-serial, który będzie miał również wersję serialową.

— Przy nim „Przeminęło z wiatrem” to będzie pestka — perorował. — Dwadzieścia milionów budżetu, zdjęcia kręcone w Londynie, Paryżu, na Karaibach i w Newport Beach. Z Deanem jako reżyserem i odpowiednimi

aktorami do roli Mirandy, Sirope, Armando i Steve'a rzucimy wszystkich na kolana. Zobaczycie.

— Co to za cudo? — spytała lady Sarah, która właśnie kawałkiem bułki francuskiej delikatnie wycierała resztkę masła do karczochów i pokazywała majordomusowi, by nalał jej jeszcze szampana.

— Cholera, to największy przebój sezonu od czasu „Taipan” — przechwalał się Abby. — Musiałaś słyszeć o „Sadze” — przez sześć miesięcy była na listach bestsellerów „New York Timesa”. Dwa miliony zapłaciliśmy za prawa do sfilmowania, ale co tam! Wszyscy chcą grać Mirandę: Dunaway, Streep, Streisand. Co za rola! Cholera, to najlepsza rola kobieca od czasu Scarlett O'Hara. Miranda Beaumont, Duvall Hamilton. Boże, co za rola! — materiał do nagrody Emmy.

Karczochy przestały być punktem zainteresowania, Abby znalazł słuchaczy.

— Do roli Steve'a potrzebny będzie naprawdę wielki gwiazdor — popatrzył znacząco na Sama.

Sissy nadstawiła uszu: jak sfora czuje lisa, tak ona czuła możliwość roli dla siebie.

— Kochany Abby, nie wiedziałam, że kupiliście prawa do tej książki — zaświergotała do niego słodko przez stół. Przeklinała po cichu, że nie posadziła go po swojej lewej stronie, zamiast tego blondyna z telewizji, który wyraźnie był zainteresowany tylko jednym — jej ciałem. Sissy dobrze wiedziała, że większość mężczyzn, których poznawała, pragnie tylko jej ciała. Miała lojalną sforę pochlebców i potakiwaczy, zapewniających ją bezustannie jak jest wspaniała i powabna; poza oczami z radością rozdierali ją na strzępy.

— Po prostu uwielbiałam tę książkę, nie mogłam jej odłożyć, prawda, Sam? — uśmiechnęła się do męża, który skwapliwie przytakiwał. Sharpowie zawsze mieli to samo zdanie. Bardzo dbali o swoje kariery. Pod tym względem popierali się wzajemnie, nie przywiązując wagi do swych seksualnych skłonności.

Sam rzucił okiem na Sissy; ułamek sekundy wystarczył, by wiedział, jak bardzo zależy jej na tej roli. — Kto więc zagra rolę Mirandy? — spytał niby od niechcienia.

— Kto? Kto? Ach, oto jest pytanie! — Abby usiadł zadowolony z siebie, zapalił cygaro, mimo że pierwsze danie jeszcze było na stole. Wiedział też, co mu zupełnie nie przeszkadzało, że Sissy nie znosi dymu cygar. Pochylił się przez stół do lady Sarah, którą bardziej interesowało badanie uda Nicka niż wysłuchiwanie nudnych hollywoodzkich plotek. Co za pospolitość! Nie tak wyglądają rozmowy w Londynie. W Anglii nikt nie śmiałyby dyskutować o interesach w czasie obiadu. Amerykanie są tacy pospolici, szczególnie Kalifornijczycy. Przyglądała się młodemu blondynowi — sprawiał wrażenie zakłopotanego perspektywą pokrojenia małego, ale zgrabnego gołąbka, którego właśnie przed nim postawiono. Nie mogła doczekać się końca obiadu, by zabrać go do bungalowu hotelu Beverly Hills. Tymczasem nie było nic do roboty oprócz udawania zainteresowania jedzeniem, nie było zresztą takie złe

— właściwie całkiem niezłe. Wzięła dużą porcję gołębia : nie zwracając uwagi na sos kapiący na poplamioną już nieco suknię kupioną u Emmanuela, pochyliła się ku Abby'emu.

— Kto? — powiedz wreszcie — kto zagra główną rolę żeńską? — sepleniała zaciekawiona. Abby zaciągnął się cygarem; świadom zainteresowania, jakie wzbudził, wykorzystywał je gdzie tylko się dało.

— Rano dzwonił agent Streisand. Ale to nie ma sensu — żebyśmy nie wiem jak filmowali, Barbra nie jest pięknoscią, nie jest też już młoda. A najważniejsze w roli Mirandy jest to, że ma być wspaniała! — dźgnął nożem gołębia, by zwiększyć efekt. — Miranda jest pięknoscią, porywającą pięknoscią — i tylko bardzo piękna aktorka może ją zagrać. Może Brook Shields.

— Daj sobie spokój, Abby. Jej matka to prawdziwy wrzód na tyłku — wtrącił Arthur Van Dyk, zastępca wiceprezesa MCPC — Makopolis Company Picture Corporation, jednego z wielkich studiów w Hollywood. Założone przez bystrego greckiego imigranta w 1911 roku, osiągnęło szczyt popularności w latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych, dzięki zdolnościom do interesów przewodniczącego, poważnego i skromnego Stanforda Feldheimera. On pod koniec lat pięćdziesiątych z wielkim sukcesem zamienił wytwórnię w studio telewizyjne. — Poza tym — kontynuował — ona jest za młoda. Brook nie będzie mogła zestarzeć się do czterdziestu czy czterdziestu pięciu lat. (Sam i Sissy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Choć ona niechętnie przyznawała się do prawdziwego wieku, we właściwej roli zagrałaby i sześćdziesięciolatkę albo — zabiła własną matkę).

— Co naprawdę zamierzamy zrobić, to wzbudzić wielkie podniecenie i kontrowersje wokół czterogodzinnego mini-serialu — potem poprosimy widzów, by głosowali kto ich zdaniem powinien zagrać Mirandę — Abby mówił gładko, jak człowiek, za którego błędy i tak zapłacą inni ludzie. — Wciągnie to widzów. Wspaniale, co? — patrzył na lady Sarah, szukając aprobaty. Jak wielu Kalifornijczyków, czuł zdrowy respekt przed brytyjską arystokracją. Czyż nie są spowinowaceni z królową?

— Założmy, że widzowie będą chcieli Barbry Streisand lub Brook, jak jej tam, albo równie nieodpowiedniej osoby — co wtedy? — pytała lady Sarah, znudzona tym do łez, ale zaprawiona w tego rodzaju subtelnej sztuce konwersacji przy stole. Jedną ręką trzymała nogę gołębia, druga spoczywała na kroczu chłopca z plaży.

— Zrobimy zdjęcia nieznanym gwiazdom. Dziesiątkom z nich! — triumfował Abby, dźgając gołębia.

— I — mrugał okiem — znanym gwiazdom też zrobimy test. Zajmiemy się reklamą. Wyobrażacie sobie? Zrobimy zdjęcia Bisset, Streep, Lamaze! Chryste, reklama będzie jak dynamit.

Sissy czuła, że krew zamarza jej w żyłach. Lamaze! Myślą o zdjęciach dla tej meksykańskiej bezwstydnicy! Chyba poszaleli.

Od piętnastu lat Rozalinde i Sissy, ciągle ze sobą walczące, były ulubienicami Hollywood. Sama myślała, że Rozalinde Lamaze jest brana pod uwagę do będącej nie lada gratką roli, tak rozwścieczyła Sissy, że zakrzuszyła się szampanem. By opanować wściekłość, zwróciła uwagę na wędrujące po jej udzie palce Nicka, myślami była jednak gdzie indziej.

Pragnęła tej roli. Wiedziała, że ożywiłaby jej gasnącą karierę. Wszystkie wyszukane ciuchy, biżuteria, pochlebstwa, bogata posiadłość w Bel Air i zawsze obecni wielbiciele — wszystko to nie zmieniało faktu, że nie była już ani młoda, ani popularna. Już nie myślano o niej przy kręceniu popularnych filmów; tam grały dziewiętnastolatki albo znany triumwirat — Fonda, Streisand i Lange. Odstawiła jeszcze jeden kieliszek szampana i posłała Nickowi coś, co kiedyś było ślicznym uśmiechem, a teraz szczyrzeniem zębów. Olśniewający mini-serial, który automatycznie przekształcił się w bardzo popularny serial. Zbyt wspaniałe, by mogło być prawdziwe. Potrzebowała roli. Zrobi, co tylko w jej mocy, by ją zdobyć. Bóg jeden wie, jak trudno teraz dostać rolę w filmie dużego kalibru. Mocnymi pozycjami były filmy z Jamesem Bondem, „Superman” czy „E.T.”

— one zdobywały ekrany. Albo horrory i komedie dla nastolatków, kręcone przy niskim budżecie, z myślą o tłumie uczniów ze szkół średnich i college'ow, gdzie grały nikomu nie znane gwiazdy, tak przypominające prawdziwe jak pies Lassie. Skończyły się czasy romantycznych historii miłosnych kręconych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, ona też musi iść z duchem czasu.

To samo dotyczyło Sama. Skończyły się czasy epickich filmów przygodowych, w których grywał. Teraz wyświetlała je tylko telewizja. Ostatnie trzy filmy Sama były zupełnym fiaskiem. Dzisiejsi młodzi kinomani nie byli zainteresowani oglądaniem przebrzmiałego pięćdziesięcioletniego gwiazdora. Akceptowali Newmana, Redforda i Nicholsona — oni byli kimś. To co innego. Wyniesieni na szczyty wielcy gwiazdorzy. Sam należał do starej szkoły — szkoły aktorskiej Gary Grania, Roberta Montgomery, Williama Powella. Cięty dowcip, gra słów, subtelność, urok, romans i przygoda — dzisiejsze dzieciaki nie chcą tego. A tylko one chodzą do kina. Stara wiara siedzi w domu i ogląda telewizję. Starzy, czyli wszyscy powyżej dwudziestu ośmiu lat. Wychodzenie wieczorem dużo kosztuje. Jeśli mają dzieci, trzeba zapłacić paniące ich pilnującej, potem zapłacić za kolację, nawet jeśli to są tylko hamburgery, za parking i bilety, razem co najmniej pięćdziesiątka za dwoje. Siedzą więc w domu, oglądają filmy w telewizji: „Starsky i Hutch”, „Aniołki Charliego” czy „Dallas”. Mają swe ulubione gwiazdy z lat minionych — takie jak Sam Sharp — w powtórkach telewizyjnych, na własnym ekranie, we własnym mieszkaniu.

Sam był zdumiony, jak dobre notowania mają jego filmy. Nadawano je regularnie w najlepszym czasie antenowym. [* tj. od 19 do 22. Prime Time TV — przyp. tłum.]

W tym czasie rywalizujące kanały nadawały atrakcyjne programy, a notowania prowadzone przez Nielsena niezmiennie wskazywały na

popularność Sama wśród odbiorców. Na tego rodzaju liście telewizyjnej ciągle był jednym z pierwszych.

Abby w tajemnicy złożył Samowi trudną do odrzucenia ofertę zagrania w „Sadze”. Pięćdziesiąt kawałków za odcinek, co najmniej trzynaście odcinków w tym roku, a jeśli film zdobędzie popularność, sieć TV gwarantowała dwadzieścia trzy odcinki w następnym sezonie. Czyli okrągły milionik w ciągu roku. Sam zastanawiał się nad propozycją, ale nic jeszcze nie powiedział Sissy.

Zagrałby patriarchę rodziny, która posiada wielkie przedsiębiorstwo projektujące i szyjące odzież, a mieszka w Newport Beach. Przez wiele tygodni kręciliby zdjęcia w Newport, co najmniej dwa czy trzy razy w sezonie— perspektywa bardzo dla Sama zachęcająca, uwielbiał ocean i był właścicielem dwudziestodzieciometrowego jachtu. Postać, którą miałby grać, Steve Hamilton, ma oddaną żonę, dwie zwaśnione ex-żony i sześcioro dzieci — chłopca i dziewczynkę z każdą z byłych żon oraz chłopca i dziewczynkę z obecną.

Pracowałby Sam od dwu do czterech dni w tygodniu. Nie więcej niż dziewięć godzin zdjęć dziennie. Miałby wszystkiego pod dostatkiem. Aprobowałby obsadę reżysera, scenariusz, dublera. Miałby w studiu służącego i kucharza zapłaconych przez wytwórnę oraz szafę ubrań uszytych przez Douga Haywarda z Londynu, który przylatywałby na zlecenie wytwórni dwa razy w roku, by zrobić przymiarki. Oczywiście zatrzymałby ubrania dla siebie. Dostałby też cadillaca z przyciemnionymi szybami i szoferem, który woziłby go do i ze studia, własnego charakteryzatora i fryzjera, który mocowałby jego kasztanowe peruczki w zacisznej prywatności nafaszerowanego elektroniką domu.

Tak, prawdziwy boski róg obfitości. Z pewnością lepszy niż to, co większość aktorów dostała dziś od telewizji. Poważnie się nad tym zastanawiał. Bardzo poważnie. Jaka szkoda, że ojciec nie żyje i nie może zobaczyć jak daleko zaszedł. Oczywiście nie tak jak John Wyne, ale i tak daleko.

Sam leżał w ciszy na pokrytej zamszem kanapie. Usiłował oglądać film wideo z Johnem Wyne.

John Wyne. „Prawdziwy mężczyzna” — tak mówił o nim ojciec. W sobotnie popołudnie zabierał Sama do kina w Tulsie, gdzie się urodził i wychował. — To jest mężczyzna, synu. Przyjrzyj się jak chodzi i mówi. Nikt go nie wykiwa, chłopcze. Taki powinien być prawdziwy mężczyzna. Jest bossem — szefem, zwycięża w taki sposób, że wszyscy pamiętają.

Mały Sam kiwał potakująco głową, pełen szacunku przyglądał się wielkiemu biało-czarnemu cowboyowi na ekranie. John Wyne był olbrzymem, ekran jeszcze go powiększał. Szczerze mówiąc, nie był podobny do ojca Sama, Hanka — mężczyzny gwałtownego, o poszarzałej twarzy, podobnego do cowboya, który każdej sobotniej nocy upijał się w barze z chłopakami. Walczył potem z

jednym z nich, wracał do maleńkiego domu o dwu sypialniach, budził Lizzie, skamieniałą z przerażenia matkę Sama. Bez ceregieli, bez wstępnej gry miłosnej, bez pocałunków i pieszczot, uprawiał z nią miłość z takim chrząkaniem, mlaskaniem, grzmotami i jęczeniem, że Sam słyszał wszystko. Słyszał jak jego młoda matka krzyczy: — Och nie, Hank, nie, nie dziś! Mam miesięczkę... Słyszał chrapliwy z przepicia głos ojca: — Zamknij się i podciągnij koszulę, kobieto. Nie chcę na ciebie patrzeć, zrób mi tylko miejsce! Słyszał stłumiony płacz matki, a potem przeklinającego ojca: — Popatrz na to, popatrz co mi zrobiłaś, kobieto. Popatrz na krew. Jesteś plugawą kobietą, a Bóg ukarze cię za taki brud między nogami.

Sam słyszał plaśnięcie, słyszał płacz matki i chrapanie ojca rozlegające się po całym domu. Szedł posiedzieć z nią w kuchni, gdzie łkając cichutko usiłowała przykładać lód do spuchniętych oczu.

— Nie płacz, mamo, proszę cię, nie płacz! — błagał mały chłopiec mocno obejmując matkę.

— Nie płaczę, skarbie — usiłowała powstrzymać łzy, trzymała i kołysała Sama na swych ciepłych piersiach. To były jedyne momenty czułości w życiu młodego Sama.

Gdy druga ciąża Lizzie była już bardzo zaawansowana, na dwa czy trzy tygodnie przed porodem, Hank wrócił do domu jeszcze bardziej pijany niż zazwyczaj.

Pomimo ostrzeżeń lekarza, usiłował kochać się z Lizzie, której po walce z nim udało się uciec i schować w domu sąsiadów. Sam leżał w łóżeczku, przerażony. Ulgę sprawiało mu to, że dziś nie będzie musiał jak zazwyczaj słuchać sapania i jęków. Nagle drzwi otworzyły się, stanął w nich ojciec. Jego sylwetka była dobrze widoczna w żółtym, przytłumionym świetle.

— Obudź się, synu — warknął olbrzymi mężczyzna.

— Obudź się, chcę ci coś pokazać. Sam, przerażony, udawał, że śpi.

— Powiedziałem, obudź się! — wrzeszczał ojciec.

— Obudź się, ty szczyłu!

Jednym ruchem masywnej dłoni ściągnął z Sama pościel. Przez na wpół przymknięte oczy Sam zobaczył, co ojciec trzyma w drugiej dłoni. Zmysły dziesięciolatka ostrzegały, że nadchodzi niebezpieczeństwo, ale nadal udawał, że śpi. Wszystko, byle nie patrzeć na tę wielką czerwoną rzecz, którą ścisnął ojciec.

— Obudź się, synu! — oddech Hanka z zapachem whisky był coraz bliżej twarzy syna. — Chcę ci pokazać, jak wygląda prawdziwy mężczyzna.

— Śpiący jesteś? Nie, nie będziesz już dłużej spał, chłopcze. Zamierzam dać ci lekcję życia.

Wielka dłoń zaatakowała. Sam podskoczył, skulił się ze strachu, przykucnął na łóżku. Nie mógł zrozumieć tego, co robił ojciec. Jego masywna rzecz, wielka jak wąż od hydrantu, czerwona i nabrzmiała, sterczała w dłoni. Ciągnął ją i ciągnął coraz mocniej.

— Widzisz, chłopcze, to jest kutas. Popatrz na niego. To jest to, co Johny Wyne i my wszyscy, prawdziwi mężczyźni, mamy między nogami. Zobaczymy, co ty tu masz, synu. Drugą ręką chwycił za flanelową piżamę Sama. — No, popatrz na to, mówię ci! — mało nie przewrócił się ze śmiechu. — To nie jest kutas, to coś przypomina mały napaśstek, którego twoja matka używa przy szyciu. To jest kutas, chłopcze, a kiedy mężczyzna nie może wsadzić go w kobietę, to tak to robi. — Sam obserwował, jak ojciec kurczowo, coraz szybciej i mocniej zaciska dłoń; chłopcu zdawało się, że wybuchnie. Gdy o tym pomyślał, tak właśnie się stało. Przerazony i zdziwiony patrzył, jak ojciec wydaje dźwięk podobny do wycia wilka i gwałtownie opada na ścianę. Kilka lat później chłopak o imieniu Bobby wziął go po lekcjach do łazienki dla chłopców, z dumą wyjął wielkiego jak na trzynastolatka penisa i zaproponował, że jeśli Sam dotknie go, on zrobi to samo dla Sama. Pierwszy raz w krótkim życiu Sam doznał satysfakcji seksualnej, gdy obaj chłopcy doszli razem. To doświadczenie było dla niego tak podniecające, że on i Bobby przez następne dwa lata spotykali się tu dwa razy w tygodniu. Nawet gdy Sam dorósł, w wieku dwudziestu lat jego penis nigdy nie zbliżył się wymiarami do tego, co widział u ojca. Myślał o sobie, że nie jest „prawdziwym mężczyzną” jak John Wyne i ojciec, bo niechętnie przyznawał, iż lubi robić „to” z mężczyznami. Cóż, może według standardów ojca nie mógł być „prawdziwym mężczyzną”, jednak wkrótce będzie miał szansę zostania „prawdziwym gwiazdorem”. Sam był świetnym aktorem, jednym z niewielu, na których wytwórnia mogła zawsze polegać. Niezbyt fascynująca osobowość, czasem nawet nieco nudnawy. Zagrał role kilku najznamienitszych obywateli, poczynając od George'a Washingtona, przez Abrahama Lincolna, generała Eisenhowera, aż po Franklina D. Roosevelta. Sami amerykańscy bohaterowie. Na dodatek rzetelni gentlemen. Niektórzy widzowie utożsamiali Sama z prezydentami, których często grywał. Przeplatał takie role innymi, lżejszymi, za które dostał nominacje do nagród Akademii, choć nigdy nie zdobył samej nagrody. Na ścianach biblioteki wisiały dyplomy potwierdzające jego nominacje do Oscara. W ramach wisiały tu też zdjęcia Sissy z Nancy i Ronnie, z Geraldem i Betty, z Rosalyn i Jimmy, a także z Jackiem i Jackie. Agent powiedział, że rola Steve'a Hamiltona będzie materiałem do zdobycia Emmy. To nie Oscar, ale tym razem to byłaby nie tylko nominacja. Tym razem byłaby to prawdziwa, rzetelnie zasłużona, poślacana statuetka, prawie tak samo dobra jak ta, której tak gorąco pożądał siedząc w audytorium w Santa Monica. Słyszał wtedy swe nazwisko ogłaszane dźwięcznie i z monotonną regularnością — tracił właśnie nagrodę na rzecz Jacka Nicholsona, Ala Pacino, Bena Kingsleya i Dustina Hoffmana. Odczuwał pewną gorycz, że nigdy nie dostał Oscara, szczególnie od czasu gdy dostała go Sissy. Jej statuetka była dumnie eksponowana, stała na czerwono-złotym stoliku w wyłożonym marmurem hallu wejściowym. Mówiła, że trzyma go tutaj, bo złoto figurki tak bardzo pasuje do inkrustowanego złotem

stolika. On wiedział lepiej. Trzymała ją tu, by ktokolwiek, kto ich odwiedzał, nie mógł jej nie zauważyć. Oczywiście skradziono ją kilka razy, stała przecież w miejscu tak dostępnym. Sissy za każdym razem dzwoniła do Akademii i przysyłano jej następną. Jedną ze statuetek znaleziono, ale Sissy zatrzymała ją zamiast odesłać do Akademii. Stała w mniej widocznym miejscu, na półce naprzeciwko bidetu w łazience. Teraz wyglądało jakby miała nie jeden, ale dwa Oscary. Dziwka. Wzdrygnął się. Nieczęsto przez te siedemnaście lat myślał w ten sposób o żonie, choć z pewnością wiele osób sądziło, że jest dziwką.

Był wobec niej lojalny, ich małżeństwo było doskonałe, choć potrafiła być niemożliwą oszustką. Tego ranka usiłowała wciągnąć go w kreowanie mody, zajmowała się tym dla syndykatu magazynów mody europejskiej. Przeciągnął dłońmi po włosach — niech to licho, nienawidził sam przyklejać swój tupet. Gdy powiedział, że musi zadzwonić o pierwszej, nadała się zeźlona, jakby byli kochającym się małżeństwem, takim jak ich przedstawiano widzowi. Wiedział, co może dać rola Mirandy. Gdyby on przyjął propozycję Abby'ego i zagrał główną rolę, musiałby wypełnić małżeńskie powinności i postarać się o zdjęcia próbne dla niej — mruknął sam do siebie. Dla nich wszystkich mogła być przebrzmiałą wielką diva, dla niego nadal jest żoną. Jako lojalny mąż spróbuje użyć swych wpływów. W przeciwnym razie zatrulaby mu życie. Sissy naprawdę to potrafiła.

Przyjęcie u Sissy i Sama skończyło się wcześniej, tak zazwyczaj kończyły się w Hollywood najlepsze (i najgorsze) przyjęcia.

Wbrew popularnej opinii, że Hollywood to miejsce zabawy, uciech, rzucania uroku, pełne niezwykle ekstrawaganckich wspaniałych ludzi, elegancko ubranych, zagłębionych w iskrzącej się dowcipem konwersacji, prawda była całkiem inna. Hollywood lat osiemdziesiątych było nudne. Już nie istniały fascynujące dziewczyny i chłopcy lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych. Teraz było to miasto interesów, rządili nim ludzie wielkich wytwórni.

Pismaki i reporterzy, choć świadomi braku prawdziwych sław, czatowali przed domem Sissy i Sama. Czekali, by zrobić zdjęcie wychodzącym gwiazdom i znamienitościom. Gdy gwiazda taka jak Emeraldal Barrymore brała udział w przyjęciu, namiętności rosły; wiedzieli, że dziś zarobią pieniądze.

Calvin Foster czekał spokojnie. Serce waliło, ale nie okazywał tego. Zobaczy ją dzisiaj. Jego idol, jego królowa: Emeraldal.

Wąty młody mężczyzna z brudnymi blond włosami, o twarzy trudnej do zapamiętania. Spotykający go ludzie nie byli w stanie go rozpoznać — nawet dziennikarze, z którymi spędzał całe godziny, bo nosił nikona udając jednego z nich. Tylko oczy — zimne, jasnoszare i skryte — przykuwały uwagę.

Wiedział o tym, dlatego zazwyczaj nosił okulary przeciwsłoneczne.

Zlizał kroplę potu znad górnej wargi. Fotograf z „American Informer” narzekał, że wszystkie kobiety zakładają na przyjęcia futra lub inne okrycia. Nie ma w nich nawet porządnego pęknięcia, by można im było zrobić zdjęcie.

— Kiedy wyjdzie Emeralda, będzie miała wspaniałą suknię, zobaczysz! — mówił ochotczo Calvin. Sama myśl podniecała i elektryzowała go.

— A gównu, jej tu nie ma, jest w Ameryce Południowej czy gdzieś tam — odpowiedział facet z „Informerów”.

— Nie ma jej tu? — przeknął ślinę Calvin. Zazwyczaj jego informacje były ścisłe.

— Nie — powiedział ten z „Informerów”. — Jej zdjęcia wypadły z planu. Wróci dopiero w przyszłym tygodniu.

Calvin czuł, jak ogarnia go smutek, nie widział Emeraldy już od dwóch miesięcy. To prawda, ostatnio była w Ameryce Południowej, kręciła jakiś marny film przygodowy z jakimś nieznanym aktorem hiszpańskim.

Rozczarowanie uderzyło z taką mocą, że Calvin nie potrafił go ukryć.

Sfrustrowany zaciśniętą pięścią pogroził niebu. Inni dziennikarze popatrzyli na niego z zaciekawieniem. Poszedł do samochodu, torba fotograficzna uderzała o jego brzuch.

Nie ma Emeraldy! Cholera. Cholera. Cholera...

Pozbawiono go widoku jej piękności, zmysłowego czaru. Żadna inna nie jest tak wspaniała jak Emeralda. Ona ze szmaragdowymi oczami i sukniami koloru zielonego morza, ze złocistymi lokami i drżącą górną wargą. Miała gorące przygody miłosne między innymi z Jamesem Deanem, Johnem Garfieldem i Gary Cooperem. Była bliską przyjaciółką Monroe, Garland i Clift — przetrwała w Hollywood dłużej niż oni wszyscy. Przestała brać Valium i pić wódkę, brać aspirynę, ominęła wszystkie zasadzki, oszukała śmierć. Często patrzyła im wszystkim w twarz i mówiła — odpieprzcie się. Przeżyła dwa wypadki samochodowe; jeden z nich skończył się tragicznie dla męża, drugi dla narzeczonego. Sześć małżeństw, dwie aborcje, dziewięć poronień, 57 miernych filmów, trzy nominacje do nagród Akademii, więcej niż setka kochanków (nie wszyscy z nich byli mężczyznami, nie wszyscy byli biali), nieustanne kampanie oczerniające jej imię, poczynając od tej za czasów McCarthy'ego, gdy była nastolatką i wcale nie interesował jej komunizm. Gwiazda, gwiazda, och, jak bardzo ją kochał, pragnął, pożył! Calvin poczuł znane mu uczucie gorąca w lędźwiach, gdy wskoczył za kierownicę zielonego chevroleta — zielonego na cześć Emeraldy. Wszędzie w pokoju miał jej twarz, setki zdjęć. Musi szybko pojechać do domu, do niej.

6

Na świecie są dwa rodzaje ludzi — stwierdziła Rozalinde Lamaze, zerkając do powiększającego lusterka — ci, którzy pieprzą i ci, którzy dają się pieprzyć.

Ostatniej nocy— pomyślała ponuro — ona należała do przodowników tej drugiej kategorii.

Luis Mendoza nawet nie udawał, że jest w niej zakochany, była tylko gniazdkiem dla jego niezłe uformowanego kutasa. Więc w czym problem? Czy traci swój urok? Przyglądała się swojej twarzy. Przysunęła lusterko bliżej— była krótkowidzem.

Z wielkim oddaniem zaczęła klepywać krem nawilżający w straszące linie pod brązowoczokoladowymi oczami.

Była pulchną, niską, ładną kobietą, trzydziestolatką, która dzięki stosowaniu niezliczonych kosmetyków, egzotycznych szmatek i wielu zmyślnie stosowanych namiastek czy peruk, regularnie przekształcała się w wyśnioną kobietę wszystkich kierowców ciężarówek i robotników budowlanych od Hoboken po Hollywood.

Miliony mężczyzn marzyło o Rozalinde Lamaze. Sięgali po swoje żony, by spełnić małżeńskie obowiązki, a myśleli o oplatających ich brunatnych nogach Rozalinde — pobudzała ich umysły i penisy. Miliony uczniów budziło się z erotycznego snu o kremowej skórze Rozalinde, wyprężonych piersiach i błyszczących ustach — lepka mała plamę na pizamach szybko zmywali pod kranem zanim dostrzegłaby ją mama.

Piętnaście lat rósł pikantny obraz zmysłowej latynoamerykańskiej bogini. Przyniósł jej dużo pieniędzy i wielu mężczyzn.

Czy popularność już przemija? Wzdrygnęła się myśląc o ostatniej nocy.

Obserwowała w lusterku powiększającym swoją twarz, będącą dokładnym studium beżów i brązów. Podrażniona skóra przybrała kolor ciemnego bursztynu — w ostatnich latach trzymała się z dala od słońca. Obserwowała, jak okropnie wyglądają kobiety na plażach i basenach południowej Kalifornii — jak statki wyrzucone na złom.

Włosy miała ciemnobrązowe, prawie wpadające w czerń, oczy jak czekoladowe migdałki, a jej sutki... zsunęła z ramion jedwabny szlafroczek, patrząc na nieskazitelność kształtnych, delikatnie opalonych piersi z dużymi brązowymi sulkami. Patrzyła, przypominając sobie jak ostatniej nocy całował je Luis, lizał pożądliwie zanim w nią wszedł, potem tylko jedno czy dwa szybkie pchnięcia i koniec. Zsunął się z niej, sięgnął po papierosa, odwrócił plecami i zasnął. Wykorzystał jak putanę — dziwkę. Jej matka była putaną. Niektórzy ludzie myśleli tak o niej.

Dłoń bezwiednie pieściła lewą pierś, nadal śliską od kremu doktora Guinot.

Widziała, jak brązowy sutek sztywnieje, aż wyglądał jak pączek mający zamiar wybuchnąć. Pomimo złości i frustracji ostatniej nocy, Rozalinde poczuła, że jej oddech jest coraz bardziej gwałtowny.

Patrząc jak pieści siebie samą w prywatności luksusowej marmurowej łazienki było znacznie przyjemniej niż raz-dwa-trzy-dziękuję-pani, co zaserwował jej Luis ostatniej nocy. Zła pobudzała się bardziej zmysłowo. Co pomyślałyby teraz te miliony mężczyzn, pożądających jej latami? Gdyby tak mogli ją zobaczyć...

Sięgnęła po biały gronostajowy płaszcz, położyła się na nim i popatrzyła na wyłożony lustrem sufit. Napawała oczy widokiem, który przyprowadziłby większość amerykańskich mężczyzn o wzwód. Bursztynowa skóra, pulchne, ale niezwykle mocne ramiona i nogi. Twarz i włosy nie były zbyt dobre, ale przy jej krótkowzroczności nie widziała i nie dbała o to. Dotykając dłońmi własnego ciała, używając kremu nawilżającego doktora Guinot po dwieście dolarów za uncję (prawdziwa ekstrawagancja), doprowadziła się do orgazmu. Pojękiwała przyglądając się sobie w lustrze, w czasie szczytowania. To bardzo ją podnieciło, zupełnie zapomniała o Luisie. Narcystyczna przyjemność ogarniająca jej ciało odegnała inne myśli. Nawet dźwięk telefonu nie przerwał rozkosznego szału: raz, dwa, cztery, pięć razy — boska agonía. Wreszcie, wyczerpana i znacznie bardziej usatysfakcjonowana niż przez wiele tygodni, przekreśliła się, rzuciła futro na krzesło i podniosła słuchawkę.

— Jak poszło? — to była Polly, jej agentka i najlepsza przyjaciółka.

— Zupełnie tragicznie! — Rozalinde prawie krzyczała nakładając cenny krem nawilżający na wrażliwą skórę pod oczy. — Temu łobuzowi ledwie stawał, a gdy to wreszcie zrobił, było po krzyku w dwie minuty. Cabron! Co za łajdak!

— Nie, nie, nie, idiotko! — powiedziała rozjątrzona Polly. Czy Rozalinde myśli kiedykolwiek o czymś innym niż seks? — Jak przebiegło spotkanie, głupolu? Zrobiłaś dobre wrażenie na Abbym i Gertrudzie?

— Ach, to — o tak! — Rozalinde opadła na krzesło wyściełane kremową satyną, podziwiając lewą pierś wymykającą się spod kimona. Sięgnęła po papierosa. Usiłowała skoncentrować się na karierze, która zawsze była na drugim planie poza głównymi zainteresowaniami.

— Rozmawiałaś o roli z Gertrudą czy z Abbym? — Polly staranie dobierała słowa, wiedząc, że zainteresowanie przyjaciółki i klientki bardziej skupia się na zmysłowych doznaniach z Luisem niż na niezmiernie ważnej roli.

— Och, tak, rozmawiałam, zrobiłam naprawdę dobre wrażenie. Gertruda uważa, że jestem cudowna! — promieniała. — Uwielbiała mnie w „Dziewczynie z Acapulco”.

Polly jęknęła. — Postać jaką tam grałaś jest tak podobna do Mirandy Hamilton, jak Juliet do Blanche du Bois.

— Nie, nie, zapomniałam. Widziała „Kochankę”, ten film, który nakreśliłam w Londynie.

— O, dobrze, dobrze, byłaś tam świetna, kochanie, świetna.

— Dziękuję — Rozalinde skrzywiła się. Właśnie znalazła jeszcze jedną linię pod czekoladowymi oczami. Czy nie przestaną się pojawiać?

— Mówiła coś o zdjęciach, kochanie?

— O czym? — spytała Rozalinde.

— O teście, o zdjęciach próbnym do „Sagi”.

— Coś tam mówiła — powiedziała wymijająco Rozalinde. Ostatniej nocy wypaliła z Luisem dwa świetne meksykańskie jointy i jej umysł nadal był odurzony. Mimo to siedzący w niej zawodowiec przywrócił jej zmysły. — Nie martw się, Polly. Nie martw się. Mam pomysł, querida. Naprawdę mam

zamiar dostać tę rolę i dostanę ją. Pragnę jej, a czego Rozalinde pragnie, to Rozalinde dostaje.

— Dobra dziewczynka! — Polly wiedziała, że gdy Rozalinde ma motywację, nic jej nie może powstrzymać. Potrafiła być uparta i silna jak wół, gdy jej umysł skupił się na czymś innym niż seks. Faktem jest, że gdy skupiała się na seksie, zazwyczaj była jeszcze silniejsza. — Więc co zamierzasz, kochanie?

— Cholera jasna, dlaczego nie załatwisz mi tego pieprzonego testu! — Sissy Sharp wydzieriała się przez telefon do agenta. — Dougie, jeśli nawet nie potrafisz załatwić mi tych zdjęć, to przysięgam, że pójmę do biura Morrisa. Zrobię to, Doug! Naprawdę to zrobię. Najpierw podsuwasz mi tego — tego parszywego Luisa Mendozę, by grał ze mną w jakimś zasranym filmie! — zaczęła kasłać. Majordomus, zawsze do usług, pośpiesznie napełnił plastikową szklaneczkę białym winem. — Potem słyszę, że wszyscy w mieście — słyszysz! — wszyscy oprócz mnie, będą testowani do roli Mirandy. Radzę ci, zrób coś szybko, Dougie. Muszę dostać tę rolę. W przeciwnym razie zwrócę się do chłopców Morrisa!

Trzasnęła słuchawką i popatrzyła na czarny basen z onyksu, gdzie Sam robił jak zwykle czterdzieści skłonów. Obserwowała jego napinające się mięśnie świetnie umięśnionych barków. Żeby to ona była w takiej kondycji. Może dlatego nie robią jej próbných zdjęć? Jest za stara?! Uważają, że jestem za stara. Pewnie jestem, pomyślała ze smutkiem, pozwoliła by łezka spłynęła po opalonej, gładkiej skórze. Czterdzieści cztery lata. Cholera! Choć spece od reklamy wmawiali wszystkim, że ma trzydzieści osiem, w mieście znano prawdę. W tym mieście wszyscy znali prawdę: ile masz lat, ile zarabiasz, czy jeszcze cię chcą, czy nie. Wszyscy wiedzieli. Jak bębny w dżungli. Żadnych sekretów.

Do cholery z tym miastem, powiedziała sama do siebie. Musi być sposób, by dostać zdjęcia próbne! Musi być! Nalała sobie jeszcze wina. Przyglądała się mięśniom Sama dopóki nie zadzwonił telefon. Sam powiedział, że zrobi co w jego mocy, by dostała te zdjęcia, ale on nie był dość stanowczy. Sama powinna spróbować, zadziałać sprytem. Podniosła słuchawkę, gdy telefon zadzwieczał jeszcze raz.

— Sissy, kochanie, słyszałaś ostatnie wieści? — mruzczała przyjaciółka i powiernica, Daphne Swanson.

— Jakie wieści? — spytała Sissy, choć dobrze wiedziała, że to musi mieć jakiś związek z rolą.

— Chcą zrobić zdjęcia Chloe Carriere, dasz wiarę, kochanie? Piosenkarka grająca Mirandę, Brytyjka na dodatek. Czy to nie śmieszne? — modulowana angielska dykcja dźwięczała w huraganie dziewczęcego śmiechu.

— Skąd wiesz? — warknęła Sissy. Wściekłość ogarniała ją z taką mocą, że porzucając wszelkie zakazy, wsadziła do ust garść orzechów cashew i rodzynek z mieszanki odżywczej Sama. Później za to odpokutuje — będzie

musiała zrobić sto przysiadów. Orzeszki zawierały więcej kalorii niż to, co jadła w ciągu całego dnia. Sissy była dumna — ważyła tylko czterdzieści trzy kilogramy. Wielu ludzi mówiło, że wygląda przez to młodziej, ale większość uważała ją za skrzyżowanie wróbla z jastrzębiem.

— Powiedział mi Johnny, kochanie — odparła Daphne, zajadając czekoladki. Ona nie musiała martwić się o wagę. Rudowłosa, mimo prawie sześćdziesięciu lat nadal aktywna w łóżku. Dwu z jej starych kochanków, Frank Tilie i Robert Hurrel, nadal regularnie nocą odwiedzało jej dom. Była o siebie spokojna. Johnny, jej syn, przynosił z miasta wszystkie plotki; niektórych dowiadywał się od ojca będącego agentem, byłego męża Daphne, Jaspera Swansona. — Dasz wiarę, kochanie?

Sissy zazgrzytała zębami. — Dlaczego ona? — prychnęła z pogardą. — Ona nie jest aktorką. Jest piosenkarką i to brytyjską, po co ona Abby'emu?

— Z pewnością nie po to, by ją pieprzył — zaśmiała się Daphne. — Ale nawet ty, kochanie, musisz przyznać, że jest całkiem atrakcyjna.

— Abby powiedział mi, że spróbuje zrobić zdjęcia Bisset, Candy Bergen, Emeraldzie i może Sabrinie Jones — o kim jeszcze słyszałaś? Kto jeszcze?

— Cóż — odrzekła Daphne, zniżając głos.

— Johnny powiedział, że Rozalinde Lamaze jest bardzo zainteresowana zdjęciami.

— Ten meksykański śmieć? — drwiła Sissy. — Będzie do kitu — beznadziejna. Wcale nie ma klasy. Co mówi Abby? Rozmawiałaś już z nim? Daphne zawsze spędzała ranki przy telefonie, dzięki temu była „na bieżąco” z wszelkimi wiadomościami, plotkami, skandalami Los Angeles, Nowego Jorku i Londynu. Prawdziwe oczy, uszy i usta Hollywoodu. Myślała o tym, by swoją dogłębną wiedzę zamienić w coś bardziej lukratywnego. Nadal oczywiście będzie za darmo udzielała informacji przyjaciołom, rozważała jednak ofertę pisania w gazecie kolumny z plotkami.

— Oczywiście rozmawiałam. Kochanie, on pilnuje swych ust bardziej niż strzeżony jest grób Tutenhama. Nie powie mi kto zagra oprócz Jackie, Candy, Emeraldy i Sabriny.

— Cóż, wszyscy już o tym wiedzą, więc to nie nowina. Myślałam, Daphne, że Abby mówi ci wszystko — marudziła Sissy.

— Mówi, ale, kochanie — ściszyła głos — on mówi, że potrzebuje do roli Mirandy gwiazdy ze znanym nazwiskiem; chce, żeby prasa pisała tylko o tym. Codziennie rozmawia z Liz Smith i Suzy. Szepnę o tobie słówko, maleńka. Obiecuję. Przypomnę mu, że masz dwa Oscary — zachichotała.

Sissy położyła słuchawkę i z kamienną miną przyglądała się mężowi, który właśnie wyłonił się z basenu. Śmiejąc się zmierzwił jej włosy, co ją poirytowało. — Zrobisz wszystko, żeby dostać tę rolę, prawda, kochanie? — zażartował.

— Wszystko? — odparła ponuro Sissy — absolutnie wszystko, Sam. Dla niej nawet z tobą mogę się pieprzyć! — roześmieli się oboje.

Zadziwiająco u Sissy, tak jak i u Rozalinde Lamaze było to, że jeśli coś sobie postanowiła, naprawdę tego chciała, zazwyczaj osiągała cel. Przez tyle lat chciała mieć Sama i miała go, choć od początku dzieliła się nim z innymi. Chciała sławy i sukcesu — osiągnęła i jedno, i drugie. Teraz priorytetem jest rola Mirandy. Pokona wszelkie przeszkody, by ją dostać.

7

Luis Mendoza zatrzasnął drzwi domu Rozalinde. Gdy przechodził przez ogród, jej trzy koty ocierały mu się o łydki. Kopnął je. Nienawidził zwierząt i dzieci. W życiu Luisa tylko dwie rzeczy były ważne: piękne kobiety, z którymi się kochał, i on sam. W swoim narcyzmie uważał, że Rozalinde wygląda jak Matka Teresa. Ona potrafiła spojrzeć na siebie obiektywnie i krytycznie, on uważał siebie za najprzystojniejszego, najbardziej utalentowanego i męskiego mężczyznę na świecie.

— Bo Derek w męskim wydaniu — zapewniał w zeszłym miesiącu nowy manager Irving Klinger, gdy Luis nagryzmolił nieczytelny podpis na kontrakcie zapewniającym Irvingowi czterdzieści procent zarobków Luisa.

— Seks symbol lat osiemdziesiątych! — obwieszczał nowy agent prasowy, Johnny Swanson, entuzjastyczny i błyskotliwy manipulator talentem.

— Najwspanialszy mężczyzna na świecie! — Rozalinde zwierzyła się Suzy po ich pierwszej randce pięć tygodni temu. Jego wcale nie bawiła Rozalinde — pochodząc jak i on z Meksyku, przypominała mu siostry. Uwielbiał blondynki, ale nie był głupcem. Romans z Rozalinde Lamaze mógł świetnie wpłynąć na jego artystyczny image. Jeśli jesteś jednym z synów biednej meksykańskiej, rodziny i zawsze musisz dzielić się kawałkiem tortilli z dziewięciorgiem braci i siostr, wyrastasz na przebiegłego chytruska albo wcale nie dorastasz.

Luis Mendoza, by przeżyć, robił to, co większość dwunastolatków w Tijuanie. Parkował turystom samochody, mył ich okna za pięć pesos, jeśli miał tyle szczęścia, że mógł to robić, sprzedawał zapaliki, gumę do żucia albo torebki ze słomy, jeśli naprawdę dopisało mu szczęście i udało mu się razem z innymi głodnymi chłopakami włamać do domu handlowego i ukraść kilka kartonów. Do chwili śmierci matki w tajemnicy zaoszczędził tysiąc pesos czyli jakieś osiemdziesiąt cztery dolary. Trzymał je w starej pończosze z tyłu kredensu. Był rok 1968. W Stanach Zjednoczonych wiele się działo. Właśnie wybrano senatora Roberta Kennedy'ego. Luis usłyszał o tym w radiu. Amerykę szturmem zdobywała rockowa grupa angielska „The Who”. W całej Tijuanie z każdej gazety i listy „Billboardu” uśmiechała się do niego Rozalinde Lamaze. Dwudziestodwulatka, dziesięć lat od niego starsza — jego młodzieńcze przyrodzenie nabrzmiewało na samą myśl o jej zmysłowych ustach i krągłych udach. Była dziewczyną, o jakiej śnisz, że mógłbyś się z nią kochać, nie taka

jak te śliczne zimne blondynki z Ameryki Północnej, które nawet w snach są poza zasięgiem.

Chciał tego wszystkiego. Chciał jechać do Stanów Zjednoczonych, zostać wielkim gwiazdorem rocka jak Beatlesi, kochać się ze wspaniałą kobietą, taką jak Rozalinde, albo z inną — klasyczną blondynką Emeraldą Barrymore. Pewnego dnia będzie sławny, odniesie sukces, będzie miał pieniądze, będzie kochał się z Rozalinde, z Emeraldą i całą resztą wspaniałych stworzeń, które oglądał w magazynach dla mężczyzn lub na okładkach pism. Tego był pewien. Był ulubieńcem matki. „Guapisimo” — mruzczała, przebierając zniszczonymi dłońmi jego obfite czarne włosy. „Nino mio” — tuliła Luisa do swego wychudłego ciała, wyduętego ciągle ciążą. Ku zazdrości rodzeństwa szeptała czule słówka.

Carmelita przelała miłość, jaką kiedyś obdarzała ojca Luisa, na przystojnego młodego chłopca — miłość pięknej dziewczyny meksykańskiej, starzejącej się i brzydzącej z roku na rok. Mąż nie miał już z niej żadnego pożytku, dla niego była tylko pomocą domową, czasem obiektem przypadkowego pożądania. Rok po roku rodzina powiększała się, dopóki słabowita matka, zniszczona w wieku trzydziestu siedmiu lat urodzeniem dziesięciorga dzieci, mizérią życia, brakiem miłości męża, odeszła zasnąwszy w pokoju. Dała jednak Luisowi swą moc. Dała mu dumę i wiarę w samego siebie. Dzięki niej uwierzył, że może być królem — bogiem — gwiazdorem. Nadzieje i marzenia, jakie szeptała mu do ucha przez całe dzieciństwo, były bardzo budujące — pozwoliły uwierzyć w samego siebie, dały siłę wewnętrzną i odporność, jakiej potrzebował, by przeżyć.

Gdy umarła, trzy dni przed jego trzynastymi urodzinami, Luis zapłakał po raz ostatni w życiu. Teraz musiał iść drogą, jaką wyznaczyła mu matka. Z tysiącem pesos schowanych bezpiecznie w zdartych tenisówkach, mając na sobie jeden z trzech podkoszulków, w jeansach i wystrzępionym swetrze, pewnej lutowej nocy usiłował przejść granicę Stanów Zjednoczonych. Niestety, wybrał czas, gdy ci z immigration szaleli, łapiąc nielegalnych uciekinierów z Meksyku. Złapany przez patrol strażników, spędził noc w więzieniu z kupą pijaków w delirium, alfonsów i złodziei, którzy szybko pozbawili go nie tylko tysiąca pesos, ale i dziewictwa. Dla latynoskiego chłopca być pohańbionym i zgwałconym przez śmierzdzących pijaków i homoseksualnych wszeteczników, ku uciesze pozostałej gawiedzi w celi, było zniewagą tak barbarzyńską, że całymi latami Luisa nawiedzały koszmarne sny. W końcu obrzydzenie własną płcią zamieniło go w samotnika potrzebującego jedynie towarzystwa kobiet. Kochał je.

Tydzień później trzynastoletni Luis wrócił do rodzinnego domu smutniejszy, ale mądrzejszy. Po roku wsiadł do pociągu jadącego do Mexico City z pieniędzmi, które znów udało mu się odłożyć. Już nigdy nie zobaczył rodziny. Jak na swój wiek był wysoki, niezwykle silny i zgrabny. Wyglądał tak, że kobiety bez względu na wiek były na jego skinienie. Od nocy spędzonej w więzieniu jego zajęciem było uprawianie miłości z tyloma kobietami i

dziewczynami, z iloma się tylko dało. Ze szczególnym upodobaniem i sadystyczną pasją bił każdego chłopaka, którego nawet tylko podejrzewał o homoseksualizm. Rozwinięta awersja do wszelkich form homoseksualizmu była na granicy psychozy.

Pracował jako kelner w klubie nocnym w Mexico City. Zanim ukończył dwadzieścia lat, już był członkiem zespołu śpiewającego latynoamerykańskie ballady. Wydzielał tyle czystego sex appealu, że stateczne amerykańskie matrony słuchając go jęczały w ekstazie. Przed dwudziestym drugim rokiem życia podbił Meksyk, jak Cortez. O tym nie marzył nawet w snach. Stał się najślawniejszym w kraju wykonawcą romantycznych ballad. Również w Hiszpanii i we Włoszech sprzedaż jego płyt przewyższała te, które nagrał Julio Iglesias, a jego twarz i sylwetka zdobiły wszystko: od szortów dla dżokeja po płyn do golenia.

Nastolatki płakały widząc go w telewizji. Stadami tłoczyły się przed wejściem do jego wielkiego apartamentu w Mexico City. Gorączka Luisa Mendozy rozprzestrzeniała się w Ameryce Środkowej. W wieku dwudziestu czterech lat zaczął grać w filmach i stał się jeszcze bardziej popularny. Ameryka Południowa leżała u jego stóp. Ale Ameryka Północna — ta, którą usiłował podbić — nie była nim zainteresowana.

— Latynosi nigdy nie wspięli się na szczyty ekranu — powiedział Abby Arafat, arbiter dobrego smaku w studiach MCPC.

— A Valentino? — sprzeciwiał się Irving Klinger.

— A Ricardo Montelban? On też był wielkim gwiazdorem kina.

— Tak, ale tylko do czasu „Fantasy Island”. A Valentino był Włochem.

— Przyjrzyj się Fernandowi Lamas, Cesarowi Romero, Tony Quinnowi — nalegał Irving.

— Ludzie nie lubią obcych o śniadej cerze — odparował Abby, lustrując nieskazitelnie opilowane paznokcie. — Pacino i Travolta wyglądają trochę jak Meksykanie, ale cały świat wie, że są Włochami, prawda? Z Italiańcami to co innego. To samo dotyczy zabojadów i Anglików. Ale brudasy! Żaden nie zrobił w kinie kariery, grywali tylko w rolach charakterystycznych. Mężczyźni odrzucają Meksykańczyka podrywającego dziewczynę. Będą uważali, że nadaje się do parkowania samochodów czy nalewania benzyny.

— Powiem ci coś, Abby — mówił Irving. — Zrobię temu dzieciakowi zdjęcia w Mexico City. Sam zapłacę za ten pieprzony test i zjem mój cholerny kapelusz, jeśli nie będziesz uważał, że drzemie w nim siła, jaką miał tylko Brando. Irving rzadko popierał przegrywających, więc Luis Mendoza przyjechał do Hollywood miesiąc później. W kieszeni miał podpisany kontrakt na trzy filmy; oczekiwał, że Hollywood padnie mu do stóp. Opuszczał Mexico City mając nadzieję, że nigdy go już nie ujrzy. Oblegały go tłumy pochlipujących fanów, nękali dziennikarze, których zbył jak zwykle czarującą uprzejmością. Przyjechał do Los Angeles ubrany w biały garnitur Armaniego i ciemne okulary. Przechodził przez urzędy imigracyjny i celny bez śladu zainteresowania ze strony pasażerów czy personelu lotniska. W Ameryce

Łacińskiej był jedną z największych gwiazd, w Kalifornii nikogo to nie obchodziło.

W Hollywood wszystko układało się gorzej niż Luis mógł sobie wyobrazić. Traktowali go lekceważąco; cholerne hollywoodzkie świny ignorowały go. O, bardzo dobrze wiedział dlaczego. Dla nich był tylko brudasem, przeklętym meksykańskim nielegalnym imigrantem. Co za obelga! Miał ważną zieloną kartę; był tu na zaproszenie rządu amerykańskiego. Miał kontrakt z wytwórnią filmową. Dlaczego są do niego tak uprzedzeni? Nawet Lamaze, ten rupieć, obraziła go ostatniej nocy. Pieprzył się z nią tylko dlatego, że Irving uważał, iż będą nie lada gratką dla publiczności, co może przysporzyć mu popularności wśród Amerykanów. No jasne, tak, oczywiście. Z goryczą uświadamiał sobie, że bycie przedmiotem plotek przyczyniło się do jej, a nie jego kariery.

Irving natomiast zdobył dla niego rolę w filmie. Miał zagrać u boku tego przestarzałego worka kości — Sissy Sharp, ale w końcu to był amerykański film, choć scenariusz miał kiepski.

Popatrzył w lustro, poprawił zmierzwione czarne kędziory; — Richardzie Gere, obejdiesz się smakiem! Oto nadchodzi Mendoza. Jeśli chodzi o wygląd i sex appeal, Gere to zero w porównaniu z Luisem. Luis był gotów do walki. Nic nie mogło go powstrzymać.

Sabrina Jones, leżąc na plaży, patrzyła w kamerę z czarującym uśmiechem. Kamera uwielbiała ją. Wszyscy uwielbiali Sabrinę.

„Najnowsza złotowłosa ulubienica Ameryki” — nazwał ją tak jakiś bystrzak z telewizji. Gdy trzy lata temu przyszła do jego biura, natychmiast powierzono jej jedną z głównych ról w telewizyjnym serialu o gliniarzach i przestępcach. Nawet nie musiała mieć zdjęć próbnych. Miodowo opalone nieskazitelne ciało, metr siedemdziesiąt sześć wzrostu, pięćdziesiąt kilogramów wagi. Gęste, sięgające ramion, blond włosy, naturalnego koloru, ku zazdrości wszystkich aktorek w Hollywood, same, bez lokówek! — układały się w fale i loki. Ubrana w złocistą suknię wieczorową, opinającą jej zmysłowe ciało, leżała na piasku zerkając w oko kamery. Operator kręcił głową z podziwem pełnym szacunku. W tym mieście od czasów Avy Gardner nie było nikogo tak wspaniałego. Ona to po prostu doskonałość! Co za oczy, nogi i piersi! W filmie „Danger — Girls Working”, Sabrina natychmiast okazała się niezwykłą gwiazdą telewizji. Zamiast pytać o podwyżkę, jak robi to większość, o więcej przywilejów, była zupełnie zadowolona, że gra w serialu z dwiema innymi dziewczynami. Przyjmowała rozsądne podwyżki wynagrodzenia, jakimi chętnie obdarzali ją bossowie. Nigdy niczego nie żądała, nie sprawiała kłopotów. Kochała serial i zespół, uwielbiała Patty i Sue Ellen grające razem z nią, prowadziła normalne życie. Lubiała nawet udzielać wywiadów i pozować do zdjęć, co tak lubią dziennikarze.

Sabrina była naprawdę szczęśliwą aktorką, zadowoloną z życia i kariery, pełną radości i miłości. Solidne podstawy dawała jej stabilna i kochająca

rodzina. W wieku dwudziestu trzech lat tylko jedna rzecz mogłaby wymknąć się z jej dotychczas wielkiej kariery. Cóż, zdjęcia próbne do „Sagi” mogły zmienić wszystko, tym bardziej że skończył się serial.

Odwróciła się i posłała fotografowi najbardziej uwodzicielskie spojrzenie. Znów przełknął ślinę. Trzasnęła migawka — uwiecznił ją, bo zdjęcie miało znaleźć się na jej pięćdziesiątej okładce.

Sue Jacobs, jej agentka, czekała na zakończenie sesji zdjęciowej. — Ubierz się, pojedziemy gdzieś napić się w spokoju drinka — powiedziała, przeciskając się przez tłum nadal otaczający Sabrinę. — Mamy wiele do omówienia. — Może do Polo Lounge? — spytała Sabrina. — Uwielbiam tam chodzić.

Ubrany w jedwabny żakiet Brioniego, czarną jedwabną koszulę i czarne spodnie, Luis szedł w kierunku Polo Longue. O mało nie padł trupem — stanął twarzą w twarz z najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział kiedykolwiek w życiu.

Długie blond włosy, cudowna złocista skóra, słodka niewinność w oczach. Siedziała pogrążona w rozmowie ze starszą kobietą. Luis nawet się nie zatrzymał, szedł prosto do ich stolika.

— Seniorita — powiedział przywołując kelnera — pani pozwoli, że się przedstawię. Luis Mendoza do pani usług. Jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem. Jestem oszołomiony pani urodą. Czy zechce pani napić się ze mną Dom Perignon, seniorita — bardzo proszę.

To nie była zbyt oryginalna próba zbliżenia, zachowywał się już w ten sposób i dzięki swej pociągającej aparycji rzadko bywał odrzucany. Niewiele kobiet jest w stanie oprzeć się, gdy ktoś nazywa je najpiękniejszą kobietą świata. Sabrina Jones nie była wyjątkiem.

— Z przyjemnością — uśmiechnęła się do niego zapraszająco, ku niezadowoleniu Sue, która właśnie usiłowała przekonać Sabrinę, by zamiast próbnych zdjęć do „Sagi” podpisała kontrakt z wytwórnią Universal.

Pół godziny później Sue wracała do domu mamrocząc: kutas, kutas — tylko o tym potrafią dziś myśleć. Obserwując sposób, w jaki na siebie patrzyli, wiedziała, że siła ich wzajemnego przyciągania jest zbyt silna, by z nią walczyć. Miała rację.

Następnego dnia Luis zjawił się na planie wyczerpany. Czuł się, jakby odrobił pełną dniówkę. Ekipa zdjęciowa kręciła się dookoła niego ustawiając światła i wyposażenie do wielkiej sceny miłosnej z Sissy Sharp.

Uśmiechał się, gdy tylko pomyślał o nocy spędzonej z Sabrina. Sabrina... Co za imię! Co za dziewczyna! Na samą myśl o niej jego jaja twardniały. Sabrina Jones, symbol kobiecego seksu lat osiemdziesiątych. Taka wspaniała, taka zmysłowa, taka młoda — sublimacja pożądania każdego mężczyzny.

Ale nie jego — och, nie, naprawdę nie. Dla Luisa Mendozy nie istniało wysublimowane pożądanie. Sabrina była jego — teraz już do niego należy. Latynoska duma rosła, gdy myślał o jej prężnym opalonym ciele przytulonym do niego. Kochali się wiele godzin, ich wzajemny fizyczny pociąg był tak silny,

że seks zamienił się w ekstazę. Z doświadczenia wiedział jak postępować z kobietami, ale kochanie się z Sabrina było takie naturalne i wyzwolone, dawało tyle radości, że nie potrzebował żadnych sztuczek. Może pierwszy raz w życiu zakochałem się — pomyślał. Uśmiechając się Luis obudził się ze swego snu na jawie, asystent reżysera wołał go na plan. Sissy czekała. Wyglądała elegancko. Sztywno i elegancko. Pewnie wszystkie kobiety w Ameryce skopiują to, co ma na sobie w tej scenie. Wyglądała jak ubrana szkapa, można by ją ujeżdżać — Luis pomyślał o metaforze, potem wybuchnął śmiechem — jak szkapę! Tak wyglądała. Jak wlokący się koń wyścigowy. Sissy wzdrygnęła się na jego widok. Była profesjonalistką w każdym calu. Nie byłaby w tym businessie od szesnastego roku życia, gdyby nie знаła tu wszystkiego od podszewki. Do Luisa czuła niechęć. Drażniło ją wszystko, co z nim związane. Z pewnością jest przystojny i nie jest złym aktorem, ale ona generalnie nie lubiła cudzoziemców. Żydów, Niemców, Francuzów i Włochów. (Jedynymi nie-Amerykaninami, jakich tolerowała, byli Brytyjczycy). Tyłu ich się tu jednak kręciło, że byłoby to jak walka ze smogiem. Byli tu, czy ich się lubiło czy nie.

Westchnęła i usiłowała uśmiechnąć się do Luisa, który podchodził, zadzierając nosa, wezwany przez reżysera na plan. Jej myśli krążyły wokół zdjęć do „Sagi”; z trudem przypominała sobie swoje kwestie.

— Przestań, Sissy — mówiła sama do siebie stanowczo. — Jesteś gwiazdą, profesjonalistką. Zachowuj się jak gwiazda.

Ona musi dostać tę cholerną rolę. Musi!

8

Poszukiwania rozpoczęte! — tytuł na pierwszej stronie „American Informer” aż palił. — Największe poszukiwanie talentu od czasu „Przeminęło z wiatrem” — krzyczał nagłówek w „USA Today”. — Kro zagra Mirandę? — dopytywał się „Newsweek”, który w dziale „Ludzie” zamieścił zdjęcia Sabriny Jones, Jacqueline Bisset, Emeraldy Barrymore, Raquel Welch, Chloe Carriere i Rozalinde Lamaze.

Sissy miała jeden ze swych ataków. Wrzaski tłumionej wściekłości, długo tajone poczucie niewiary w siebie wyzwoliły szal i histerię. Leżała na środku welwetowej kołdry, na której gotyckimi złotymi literami wyhaftowane były trzy litery S, i szlochała rozdzierająco, wypłakując serce. — Nie — pomyślała Bonita, jej niesympatyczna pokojówka — przecież ona nie ma serca, ta dziwka ma zamiast tego sopel lodu. Bonita uwijała się podając chusteczki higieniczne, aspirynę, wódkę, uspokajała hiszpańskimi słowami, w czasie gdy jej pani miotała się na kołdrze. Wielkie, czarne od tuszu do rżęs łzy padały na lawendowy welwet.

W pokoju na dole Sam słuchał tych szlochów z mieszaniną niepokoju i obojętności. Niepokoju, bo wiedział, ile dla jej kariery znaczyło zagranie roli

Mirandy. Obojętności, bo w końcu przyzwyczaił się do jej ciągłej hysterii i samolubnych wybuchów złości.

— Może ona już przechodzi wczesną menopauzę? — zastanawiał się zmieniając pilotem kanał. Ostatnio wyglądała okropnie — sucha jak szczapa, ciemna jak śliwka, skórę miała też konsystencji śliwki. Przestał pstrykać przy kanale 13, podziwiał łobuzerski wygląd i zachowanie młodego Roda Dimbleby. Nawet powtórka serialu sprzed pięciu lat ukazywała dwudziestoletniego nowicjusza jako obiecującego aktora. Sam poczuł szarpiący ból pożądania — pamiętał ich spotkanie kilka dni temu na parkingu w jego przyczepie.

Oczywiście dobrze wiedział, że Rod robi to tylko jako przysługa za przysługę. By dostać rolę drugiego syna w „Sadze”, był gotów na wszelkie sztuczki. Sam był świadom, że nie na długo może zniewolić młodego mężczyznę, takiego jak Rod, heteroseksualnego o wyraźnym sex appealu — mimo to był nim wystarczająco zainteresowany, by powiedzieć Daleowi Zimmermanowi, odpowiedzialnemu za obsadę ról, że Rod jest odpowiednią osobą do zagrania drugiego syna.

— Saaam! — wrzeszczała Sissy z buduaru, wrywając go z marzeń. — Chodź tu, Saam! Jej głos zamienił się w rozpaczliwe crescendo. Wzdychając wyłączył telewizor i popędził do sanktuarium żony. Rozwalona na łóżku w bladofioletowym negligiu, z przerażeniem przyglądała się sześciu fotografiom zamieszczonym w magazynie.

— Spójrz — wrzasnęła, blond loczki zjeżyły się dookoła załzawionej twarzy. — Wredna dziwka! Jak to możliwe, żeby brali ją pod uwagę do mojej roli? — Rzuciła magazyn na podłogę, nacisnęła przycisk numer pięć automatycznego telefonu.

— Cześć — powiedziała zwięźle Daphne Swanson.

— Widziałas „Newsweek”? — syknęła Sissy. — Widziałas to? Nie mogę uwierzyć, że ta zwykła zdzira będzie miała zdjęcia! To prawda? Na miłość boską, Daphne, powiedz, że to kłamstwo!

— Przykro mi, kochanie — westchnęła Daphne. Pomimo przyjaźni z Sissy raczej cieszyło ją jej cierpienie. — To prawda. Nie wiem co zrobiła Abby'emu, ale rozmawiałam z nim dziesięć minut temu. To prawda, kochanie. Będzie miała zdjęcia próbne. Tak mi przykro.

Uśmiechnęła się wbrew sobie. Naprawdę żałosne koleżanki. Jak to wspaniale, że sama rzuciła to wszystko. Żadne ze Swansonów nie istniało już jako aktorzy, ale nadal należeli do hollywoodzkiego tłumu.

Daphne i Jasper Swansonowie byli brytyjskimi aktorami srebrnego ekranu od czasu drugiej wojny światowej. Gdy ten elektryzujący tandem ściągnięto do USA w późnych latach czterdziestych, Daphne, rudowłosa i lekkomyślna, postarała się o kilka pikantnych przygód; w jakimś sensie rywalizowała ze znaną angielską hrabiną o kruczoczarnych włosach, którą podziwiała. Wśród tych, z którymi przygotowała rogi przystojnemu Jasperowi, byli: Richard

Hurrel — wysoko postawiony prawnik, o którym mówiono, że sypia tylko z wielkimi gwiazdami lub żonami bliskich przyjaciół; Lawrence Huntington — znany szkocki aktor szekspirowski, który przyjechał do Hollywood poprzedzony sławą wyczynów seksualnych wśród zastępów młodych piękności, o jakich nie słyszano od radosnych czasów Errola Flynna; i Frank Tillie, pełen życia, perypatyczny producent seriali radiowych. Wielką zasługą Daphne było to, że trzydzieści lat później, dwu z nich nadal było jej kochankami.

Zmysłowość Jaspera Swansona rozplątała pożądanie wielu milionów amerykańskich dziewcząt, jego kariera filmowa rozwijała się i przebiegała pomyślnie. W innym kierunku szła wybredna Daphne. Frank, Lawrence, Richard a czasami — bardzo rzadko — Jasper, dzielili rozkosze jej małżeńskiego łóżka. Wreszcie przypadkiem (a może to było zaplanowane?) zaszła w ciążę. Johnny, jej syn,

przyszedł na świat na Boże Narodzenie 1952 roku, wydzierając się z całych sił. Obok stał przypuszczalny ojciec i trzech bardziej-niż-przypuszczalni ojcowie chrzestni. Hollywood stawiało na Franka Tillie, ale nikt naprawdę nie wiedział, kto jest ojcem Johnniego.

Gdy chłopiec miał piętnaście lat, jego matka grała dla MGM rolę kochanki króla Charlesa II w hałaśliwej komedii z czasów Restauracji. To miał być jej ostatni amerykański film. Pomimo czterdziestu pięciu lat nadal była przedmiotem pożądania — seksowna i rozkoszna, o ciętym dowcipie wzmagającym jej urok. Ale był rok 1967 — dojrzałe czterdziestopięciolatki nie były w modzie. Jednak Johnny myślał inaczej. Pewnego słonecznego dnia, w czasie przerwy na lunch, pozbawiła go dziewictwa dublerka matki w Metro. Czterdziestodwuletnia Cathleen nauczyła go rozlicznych rozkoszy, jakie może dać ciało, nauczyła go, jak zadowolić kobietę. Tylko starsza kobieta była wystarczająco bezwstydną, by mu zademonstrować, jak całować, jak okazywać czułość, jak pieścić. Cathleen była doskonałą nauczycielką, a Johnny pojętym uczniem. Kontynuował te fascynujące studia, bez wiedzy matki, w czasie wakacji szkolnych. Cathleen, szczerze wdzięczna, przedstawiła go innym: trzydziestosześcioletniej Deirdre, trzydziestodwuletniej Maureen i czterdziestojednoletniej Kate. Wszystkie śliczne panie nadzwyczaj chętnie zabawiały się z przedwcześnie rozbudzonym erotycznie piętnastolatkiem, wyposażonym już jak dorosły mężczyzna.

Owe panie zupełnie zepsuły Johnniego; gdy dorósł, podniecał go tylko seks z dojrzałymi kobietami. Wiele gwiazdek i jasnonokich sekretarek trzepotało rzęsami w kierunku przystojnego Johnniego — bez powodzenia. W towarzystwie dziewczyn poniżej trzydziestki jego mały nie miał zamiaru się podnieść.

Daphne tak naprawdę nie miała nic przeciwko temu. Johnny, w poczuciu obowiązku, przychodził do domu na obiad trzy razy w tygodniu: przed albo po miłosnych igraszkach. Dla Daphne oznaczało to, dzięki Bogu, małą szansę na zostanie — cóż za horror! — babcią, mimo że była już po sześćdziesiątce.

Daphne odwróciła się i uśmiechnęła do Richarda Hurrela. Leżał jak słoń morski na irlandzkiej koronkowej poduszce. Ledwie dyszał. Po nocy z Daphne zawsze zastanawiał się, czy jego serce wytrzyma następny dzień. Nawet po trzydziestu latach stałego uprawiania nierządu, nadal była najbardziej podniecającą kobietą, jaką kiedykolwiek miał, a przecież miał niejedną — i przedtem, i teraz pomimo sześćdziesięciu trzech lat.

Plątanina jej rudych loczków, kremowa irlandzka skóra, nigdy nie dotknięta przez kalifornijskie słońce, bo — jak mówiła — „nie chcę wyglądać jak krokodyl” i obfite rubensowskie kształty szły w parze z umiłowaniem pikantnego życia, co czyniło z Daphne niezwykłą kobietę. Potwierdzała to stała parada wiernych kochanków wracających po następne rozkosze.

Richard był zadowolony, że zadzwonił telefon. Już była gotowa do jeszcze jednego porannego ataku; wiedział, że tym razem jego serce nie wytrzymałoby. Zdobył się na odwagę i zwinnie jak na mężczyznę w jego wieku zeskoczył z łóżka. Daphne obserwowała go kątem oka z uznaniem. Chwiejąc się na nogach poszedł do marmurowej łazienki.

— Kochanie — syknęła Daphne do telefonu. — Znam prawdę. Wiem, że Lamaze będzie miała zdjęcia próbne, ale to musi pozostać między nami.

— Dlaczego? Jak to? Co takiego zrobiła — pieprzyła się z tym starym pierdołą? Daphne, wiesz, że to niemożliwe. Gdyby było, sama bym spróbowała.

— Nie mogę teraz rozmawiać — odparła Daphne, gdy Richard wszedł do pokoju goląc się przenośną golarką, którą zawsze miał przy sobie. — Spotkajmy się w czasie lunchu — jesteś wolna?

— Tak, oczywiście — odpowiedziała Sissy, w myśli już przekładając zajęcia gimnastyczne na inny termin.

— O pierwszej w La Maison, zarezerwuję miejsca.

Sissy trzasnęła słuchawką i wybuchnęła płaczem. — Jestem jedyną akorką w mieście, której nie zaproponowano zdjęć próbnych — zawodziła w kierunku Sama. — To takie upokarzające... chciałabym się zabić — szlochała kołysząc się w jego homoseksualnych ramionach, gdy on szeptał jej do ucha braterskie uspokajające słowa.

— Dostaniesz swój test, kochanie. Obiecuję ci to. Rozmawiałem z Abbym. Wiem, że dostaniesz, jak tylko zatwierdzi to sieć.

— Ale przypuśćmy, że nie zatwierdzą! — szlochała Sissy. — Będę całkiem skończona!

Serce Calvina waliło mocno. Ona uśmiechała się do niego! Emeralda Barrymore naprawdę uśmiechnęła się. Popatrzyła ponad tłumem fanów i ciekawskich pismaków tłoczących się wokół niej na parking i uśmiechnęła się do niego. Był tego pewien!

Gdy wynurzyła się z La Maison, ściskając ramię starego włoskiego aktora Vicrorio jakoś-mu-tam, Calvinowi zaparło dech w piersiach. Ręce trzęsły mu się tak gwałtownie, że miał trudności z ustawieniem ostrości aparatu

fotograficznego. Była tak zmysłowa, śliczna, tak bujnie falująca i wolna. Omdlewał prawie z podniecenia, gdy odwróciła się i przez ułamek sekundy jej szmaragdowe oczy zetknęły się z jego szarymi. Wtedy przeszkodzili mu inni fotografowie. Popychali, wrzeszczeli, wołali — Emeraldo, tutaj, Emeraldo, proszę, odwróć się do mnie! Kocham cię, Emeraldo. Emeraldo, jeszcze jedno — proszę! Przez dłuższą chwilę pozowała zadowolona z siebie, odrzucając złote loki cieszyła się wywołanym zainteresowaniem. Nagle szybko wskoczyła do limuzyny, pozostawiając mu w pamięci tylko zarys kształtnych nóg i paska od bucika opinającego kostkę. Calvin myślał o czasach, gdy pierwszy raz usłyszał o Emeraldzie. Miał szesnaście lat, podkochiwał się w ładnej blondynce o imieniu Jenny. Wszyscy w szkole mówili, że jest podobna do Emeraldy Barrymore, wielkiej gwiazdy Hollywoodu. Calvin do tej pory nie słyszał o Emeraldzie, był fanem Johna Wyne. Dziwna nieśmiałość Calvina podobała się Jenny; na pierwszej randce poszli do kina zobaczyć jej ulubioną gwiazdę Emeraldę Barrymore w „Księżniczce i żebraku”. Calvin natychmiast dostrzegł podobieństwo. Przyglądał się jej zmysłowemu ciału, spowitemu w ponętą dziewiętnastowieczną bieliznę, białe marszczone majtki, mocno ściśnięty w pasie gorset z pęczkami niebieskich różyczek wyhaftowanych na staniku — czuł, jak twardnieje jego młodzieńczy penis. Gdy wspaniałe upudrowane piersi wychyliły się z koronkowego stanika, tak blisko, że można je było nieomal dotknąć, Calvin nie mógł się już powstrzymać. Spoconą, drżącą rękę zaczął posuwać wzdłuż uda Jenny. Odepchnęła go. Znów spróbował — instynkt podpowiadał drogę. Odepchnęła go jeszcze raz. Stał się bardziej agresywny. Słyszał, że innym chłopakom pozwalała to robić! Dlaczego nie jemu? Wreszcie Jenny miała dość jego uporczywego obmacywania. Wstała. — Nędzna kreatura! — syknęła opuszczając kino. Siedział samotnie w ciemności, patrzył na czerwone usta Emeraldy wypełniające ekran i czuł, jak penis wybucha mu w spodniach. Wiele czasu zaczął spędzać zamknięty w sypialni; serce waliło, pulsujący penis w dłoni, zdjęcie Emeraldy w drugiej ręce. Zaślepienie boginią ekranu rosło, tak jak i kolekcja jej zdjęć, które teraz pokrywały prawie wszystkie ściany pokoju. Wreszcie zdobył się na odwagę i napisał do niej. W ciągu tygodnia pracowity dział fanów wytwórni przysłał mu olbrzymie błyszczące zdjęcie Emeraldy. Miała obrzeżony koronką dekolt, zmierzwione blond loki pięknie zaczesane do tyłu. Na zdjęciu był podpis zielonym atramentem — Calvinowi z wyrazami oddania, Emeraldy. Był wniebowzięty — nie zdawał sobie sprawy, że pisała to sekretarka. Trzy miesiące później znów poprosił o zdjęcie. Tym razem dostał kolorowe — Emeraldy w długiej zielonej satynowej sukni z rozcięciem na udzie, blond włosy przycięte jak u pazia, w karminowych ustach papieros, oczy na wpół przymknięte, tajemniczo osłonięte. — Calvinowi z miłością Emeraldy — głosił napis na jednym z ud. Starannie wyciął z „Newsweeka” kolumnę „Ludzie”.

— Kro zagra Mirandę?— pytał nagłówek artykułu analizującego zdjęcia sześciu pięknych kobiet.

Od wielu miesięcy „Saga” była bestsellerem Ameryki, rywalizującym popularnością i liczbą sprzedanych egzemplarzy z „Doliną lalek”. Miranda była jej główną postacią. Tej roli nie może dostać żadna z tych pięciu wywłók. Dla Calvina wszystkie kobiety oprócz Emeraldy były zdzirami. Tak wielka rola powinna być — musi być! — jest przeznaczona do zagrania przez najlepszą ze wszystkich aktorek

— Emeraldę Barrymore. Ona jest jedyną kobietą, która może zagrać Mirandę. Emeralda Barrymore — super gwiazda, jego idol, jego miłość. Nikt nie może wejść jej w drogę.

Sięgnął po „Hollywood Reporter”. — Kto ma największe szanse zagrania roli Mirandy Hamilton w „Sadze”? Wszyscy w Hollywood stawiają na Rozalinde Lamaze — autorka kolumny wierzyła, że będzie jedyną aktorką odpowiednią do tej roli.

Calvin starannie położył pismo na biurku. Sięgnął po świeżą białą kartkę, nowy długopis i na górze strony wykaligrafował: Projekt Miranda. Numer jeden: eliminacja czynników negatywnych. Wierzył w planowanie. Chciał mieć pewność, że Emeralda otrzyma tę rolę.

9

Kiedy Rozalinde nie pracowała, całymi dniami wałęsała się po domu nie nosząc nic innego prócz góry od piżamy byłego męża oraz podartego, poplamionego jedwabnego szlafroka. Obie części garderoby pamiętały lepsze dni, właściwie lata. Szlafrok zdobił ponętne ciało w „Kochanku”, filmie nakręconym w złotych latach wytwórni Technicolor, w późnych latach sześćdziesiątych, gdy ona była wielką gwiazdą — znów nią będzie, jeśli dostanie rolę Mirandy.

Poprzedniej nocy jej siostra Maria, przyjmowana przez wszystkich znacznie chętniej niż Rozalinde, zrobiła jej wykład na temat wyglądu.

— Patrz na Sissy — mówiła Maria władcym tonem.

Obie kobiety siedziały w patio Marii, oglądając „Entertainmen Tonight” i popijając margerity.

Na ekranie telewizora pojawiła się Sissy w hallu hotelu Hilton. Szła na bal dobroczynny fundacji księżniczki Grace, otoczona hollywoodzką śmietanką. Były tu rodziny Sinatry, Stewarda, Pecka, Douglasa i Moore'a. Sissy ukazała się w czarnej sukni z diamentowym naszyjnikiem firmy Merle Oberona, zaciśniętym dookoła sztywnej szyi, Samem przyklejonym do jej lewego ramienia.

— Powinnaś tam być, dbać o swój image — gderała Maria. Rozalinde, zajęta jedzeniem chipsów, roześmiała się. — Po co? Ja tego nie potrzebuję. Prawdę mówiąc, nienawidzę tego. Jednocześnie pomyślała, że kiedy stanie się Miranda, znów spróbuje się z nimi zaprzyjaźnić. Na razie leżała na nie

posłanym wielkim łożu, pośród wymiętych poduszek, poplamionych resztkami wczorajszego makijażu i zaśmieconych skórkami od pomarańczy, gazetami i przyborami do manicure. Wierciła się jak kociak, ssała z upodobaniem pomarańczę, trudno by było rozpoznać w niej boską dive kochaną w Północnej i Środkowej Ameryce. Telefon zadzwonił kilka razy — zignorowała go. Od czego jest służba?

Rosa, pokojówka, z szacunkiem pukała do drzwi. — Czego chcesz? — warknęła Rozalinde opryskliwie.

— Por favor, seniorita. — Pomimo tego, że Rosa była daleką krewną, Rozalinde wymagała zwracania się do siebie z szacunkiem należnym monarchini. Rosa ugięła się pod ciężarem tacy z kości słoniowej, prezentem wielbiciela z Dalekiego Wschodu. Na tacy spoczywały pierwsze i drugie śniadanie Rozalinde: huevos rancheros w pikantnym sosie, pół tuzina herbatników oreos i dietetyczna cola.

— W czym problem? — westchnęła Rozalinde, wpatrzona w Elizabeth Taylor i Montgomery Clifta na ekranie telewizora. — Ach, żeby mnie tak filmowano — westchnęła, a potem przypomniała sobie, że właśnie tak była fotografowana w czasie próbných zdjęć do roli Mirandy.

— Dzwonił strażnik. Mówił, że miał kilka paskudnych telefonów.

— No to co? — warknęła Rozalinde. — Jestem gwiazdą nie wszyscy muszą mnie uwielbiać — nie odrywała wzroku od ekranu telewizora.

Rosa wyglądała na przestraszoną. — Ale, seniorita, strażnik mówi..., że ten mężczyzna chce panią zabić! — Spełniła swój obowiązek w stosunku do tej grubej krowy. Jedz swoje oeros i huevos rancheros, dziwko, przytyj jeszcze ze dwa kilo.

Rozalinde popijała colę z puszki; nie zwracała uwagi na szklaneczkę do wina, którą Rosa miała obowiązek zawsze przynosić. Jej oczy utkwione były w ekran wystarczająco długo; teraz syciły się widokiem parującego talerza z jajecznicą.

— Kim jest ten mężczyzna?

— Strażnik nie wie dokładnie. Chciał panią tylko ostrzec. Może powinniśmy zadzwonić na policję? Mówił jak szaleniec. Dzwonił sześć czy siedem razy.

Rozalinde znów wzruszyła ramionami. — To zwykły głupiec. Nie przejmuj się.

— Odwróciła się do Liz i Monty'ego, po to tylko, by zobaczyć na ekranie twarz młodego, ale już grubego Shelleya Wintersa.

— Ale panna Angelica wyjechała, a ja wychodzę dziś wieczorem zobaczyć wnuka. Jest pani pewna, że chce zostać tu sama? — Nie żeby ją to obchodziło ale nie chciała zostać wyrzucona z powodu zaniedbania.

— Tak, tak, tak! — Rozalinde niecierpliwie grzebała widelcem w jajkach. — Idź już sobie, Rosa, i zostaw mnie w spokoju. Muszę odpocząć. Cholera, czy ja mogę kiedykolwiek odpocząć?

Rosa wyszła cicho, przeklinając. Co za świnią! Wystarczająco źle było, gdy przyjmowała dwu czy trzech mężczyzn tygodniowo. Leżała w łóżku pół dnia, stękając i jęcząc jak dziwka w ukropie. Teraz mężczyzn już nie było, zastąpiła

ich śliczna, małeńka niewinna Angelica — na jak długo, Bóg jeden wie. Teraz Rozalinde wylegiwała się w łóżku dłużej, a jej jęki były mniej przeraźliwe, bardziej przypominały mruczenie usatysfakcjonowanej kotki.

Rosa wiedziała, co robiły. Ogarnięta ciekawością, co to za jęki i dźwięki ekstazy, pewnego popołudnia wspięła się po schodach i przyłożyła ciekawskie oko do dziurki od klucza. Początkowo trudno było w przytłumionym świetle zobaczyć co się dzieje; wreszcie zrozumiała, że obie kobiety zagłębiają swe twarze w najintymniejsze partie ciała, jedna drugiej, że liżą i całują się z wielkim entuzjazmem. Żadna szczelinka nie pozostawała nie dotknięta, a ich ciała, błyszczące od potu, wstrząsały wielokrotne orgazmy. O czymś takim Rosa tylko czytała na łamach hiszpańskiego wydania „Cosmopolitan”, jej ulubionego magazynu. Wstrząśnięta do głębi mało nie zemdląła; musiała wypić duży kieliszek brandy zanim odzyskała siły, by przygotować obiad. Jej pani była szalona na punkcie seksu, co do tego nie było wątpliwości. Szalona na punkcie seksu zdzira. Co widzi w niej widownia, tego Rosa nie była w stanie zrozumieć.

Następnego dnia Rozalinde szalała z radości. Udało się jej! Będzie miała próbne zdjęcia. Razem z pięcioma czy sześcioma najważniejszymi aktorkami w Hollywood. Zdjęcia udały się. Była genialna, fotograf też był geniuszem. Płasała dookoła sypialni, planując w co ubierze się na lunch w La Maison. To będzie święto! Triumf zwykłego sprytu i odwagi nad uznanymi gwiazdami, takimi jak Sissy Sharp, która — wiedziała to z plotek — jeszcze nie była na liście branych pod uwagę do próbnych zdjęć, choć z taką desperacją usiłowała się tam znaleźć.

Rozważała zalety szarego jedwabnego kostiumu — wyglądałaby jak pracująca w Waszyngtonie kobieta — a może burgundowe bolero z kremową jedwabną bluzką i spódniczką od Saint Laurenta? Pewnie guziki z kości nosorożca są niestosowne jak na samo południe w Południowej Kalifornii; odrzuciła więc obie kreacje i postanowiła ubrać się inaczej. Ten strój przyniósł jej miliony. Włożyła bawełnianą wiejską sukienkę w pomarańczowo-białe paseczki, bez ramiączek, kilka sznurków koralu i szeroki słomkowy kapelusz ciężki od wiosennych kwiatów. Zatrzymała się w hallu, by wpiąć białą gardenię w połyskujące brązowe loki i wesoło rzuciwszy pokojówce: — Do zobaczenia, Rosa — wskoczyła do czerwonego mercedesa z otwieranym dachem. Popędziła wzdłuż Benedict Canyon, w kierunku Melrose.

Za nią ruszył zielony Chevrolet.

W La Maison, w słoneczny piątek wczesnego czerwca, aż się roiło. Przy okrągłym stole pośrodku patio siedzieli „chłopcy”. Choć niektóre postacie zmieniały się z tygodnia na tydzień, dziś obecna była większość protagonistów. Richard Hurrel odzyskał siły po nocnych zapasach miłosnych z Daphne — wyglądał wspaniale w brązowym blezerze i brązowo-kremowej koszuli z białym kołnierzykiem i brązowym jedwabnym krawatem. Ten strój podkreślał jego śnieżnobiałe włosy i ciemną opaleniznę. Czuł się świetnie —

Daphne zazwyczaj miała na niego odmładzający wpływ. Frank Tillie zabawiał grupkę uciesznymi historyjkami z jednego ze swych siedmiu tasiemcowych seriali. Johnny Swanson siedział słuchając z podziwem i rozbawieniem. Jak insynuowali niektórzy, ten mężczyzna mógł być jego prawdziwym ojcem. Przy wejściu, przy stoliku nakrytym na dwoje siedzieli Sabrina Jones i Luis Mendoza. Stanowili prawdziwie olśniewającą parę. Oboje mieli dziś wolny dzień. Ona jak zwykle miała na sobie prostą bawełnianą bluzkę i mini-spódniczkę koloru khaki, odsłaniającą jej długie, opalone do perfekcji nogi. W uszach lśniły maleńkie złote kolczyki z diamentami — ostatni prezent od Luisa, a kibić była przepasana grubym skórzanym pasem ze złotą emaliowaną sprzączką.

Luis ubrany był w kremowe lniane spodnie i ciemnoniebieską koszulę, rozpiętą i odsłaniającą gładkie umięśnione, opalone piersi. Kilka złotych łańcuchów różnej grubości i długości, na których wisiały talizmany uwielbiane przez Latynosów, połyskiwało w południowym słońcu. Byli zapatrzeni w siebie.

— Wyglądają na bardzo zakochanych — westchnęła lady Sarah Cranleigh, nadziewając ostatnie szparagi, nie zwracając uwagi na roztopione masło kapiące na kwiecistą jedwabną bluzkę.

— Gówno prawda — warknęła Sissy, obserwując ich o trzy stoliki dalej. — Uwierz mi na słowo, Saro, Luis Mendoza żyje dla jednej jedynej osoby — dla samego siebie. — Z pewną nostalgią pomyślała o dwu nocach, które spędzili razem w czasie kręcenia ich wspólnego filmu. To było krótkie, ale podniecające. Luis był fantastycznym kochankiem, przez godzinę czy dwie był w stanie dać jej zmysłową ekstazę, której tak pragnęła, a tak rzadko dostawała od młodzieniaszków podrywanych na plaży.

Miała coś ważniejszego do omówienia, niż życie miłosne Sabriny i Luisa. Drażniło ją, że Daphne zabrała ze sobą, niezaprzeczalnie zabawnego gościa domu, lady Sarah. Trudno było spiskować w obecności tej okropnie ubranej, głupiej baby, pożerającej wszystko, co było w zasięgu wzroku. Lady Sarah już zjadła dwie francuskie bułeczki, cztery grzanki z czosnkiem i szparagami po holendersku, a teraz zgrabnie podkradała grzanki z sałatki szpinakowej Daphne.

Odrzucając dumę i ostrożność Sissy dotarła do sedna sprawy: — Daphne, jak ona tego dokonała?

— Kochanie, sama nie mogę uwierzyć, że ta wywłoką może być tak przebiegła — powiedziała Daphne, pośpiesznie chroniąc grzankę przed zaborczym widelcem lady Sarah.

— Jak to? Co takiego zrobiła? — Sissy prawie krzyczała, popijając wódkę z wodą Evian i usiłując zachować spokój.

— Poszła do Hany, wydała tysiące, laleczko, tysiące. Zrobił jej całą serię zdjęć, jej w roli Mirandy. Świetnie zrobione zdjęcia! Wiesz, co potrafi Hana, jest absolutnie najlepszy. Sfotografował ją tak, że wygląda na dziewiętnastolatkę.

Słowo daję, musiał chyba założyć na obiektyw koc mohairowy, ale mój Boże, dokonał tego.

— Wybitnie zdolny — zgadzała się Sissy i przez zaciśnięte zęby przeklinała spryt Rozalinde. Dlaczego sama o tym nie pomyślała? Dlaczego nie pomyśleli o tym pieprzeni ludzie zajmujący się jej reklamą? Cztery tysiące miesięcznie plus wydatki, a nie potrafią chronić jej przed jakimś cholernym reporterem z „National Enquirer”. Zapisała sobie w głowie, żeby wyrzucić ich, a wynająć Rogersa i Cowana.

— Jedno ze zdjęć pokazywało ją jako nastoletnią Mirandę — przysięgam, że wyglądała na nim jak osiemnastolatka.

— Niemożliwe — ucięła Sissy.

— Możliwe, przy oświetleniu Hany, kurczaczku. Zrobił też zdjęcia, na których wygląda na dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć; to było łatwe, bo ona ma trzydzieści pięć lat.

— Och, naprawdę — sztychła złośliwie Sissy, wpychając do ust wielką garść grzanek z czosnkiem. — Ona nie pozwoli ucharakteryzować się na czterdziestolatkę, wiesz o tym, Daphne.

— Posłuchaj tylko — ucięła Daphne. — Na następnych zdjęciach ma czterdzieści pięć lat, potem pięćdziesiąt pięć, a potem — posłuchaj tylko — na ostatnim zdjęciu z serii wygląda na osiemdziesiąt. Właśnie tym zdjęciem zjednała sobie Abby'ego. Zrobiła na nim takie wrażenie, że obiecał jej agentowi, którym przez przypadek jest mój były mąż, że na pewno zrobi jej próbne zdjęcia. — Co więcej, zabko — Daphne szukała czegoś w przepastnej torebce; wyjęła z niej dużą kopertę, którą podała Sissy — jednemu z moich zaufanych ludzi udało się zdobyć te zdjęcia. Pomyślałam, że mogą cię zainteresować. Och, nie, nie patrz na nie tutaj!

Sissy wyszarpnęła brązową kopertę z rąk przyjaciółki i upychała ją do wielkiej torby Chanel. Popatrzyła na Daphne — ta, uśmiechając się przymilnie, rozglądała się po restauracji i kiwała głową do różnych znajomych. Lady Sarah gapiała się na Sissy ze źle skrywanym niezadowoleniem. Co za źle wychowana kobieta! W Anglii po prostu nigdzie nie byłaby zapraszana.

Gdy tylko Sissy dotarła do domu, dokładnie obejrzała zdjęcia. Wbrew samej sobie podziwiała Rozalinde. Wyglądała nadzwyczaj młodo i świeżo, nawet jeśli Hana użył wszelkich tricków dostępnych fotografowi. Cały geniusz jej podejścia widać było w zdjęciach czterdziestopięcioletniej Mirandy. To było sprytne posunięcie, Sissy nie miała wątpliwości, że Rozalinde pobiła ją na głowę w grze, w której stawką była rola Mirandy Hamilton.

To takie proste, tak oczywiste, tak cholernie sprytne. Dziwka! Sissy sięgnęła po jeszcze jedną wódkę. Cholernie inteligentna! Tak, musi przyznać, że jest błyskotliwa. Ona, będąc w tym businessie od dwudziestu siedmiu lat, powinna wiedzieć, jak naiwni są ludzie. Tę rundę wygrała Rozalinde, ale Sissy jeszcze nie dała za wygraną.

W sali będącej skrzyżowaniem pokoju do gimnastyki i sali kinowej nad szarą kanapą wisiał dumnie naturalnej wielkości akt Sissy. Gdy uprawiała poranną gimnastykę w takt muzyki Boba Dylana, podziwiała delikatne kształty bardziej niż pochlebnie namalowanego obrazu. Piętnaście lat temu artysta był jeszcze nieznany, teraz bardzo przez wszystkich poszukiwany. Sissy usiłowała wyglądać tak, jak na obrazie. Niestety, im bardziej się starała, im usilniej chciała upodobnić się do fizycznej perfekcji portretu, tym mniej się to udawało.

Wyglądała na niebezpiecznie zagłodzoną. Nawet najlepsze przyjaciółki ośmielały się ją krytykować. Twarz, podciągnięta po ostatniej podróży do Rio, do dokora Pitanguy, była szczupła i ponura, choć nie było na niej ani śladu zmarszczek. Jakoś, zamiast odmładzać, postarzało ją to. Sissy z błogosławioną krótkowzrocznością wieku średniego nie zauważała tego. Radośnie klasnęła w dłonie, gdy zobaczyła na skali wagi, że zeszczuplała do czterdziestu trzech kilogramów.

— Świetnie, świetnie, teraz nie będę wyglądała jak grubas w czasie zdjęć — wykrzyknęła sama do siebie. Za tydzień miała mieć zdjęcia do roli Mirandy. Mąż jej to załatwił.

Abby nie mógł powiedzieć „nie”. Ani sieć. Sam miał zagrać główną rolę męską w „Sadze”. Nie mogli odmówić testu jego żonie.

Oczywiście ona dostanie rolę. Czy mogłaby nie dostać?

Zdobywczyni Oscara, gwiazda najpopularniejszych filmów przez ostatnie piętnaście lat, żona jednego z głównych bohaterów seriali. Pobije wszystkie rywalki — musi!

Rozalinde Lamaze — nie ma mowy. Nic nie znaczący stary śmieć, pomimo niezwykłych zdjęć. Mokry sen roboli — starzejąca się pudernica. Nie może być poważną konkurentką. Emeraldą Barrymore? Z pewnością w swoim czasie była legendą, supergwiazdą, ale gdzie jej do aktorki, jaką jest Sissy! Nie może się z nią równać talentem, poza tym jest znacznie starsza. Zawsze wzbudzała aplauz życiem prywatnym, które było znacznie bardziej interesujące niż filmy, w których grała. Widzowie najbardziej kochali jej mężczyzn, skandale, próby samobójcze. Uwielbiały ją gazety. Chyba sieć zdaje sobie z tego sprawę? Jedynym zagrożeniem jest ta przeklęta Chloe Carriere, nie ma wątpliwości. Sissy niechętnie musiała przyznać, że byłaby idealna do tej roli. Wyglądała odpowiednio — łączyła w sobie niewinność i zło. Wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia przy wyborze aktorki do tej roli, sugerowali taki właśnie wygląd. No i jest nową twarzą, choć ma prawie czterdzieści lat, a wszyscy uwielbiają nowe twarze. Sam usiłował rozproszyc obawy Sissy, mówiąc, że jeśli nawet sieć i Abby będą naciskali, by zagrała Chloe, wtedy on będzie nalegał, by Sissy zagrała była żoną numer jeden; przynajmniej do tego zmusi sieć.

Sissy wiedziała, że Sirope nie jest główną postacią. Była żona numer jeden jest tumanem. Przekwitającą cnotliwą damulką. Ona chce zagrać Mirandę Hamilton, żoną numer dwa. Och, tak bardzo pragnie tej roli! Dziwka.

Wstrętna dziwka. Manipulatorek, uwodzicielka, zdrajczyni, przebiegła i

zimna, ale o złotym sercu — wiedziała, że wynika to ze scenariusza „Sagi”. Już prawie czuła postać. Może gdyby schudła jeszcze z kilogram?

Nadszedł dzień obiadu u Abby'ego i Maud Arafat. Zaproszeni byli wszyscy brani pod uwagę przy obsadzie ról.

Co założyć? Co założyć? Chloe zastanawiała się, co tu by zrobić, żeby wszyscy padli trupem?

Dziś wieczorem producenci — Abby i Gertrude — zobaczą pod jednym dachem wszystkich głównych aktorów ubiegających się o role. Chloe wiedziała że takie porównania to nic dobrego. Choć zazwyczaj nie miała trudności z wybieraniem kreacji, dziś nie potrafiła podjąć decyzji. Od dwu dni gorączkowo robiła zakupy, systematycznie przeczesała boutiki przy Rodeo Drive i Sunset Boulevard. Którą postać Mirandy byłoby najlepiej pokazać na przyjęciu?

Dziwkę? W takim wypadku założyłaby czarną satynową suknię Valentino z wysokim kołnierzykiem, do niej ozdobny żakiet skrzący się czarnymi dżetami i pasujące do reszty kryształowe klipsy.

Uwodzicielkę? Suknia Ungaro z czerwonego szyfonu, rozcięta z przodu do obojczyków, a z tyłu głęboki dekolt. Obłok czerwonego szyfonu unosił się ponętnie od kolan do podłogi, pasujące kolorem czerwone szpilki miały obcas tak wysokie, że ledwie mogła chodzić. Zmysłowa — tak — może nawet za bardzo.

A może po prostu powinna być sobą, Chloe Carriere. Tak, dlaczego by nie? Dziś wieczorem po prostu będzie sobą. Założy starą ulubioną suknię, miała ją na sobie już kilka razy i czuła się w niej świetnie. Kremowy jedwabny dżersej, cięty ukośnie, z draperią w stylu greckim na jednym z opalonych ramion, drugie pozostawało odsłonięte. Wybrała diamentową broszę, by umocować fałdy materiału w pasie i małe diamentowe kolczyki jako jedyną biżuterię. Na rękę włoży małeńki drobiazg w kształcie królika z kremowej emalii i kości nosorożca — prezent od Josha na ostatnie urodziny, maskotka na szczęście. Szczęście! Będzie go dziś potrzebowała.

Urodziny! Zadrzała... W tym roku będzie miała czterdzieści lat. Czterdzieści!!! Zabrzmiało to tak okropnie staro. Nie mogła uwierzyć, że jej życie przeszło tak szybko, lata młodości minęły nie wiadomo kiedy. — Jeszcze nie wszystko minęło, mała, jeszcze długo nie — pocieszała samą siebie nakładając wprawna ręką błyszczek do ust Diora. — Jest jeszcze w tobie życie, dziewczyno. Przeczesała gęste włosy, spięła je z jednej strony szylkretowym grzebieniem. Wsunęła stopy w kremowe sandały z małeńkimi kokardkami ze wstążki. Obejrzała się krytycznie z każdej strony. W trzyskrzydłowym lustrze wyglądała prześlicznie, bajecznie. Promieniała. Dziś wieczorem wszystko będzie wspaniale. Brakowało tylko jednego — jej męża.

Chloe popatrzyła na diamentowy zegarek firmy Boucheron. Josh znów nagrywał. Uprowadził ją, że może się spóźnić. Zgrywanie jego nowego albumu było w krytycznej fazie. Musiał nagrać ostatnią ścieżkę dźwiękową, chciał, żeby nagranie było zrobione perfekcyjnie. To była sprawa życia i śmierci. Ten

album musi być co najmniej małym hitem, bo inaczej — Josh dobrze o tym wiedział — jego kariera będzie skończona. W jego wieku i tak już był skończony dla dzieciaków kupujących płyty. Ich nie obchodził ktoś, kto mógłby być ich ojcem.

Chloe przemknęła myśl, że może znów gdzieś się zabawia. Podjęłaby zdecydowane kroki, gdyby znów zaczął pieprzyć się z nieletnimi kociakami. Żadnych „ale”, żadnych „może” — natychmiast się z nim rozwiedzie. Zapomnieć. Zapomnieć o tym, jak go przyłapała. Przecież przyrzekł. Powiedział, że teraz jest już po czterdziestce i nie wypada mu się tak zabawiać. Powiedział jej, że naprawdę zależy mu na małżeństwie. Przyrzekał. Limuzyna czekała. On zgrywał ścieżki dźwiękowe. Przyjęcie już się zaczęło. Otoczona chmurą perfum w optymistycznym nastroju pojechała do Abby'ego i Maud.

Młody, grzeczny człowiek z wyszytym na czerwonym zakiecie napisem „Parking Chucka” otworzył drzwi jej samochodu. Spojrzała na drzwi hallu frontowego posiadłości emanującej prawdziwy czar starego świata Hollywoodu.

Żadnych fotografów, oficjalnych czy nieoficjalnych; nie pozwolono im być ani w domu ani przed nim. Było to wyraźną oznaką pozycji społecznej. Nie zaproszono nawet George'a Christy z „Hollywood Reporter”. Im ważniejsze przyjęcie, tym mniej prasy — złota zasada Hollywoodu. Premiery, przyjęcia towarzyskie, lunche... Im więcej prasy, tym weselej, ale z takiej, jak ta okazji prasa nie była pożądana.

Olbrzymi hall wejściowy. Błyszczący taras z szarego marmuru importowanego z Montecatini. Niezwykłe kreacje pań i nienagannie wyprasowane czarne spodnie panów. Siedemdziesięciu pięciu dystygowanych gości sączących szampan Christal lub wodę Perrier, nie zwracało uwagi na obrazy o wartości ponad piętnastu milionów. Oni już je widzieli, rozmowy o interesach bardziej ich pochłaniały.

Eklektyczną grupę obrazów, poczynając od Renoira po Fischla, rozmieszczono starannie na ścianach, wielokrotnie piaskowanych, a potem powleczonych siedmioma warstwami lakieru, by uzyskać nieskazitelnie matowe wykończenie. Goście nie zwracali też uwagi na korynckie kolumny z czarnego onyxu umieszczone co metr w całym hallu. Na szczycie każdej z nich ustawiono bezcenne rzymskie popiersia z piątego i szóstego wieku.

Jednak Chloe nie mogła tego ignorować. Patrzyła zafascynowana. Nigdy nie widziała takiego bogactwa. Ona i Josh, choć byli na hollywoodzkiej scenie od lat, nigdy wcześniej nie byli zaproszeni do tego domu. Abby i Maud Arafat uważali, że pieniądze należy inwestować tak, by widzieli to przyjaciele.

Patrząc na ich dom wiadomo było, że mieszka tu wielki producent, multimilioner. Dało się to zauważyć. Chloe wzdychała nad przepychem wystroju, jego wartością i pięknem sztuki. Wzięła kieliszek szampana od jednego z trzydziestu uwijających się służących i udała się w kierunku salonu. Pokój miał co najmniej 23 metry długości, dominował tu Picasso,

obraz z błękitnego okresu, przedstawiał dwie z jego sterylne wyglądających postaci na plaży. Okna miały ponad cztery i pół metra wysokości, wisiały tu draperie z niebieskokobaltowego brokatu, ciężkie od frędzli. Drzwi do ogrodu były otwarte, więc Chloe powędrowała na taras. Tu, na trawniku tak gęstym i zielonym, że przypominał strzyżony welwet, stało osiem najbardziej cennych na świecie rzeźb Henry Moore'a.

Niektórzy z gości gawędzili stojąc. Kalifornijska łagodna noc przyniosła lekki wietrzyk od wybrzeża. Chloe myślała o liście, jaki napisze do Annabel opisując jej to miejsce. Pisała do niej przynajmniej raz w tygodniu, starannie przedstawiając interesujące wydarzenia oraz odwiedzane miejsca. W odpowiedzi dostawała maleńkie liściki, za które była bardzo wdzięczna. Gdy tylko zaczynała myśleć o córce, robiło jej się smutno. Wypiła łyk szampana. — Przestań, Chloe — mówiła sama do siebie. — To są interesy. Skup się na nich. Błyśnij, dziewczyno — musisz błyszczeć! Kto tu jest? Zauważyła, że były tu wszystkie główne pretendenci do roli Mirandy, wszystkie w pełnej krasie swoich wyszukanych toalet.

Sissy Sharp kokietowała czerwienią, podobno ulubionym kolorem — Reagana. Opowiadała wszystkim o przyjaźni, teraz dawno już przebrzmiałej, jaka podobno łączyła Nancy i Ronalda oraz Sissy i Sama, gdy Ronnie był prezydentem stowarzyszenia aktorów, a Sam jednym z jego urzędników. Sissy wyolbrzymiała stopień zażyłości, wtrącając imię Reagana gdzie tylko się dało. Rzeczywiście ona

i Sam byli niedawno na oficjalnym obiedzie na cześć prezydenta Jugosławii, na tyle ciekawym, by napisano o nim w „USA Today”. Każdego, kto jej się nawinął, raczyła zabawnymi anegdotkami o poczynaniach Nancy.

Rozalinde Lamaze, w towarzystwie apatycznego ogiera, miała na sobie suknię ze złotej lamy. Wyglądała na zadowoloną, ogier na zmęczonego.

Rozalinde i Chloe popatrzyły na siebie, wymieniły krótkie pozdrowienie.

Chloe pomyślała, że strój rywalki wygląda tandetnie, choć sama Rozalinde jest atrakcyjną kobietą, z pewnością nie wyglądającą na swoje lata. Z jej wspaniałymi ciemnymi włosami i wpiętą z boku gardenią, z ujmującym uśmiechem, Rozalinde wyglądała wspaniale i pociągająco — najwyżej na trzydzieści lat.

Zapanowało podniecenie, gdy przyjechała Emeralda Barrymore. Dziecko Hollywoodu, wielka gwiazda już w wieku trzech lat — gdziekolwiek się znalazła, nadal udawało się jej wzbudzać podniecenie. Od dziesięciu lat nie zagrała w żadnym poważnym filmie, ale aura gwiazdy nadal jaśniała nie zmienionym blaskiem. Nikt nie kocha gwiazdy bardziej niż ci, którzy mieszkają i pracują w Hollywood. Emeraldę szybko otoczył tłum pochlebców, żaden z nich nie zamierzał jednak zaproponować jej porządnej pracy, mieli dla niej tylko epizody w przedstawieniach telewizyjnych lub drugorzędne role w mini-seriałach.

Jak zwykle spóźniła się, nie mogąc się zdecydować na któryś z bajecznych naszyjników. Jej biżuteria cieszyła się legendarną sławą, tym bardziej iż

ludzie sądzą, że nie kupiła sama najmniejszego drobiazgu. Tak naprawdę sama kupiła większość biżuterii — była jej pasją — ale chciała stworzyć wrażenie, iż jest obsypywana prezentami przez licznych kochanków — agent prasowy bardzo starał się o taki obraz.

Z ostatnim mężem, Solomonem Davidsonem, wytwórcą garniturów w Nowym Jorku, była w stanie wojny, usiłowała jednak tego nie pokazywać. Na palcu lśnił szmaragd wielkości piłeczki golfowej, a futro sobolowe sięgało do kostek i było o wiele za długie przy jej wzroście metr pięćdziesiąt osiem, ale to, co było brakiem sylwetki, nadrabiała fryzurą. Zaczesane do tyłu jej piękne blond włosy sterczały wojowniczo jak u niebezpiecznego punka. W obcisłej srebrnej sukni wyglądała — to Chloe musiała przyznać — wspaniale, jak prawdziwa wielka gwiazda.

Dwie pretendenci, co do których wszyscy zgadzali się, że odrzuciłyby propozycję zagrania Mirandy nawet, gdyby im to zaproponowano — gawędziły przyjaźnie. Jacqueline Bisset i Meryl Streep zbyt były zajęte karierą w kinie, by poświęcać ją dla roli w tasiemcowym serialu telewizyjnym. Powszechnie sądzono, że Abby i Gertrude Greenbloom, jako współwłaściciele studia i twórcy tylu wspaniałych filmów, ponizali się produkując dla telewizji. Stosunkowo młode medium, w 1982 roku było nadal pod ostrzałem snobów. Niewiele wielkich gwiazd chciało grywać w serialach, bo na takich aktorów patrzono z góry. Chloe nie dbała o to. Potrzebowała dobrej pracy — tej pragnęła bardzo. Kilka ładnych, młodych dziewcząt — Sharon, Tracey i Cindy — przechadzało się tu i ówdzie z wymuszonymi uśmiechami. Wiedziały, że nie dla nich takie miejsce, ale dobrze było tu być ze względu na karierę. Były gwiazdeczkami bez kontraktów MCPC, odzianymi w kreacje, które inne gwiazdy nosiły w filmach ubiegłych lat. Jak zwykle razem trzymała się stara gwardia. Eddie i Lew Wasserman, Mary i Irving Lazar, Janet i Freddie de Cordova, Billy i Audrey Wilder. Na ilu takich przyjęciach byli przez dziesięciolecia! Ilu właścicieli studiów, ilu robiących karierę aktorów, ilu popularnych młodych reżyserów widzieli najpierw u szczytu sławy, a potem odchodzących? Bycie razem nadal sprawiało im radość, a fakt, że razem byli właśnie tu, podnosił rangę przyjęcia.

Chloe czuła się bezpiecznie nawet w sukni sprzed dwu lat. — Moja droga, lepiej być skromnie ubraną niż wystrojoną — zawsze powtarzała jej lady Sarah. Sama oczywiście nie posłuchała własnej rady. Zdobiły ją sznury pereł wielkości fasoli. Bładofioletowe falbanki z organdy i tafty podkreślały jej rude loki, gdy stała gawędząc z Sissy.

Chloe skinęła głową Sissy, ta posłała jej lodowaty uśmiech. Nigdy nie były przyjaciółkami, niewiele też miały ze sobą wspólnego. Zbliżała się godzina obiadu. Chloe zaczynała się denerwować. Josh obiecał, że spędzi z nią dzisiejszy wieczór. Potrzebowała jego moralnego wsparcia. Już samo przybycie na wielki oficjalny hollywoodzki bankiet szarpało nerwy, a cóż dopiero samotne przybycie. Nerwowo sączyła szampana, potem odstawiła kieliszek czując, że lekko kręci się jej w głowie. Znów popatrzyła na zegarek.

Za dziesięć dziewiąta. W każdej chwili może nastąpić ogłoszenie rozpoczęcia obiadu. Miała siedzieć przy stole z Joshem. Będzie czuła się bardzo niezręcznie, jeśli on nie przyjdzie. Splotła dłonie — tak chciała, żeby się zjawił.

Jeszcze jedna претенdentka do roli Mirandy, ale w opinii wszystkich, poza konkurencją z powodu zbyt młodego wieku, źle się czuła na tarasie i chciała już iść do domu.

— To bez sensu — powiedziała Sabrina Jones do Jonny'ego Swansona, jej agenta prasowego. — Wiem, że nigdy nie dostanę tej roli. Jestem za młoda. Johnny podzielał jej zdanie. Dwadzieścia trzy lata to stanowczo za mało, by grać doświadczoną światową kobietę. — Jestem pewien, że Abby chce, byś zagrała jedną z córek. Dobrze wie, że nazwisko tak popularne jak twoje przykuje uwagę prasy.

— Może — mruknęła Sabrina. Źle się czuła. Tęskniła za Luisem, ale Johnny nie pozwolił go tu przyprowadzić.

Chloe podeszła do Sabriny i Johnny'ego. Młody mężczyzna zachowywał się przyjaźnie, był dowcipny i atrakcyjny, a — co dziwniejsze — wydawało się, że bardziej interesuje go Chloe niż jego młoda klientka. Rozmowa z nim sprawiała Chloe przyjemność — udało mu się nawet ją rozśmieszyć.

Johnny Swanson lubił Chloe, właściwie nawet w pewien sposób wyróżniał.

Wygląda na oszołomioną — pomyślał. Czy to dlatego, że nie ma z nią Josha?

Współczuł jej, podziwiał sposób, w jaki sobie z tym radzi. Zjawiła się lady Sarah i poprosiła go do tańca; jej język znalazł się zbyt blisko jego ucha.

Uwolnił się z obrzydzeniem. Boże, co za bezkształtne cielsko. Nie pociągała go w najmniejszym stopniu, mimo że osiągnęła wiek, jaki lubił. — Nie, słoneczko — powiedział stanowczo. — Zatańcz z ogierem, który tak ci się przygląda. Ja dziś mam niewygodne buty, kochanie. Lady Sarah podniosła wyskubane rude brwi.

— Słoneczko — coś takiego! — popatrzyła na ogiera Alexa.

— Hm, niezły, całkiem niezły.

Johnny posunął się, by nadal przyglądać się Chloe. Niełatwo było ją poderwać — tak plotkowano. Chłopcy jadający lunch w La Maison wiedzieli wszystko o złych skłonnościach i preferencjach „Dającej się poderwać czterdziestce”, jak je nazywali. Wymiana tych wiadomości dawał im rozeznanie w preferencjach łózkowych pań. Johnny wiedział, że małżeństwo Chloe trzyma się nieźle, ale dziś była sama. Nigdy nie słyszano, by z kimkolwiek miała romans. Wierna żona w Hollywood była rzadkim ptaszkiem. Szczególnie wyglądająca tak ładnie jak Chloe. Kobieta jednego mężczyzny, wierna i koło czterdziestki — w jego typie! Opierała się teraz o barek, nadal samotna, sączyła szampana, marszczyła brwi nad zachwycającymi turkusowymi oczami. Była smutna.

— Szampan powoduje koszmary — krakał. — Dla ciebie lepsze jest gorące mleko. Ale to zależy od tego, co robisz w łóżku.

Chloe uśmiechnęła się delikatnie; był chłopięco uroczy, usiłowała się przekomarzać. — Nienawidzę gorącego mleka— powiedziała. — Przypomina mi dzieciństwo.

Zanim Johnny zdążył kontynuować słowną grę wstępną, majordomus oznajmił, że podano obiad. Goście zaczęli płynąć z marmurowego hallu, wymuskanego welwetowego trawnika i salonu w kierunku sali balowej. Sufit sali balowej wyglądał jakby malował go Michał Anioł. Wśród białych chmur na lazurowym niebie fruwały anioły. Na ścianach były osiemnastowieczne lichtarze kinkietowe, w których płonęły woskowe świece. Nie było tu światła elektrycznego, tylko setki świec na ścianach i dziesięciu stołach rozstawionych symetrycznie wokół sali. Pośrodku każdego ze stołów stała waza z majoliki, a w niej białe róże, kalie i maleńkie, artystycznie ułożone przez Milтона Williama lampeczki. Służący pomagał gościom znaleźć miejsce przy stole.

Gdy Chloe już traciła nadzieję, Josh zjawił się u jej boku. — Cześć, maleńka — wyszeptał, ściskając jej ramię i muskając policzek miękkimi wargami.

Poczuła delikatną woń tequili i silniejszą dopaminy. — Nie zawiodłem cię, dziecinko. Jestem tu, niezawodny staruszek.

— Kochanie, tak się cieszę, że przyszedłeś. Już się martwiłam — uśmiechnęła się dotykając twarzy, na której tak jej zależało.

— Wiesz, że nie zawiódłbym cię, Chloe! — drżał. Wiedziała, że jest czymś bardzo podniecony. Jego słowa rozlewały się nieczytelnie. Nikt oprócz Chloe nie wiedział, że pił i brał narkotyki; był ekspertem od ukrywania tego, prawdziwym profesjonalistą.

Nie obwiniała go. Przecież zjawił się na przyjęciu. Dla niej. Nie przesadzaj, Chloe — podpowiadał wewnętrzny głos. On tu jest. Kocha cię. Bądź wdzięczna.

Goście popatrywali ukradkiem na zegarki. Dziesiąta trzydzieści. O dziesiątej czterdzieści pięć można będzie wychodzić. Zwykle dwie i pół do trzech godzin goście zostawali na hollywoodzkich przyjęciach. Potem szli do domu — oglądali Carsona lub wideo, czytali scenariusze, dzwonili do kobiet lub palili skręta. Nie wszyscy aktorzy musieli wstawać o szóstej na zdjęcia, ale to była dobra wymówka, by wyjść. Przyjęcia odbywały się tak często — zostać dłużej niż trzy godziny byłoby stratą czasu. Srebrny widelec uderzył o kryształowy kieliszek — Abby chciał przemówić do gości.

— Dzisiejszy wieczór jest ważny dla wytwórni — mówił, skupiając na sobie uwagę tłumu. — Nasz nowy show „Wielcy konspiratorzy” przyniósł sieci wielki sukces.

Wymieniono znaczące spojrzenia. Kłapa, wszyscy wiedzieli, że zrobił zupełną kłapę, mimo wtorkowych emisji w czasie gdy rywale nie pokazywali nic ciekawego. Abby, rezolutny mówca, starał się ratować sytuację z wytrenowaną zręcznością.

— Jestem wzruszony, że jesteście tu dziś wszyscy, drodzy przyjaciele, partnerzy i współpracownicy! — jego oczy omiatały pokój, napotykać blade uśmiechy, niewielkie zainteresowanie i zaniepokojenie.

— No, dalej, kochasiu — mruzczała lady Sarah, a jej pulchne upierścienione dłonie kreśliły kółka na udach napalonego młodego mężczyzny, którego rano poderwała na przystanku autobusowym w Santa Monica.

— Jak wszyscy wiecie, telewizja to przyszłość, to nasza przyszłość. — Ponieważ większość jego gości grywała w filmach kinowych, reakcja była minimalna. Oni nadal nie traktowali telewizji poważnie. — My — skinął głową w kierunku swojej partnerki, Gertrudy, która uśmiechnęła się zachęcająco — postanowiliśmy nagrać jeden z najciekawszych długich seriali sezonu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego, osiemdziesiątego trzeciego. Myślimy, że to będzie przebój następnych dziesięciu sezonów. Kupiliśmy książkę „Saga”, która — jak wiecie — jest bestsellerem. Zaczniemy kręcić zdjęcia do czterogodzinnego mini-seriału w ciągu trzech miesięcy. Następnie będziemy kręcili cały serial.

Przestał mówić, oczekując na aplauz. Goście spoglądali na zegarki.

— Nadal dobieramy obsadę, ale mamy do zakomunikowania kilka ciekawych wiadomości. Rolę Steve'a Hamiltona, patriarchy-przywódcy, człowieka majątnego, prawego i dzielnego... zagra ulubiony bohater Ameryki, Sam Sharp!

Rozległy się oklaski. Sam był popularny. Wstał, uklonił się ukłonem, jaki wzbudzał sympatię amerykańskiej publiczności od 25 lat. Sissy uśmiechnęła się jako dumna żona.

— Do roli Mirandy, Scarlett O'Hary lat osiemdziesiątych, wybraliśmy pięć wspaniałych pań. Proszę o powstanie... panna Sabrina Jones! — Słaby aplauz. Do tej pory była mało znana. Sabrina zaczerwieniła się, wyglądała na zmieszaną. Johnny uściskał jej dłoń uspokajająco; chciał, by podobała mu się, była jednak stanowczo za młoda.

— Pani Chloe Carriere! — Średni aplauz. Chloe, kłaniając się przed hollywoodzką śmietanką wiedziała, że w ogóle jej nie akceptują. Na pewno mogliby obejrzeć jej show w Las Vegas, gdyby tam byli. Ale tak naprawdę nie interesowała ich. Była tylko piosenkarką. Angielską wokalistką. Ani sławną, ani młodą, ani wysoko postawioną. Ot, jeszcze jedną wykonawczynią.

— Pani Rozalinde Lamaze! — Bardziej entuzjastyczny aplauz, kilka pomruków zadowolenia, gdy gołe udo pokazało się przez rozcięcie w sukni ze złotej lamy. Rozalinde grała w wielu bardzo dochodowych filmach. Była popularna — znów mogła być — więc aplauz był ciepły i niemal szczery.

— Pani Sissy Sharp! — Wielki aplauz, szczególnie tych, którzy szczylic się mianem przyjaciół prezydenta Reagana. Oczywiście Sissy błyszczały triumfalnie. Gdyby kryterium była reakcja zebranych gości, ona miałaby rolę!

Zachowywała się tak uprzejmie jak tylko potrafiła — czuła, że dziś wieczorem wszyscy otaczali ją miłością.

— I wreszcie ... pani Emeralda Barrymore! — Hałaśliwy, szalony aplauz. Emeralda była bardzo popularna, jej zmagania z narkotykami, triumfalna rehabilitacja i fizyczna metamorfoza zyskały jej sympatię miasta. Co z tego, że od dziesięciu lat nie nakręciła w Ameryce żadnego filmu? Była zwyciężczynią. Prawdziwą wielką gwiazdą. Pozostanie nią do końca życia, nawet jeśli już nigdy nie zagra.

Josh uściskał dłoń Chloe, dodając jej otuchy. Odwzajemniła uścisk i uśmiechnęła się. Widziała, że znów brał kokę. O Boże — pomyślała — jak długo tym razem? Ile czasu upłynie zanim pokona go nałóg i znów mnie zrani?

Calvin nigdy nie uczęszczał do college'u. Nie było na to stać jego rodziców, a poza tym stopnie w szkole średniej miał tak złe, że żaden szanujący się uniwersytet nie wzięłyby pod uwagę jego podania.

Miał osiemnaście lat, gdy postanowił opuścić śpiące Utah, gdzie dorastał, i pojechał na zachód. Celem była Kalifornia; czuł, że tam może spełnić się jego najważniejsze marzenie: osobiste spotkanie z Emeraldą Barrymore.

Znalazł pracę w Beverly Hills przy załadunku i rozładunku w sklepie przy Canyon Drive. Szybko awansował: po pięciu latach pozwolono mu zajmować się klientami, został młodszym sprzedawcą w dziale fotografii.

Tutaj codziennie spotykał wiele gwiazd telewizji i kina.

Niektórzy zostawiali swoje „szczęśliwe ujęcia” do wywołania, kiedyś znalazł zdjęcia Emeraldy w ogrodzie, przy barbecue, w domu wielkiego agenta Sue Jacobsa.

Wszystko było na najlepszej drodze. Pewnego dnia ona przyjdzie tu, a on będzie mógł ją obsłużyć. Zostaną przyjaciółmi, a potem — kto wie? — może kochankami... Musi tylko poczekać.

Gdy Josh nagrywał w Los Angeles, mieszkał w Beverly Wilshire. Przyglądał się kobietom na Rodeo Drive, a potem usiłował je poderwać. Naprawdę nigdy nie przestawała fascynować go ta gra, była jak wielkie polowanie czy hazard. Wiedział, że może stracić Chloe, ale nie potrafił się powstrzymać. To była chorobliwa obsesja, wiedział o tym. Przez dziesięć dni, jakie upłynęły od przyjęcia u Arafatów, wdychał więcej kokainy niż kiedykolwiek wcześniej. Dziś obudził się o trzeciej po południu, jak zwykle z bólem głowy. Perry przyniósł śniadanie — szklankę Perrier i świeżego soku cytrynowego z trzema musującymi tabletkami Alka-Saltzer, gorącą grzanekę z serem i dżemem jagodowym oraz pół grama koki na srebrnej tacy obok nowego, starannie zwiniętego banknotu studolarowego. Koka rozjaśniła jego umysł. Pomyślał, że popracuje dziś nad słowami nowej piosenki. Po trzech godzinach poddał się — opuściły go pomysły. Nie mógł znaleźć właściwych słów, bez względu na to, jak dużo koki wdychał.

Nastawił teleskop i skierował go na południowy kraniec Rodeo Drive. Było tuż po lunchu. Kobiety i dziewczyny w różnym wieku, różnych kształtów,

wypływały z pobliskich restauracji — z Bistro, Bistro Gardens, La Scali — szły w dół eleganckiej ulicy, uprawiały ulubiony sport kobiet w Beverly Hills — zakupy.

Josh popatrzył z zainteresowaniem na trzydziestopięcioletnią Chinkę i jej nastoletnią córkę. Czekwały na skrzyżowaniu, kierowały się w stronę Bon wit. Rozglądały się zaciekawione. Skąd mogą pochodzić? Z Hongkongu? Singapuru? Nieważne. Miał wzwód, gdy tak przyglądał się małym sutkom dziewczyny pod podkoszulkiem. Jej matka też była ładna. Para orientalnych małych laleczek. Skinał na Perry'ego. Perry nie był niedołągą, jeśli chodziło o podrywanie. Przez lata służby u Josha w siedemdziesięciu pięciu procentach przyczynił się do jego sukcesów, potrafił rozmawiać z kobietami. — Widzisz te Chincezki, Peny? — spytał Josh. — Przyrowadź je.

Po drugiej stronie ulicy Chloe już miała wejść do butik St. Laurenta, gdy spostrzegła Perry'ego podchodzącego do dwu Chinek. Oblała ją fala obrzydzenia, gdy uświadomiła sobie, że Josh znów wrócił do starych tricków. Z ust Perry'ego prawie mogła odczytać, co mówi, widziała zadowolone twarze kobiet, gdy zabawiał je rozmową.

Z obrzydzeniem skierowała się w stronę parkingu. Do diabła z nową sukienką na ich dzisiejsze przyjęcie! Dziesiąta rocznica ślubu...

Gdzie popełniła błąd? Czy Josh był potajemnie niewiernym flirciarzem, czy zawsze flirtował, przez całe pierwsze osiem lat? Czy ona była ślepa? Czy nigdy nie będzie umiał być wierny? A może tylko wspiera swoją męskość? Może to dlatego, że jego kariera chyli się ku upadkowi, dlatego, że boi się starości? A może to narkotyki? Czy kokaina powoduje to ohydne zachowanie? Czterdziestoletni mężczyzna o moralności siedemnastolatka! Chciałaby zrozumieć, przebaczyć, ale już dłużej nie mogła. Tak, jej kariera wyglądała coraz lepiej, gdy tymczasem jego chyliła się ku upadkowi. Ale nie mogła pozwolić, by teraz ją zniszczył — by zniszczył jej ego razem ze swoim. Dlaczego mężczyźni sądzą, że to tylko oni mają delikatną naturę? Dlaczego przypuszczają, że kobiety nie mają do niej prawa?

W pierwszych latach małżeństwa, jej kariera nie była najważniejsza.

Zajmowała się nową dla niej pracą w domu: gotowaniem dla swego mężczyzny, kupowaniem jego ulubionego jedzenia, napełnianiem szaf ubraniami, w których mogliby się relaksować w wygodnym domu w Malibu. Jedną z ich ulubionych rozrywek była jazda konna poza miastem — on na arabskim ogierze, ona na swej ulubionej angielskiej klaczy. Po nocy spędzonej na przyjęciu lub oddawaniu się miłosnym rozkoszom, rano często jeździli po wydmach.

Zbierała dla niego płyty. Gardził osiągnięciami Toma Jonesa, Roda Stewarda, a nawet Micka Jaggera. Z nimi wszystkimi był w swoim czasie związany, więc Chloe ukrywała swe zainteresowania, poszukując trudnych do zdobycia nagrań Billie Holiday, Fatsa Wallera i innych wielkich. Josh mógł ich słuchać całymi dniami.

Uwielbiał, gdy go tuliła i pieściła, nazywała najmiłszymi imionami, trzymała jak dziecko. Zamykał oczy, czarna głowa szukała gniazdka między jej piersiami, miał uśmiech zadowolenia na twarzy. Opuszkami palców robiła ścieżki na jego ciele, dotykała go wprawnie tu i tam. Czasami, frywolnie, jej wyszkolone palce dotykały go intymniej, zamieniając delikatną niewinność w paroksyzm przyjemności.

Zawsze ją podniecał. Przez wszystkie lata małżeństwa nigdy nie znudziła się jego udami pomiędzy swymi, jego językiem zwiedzającym wnętrze jej ust, muskularnymi dłońmi dotykającymi tam, gdzie lubiła najbardziej, co zawsze prowadziło do zaspokojenia.

— Tak bardzo cię pragnę, kochanie — szeptał w jej włosy. Gdy byli spleceni razem, w czasie aktu miłosnego znikła surowość jego wyrażania się. Z nią Josh stawał się czułym, okazującym uczucia kochankiem. Nikt nie był bardziej zdumiony taką transformacją niż on sam — on, którego nigdy nie obchodziła żadna kobieta. Dla Chloe z jego ust padały tylko czułe słowa. Słowa miłości, słodczy, czułości, przywiązania. Uwielbiała to. Kochała go tak bardzo. Na zawsze. Ta miłość miała trwać wiecznie.

— Przestań, Chloe — mówiła sama do siebie. Wspomnienia o tym, jak się kochali, teraz tak beznadziejnie zakłócała myśl o nim pieprzającym dwie Chinki. Widziała jak Perry prowadził je do Wilshire. — Nie myśl o tym, dziewczyno. To skończone. Wiesz, że musisz z tym skończyć! Skończone! Już od lat było skończone.

Pojechała srebrnym mercedesem z powrotem do Malibu, słone łzy wypełniały oczy, spływały po twarzy. Musi przygotować się na dzisiejsze przyjęcie. Ich dziesiąta rocznica ślubu. Czowała się jak odrzucona. Czy tak czuje się człowiek, gdy ma złamane serce?

O czwartej po południu wróciła do domu. Muzyka pop dochodziła z kuchni, gdzie meksykańska służba przygotowywała jedzenie na przyjęcie. Poszła na plażę i posępnie gapiła się na ocean. Małżeństwo skończyło się. Josh jej nie kocha. Swą karierę podporządkowała jemu, zachęcała, by nie tracił nadziei. Usiłowała nadać życiu nowy wyraz; on nie odpowiadał na jej wysiłki. Był nicponiem i niewdzięcznikiem.

Mógł zaprzeczać, i tak był spadającą, starzejącą się gwiazdą. Nie miało znaczenia, że nadal wyglądał seksownie, silnie. Tylko czasem napomykano, że odchudza się i poci przed każdym występem. Czternastolatki wiedziały, że dobiega czterdziestki, gdy patrzyły na jego twarz zdobiącą okładkę płyty. Nie pomagały retusze ekspertów. Chętniej sięgali po albumy Michaela Jacksona czy Ricka Springfieldda, Joshua Brown był przebrzmiałym idolem ich mam.

— Kochanie, nie możemy zawsze być młodzi — łagodziła i uspokajała Chloe, gdy wściekał się na taką niesprawiedliwość. Czuł się coraz bardziej zagrożony, gdy zaczęły przerzedzać mu się włosy. Chloe nie mogła dłużej swoją miłością kocić niewiary Josha w samego siebie. Wszystkiego było mu za mało. Potrzebował nowych podniet. Nowego kociaka. Nowej zwierzyny. Och, ten dreszczyk polowania! To go nigdy nie męczyło.

Choć Josh ciągle był popularny wśród kobiet, w czasie małżeństwa usiłował być wierny Chloe. Ona, kochająca, dbająca o niego, demonstracyjnie seksowna, przez pierwsze lata małżeństwa nie dawała mu powodu do zdrad. Wiedział, że jego penis nie jest już taki sztywny. Teraz potrzebował więcej pewności, że będzie mógł go użyć dwa, trzy, czasem cztery razy w czasie sesji. Kamieniał z przerażenia z powodu gasnącej seksualności, normalnej rzeczy dla mężczyzny w jego wieku. Musiał sprawdzać się przed samym sobą — może nie w taki sposób jak wtedy, gdy był nastolatkiem — ale potrzebował pewności, że nadal pożądamy go kobiety. Chloe już nie interesowała go seksualnie. Jej zaborcza miłość zaczęła go dusić. Oczywiście uwielbiał pieszczoty, bardzo lubił leżeć blisko niej, gdy go pieściła, śpiewała mu. Ona śpiewała nawet jego przeboje! Sprytna dziewczyna. Uwielbiał to. Ale była tak cholernie lepiąca się, była żoną, kobietą i matką jednocześnie. Tłumiła go. Nagle zapragnął nowych podniet.

On myśli, że jestem jego przeklętą matką — zżymała się, pokonując w białej bawełnianej sukni piasek Malibu. Stopy z pomalowanymi paznokciami rozgniatały z trzaskiem wodorosty, którymi usłane było wybrzeże. Nerwowo paliła papierosa, a przecież rzuciła to dawno.

— Do diabła z nim! — pomyślała dwie godziny później, leżąc w czarnej marmurowej wannie, która tak często była sceną ich miłości. Zaledwie tydzień temu „wziął” ją tu, gdy leżała zahipnotyzowana słuchaniem Leny Home zawodzącej „Kochaj mnie albo rzuć”. To był pierwszy raz inny niż zwyczajne „wypełnianie obowiązków” przez ostatnie sześć miesięcy. Kochali się radośnie i spontanicznie. Pokryci bąbelkami pieścili się w gorącej, pełnej piany wannie. Prawie jak za dawnych dobrych czasów. Prawie. Zaledwie tydzień temu... Myślała o czasach, gdy czuli się czegoś pozbawieni, jeśli nie kochali się choć raz rano i raz w nocy. Miłość umiera, namiętność wygasa. Przeciwnością miłości nie jest nienawiść — jest obojętność. Westchnęła bezwiednie, usiłowała pomyśleć o dzisiejszym przyjęciu. Tak chciałaby czuć wobec Josha obojętność zamiast seksualnej zazdrości. Nadal go kochała, nic nie mogła na to poradzić. Och, przestań, dziewczyno — weź się w garść — wyjdź z wanny. Pomyśl o cholernych gościach. Czy mogła teraz odwołać przyjęcie? Niemożliwe. Połowa z nich w domach w Beverly Hills przygotowywała toalety, malowała twarze i paznokcie. Szoferzy polerowali do błysku srebrne spirity czy porsche. Nie, nie będzie nic sobie z tego robić. Josh ma problemy z sesją nagraniową — powie gościom uśmiechając się. Jest nadal w studiu. Koniec. Wiecie, jak to jest. Będą kiwali głowami ze zrozumieniem.

Oczywiście wiedzieli, jak to jest. Wszyscy byli w tym businessie, więc dobrze rozumieli.

Rozalinde Lamaze i Johnny Swanson przybyli pierwsi. Ona ubrana jak zwykle — białe obcisłe skórzane spodnie wsadzone w kowbojskie botki za siedemset dolarów z wzorkami z turkusowej skóry. Turkusowa jedwabna kowbojska bluza była rozcięta do pępka. Dookoła szyi piętrzyły się

pozostałości po jakimś dawno zapomnianym szczepie Navajów, srebro, turkusy i macica perłowa splecione w naszyjnik. Srebrny pas opinał jej wąską talię, kilka turkusowych pierścionków zdobiło ciemne palce.

Johnny i Rozalinde byli przyjaciółmi od lat, służyli sobie jako „eskorta”, gdy nikogo bardziej podniecającego nie było na horyzoncie. Johnny — dwadzieścia sześć lat i metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, Rozalinde — trzydzieści sześć lat i metr sześćdziesiąt wzrostu. On przystojny i szczupły, o chłopięcej łagodności, dowcipny. Jak na tak młodego człowieka, radził sobie świetnie z kobietami. Kochaj, co się rusza — to było jego motto. Wyczyny „dragala” szły za nim razem z ciekawą historią rodziny.

Rozalinde poprawiła naszyjnik i rozglądała się po pokoju. Dzisiejszy występ miał być małą grą w życiu ich obojga. Ale cóż to? On znów tu był, gruby stary Abby Arafat. Mężczyzna, który trzymał klucz do jej przyszłości. Usiłowała oczarować Abby'ego, pulchne biodra miały grać swą własną melodię w czasie gdy ona zagra rolę.

— Och, mam już tego dość — mam tyyyyle propozycji zagrania w filmach, ale nic mi się nie podoba. Kochany Abby, co powinnam zrobić? — Nie chciała, by wiedział jak bardzo zależy jej na roli Mirandy, choć zgodziła się na zdjęcia próbne. Ona, która zagra chłód, powinna zdobyć pierwszą nagrodę. To był modny ostatnio w Ameryce styl wyrażania się.

Abby uciął koniec cygara, ubawiony słuchał jednym uchem, obserwując jednocześnie inną kobietę, której zamierzał zrobić zdjęcia próbne do roli Mirandy. Ach, ta Chloe. Śliczna i z charyzmą. Przymrużył oczy obserwując ją. Miała na sobie obcisłą białą suknię z jedwabiu, czarne loki kłębiły się w artystycznym nieładzie, widać było zarys ładnie uformowanych piersi, gdy odrzuciła głowę do tyłu, śmiejąc się w towarzystwie Alexa Andrews. Gdzie jest jej mężulek? — zastanawiał się Abby. Dlaczego nie pilnuje takiej podniecającej dziewczyny?

Alex Andrews był najnowszym przystojniakiem miasta. Wspaniały, młody, seksowny blondyn, męski i inteligentny, miał wszystkie przymioty, by wyglądać ponętnie na wielkim ekranie. Tyle że dziś nie wystarcza być wspaniałym, młodym itp. — dumał Abby. W latach trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych to gwarantowało gwiazdorstwo kina; potem, w latach sześćdziesiątych, owe walory zaczęły niemal przeszkadzać w karierze aktorskiej. Czy Dustin Hoffman, Michael Caine i Jack Nicholson byli wspaniali i młodzi? Nie. Byli aktorami, artystami, aktorami dramatycznymi, którzy do perfekcji opanowali swoje rzemiosło. Mieli tyle samo charyzmy co talentu, tyle inteligencji co interesującego wyglądu. W latach osiemdziesiątych trzeba było mieć wszystko: talent, osobowość, inteligencję i oryginalność.

Alex, studiując wytrwale, starał się osiągnąć to wszystko. Ale dziś działał inaczej na Rozalinde — posyłał w jej kierunku zamglone spojrzenia, odwracał się, by mogła dobrze zobaczyć jego dwudziestopięcioletnie, pokryte czarną skórą nogi. Alex był zwykłą duszyczką, kowbojem z Indiany, z całą

towarzyszącą temu naiwnością. — W jego głowie są wielkie puste przestrzenie — dowcipkował Johnny, zawsze czuwający, by ktoś niepowołany nie przedarł się do zastępów wybrańców.

Johnniego widziano chętnie na wszelkich imprezach w Hollywood: na przyjęciach rangi A i B, orgiach i na spotkaniach w celach dobroczynnych. Nie był aktorem, dopiero zdobywał pozycję. Całym sobą, penisem też. Nie miał dobrego pochodzenia i wiele przeszkód do pokonania, nawet jeśli jego agent twierdził, że dostanie rolę syna, Steve'a w „Sadze”.

Alex chętnie gawędził z Rozalinde, usiłował obudzić w niej kobiece zainteresowanie. Czuł, że choć ona jest wielką gwiazdą, a on tylko męskim odpowiednikiem gwiazdeczki, oboje grają tę samą grę. Czuł, że jest głodna. Wyczuwał jej seksualny głód w sposobie, w jaki okrągłe brązowe oczy podziwiała zarys kości policzkowych jego twarzy. Przebiegała delikatnie pulchnymi palcami pod jego czarną jedwabną koszulą. Delikatny dotyk motyla. Jak mało wiedział... nie myślała o nim. Rozalinde myślała tylko o Angelice. Boże, nie dopuść, by ten tłum miał odkryć, że jest lesbijką. Byłaby skończona w tym mieście. Mężczyźni mogli być tu pedałami, taki jest świat mężczyzn. Ale kobieta — symbol seksu — lesbijką? Sama myśl paraliżowała. Nigdy więcej nie dostałaby pracy.

Abby Arafat przechadzał się wdzięcznie wśród tłumu, rozmawiał ze wszystkimi. Uśmiechał się, potakiwał. Uosobienie uroku — dziś wieczorem dobrze wiedział o swej potędze. Kto by nie wiedział? U stóp miał całą śmietankę aktorską, wszyscy niemal umierali, by zagrać jedną z sześciu czy siedmiu wspaniałych ról w „Sadze”.

Abby ubolewał nad dawno przebrzmiałą erą prawdziwych gwiazd kina: Hedy'ego Lamarr, Avy Gardner, Lany Turner i Rity Hayworth. Dojrzałe, delikatne szesnasto- lub siedemnastoletnie pączki, znalezione w szkole średniej lub za ladą działu kosmetyków lokalnej drogerii, adorowane i uwielbiane kilka lat przez schlebającą, ale niewierną publiczność, która szybko gloryfikowała następną nową twarz. Publiczność nie wie, że gwiazdy, którym składa hołd, są zwyczajnym produktem, z ręcznie przygotowanym w studiu. Wiele z nich było plastikowymi modelami, bez serca, bez animuszu, nierzeczywistymi robotami żyjącymi i zachowującymi się według zasad narzuconych przez studio. Takie powinny być — pomyślał Abby. Robić to, co mówi studio. Dość miał tych spryciulek: Glendy Jackson, Vanessy Redgrave i Shirley MacLaine i im podobnych. Uważały, że mają pomysły. Chciały kierować produkcją, reżyserować, mieć coś do powiedzenia w pracy. Nie poddawały się manipulacji, pochlebstwom czy namowom.

Zadna z nich nie zagrałaby Mirandy, a nawet Sirope. Nie brałby ich pod uwagę. Potrzebował kobiety pociągającej zmysłowo — wrażliwej, delikatnej, ślicznie ubranej, emanującej sex apealem — staroświeckie przymioty w wycmupowanym świecie roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego. Zmysłowa kobieta o sex appealu przyciągającym mężczyzn. Kobieta taka jak... Chloe. Jeszcze raz przyjrzał się zarysowi jej ciała prześwitującemu przez

jedwabną suknię. Namiętna twarz, wszytkowiedząca choć młodo wyglądająca. Dlaczego by nie Chloe? Przyciął cygaro. Tak, rzeczywiście jest piosenkarką, ale kto mówi, że piosenkarki nie potrafią grać? Wystarczy przyjrzeć się Streisand, Minelli, Cher. Jęknął myśląc o tym. Jego serce wyrywało się do Streisand.

Odwrócił się do Chloe żywo rozmawiającej z Johnnym. Wiedziała, że dziś wygląda pociągająco. Bawił ją wpływ jaki wywierała na zainteresowanego nią mężczyznę. Na przyjęciu wielu mężczyzn chciało zwrócić jej uwagę, gdy nieświadomie złościła się z powodu nieobecności Josha, choć usiłowała tego nie pokazywać. Wiedziała, co powinna zrobić, co musi zrobić, jeśli chce szanować samą siebie. Rzuci go. Skończy z małżeństwem. Zdobędzie rolę Mirandy i pa, pa, Josh!

— Wspaniałe przyjęcie, Chloe — przerwał jej myśli Abby, wydzielając woń cygara i dobroduszości. Johnny topniał z nadmiaru uczuć. Jego nie interesowała pogawędka z tym starym przeżytkiem Hollywoodu, którego tak często wspominała matka. Johnny wiedział, że jego matka spała w połowie łóżek Hollywoodu, lecz nie przejmował się tym, przeciwnie — łóżkowe eskapady Daphne stały się częścią repertuaru jego anegdotek. Często w czasie piątkowych męskich lunchów w La Maison opowiadał przygody Maumuśki i jej kochanków, niewiele je tylko upiększając.

Nagle Chloe zobaczyła męża wchodzącego przez rzeźbione w azteckie wzory drzwi i podtrzymywanego przez kobiety o orientalnym wyglądzie. Był pijany — bardzo pijany, pewnie i naćpany.

— Kochanie — gruchała Chloe, przyciskając do niego swe jedwabiste ciało. — Tylko troszkę się spóźniłeś, kochanie. Jak poszło nagranie? — zdołała połączyć zainteresowanie żony z kobiecą wyrozumiałością.

— Tak, kotku, przyszedłem późno, naprawdę za późno! — delikatnie uszczypnął pachnący policzek. Nie zamierzał powiedzieć jej o popołudniu w Beverly Wilshire. Uświadomił sobie, że popełnił błąd. Fatalny. Nie pieprzył Chinek, choć kleiły się do niego jak lepy. Gdy przejaśniło mu się w głowie i wyraźniej zobaczył pokój, poraziło go, co zrobił zabierając je tutaj. Chryste, gdyby Chloe podejrzewała, byłaby cholernie wściekła! Nie wyglądała na wściekłą.

— Zrób sobie szybko prysznic i odśwież się, kochanie — Chloe mówiła najśladszym tonem, brała pod uwagę czterdzieści par oczu potencjalnych plotkarzy obserwujących ich powtórne połączenie. I tak plotkowali, że zaczęli chadzać własnymi ścieżkami, a przecież on i Chloe przeżyli dwa rozstania w czasie krótszym niż dwa lata. Wszyscy wiedzieli, że Josh potrafi błędzić, wielu dziwiło się, że Chloe trzymała go u domowego ogniska przez tyle lat.

— Lampart nigdy nie zmienia natury — zauważył mądrze Abby. — Nigdy. Po przybyciu Josha przyjęcie potoczyło się gładko. Podano wielopiętrowy tort kawowy ozdobiony tulącą się do siebie lukrowaną różowo-brązową parą. Śpiewające trio, rozbiegając się ku uciesze zebranych, wykonało piosenkę „Happy Anniversary”. Wznoszono toasty na cześć szczęśliwej pary, której

udało się przeżyć dziesięć lat, co było rekordem jak na hollywoodzkie standardy. Chloe przyglądała się Joshowi nieodgadnionym wzrokiem. Ukrywała ból, wiedziała, że to już wreszcie koniec. Do widzenia. To pożegnanie z jej „małżeństwem na zawsze”. Nie ma sensu przedłużać agonii. Patrzyła jak jego język bawił się, drażniąc ucho jednej z kobiet, z którymi wrócił do domu. Ta dotykała przez jeansy jego przyrodzenia. Chloe widziała, jak on usiłuje potajemnie włożyć rękę pod spódniczkę kobiety. Umierała z obrzydzenia.

Również Sally widziała wszystko — oddana córka, współczuła ojcu. Cieszyła się widząc skręcającą się Chloe. Potrafiła odczytać z jej oczu ból. Widziała spojrzenia, jakie Chloe rzucała na Josha. Wiedziała, jak musi boleć obserwowanie go w towarzystwie dwu kobiet. Nie obchodziło jej to. Może rozwiodą się i już nigdy nie będzie musiała oglądać Chloe? — Żałosna stara krowa — powiedziała popijając piwo, a potem wychylając tequile w taki sposób, jak robił to ojciec.

Chloe krażyła między gośćmi, śmiała się, zabawiała ich, grała swą rolę. Josh stał po drugiej stronie pokoju wielkiego jak stadion, w otoczeniu kumpli i obu kobiet. Pijąc więcej stał się bardziej ochryply, agresywny i — co zauważyła Chloe — mniej atrakcyjny. Starzejąca się, siwiejąca gwiazda rocka w średnim wieku, usiłująca zachować młodość. Był patetyczny. Palił jointy i pił tequile. Wyglądał na zgaszonego, zmęczonego nieudacznika. — To nie jest facet dla ciebie, kochanie — szepnęła Daphne. — Zupełnie nie dla ciebie. Gbur, pijak i nicpoń. I cham — pomyślała — jeśli zachowuje się w ten sposób na oczach wszystkich.

Chloe czuła się straszliwie upokorzona i zażenowana, widząc męża we własnym pokoju z dwiema Chinkami i zafascynowanego tym, co one robią. Była prawie chora. Czuła się tak, jakby obserwowała wszystko w zwolnionym tempie. Jeden ze służących ciągle napełniał jej kieliszek szampanem. Płynęła przez pokój, obserwowała wszystko obiektywnie, nie dbała już o nic ani o nikogo. Wiedziała, że Abby wyszedł. To dobrze, że potencjalny boss nie był świadkiem jej poniżenia. Co do innych gości to niewiele obchodziło ją, co sobie pomyśla.

— Gdzie żona? Gdzie ona jest? — zawołał nagle Josh, wyrrywając się mniejszej z ulicznic i przerywając jej zabawianie się włosami na jego piersiach. — Chodź tu, Chloe, zaśpiewaj dla nas! — wrzeszczał łapiąc dłoń Chloe w swój niedźwiedzi uścisk i ciągnąc ją do pianina.

— Nie, Josh, nie! — Chloe usiłowała mu się wyrwać. — Dziś nie będzie duetu. Nie mogę. Nie rób tego, Josh, proszę.

Josh nie był świadom jej cierpienia. Wzruszył ramionami i wrócił do nastoletniej Chinki.

Chloe zapragnęła, by wszyscy sobie poszli. Wreszcie goście, jakby czytali w jej myślach, zaczęli opuszczać przyjęcie.

Rozalinde dokończyła szóstego drinka i uśmiechnęła się do Alexa. — Chodźmy stąd, kochasiu. Nudno tu — mruzczała. — Masz czym jechać?

— Oczywiście, oczywiście — powtarzał szczęśliwy Alex. Jego manager pożyczył mu swojego cadillaca; nie chciał, by widziano jego najnowszego klienta, na przyjęciu tak ważnym jak to, w wyklepanym mustangu. Alex wiedział, że wyjście z przyjęcia z Rozalinde Lamaze to już jest coś. Była zdecydowanie starsza od niego, ale była wielką gwiazdą. Miał nadzieję, że przed domem będą dziennikarze gotowi pstryknąć kilka zdjęć dla „National Enquirer”. Postanowił zmusić jutro swego agenta prasowego, by zadzwonił do Army'ego i Hanka — miał im dać wyłączność na opowiadanie o nowej parze. Może nawet napiszą o tym Liz Smith albo Susy w Nowym Jorku? Co pomyśla sobie chłopaki w Indianie?

Tuż obok domu, z ukrycia Calvin widział Rozalinde wychodzącą z przyjęcia z Alexem. Kpił sobie. Co za dziwka! Uczepiła się chłopaka co najmniej dziesięć lat młodszego od siebie, gładziła jego długie blond włosy, pieściła go w miejscach, o których Calvin wiedział, że są brudne. Ohydna dziwka! Szumowina. Gdzie jest Emerald? Dlaczego nie ma jej na przyjęciu? Było tu tyle innych znamienitości. Powiedziano mu, że przyjedzie, ale może Chloe nie zaprosiła jej — bez wątpienia z powodu zazdrości. Zazdrosna brytyjska dziwka.

Wszyscy są zazdrośni o Emeraldę — jest tak zachwycająca, tak słodka, wrażliwa i urzekająca. Niepodobna do żadnej z tych starzejących się dziwek i krów. Żadna z nich nie jest godna całować śladów jej stóp. Ona jest królową. Boginią. Jest najlepsza.

Patrzył na zegarek. Dwunasta trzydzieści. Widział, że ta meksykańska włóczęga i jej chłopczyk-zabawka byli zamknięci na przednim siedzeniu cadillaca.

Nagle wypełniło go nieoczekiwane podniecenie; patrzył, jak pieszczą się wzajemnie. Choć nienawidził Rozalinde, patrzenie jak jej dłonie obmacują ciało Alexa podnieciło Calvina niesamowicie. Alex wreszcie oswobodził się z gorących dłoni Rozalinde, włączył silnik i ruszył. Calvin pojechał za nimi zielonym chevroletem.

Gdy goście wyszli, Chloe natarła na Josha. — Dziś miara się przebrała, Josh. Chcę rozwodu, tym razem naprawdę go chcę. Jak śmiałeś przyprowadzić te kobiety do naszego domu?!

— Nie, maleńka, proszę. Nie, Chloe. Kocham cię, wiesz, że cię kocham. Zawsze liczyłaś się tylko ty, kochanie. Zawsze tylko ty — słowami chciałem naprawić swój błąd.

— Och, przestań, Josh — dźwięczysz jak zacinająca się płyta. Dość już mam twoich kłamstw. Chciała, by nie wyczuł bólu w jej głosie. Z trudem przełknęła ślinę, dusiła się. Zbyt wiele razy zranił ją, oszukując. Wmawiała sobie, że to nie ma znaczenia, że to pieprzenie na sportowo, nic poważnego. Zbyt wiele razy usiłowała mu przebaczyć. Dziś przebaczenie skończyło się. — Nie zniosę tego dłużej — powiedziała poważnie. — Doszliśmy do kresu drogi. Wiesz, że tak jest. Musimy się rozwieść albo zwariuję, bo myślę, że ty już zwariowałeś, Josh.

— Nie, Chloe, nie. Nie mogę żyć bez ciebie — błagał ją, ukląkł, łzy płynęły mu strumieniami po twarzy. Używał wszelkich tricków ze swego repertuaru, by wyperswadować jej rozwód. Ale przypominanie starych dziejów tylko zaogniało stare rany i jeszcze bardziej utwierdzało w przekonaniu, że małżeństwo skończyło się. Skośnookie kobiety były na końcu. Nie mogła tego tolerować. To, czy kochał się z nimi czy nie, nie miało znaczenia. Sam fakt, że chciał tego, wystarczył. Przed oczyma gości, w rocznicę ślubu, poniżył ją tak strasznie. To była obelga dla małżeństwa. Zhańbił ich oboje. — To już nie jest miłość, Josh! — krzyczała, nagle zapomniawszy o kontrolowaniu uczuć. — To przerażające— jak straszna choroba. Wszyscy na przyjęciu widzieli, co wyprawiałeś, nie będę tego tolerować. Jesteś chory, Josh!
Wypiła za dużo szampana. To pomogło jej wyzwolić się, uzewnętrznić ból. Zamknęła drzwi sypialni, wzięła dwie tabletki Valium, zdarła z siebie ubranie, zostawiła je na podłodze. Bez zmywania makijażu zapadła w bezsenną drzemkę.

Josh jechał cadillakiem wzdłuż Pacific Coast Highway siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. Nie zauważył za sobą samochodu policyjnego — głośna muzyka zagłuszała inne dźwięki. Właśnie pociągnął łyk tequili z pokrytej skórą piersiówki. Alkohol i joint wypalony wcześniej sprawiły, że poczuł się troszkę lepiej. Chloe z czasem odzyska zmysły. Musi. On jej potrzebuje. Przecież są małżeństwem — na zawsze.

Gdy zjawiły się przed nim migocące światła samochodu policyjnego i dźwięk syren wreszcie dotarł do jego świadomości — wiedział, że ma nowe kłopoty. Obudził się spocony. Czarna jedwabna koszula była przemoczona, szare spodnie też. Gdzie się u licha znajduje? Usiłował ruszyć mózgiem. Czy jest w więzieniu? Na miłość boską, dlaczego? Jak śmieli wsadzić go za kratki, jego, Joshuę Browna, supergwiazdę! Zaczął się pocić jeszcze bardziej, tak bardzo potrzebował powąchać co nieco. Sięgnął do kieszeni po skórzaną saszetkę, gdzie trzymał przybory — brązową kostkę czegoś „gorszego”, szklaną fiolkę „lepszego”, złotą brzytwę, platynową rurkę. Zniknęły. Przerażony szukał w innych kieszeniach, potem przeszukał brudną podłogę.

— Hej, wy tam, skurwysyny! — wrzeszczał. — Zwróćcie moje rzeczy, wy gnojki!

Zjawił się czarny strażnik, otworzył judasz w drzwiach i popatrzył na niego chłodno. — Zamknij gębę, narkomanie, albo sam ci ją zamknę — warknął zatrząskując okienko.

Josh zaczął się trząść. Nie brał działki od... kiedy to było? Druga albo trzecia rano — po tym jak Chloe poszła do łóżka zostawiając go samego. A teraz jest — popatrzył na zegar na ścianie za celą — dziesiąta rano.

Cholera. Zaczął się gwałtownie trząść. Zwymiotował do wiadra, potem — osłabiony i zdezorientowany — wrócił na brudne wyro. Gapił się na sufit i ściany pokryte napisami tysięcy więźniów, wreszcie zasnął. Sen uśmierzył nieco ból głowy i klatki piersiowej. Znów był gwiazdą. Wielką gwiazdą. Pałac

Cezarów w Vegas... londyńskie Palladium... Olympia w Paryżu. Wszędzie rzucał ich na kolana. Tylko miejsca stojące. Josh Brown, świat nigdy nie widział angielskiego wykonawcy o takiej charyzmie. Mógł mieć jaką tylko zechciał kobietę, i miał. On pragnął tylko jednej — tylko Chloe. Pragnął, by tak zawsze było. Inne nigdy się nie liczyły. Dlaczego Chloe nie potrafi tego zrozumieć? Kochał ją — zawsze ją będzie kochał. Jęknął.

Pozwolono mu na jeden telefon z celi. Zadzwoił do swego agenta, a ten natychmiast popędził do sądu okręgowego wpłacić kaucję. Zwolniono Josha, lecz nie przyniosło mu to sławy.

Przez następne dni usiłował skontaktować się z Chloe, ale ona upierała się, że małżeństwo skończyło się, nie chciała go widzieć. Z ciężkim sercem przeprowadził się do Beverly Wilshire, ona przesłała jego rzeczy przez Perry'ego. Dwa dni później Chloe wystąpiła o rozwód z powodu niezgodności charakterów.

Josh rzucił się w wir pracy. Chciał dokończyć płytę. Spożywał wielkie ilości tequili i kokainy, kochał się jak szalony z tyloma małoletnimi dziewczynami, z iloma się tylko dało. Gdy płyta była prawie skończona, zadzwonił agent, że ma dla niego interesującą pracę. Może i powinien wrócić do teatru. Jeden ze znanych brytyjskich impresariów chciał, by napisał muzykę i zagrał w muzycznej wersji „Cyrano de Bergerac”. To była cudowna okazja, jakiej pragnął od wielu lat, bo teatr zawsze był jego pierwszą, prawdziwą miłością. Dwa tygodnie później Josh i Chloe byli w separacji; on spakował rzeczy i wyjechał do Londynu.

Część trzecia

II

Siedzieli u Polo Lounge'a, popijając Dom Perignon i wymieniając informacje. Solomon Davidson, Sol dla wielu znajomych, opowiadał Chloe o zdarzeniach z jego nieudanego małżeństwa z Emeraldą: kilkumiesięczny romantyczny związek — takie lubiła prasa brukowa — szybkie zaręczyny, krótkie małżeństwo i separacja w ubiegłym tygodniu.

— Dlaczego ubierasz się w takim kolorze? — spytał ją oskarżającym tonem, przyglądając się jej nefrytowozielonej sukni.

— Nie rozumiem, nie lubisz zieleni? Nie mów, że jesteś przesądny — mruknęła Chloe, popijając szampana i przyglądając mu się z rozbawieniem. Solomon, bon vivant i przyjaciel gwiazd, przyjaźnił się z Chloe od lat. Wiele wieczorów spędzili śmiejąc się i żartując. Chloe było przykro; wiedziała, że Emeraldą jest nadal jego obsesją.

Gdy Emeraldą rozwiodła się po raz piąty, natychmiast zwróciła swe ciemnozielone oczy — nigdy nie gasło w nich światło, choć zbliżała się do pięćdziesiątki — w kierunku Sola. Och, szczęśliwiec! Och, co za głupiec! Z góry był skazany na ataki prasy brukowej, która uważała go za biednego wieśniaka, nie pasującego do Emeraldy.

Biedny Sol, którego bawiła rola powiernika sław, ku złośliwej ucieście gawiedzi stracił zarówno wiarygodność, jak i panią serca. Schował swą dumę, podniósł się, otrząsnął ze wszystkiego i znów pojawił się na scenie Los Angeles.

— Chciałbym, żeby do mnie wróciła — zwierzał się Chloe. — Nadal ją kocham.

Chloe współczuła mu. Już od miesiąca była bez Josha, a każdej nocy jej poduszka była mokra od łez, tak bardzo tęskniła za jego obecnością.

Emeralda czytała kolumnę plotek Army'ego Archerda z rosnącym zainteresowaniem. Chloe Carriere, jedna z aktorek ubiegających się o rolę Mirandy w „Sadze” i Solomon Davidson, mąż Emeraldy Barrymore, z którym ma wkrótce się rozwieść, mieli sobie wiele do powiedzenia, chyba nie tylko o fali upałów. Widziałam ich w lokalu Polo Lunge'a w zeszłym tygodniu. Czy to miłość rozjaśniała ich oczy?

Rzuciła gazetę, malachitową zapalniczką zapaliła shermana i umieściła go w bładozielonej fifce.

Chloe to parweniushka, co ona tu w ogóle robi? Po pierwsze jest Brytyjką, po drugie — nawet nie jest aktorką. Zwykła piosenkarka — w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych miała kilka przebojów, dawno już zapomnianych. Teraz znów się pojawiła jako bardziej niż poważna pretendentka do jej, Emeraldy, roli. Kiedy Emeralda po raz pierwszy usłyszała, że Chloe będzie miała próbne zdjęcia, myślała, że to żart. Ten żart okazał się poważnym zagrożeniem nie tylko roli, ale i męża, z którym się jeszcze nie rozwiodła. Nie pragnęła już Sola, ale też nie chciała, by dobrała się do niego Chloe.

Emeralda umieściła fikę pomiędzy drobnymi, wspaniale ułożonymi zębami.

Dla jej kariery ta rola była bardzo istotna. Nagrywanie reklamówek w Australii nie było poważnym krokiem w karierze filmowej.

Pomimo wielu małżeństw, problemów z piciem i skłonności do wydawania na prawo i lewo ciężko zarobionych pieniędzy, rozdawania ich przyjaciółom i mężom, była prawdziwym dzieckiem Hollywoodu, a ono nadal ją kochało.

Wielu z jej współczesnych popadło w narkotyki, picie, choroby albo popełniło samobójstwo. Nikt nawet się nie domyślał, że najczęściej przyczyną były niepowodzenia w karierze.

Marilyn Monroe. Biedna Norma Jean — nigdy nie wierzyła w siebie i to ją zniszczyło. Emeralda i Marilyn razem uczyły się w Szkole Aktorskiej. We wczesnych latach sześćdziesiątych Milton Green, ich mentor i zarazem wspaniały fotograf, obcesowy, o rozległej wiedzy i utalentowany, zajmował się karierami ich obu. Dziewczyny były bliskimi przyjaciółkami. Pożyczały sobie sukienki, dzieliły się radością i... mężczyznami. Śmierć Marilyn uczyniła wielkie spustoszenie w życiu Emeraldy.

James Dean — Jimmy — kochany Jimmy — jej pierwszy kochanek. Co z tego, że tego gorącego lata w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku

jego haczyk połknęła Ursula Address i wiele innych. Ona oddała mu się całkowicie. Emeraldą Barrymore — wspaniała osiemnastolatka, idol i uosobienie seksu dla milionów młodych ludzi — pozwoliła, by jej cnotę wziął James Dean, humorzasty, zachowujący się w sposób nie do przewidzenia, silny. Wielbiła go namiętnie aż do śmierci — zginął kilka miesięcy później. Krótki okres żałoby — była przecież tylko osiemnastolatką — i znów była zakochana. Tym razem — wydawało się — bardziej rozsądnie. Był to młody aktor, którego wkrótce po ślubie nakryła w łóżku z... mężczyzną. Rozwód, następne lzy i żałoba. Potem w jej życie wszedł Stanley O'Herlihy! Jak destrukcyjny wpływ może mieć człowiek na siebie samego? Może Irlandczycy mają obsesję śmierci, ale on wyniósł ją na wyżyny. Był niski, w średnim wieku i brzydki, właściwie pragnął tylko kobiet i whisky. Siłą napędową jego życia było pisanie, poświęcał mu wiele godzin.

Pierwszy raz pobrali się, gdy ona miała dwadzieścia, a on pięćdziesiąt lat. Kochał się z nią w sposób, jaki pozostawiał wiele do życzenia: dwie butelki irlandzkiej whisky codziennie i... przestajesz być ogierem. Po krótkich, niesatysfakcjonujących ją momentach połączenia fizycznego, odpoczywał siadając za biurkiem, chwytając pióro i pisał długo w noc. Młoda żona zostawała sama i niezaspokojona. Na dwudzieste pierwsze urodziny podarował jej wibrator, dołączając sarkastyczny liścik. Zabrała go ze sobą do studia; tu kolega aktor pokazał, co robić z wibratorem — i z nim.

W jakiś sposób oczywisty brak zainteresowania Stanleya jej urokiem pociągał Emeraldę; jeszcze bardziej pragnęła, by ją pokochał. Powiedział jej szczerze, że nigdy w życiu nie kochał żadnej kobiety, a jeśli pokocha, to z pewnością nie będzie to ona, bo za daleko odbiega od niego intelektualnie.

Im bardziej ją obrażał, tym bardziej za nim szalała.

Sfrustrowana i wściekła, dwa razy opuszczała go dla młodszych, przystojniejszych, zamożniejszych i oddanych jej mężczyzn — mężczyzn, którzy satysfakcjonowali ją seksualnie, mówili komplementy, schlebiali, chcieli poślubić. To było za mało. Byli tylko pasującą do niej dekoracją, chwilową seksualną namiętnością — nie mieli dla niej znaczenia.

Ona pragnęła Stana O'Herlihy, który mając w tym swój interes, pozwalał Emeraldzie wracać do siebie kilkakrotnie. Zmagala się z jego pijackimi napadami wściekłości, z głupim irlandzkim usposobieniem i jego nieposkromionym zamięłowaniem do nierządu ze szmatławymi kelnerkami i prostytutkami; takie kobiety podniecały go bardziej niż ona. Uwielbiał seks patologiczny: trójkąci, orgie, sadyzm i masochizm. Znosiła to, aż wreszcie po dwu małżeństwach i dwu rozwodach, po dziesięciu latach rozstań i powrotów, Stanley wpadł porsche na drzewo i zabił się na miejscu razem z czarną prostytutką.

Emeralda opłakiwała go długo i głośno. Był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty; była u szczytu piękności i seksu a jednak jakoś nie mogła skupić na sobie uwagi widzów. Pomimo nagrania pięćdziesięciu filmów i

dobrego pochodzenia, po dekadach sukcesów, w studiu nagle przestała się liczyć.

W Hollywood nadal zaliczano ją do śmietanki towarzyskiej, ale dla młodych reżyserów i producentów była przebrzmiałą gwiazdą. Była dobrze po trzydziestce, a mimo to jej niezwykła blond piękność jeszcze nie gasła.

W końcu Emeraldy z filozoficznym spokojem pogodziła się z odrzuceniem przez Hollywood i wyjechała na stałe do Włoch. Tu nauczyła się języka, przez dziesięć lat zagrała w kilku podrzędniejszych, choć podobających się włoskich i francuskich programach. Kilka razy wyszła za mąż, podróżowała, wydawała każdy zarobiony grosz i czekała na dzień, gdy triumfalnie powróci do Hollywood.

Teraz siedziała w pokoju hotelowym w Sydney, patrzyła na zachodzące za pięknym, białym budynkiem opery słońce, oświetlające wody portu i czytała „Daily Variety” sprzed tygodnia. Wiedziała, że musi podjąć kroki, by dostać tę rolę. Zadzzwoni, gdzie się tylko da. Zrobi wszystko, by zagrać Mirandę.

Wszystko.

Tydzień później, z powrotem w swym hollywoodzkim mieszkaniu, wyciągnięta na delikatnym zielonym ręczniku pozwalała Svenowi wyczyniać, co tylko chciał z jej kręgosłupem. — Boże, co za kości — powiedział z entuzjazmem masując ją mocnymi rękoma. Oczy Emeraldy błyszczały. Dzięki cudom południowoamerykańskiej chirurgii plastycznej i rehabilitacji w klinice, gdzie wyleczono ją z alkoholizmu i narkotyków, czuła się jak nowo narodzona. W zeszłym roku zrzuciła ponad piętnaście kilogramów dzięki zastosowaniu restrykcyjnej diety składającej się z cukini, pieczonych kurczaków i wody Evian. Zupełnie oczyściła ciało z trucizn, które gromadziła latami. Teraz z determinacją chciała podbić nowy, podniecający świat telewizji.

Ostrożnie postawiła na poduszce bladezielony telefon. — Wiesz, że poddam się testowi — powiedziała. — Należy schować fałszywą dumę, kochany. — Jej agent, Eddie de Levigne był zadowolony. Tak pomagał klientom w zrobieniu legendarnych karier i wielkich pieniędzy, że w businessie nazywano go Szybkim Eddie. Emeraldy była spryciulką. A ostatnio najsprytniejszym jej posunięciem było pozbycie się chłopców Morrisa i wynajęcie Eddiego. W tym mieście, gdzie świeżo upieczone aktorki stają się primadonnami szybciej niż zdążysz spytać, kto w zeszłym roku dostał Oscara, jej podejście do sprawy było właściwe. Szybki Eddie czekał, by rozwinąć nad nią opiekuńcze skrzydła, by pomóc jej przyjść do siebie, postawić na nogi. On jeden wiedział, jak to zrobić. Był agentem we właściwym znaczeniu tego słowa, a nie bezmyślnym dupkiem w garniturze z szarej flaneli, jak tylu chłopaków w tym konglomeracie. Szybki Eddie robił wszystko z sercem — i miał rezultaty. Sven skończył masowanie pleców Emeraldy, spakował swe rzeczy i wyszedł. Z pomrukiem rozkoszy podeszła naga do szafy z lustrem, przeglądała niezliczone zielone suknie.

Emeralda ubierała się prawie wyłącznie na zielono, tylko czasem nosiła coś białego. Grając w filmach, wkładała kostiumy w innych kolorach, lecz w życiu prywatnym

wszystkie jej stroje były pistacjowo-zielone, zielono-trawiaste, koloru zielonego groszku lub oliwkowe. W przestronnej szafie znalazły się wszelkie odcienie zieleni, jakie tylko można sobie wyobrazić. Wybrała miętowozieloną bluzkę kupioną u Ungaro i pasujące kolorem gabardynowe spodnie, na zrekonstruowanej szyi zawiesiła szmaragd i wybrała się do biura Eddiego, by przedyskutować strategię

Szybki Eddie nie rzucał słów na wiatr. Choć w tym momencie Emeraldą była jego ulubioną klientką, zawsze nazywał rzeczy po imieniu. — Ta Carriere ma największe szanse, dziecinko — powiedział chrapliwym głosem. — Co do tego nie ma wątpliwości. Dziś rozmawiałem o tym z Gertrudą, wprost mi to powiedziała. Uwielbia ją Abby, sieć też, a oni jak wiesz mają tu ostatnie słowo.

— Cholera! — Emeraldą usiadła wyprostowana, jej wspaniałe oczy błyszczały. — Takie angielskie zero! Dlaczego woła ją ode mnie? Ja jestem gwiazdą. Ona tylko piosenkarką. Co możemy zrobić, Eddie?

— Zrobimy, co się tylko da, dziecinko — powiedział poważnie mały mężczyzna, spozierając spoza masywnych okularów. — Słuchaj, po prostu musimy działać wytrwale. Powiedziałem im, że jesteś najlepszą, największą gwiazdą, najwspanialszą i najbardziej utalentowaną. Zrobię, co tylko będę mógł, mała, a ty mi w tym pomożesz.

— Och, pomogę, wiesz, że ci pomogę, kochany Eddie!

— Zrób, co tylko możesz w czasie testu. Jesteś cholernie dobrą aktorką, mała, pomimo tych wszystkich kiepskich filmów i twoich głupich małżeństw. Emeraldą drgnęła. Prawda, krytycy nie lubili jej zbyt, ale wielbiciele kochali. Uwielbiali ją. Producenci i reżyserzy też ją kochali, ale nie dawali jej pracy, którą mieli dla Annie Bancroft, Sally Field i Jessiki Lange. „Saga” i Miranda Hamilton były dla Emeraldy kluczem do nowej kariery.

Sieć, Abby i Gertruda wreszcie ustalili datę testu finalistek do roli Mirandy. Rozesłano skrypty ról. Garderobiane zaczęły szukać kostiumów. Dla pięciu aktorek noce stały się katorgą. Miasto niecierpliwie czekało na rezultaty. Dzień testu rozpoczął się niezwykle jak na Kalifornię pogodą. Całą noc na drogi i bulwary, z ciężkich szarych chmur padał deszcz, obszar Los Angeles był nasiąknięty wilgocią.

Chloe obudziła się o piątej rano. Zaniepokojona przyglądała się wielkim falom walącym o fundamenty jej domu w Trancas. Zastanawiała się, czy jak zwykle deszcz zalał wzgórze wzdłuż Malibu Canyon i czy droga będzie przejezdna. Jeśli nie, może mogłaby pojechać drogą szybkiego ruchu, przeciąć Hollywood Boulevard i skręcić we Franklin Avenue. W studiu powinna być o siódmej trzydzieści. Narzuciła stary bawełniany szlafrok, wsunęła stopy w rozdeptane

kapcie z zajaczkami i zeszła na dół do kuchni. Czekając aż przez filtr przesączy się kawa, a informacja o stanie dróg odpowie na jej telefon, jeszcze raz sprawdzała informację o teście.

Były tu wszystkie — sześć nazwisk zaaprobowanych przez sieć, Abby'ego i Gertrudę.

Pandorze również udało się zdobyć test — myślała Chloe. Może chce zagrać drugą ex-żonę? Może to niezły pomysł. Ma ostrą, ciemną lisią twarz, jest dobrą aktorką w odpowiednim wieku — o Boże, jeszcze jedna rywalka.

Wypiła kawę, wzięła prysznic, ciągle rozważając swe szanse w porównaniu z pięcioma innymi aktorkami.

Sabrina Jones nie stanowi zagrożenia. Wszyscy, nawet sama Sabrina, wiedzieli, że nie jest odpowiednią osobą. Abby umieścił ją na liście, by przyciągnąć uwagę mediów i wzbudzić zainteresowanie publiczności.

Pandora King? Ona prawdopodobnie może dostać rolę pierwszej żony, bo — jak mówiła informacja o teście — miała mieć zdjęcia do obu ról. Była szanowaną aktorką, ale jeszcze jedną nerwową osobą i zawsze taką będzie. Rozalinde Lamaze. Zbyt etniczna. Cokolwiek powiedziałyby sieć, żeby nie wiem jak bardzo zaprzeczali producenci, wątpliwe było, by główną rolę dostała Rozalinde, oczywiście z powodu jej meksykańskiego pochodzenia. Chloe wiedziała, że Abby i Gertrude chcieli obsadzić w tej roli kogoś zachowującego się i wyglądającego jak Ang-lo-Sakson.

Głównymi rywalkami Chloe były Sissy i Emeraldal — co do tego nie miała wątpliwości. Sissy jako lepsza aktorka i żona Sama miała większe szanse. Ale Emeraldal była nadal tak wielką gwiazdą, iż Chloe była zdumiona jej zgodą na próbne zdjęcia. Ale co tam u licha — one wszystkie są tylko aktorkami.

Piekarze muszą piec, malarze malować, a aktorki grać. To jest ich życie.

No cóż, niech zwycięży najlepsza — pomyślała wkładając jeansy, flanelową kraciatą koszulę Josha i płaszcz przeciwdeszczowy. Jechała prędko srebrnym mercedesem w strugach lejącego deszczu, napotykając jedynie przypadkowe samochody, które utknęły po drodze. Dzięki Bogu, służbie drogowej udało się utrzymać Malibu Canyon w stanie przejezdnym. Olbrzymi mężczyźni, pocący się mimo zamarzającego deszczu, łopatami odgarniali śliskie błoto niebezpiecznie pokrywające Pacific Coast Highway. Odetchnęła wjeżdżając na drogę szybkiego ruchu w Hollywood i włączyła kasetę, która natychmiast przywołała wspomnienia.

Głosy z angielskim akcentem, jej i Lawrence'a Dillingera, a także zespołu aktorskiego wypełniły samochód. Chloe słuchała. Czy dla sieci TV będzie zbyt brytyjska? W tej chwili oprócz Ricardo Montalbana w dobrych programach telewizyjnych nie spotykało się cudzoziemców, on był aktorem charakterystycznym. Ulubieńcy TV byli tak amerykańscy, jak amerykańskie ciasto z jabłkami

i bardzo młodzi. Aniolki Charliego miały po dwadzieścia lat, a Dallas Dollies były z pewnością młodsze niż grupa, która dziś miała występować na scenie numer pięć.

True, Suzanne Pleshette, Stefanie Powers i Angie Dickinson — wszystkie występowały ostatnio w telewizji. One też miały około czterdziestu lat, może nawet więcej, ale były stuprocentowymi Amerykankami. Któryś już raz Chloe zastanawiała się, czy brytyjski akcent nie przekreśli jej szans.

Opuściła szybę podjeżdżając do strażnika przy bramie studia. Ten warknął na nią nieprzyjaźnie: — Nazwisko?

— Carriere — odpowiedziała Chloe. — Mam tu mieć test...

— A, tak — proszę zgłosić się w charakteryzatorni, scena numer pięć. — Zerknął na twarz Chloe, krople deszczu spadały mu z daszka u czapki na szyję.

— Czy ja panią znam? Pani jest Chloe Carriere, piosenkarka?

— Nadal nią jestem — odpowiedziała spokojnie Chloe, od sześciu czy siedmiu lat narażona na tego rodzaju konwersacje z nieznanymi.

— Co za głupiec ze mnie — powiedział gliniarz, uśmiechając się teraz. — Uwielbiam pani płyty, panno Carriere — zawsze je puszczałem, kiedy byłem w liceum. — Chloe obruszyła się. — Liceum! Ten mężczyzna musiał mieć co najmniej czterdzieści pięć lat, sądząc z jego zniszczonej twarzy; musiał być starszy od niej!

— Jak dojechać do sceny numer pięć? — spytała, grzecznie ucinając jego dalsze pytania.

— Proszę skręcić w lewo przy żeńskich garderobach... widzi pani tamte światła?... potem trzeba skręcić w prawo przy scenie numer siedem, jeszcze raz w prawo przy budynku administracyjnym i będzie pani na miejscu. Powodzenia, panno Carriere — zaskłamał jej na pożegnanie. Chloe, przestrzegając nakazu pięć mil jazdy na godzinę, podjechała w kierunku sceny numer pięć.

Parkowała na miejscu dla gości, gdy radośnie podbiegła do niej młoda długonoga blondynka. — Cześć, jestem Debbie, druga asystentka reżysera „Sagi”, proszę iść za mną, pokażę pani garderobę, jeszcze nie są gotowi, aby zrobić pani makijaż.

W pudełku na buty dwa na dwa metry, szumnie zwanym garderobą, Chloe dostrzegła satynowy peniuar koloru lila wiszący w przeźroczystej torbie na jednym z wieszaków. Na brązowej kanapie umieszczono starannie parę satynowych bucików, ufarbowanych tak, by pasowały do peniuaru. Obok leżały dwie pary rajstop; jedne beżowe, drugie ciemniejsze, i trzy pary różnej wielkości kolczyków imitujących diamenty. Zerknęły na nią w świetle upstrzonej przez muchy żarówki zwisającej bez klosza z sufitu tej komórki. Była tu mała toaleta z potłuczonym lustrem, w którym mogła się przejrzeć, jeśli przykucnęła. Było też chwiejące się krzesło, a żółto-czarne linoleum przykrywał szmaciany dywan z napisem „Własność Studio MCPC” na wypłowiałej czerni.

— Co za nora — pomyślała Chloe — wieszając płaszcz od deszczu na drugim haczyku za drzwiami. — Przecież widziałas już gorsze — powiedziała sama do siebie. Znacznie gorsze! Angielska prowincja — nie może być nic bardziej obrzydliwego niż te szcurze nory z kłębiącymi się karaluchami. Przebierała się w takiej w 1968 roku, w teatrze Alhambra w Basingstoke. W porównaniu z tamtym tu był pałac.

Chloe wyrzała przez maleńkie okno. Odkryła, że patrzy prawie prosto w okno wielkiej przyczepy, na której drzwiach napisano czerwoną szminką „Charakteryzatornia”. Wiele by dała, żeby wiedzieć, co się tam dzieje.

A wrzało tam jak w ulu. Choć była już siódma trzydzieści, twarz Sabriny nie była jeszcze skończona. Ben nakładał brzoskwiniowy podkład na powieki i policzki, a tymczasem Barry, trzeci asystent, dobijał się do drzwi.

— Jak długo to potrwa, Ben? — pytał długobrodego olbrzyma o delikatnych palcach.

— Tak długo, jak będzie trzeba, Barry.

— A jak długo trzeba — mogę wiedzieć? — Barry był wściekły. Ned, pierwszy asystent reżysera, napadał na niego, jeśli aktorzy nie byli gotowi na czas.

Dzisiejszy dzień był koszmarem dla asystenta reżysera — te wszystkie divy i przebrzmiałe gwiazdy miały mieć próbne zdjęcia. Dobrze wiedział, że pół godziny na makijaż i uczesanie, jak ustalono na zebraniu organizacyjnym, to było za mało, by przygotować każdą aktorkę. Najmłodsza i najładniejsza ze wszystkich, Sabrina — tak oszałamiająca, że za każdym razem, gdy na nią patrzył, przelykał z trudem — odezwała się do niego słodko:

— Jestem już gotowa, Barry — posłała mu najbardziej czarujący uśmiech; Barry mało nie zemdlał. Dopiero co wygrzebał się z trwającego rok romansu z Jackie Smith. Nie chciał, by jego łatwowierne serce znów dało się nabrać. Wolał wielbić ją z daleka.

Roberta Johnsona, aktora znanego jako „A.N.Inny”, wynajęto dziś, by zagrał u boku sześciu pań. W latach pięćdziesiątych był mało znaną gwiazdą w telewizyjnym serialu Steve'a McQueena „Poszukiwany: żywy lub umarły”.

Rozmowy z nim zawsze zaczynały się od „Steve i ja” albo „Gdy Steve i ja pojechaliśmy rowerami w pięćdziesiątym drugim... Gdy Steve i ja zeglowaliśmy... Gdy Steve i ja poderwaliśmy te dziewczyny w Acapulco...”. Oparty o drzwi usiłował bezskutecznie spowodować, by Sabrina popatrzyła mu w oczy, i dojrzała seksualne pożądanie.

Sabrina wolałaby, by ten podstarzały facet przestał rozbierać ją wzrokiem, lecz była zbyt grzeczna, by mu to powiedzieć. Uśmiechała się miło, wysłuchując opowieści o jego przygodach ze Stevem.

Na krześle obok siedziała Rozalinde z włosami na miękkich różowych wałkach i w narzutce w czarno-białe paseczki. Nora i jeszcze jedna charakteryzatorka zrećnie nakładały matowy cień na jej oczy. Nora nie lubiła matowego cienia. Wyglądał pospolicie, gromadził się w zmarszczkach oczu u każdego, kto miał więcej niż dwadzieścia pięć lat. Wyglądał cudownie

na osiemnastoletnich modelkach o dziecinnych buźkach bez skazy z ostatnich reklamówek firmy Revlon, ale Rozalinde postarzał.

Nakładając na rzęsy gęsty czarny tusz, podśpiewywała cicho w takt samby płynącej z radia. Przyniosła je ze sobą wraz z pudełkiem czekoladek dla zespołu charakteryzatorskiego i butlą szampana dla reżysera zdjęć. Dała mu go wraz z pocałunkiem, mówiąc: — Kochany, obiecałeś, że dasz mocne światło tylko nad kamerą, tak? I nie zapomnij o oświetleniu punktowym, dobrze, kochany?

Lazlo Dominick, który zajmował się oświetleniem dla wszystkich znanych w Hollywood aktorek od czasu Fay Wray, znał całą gamę tricków. Mrugnął do niej okiem, że się zgadza. I tak zająłby się oświetleniem, ale butelka szampana nie była złym pomysłem, więc może poświęcić jej nieco więcej uwagi niż innym. Zagwizdał cicho, gdy na planie pojawiła się Sabrina Jones ubrana w satynowy bladomorelowy negligé. Co za piękna kobieta — pomyślał; reszta ekipy też tak uważała — stali nieco dalej, nic nie mówiąc. Niewinny wygląd, świeżość i delikatność Sabriny wzbudzała w mężczyznach to, co było w nich najlepszego. Reżyser, Marvin Laskey, jeszcze jeden ze starej gwardii Hollywoodu, objaśniał jej scenę i usiłował ją rozluźnić. I tak była rozluźniona, pewna swej urody. Dobrze wiedziała, że nie dostanie tej roli, bo nie jest właściwą do niej osobą. Posłała Marvinowi czarujący uśmiech i skupiła uwagę.

— Panno Carriere, czekają, by zrobić pani makijaż — powiedziała radośnie Debbie. Chloe przeszła z maleńkiego do wielkiego pudła na buty, które służyło za charakterystyczny znak. Deszcz przestał padać, na jasnym niebie pojawiła się tęcza. Dobry omen — pomyślała wchodząc do pokoju. Pierwszą osobą, na którą się natknęła, była Rozalinde.

— Chloe — chica — Chloe — jak się masz? — Rozalinde zauważyła, że Chloe nieźle wygląda, biorąc pod uwagę, że jej twarz była zupełnie bez makijażu, a włosy miała związane do tyłu. Wyglądała poważnie, jakoś mało seksownie. Nic dziwnego, że Josh chodzi na boki — pomyślała Rozalinde.

Chloe usiłowała zachowywać się grzecznie. Wśliznęła się na czarny, imitujący skórę fotel i pozwałała Benowi, by przyglądał się jej twarzy. Zauważyła, że choć z powodu deszczu wszędzie było błoto, Rozalinde miała na sobie wysokie sandaalki w czarne paski. Widać było przez nie palce stóp z odpryskującym brzydkim lakierem. Przypomniała sobie kpiącą Sissy, która nazwała ją „meksykańskim śmietnikiem”, i uśmiechnęła się do siebie.

— Na miłość boską, pospiesz się. Już jesteśmy spóźnieni — Sissy wydzieriała się na szofera. Harry jedynie wzruszył ramionami. Jeżeli byli spóźnieni, z pewnością nie była to jego wina. Powiedziano mu, że ma być w posiadłości Sharpów w Bel Air o ósmej rano i był punktualnie. Madame zjawiała się o ósmej dwadzieścia pięć, klnąc jak szewc; sądziła, że w pięć minut zawiezie ją do studia w strugach lejącego deszczu. Nie miał zamiaru ryzykować życiem —

ani swoim, ani tej krowy. Utrzymał prędkość trzydziestu pięciu mil na godzinę i jechał jak zwykle ostrożnie, pomimo wściekłych wrzasków, by się pośpieszył.

Sissy poprzedniego wieczoru wielokrotnie czytała zawiadomienie o zdjęciach próbnych, potem w ogóle nie mogła zasnąć. Była wściekła, bo na liście pozostało nadal sześć aktorek. **SZEŚĆ!** To śmieszne. Choć użyła wszelkich wpływów, jakie miała w tym mieście, by dostać zdjęcia próbne, teraz wypełniała ją gorzka wściekłość, że poniżyła się do tego. — Czy zdajesz sobie sprawę, jak poniżający jest dla mnie taki test, tym bardziej, że bierze w nim udział ten meksykański brudas?! — napadła na Sama odpoczywającego w fotelu i usiłującego obejrzeć mecz w telewizji.

— Tak kochanie, wiem, ale przecież chciałaś tego testu. Zrobiłaś wszystko, by Abby to załatwił. Nie możesz się teraz wycofać. Wyszłabyś na idiotkę.

Jednego, czego Sissy nie zniosłaby, to wyjścia na idiotkę. Przyglądała się mężowi, całkowicie pochłoniętemu grą Lakersów. Wskoczyła do łóżka pomimo wczesnej pory, ale sen nie chciał przyjść nawet z pomocą trzech tabletek valium i proszka nasennego. Wierciła się w łóżku całą noc, myśli krążyły wokół testu i konkurentek. Zasnęła dopiero o szóstej trzydzieści, a dokładnie o siódmej Bonita, jej służąca, przyniosła spartańskie śniadanie na białej wiklinowej tacy. — Buenos dias, señora — szepnęła odsłaniając zasłony. Za oknem deszcz bezlitośnie smagał palmy.

Sissy mruknęła coś i przekręciła się na drugi bok. Zignorowała szklanekę gorącej wody z sokiem cytrynowym i plastry ananasa — spała dalej. Dopiero gdy Sam, wychodząc jak zwykle dwa razy w tygodniu na squasha, obudził ją po raz drugi, Sissy wyskoczyła z łóżka, wywracając wiklinową tacę na pościel. Wydierała się przeraźliwie na wszystkich w zasięgu wzroku, włączając w to dwa pekińczyki, Edwarda i Lowella.

Teraz, spowita w nową pelerynę z soboli, w pasującej do niej krepdeszynowej bluzce, gabardynowych spodniach i błyszczących botkach, w jedwabnym szalu na włosach i ogromnych okularach ukrywających zaczerwienione oczy, siedziała nerwowo na brzegu tylnego siedzenia swego rollsa, wydzierając się na kierowcę.

— Pani nazwisko? — spytał gliniarz przy bramie wjazdowej.

Sissy popatrzyła na niego jadowniczo. — Wieśniak! Czy on nie chodzi do kina? Jeśli ona dostanie tę rolę, natychmiast będzie wyrzucony.

— Pani Sissy Sharp, zdjęcia próbne do „Sagi” — powiedział z szacunkiem Harry i mrugnął do gliniarza. Sissy zagryzła zęby. Jego także się pozbędzie.

— Ach, oczywiście! Cześć! — gliniarz uśmiechnął się przyjaźnie i pomachał im.

Sissy wiedziała, że większość aktorów telewizyjnych dostaje małe pomieszczenia na garderobę, wymusiła więc na mężu, by pożyczył jej swój wygodny dom na kółkach, zaopatrywany przez studio. Wyposażenie składało się z łóżka, kuchenki, telewizora i lustra do makijażu obwiedzonego różowymi światełkami.

Sissy kręciła filmy w czasach, gdy gwiazdy otaczano należytytym szacunkiem — traktowano je jak orchidee hodowane w szklarniach, przymilali się do nich wszyscy. Era telewizji przyniosła wielu młodych i chętnych albo przebrzmiałych, lecz wdzięcznych za angaż aktorów. Oni nie dbali o warunki, mogli przebierać się nawet w garażu, bardzo bali się, stracić pracę. Potem, jeśli ich program okazywał się hitem, nagle stawali się bardzo wymagający. Nalegali na wszelakiego rodzaju udogodnienia, od telefonu bezpośredniego po prywatną saunę, a jeśli gwiazdą była kobieta — chciała mieć wolne w czasie menstruacji lub przerwę na karmienie dziecka, które często zabierała ze sobą na plan.

Dyrektorzy sieci TV obserwowali z mieszaniną przerażenia i chciwości rosnące wymagania nieskromnych aktorów. Sieć lubiła kreować gwiazdy, lecz nie supergwiazdy. — Im większa gwiazda, tym bardziej kocha ją publiczność, ale tym większym monstrum się staje — mawiał ze smutkiem Abby. To zdarzało się kilkakrotnie w ciągu sezonu. Obsesja widzów oglądania nowych twarzy gwarantowała, że co roku telewizja wyda na świat kilka nowych gwiazd.

— Do cholery, oni muszą znać swoje miejsce — uskarżała się Gertrude. — Nalegam, żebyśmy w przypadku „Sagi” wszystkich traktowali równo — jednakowe wynagrodzenie dla wszystkich.

— Niemożliwe — przerwał Abby. — Zagrają prawie dzieciaki i uznane gwiazdy. Nie bądź głupia, nie możesz dać im wszystkim takich samych pensji. — To przynajmniej starajmy się zachować równość gdzie indziej — upierała się Gertrude. — Żadnych bezpłatnych strojów i rachunków telefonicznych bez ograniczeń. Jedynym przywilejem ma być praca u nas w „Sadze”.

— Spróbuj, Gen — Abby uśmiechał się cynicznie.

— Proszę bardzo, spróbuj, kochana. To się nigdy nie uda, dobrze wiesz. Już mamy precedens z Samem Sharp. Dostaje przekłętą limuzynę, solidną garderobę, Dough Hayward przylatuje z Londynu, by robić mu przymiarki jego pieprzonych garniturów. To dziw, że nie ma w kontrakcie zagwarantowanego homoseksualisty uszczęśliwiającego go w czasie lunchu i Bóg wie co jeszcze. Naprawdę myślisz, że pozostałe gwiazdy nie zechcą tego samego?

— Sam Sharp jest szanowaną gwiazdą kina. Zapracował na swą pozycję — nalegała Gert. — Ma w kontrakcie klauzulę szczególnego uprzywilejowania. Nikomu nie możemy płacić tyle, co jemu.

— Tak, Gert, to tobie zawdzięczamy, że tyle mu płacimy

— Abby z wściekłością zapalał trzecie cygareto tego dnia.

— Trzydzieści pięć kawałków za odcinek dla gasnącej już gwiazdy to przesada kochanie, doprawdy przesada.

— Abby, postać Steve'a Hamiltona jest niezwykle istotna, jeśli „Saga” ma odnieść sukces. Dobrze o tym wiesz — upierała się Gertrude. — Jeśli on nie będzie kwintesencją rodu, jeśli nie będzie nadawał serialowi dynamiki, to lepiej go wcale nie kręcić. Sam Sharp spełnia wszelkie wymagania. Tyle lat

grał amerykańskich gentlemanów, że wie, jak to zagrać. Na dodatek jego notowania w telewizji są wysokie. Trzy ostatnie filmy miały bardzo dużą oglądalność. Jest doskonała — upierała się nadal Gertrude.

— Był — westchnął Abby.

— Potrzebujemy go — obstawała.

— Dobrze, dobrze, może masz rację. Może on jest gwiazdorem, ale jest też pedałem. Co zrobimy, żeby to nie dostało się na łamy szmatławców?

— To nie problem — odparła. — Jeśli potrafił to ukryć przez trzydzieści lat, będzie robił to dalej. Szczególnie jeśli w roli Mirandy obsadzimy Sissy.

— Co takiego? Sissy? Tego pokurcza? Przestań. Ona się nie nadaje do roli Mirandy. Zgodziłem się na test dla niej tylko ze względu na Sama. Nie zgodzę się, by zagrała Mirandę. Miranda to sam seks i kobiecość. Sissy jest zbyt, zbyt... — szukał właściwego słowa.

— Sucha? — spytała Gertrude.

— Tak. Za sucha, brakuje jej...

— Sex appeal? — mruknęła Gertrude.

— Właśnie! Miranda musi być uosobieniem sex appealu.

— Jest doskonałą aktorką, Abby — powiedziała Gertrude.

— Tak, we właściwej roli bywa wspaniała. Temu nie mogę zaprzeczyć, ale nie znam zbyt wielu chłopaków, którzy podnieciliby się na jej widok.

— Może zagrałaby Sirope? — spytała Gertrude.

— Sirope?! Na miłość boską, ta postać ma być bardziej święta niż niepokalana dziewica. Do tej roli potrzebujemy świętej. A nie ma zbyt wielu świętych w tym mieście, szczególnie czterdziestolatek.

— Spróbujmy z nią — powiedziała Gertrude z uśmiechem pochlebcy. — Myślę, że będzie wspaniała. Dziwka grająca świętą — to będzie coś, Abby.

— O Boże, Gert, ona się nie nadaje.

— Abby, co mamy do stracenia? Cieszy się powodzeniem, nadal świetnie wygląda — wygląda jak zmęczony anioł. Przyznaję, że czasem sprawia kłopoty.

— Czasem? — zachnął się Abby. — Znam reżyserów, którzy woleliby pracować z rekinem w „Szczękach” niż z nią. Ale dobrze, zgadzam się, jeśli uważasz, że to pomoże Samowi. Zrobimy jej test. Do obu ról.

— Świetnie — zadowolona Gertruda wiedziała, że już wygrała.

Sissy nie wiedziała, co myśleć o teście do obu ról — Mirandy i Sirope. Czy miał to być komplement sieci telewizyjnej, czy asekuracja z ich strony? Siedziała na brązowej sofie w garderobie Sama, patrzyła na butelkę Dom Perignon w wiaderku z lodem, puszkę kawioru i półmisek z pokrojonym jajkiem, ciemnym chlebem i posiekaną cebulą.

— Witamy gwiazdę, ucałowania, Abby i Gertrude — głosił napis na pocztówce ze złożonymi brzegami. Na mahoniowym stoliku do kawy stała waza pełna białych lilii i kremowych róż, i jeszcze jeden liścik: Jestem z tobą kochanie, twój Sam.

Skrzywiła się. Dlaczego zawsze przysyła jej lilie? Nadają się tylko na pogrzeby. Bóg jeden wie, ile razy mówiła mu, że ich nie cierpi, a nadal je przysyła, jeśli była po temu okazja. Lilie i kremowe róże. Jakie to nudne. Orchidea była o wiele atrakcyjniejsza — cymbidium w zwykłym glinianym dzbanku. Zwykła kartka z napisem Daj im popalić. To od Robina Felixa, jej nowego agenta

— mężczyzny, który dobrze wiedział, jak utrzymać klientów, nie tak jak były agent, Doug. Sissy jako klientka była łakomym kąskiem, ale czasem była bez wątpienia kobietą przysparzającą wielu kłopotów. Jednak czuł, że ona potrafi zagrać Sirope, że nadaje się do tej roli, a on lubił być tam, gdzie w grę wchodziło dużo forsy.

— Pani kolej, pani Sharp — Debbie z szacunkiem zapukała do drzwi. Sissy była jedyną aktorką, która miała tu własną garderobę. Inne musiały zadowolić się wspólną dziuplą. — Czy chce pani, żebym przyniosła coś do jedzenia lub picia?

— Nie, dziękuję, moja droga — odparła łaskawie Sissy.

— Nigdy nie jem ani nie piję przed występem. Dopilnuj tylko, by znalazła się w pobliżu butelka wody Perrier i paczka dunhillów. I upewnij się, czy moje krzesło stoi obok kamerzysty Dominicka.

— Oczywiście, pani Sharp — szczebiotowała Debbie odchodząc.

Sissy weszła do charakteryzatorni. Drugimi drzwiami właśnie wychodziła Rozalinde. Ben kończył makijaż Chloe. Wyglądała wspaniale i podniecająco. Zupełnie inna twarz niż ta rano, blada i bez wyrazu. Wiedźmowata, o wyrazie egzotycznej seksownej dziwki, a jednak delikatna — Ben był mistrzem w swym fachu, choć uroda Chloe też temu pomogła.

Wygląda pospolicie — pomyślała Sissy. Uważała, że jeśli kobieta waży więcej niż czterdzieści pięć kilogramów, a jej obwód w klatce piersiowej ma więcej niż osiemdziesiąt cztery centymetry, to wygląda pospolicie. Jest pospolita i gruba. Skinęły sobie głowami na powitanie, ignorowały swą obecność.

Gdy o dziesiątej trzydzięci Chloe wreszcie zjawiała się na planie, miała spocone dłonie. Sabrina i Rozalinde już ukończyły zdjęcia i wyszły. Ekipa zdjęciowa miała przerwę na kawę i paczka.

Wszedł reżyser, by porozmawiać o ujęciu. Chloe nie słuchała. Zamierzała grać tak, jak to sobie przemyślała.

Do charakteryzatorni weszła Pandora King, uścisnęła Chloe wykrzykując: — Cześć, kochanie! — Pandora była elegantką, dobrą aktorką i jeszcze jedną wychudzoną kobietą. — Kochana, musimy zjeść razem lunch i porozmawiać o tym głupim pomysle. Testują mnie do obu ról — czy to nie głupota? — roześmiała się pokazując silne białe zęby i gumę do żucia. Choć nie robiono jej jeszcze makijażu, już miała grubą „tapetę” i zmierzwioną blond perukę. Nie była piękną kobietą, ale robiła co mogła i nikt nigdy nie widział jej bez makijażu.

— Jest pani gotowa, panno Carriere? — Debbie wetknęła głowę w drzwi. — Jak tylko się pani przebierze, proszę przyjść na plan.

Chloe stała pośrodku wspaniałego planu zdjęciowego, teraz już nieco rozluźniona. Milton urządził scenę prawie tak, jak to sobie wyobrażała. Teraz kolej na nią, powinna dać z siebie wszystko. Robert stał za kamerą gotów powiedzieć jej tekst. — Gotowa? — spytał Milton. — Tak, jestem gotowa. Ben jeszcze raz upudrował jej policzki, Teo poprawił gęste ciemne włosy, Trixie strzepnęła pyłki z ramion, Hank przyniósł taśmę mierniczą, zbliżył do jej nosa i zmierzył odległość od kamery, Lazlo zbliżył do jej twarzy reflektor i wydawał instrukcje komuś o dziesięć metrów dalej. Wielki John i Reggie przestawiali światła za jej głowę.

— O.K., Chuck, zniż trochę — wołał Lazlo do osobnika na rusztowaniu.

— W porządku! — zawołał Chuck.

Wreszcie wszyscy wyszli. Chloe została przed kamerą sama, miała zagrać wszelkie emocje i namiętności. Samotna wśród siedemdziesięciu pięciu mężczyzn i kobiet obserwujących i oceniających ją. Trzeba im pokazać, co potrafi.

— Graamy — kamera! — wrzasnął Milton.

— Nigdy cię nie kochałam, Steve — powiedziała Chloe do Roberta spokojnie; czuła, jak budzi się w niej Miranda. Przypomniała sobie, jak rozmawiała ostatnio z Joshem. Zagrała używając wypełniających ją emocji. — Dla mnie byłeś kimś, kogo można wykorzystać, bo to ty zawsze mnie wykorzystywałeś. Dawałeś mi to, co chciałam, czego pragnęłam.

— Nie wierzę ci, Mirando — powiedział cicho i z godnością Robert.

— To prawda, Steve. Bóg mi świadkiem, że to prawda. Jak mogłabym cię kochać wiedząc, że zabiłeś Nicholasa? Oczywiście miała teraz wypełnione łzami. Prawdziwymi łzami. Czuła ucisk w gardle, musiała się kontrolować, by powstrzymać napływające łzy.

— Dobrze wiesz, że to kłamstwo.

— Och, nie, Steve. Mam dowód. Widzisz, byłam tam tej nocy, gdy myślałeś, że jesteś sam z Nicholasem. — Chloe podeszła o krok do kamery, grała jeszcze bardzo przejmująco. Nerwy miała napięte do granic. Dawała z siebie wszystko, co potrafiła, wszelkie emocje. Doświadczenie życiowe pozwalało grać lepiej. Wymyślała Robertowi, ganiła go, zapewniała, że miłość do nieżyjącego kochanka nigdy nie wygaśnie, że będzie nienawidziła Steve'a do końca swoich dni, że zrobi wszystko, by go zniszczyć. Cały czas myślała o Joshu. To dla Josha otwierała serce. On zniszczył część jej duszy, została tylko pustka i żal.

Myślała o tym, jak namiętnie go kochała i jak znów pokochałaby go, gdyby...

Gdy skończyła scenę, pot lał się po plecach, a łzy kapały z oczu. Milton wykrzykiwał zadowolony, kilku członków ekipy spontanicznie biło brawo. — Koniec nagrania! Byłaś wspaniała, kochanie, absolutnie bajkowa. Nie chcemy nikogo innego, ty jesteś cudowna.

— Sprawdź, czy wszystko w porządku! — wrzeszczał Hank.

— O.K. — odpowiedział operator.

— Dziękuję, kochanie, dziękuję — powtarzał Milton. — Byłaś cudowna, bardzo się wzruszyłem. — Pochylił głowę i szepnął: — Mam nadzieję, że to ty ją dostaniesz.

Chloe, szczerze wdzięczna, zeszła ze sceny. Sfora pomocników opuściła ją i poszła obsługiwać następną aktorkę. Sama zdjęła liliowy negliz, przeczesła włosy usuwając lepki lakier i oderwała sztuczne rzęsy. Kończyła się ubierać, gdy spostrzegła w lusterku, że przybyła Emeralda ze swą świtą. Emeralda nigdy nie podróżowała samotnie, zawsze się spóźniała — to był jej odwet za te lata, gdy była grającym w filmach dzieckiem. Musiała wtedy wstawać codziennie o piątej rano i żyć dokładnie według planu. Miała trzydzieści lat, gdy wreszcie po dwudziestu siedmiu latach życia z zegarkiem w ręku wygasł kontrakt z wytwórnią. Przynurzyła sobie, że już koniec z takim życiem. Dziś spóźniła się czterdzieści pięć minut, co jak na nią było prawie punktualnością. Wyglądała wspaniale. Świeżo utlenione blond włosy okalały jej rzeźbioną, świeżo podciągniętą twarz, figura miała kształt popularny w latach pięćdziesiątych. Maszerował za nią batalion pochlebców: Rick Rock Savage, osobisty asystent i zaufany człowiek, Lulu Pierce, manager i agentka, Christopher McCarthy, człowiek zajmujący się reklamą. Lulu, wielka i obrzydliwa, Christopher mały i słodki. Tworzyli zgraną parę. Główną pracą Christophera było odpowiadanie na niezliczone telefony i pytania, które nadal napływały do jego biura. Pytano, czy Emeralda może udzielić wywiadu, wziąć udział w pokazie lub akcji charytatywnej, zjawić się na premierze. Nigdy nie przestano się nią interesować, mimo że nie mogła dostać w Stanach przyzwoitej pracy.

Emeralda przywitała się z pracownikami charakteryzatorni, jak ze starymi przyjaciółmi; pracowała z nimi tyle lat, uwielbiali ją.

— Zależy mi na tej roli, Ben — powiedziała poważnie do brodatego olbrzyma.

— Zrób wszystko, żebym wyglądała lepiej niż one wszystkie.

— Spróbuję, kochanie. Zrobię, co w mojej mocy — powiedział z profesjonalną obiektywnością.

— Jak wypadła Angielka? — spytała Emeralda, udając obojętność.

— No cóż, nieźle. Była dobra — Ben nie miał serca, by jej powiedzieć, że Chloe była wspaniała. Mogłoby to popsuć jej zdjęcia. — Muszę ci powiedzieć kochanie, że rano mieliśmy tu ślicznotkę ładniejszą niż Lana. Jej nie pokonamy, bo jest po prostu dzieckiem, ale gwarantuję że będziesz ładniejsza niż inne.

— Muszę dostać tę rolę, Ben — Emeralda patrzyła w oczy starego przyjaciela.

— Zrób co w twojej mocy, słyszysz?

Uśmiechnęła się tak, jak na okładkach tysięcy magazynów i opadła na czarny fotel.

Dni, które nastąpiły, nie były łatwe dla sześciu kobiet. Tylko Sabrina przestała myśleć o roli. Zaproponowano jej rolę w filmie kostiumowym, gdzie miałaby zagrać siedemnastowieczną dziewczynę przeniesioną za pomocą wehikułu czasu do współczesnego college'u. Była zainteresowana tą rolą. Mogła jej dać dwieście tysięcy dolarów i wielką popularność. Miała nadzieję, że wtedy będzie mogła zagrać u boku Ala Pacino czy Richarda Gore. Nadal chodziła do szkoły aktorskiej, a noce wypełniała jej miłość i Luis.

— Telewizja jest dobra dla starszych stażem aktorów — zwierzyła się Sue, swojej agentce. — Ja chcę się znaleźć na wielkim ekranie!

Decyzja sieci telewizyjnej co do obsadzenia ról miała zapaść za trzy tygodnie. Każda z sześciu aktorek miała własny sposób na dłużące się oczekiwanie. Pandora pojechała do Las Vegas odwiedzić ostatniego kochanka, młodego komika Bortscha Beka. Spędzała z nim czas w łóżku albo pochłaniała ją hazard.

Chloe została w domu nad morzem. Chodziła na długie spacery wzdłuż plaży, rozmyślała o tym, co zrobi, jeśli nie dostanie roli. Małżeństwo z Joshem skończyło się. Prawnicy podjęli już stosowne kroki. Od czasu do czasu ona i Josh rozmawiali przez telefon jak dwoje przypadkowych znajomych.

Opowiadał jej o nowej płycie, mówił, że ciężko pracuje nad nowym scenariuszem dla teatru londyńskiego.

Dużo spała, często oglądała telewizję, bezustannie zmieniając kanały; porównywała sobie z Farrah, Jackie, Cheryl, Stefanie i Angie, ale to tylko pogarszało nastrój.

Pewnego dnia zadzwonił Johnny Swanson, chciał się z nią umówić. Co u licha? — pomyślała. Wyglądał na miłego chłopaka. — To co z tego, że jest młodszy ode mnie? Dziś taka para nikogo nie dziwi.

Johnny przyjechał po nią czarnym porsche 911 turbo.

— Jasne, taki chłopak powinien jeździć czarnym posche — pomyślała Chloe. Ostatnio taki samochód był symbolem seksu. Wsiadła i rozejrzała się dokoła. Bawił ją sposób, w jaki Johnny wyposażył porsche — wyglądał jak małe biuro. Obok siedzenia kierowcy umieścił ostatni model telefonu bezprzewodowego z automatycznym wybieraniem dwudziestu pięciu numerów. Mikrofon nad głową kierowcy zapewniał dobrą słyszalność, nawet gdy przejeżdżał przez tunel. W czterech rogach tkwiły kolumny bardzo skomplikowanego odbiornika stereofonicznego. Płynął z nich łagodny głos Chloe w nagraniu „Poczynając od tego momentu”.

Uśmiechnęła się. On rzeczywiście wiedział, jak uwodzić kobietę. Potem włączył swoje ulubione nagrania — stary album Cole Portera i muzykę klasyczną Gershwin. Ten chłopak miał klasę, a gdy popatrzyła na jego profil, blond włosy w artystycznym nieładzie, wydawał się jej bardzo atrakcyjny. W tylnej części samochodu znajdował się mały telewizor przymocowany do jednego z siedzeń, dobrze zaopatrzone barek i miniaturowa lodówka.

— Drinka? — zaproponował Johnny skręcając na lewo w Pacific Coast Highway.

— Nie, dziękuję, w samochodzie to nielegalne — odparła Chloe, pamiętając o kłopotach, jakie miał Josh. — Policja nie pobbłaża, jak cię złapia.

— Nie martw się, moja słodka, mój wujek jest tu szefem policji — Johnny roześmiał się. — Zamiast drinka masz to — podał jej dokładnie skręconego jointa.

— Nie, nie palę. Dziękuję — mimo lat spędzonych wśród muzyków i gwiazd rocka nadal nienawidziła narkotyków.

Od dawna nie umawiała się na randkę — ostatnio przed poznaniem Josha, dziesięć lat temu. Czowała się dziwnie i staroświecko. Zatrzymali się przed restauracją, położoną malowniczo w wąskiej uliczce. Właściciel znał dobrze Johnniego, powitał go wylewnie. Johnny czuł się tu jak w domu, znał nawet z imienia większość kelnerów.

Podczas obiadu Chloe czuła, że zaczyna się jej podobać. Pomimo pewnej oschłości był czarujący. Dowcipny, ożywiony, przystojny — prawdziwy ulubieniec bogów. Jego poczucie humoru przypominało jej Josha — młodego Josha. Jest taki młody — pomyślała Chloe. Po dwu butelkach szampana też poczuła się młodo. Najwyżej na dwadzieścia dziewięć lat.

Ramię przy ramieniu pomaszzerowali w chłodną kalifornijską noc. — Popatrz — gwiazdy. Może świat zbliża się do kresu? — spytał Johnny. — Od tylu lat nie widziałem w Kalifornii gwiazd.

— Gdzie się podział smog? Bez niego Los Angeles przestanie być sobą — roześmiała się Chloe. Czowała się tak lekko, jakby jakiś ciężar spadł z jej ramion. Coraz bardziej lubiła Johnniego, mimo że знаła jego reputację wśród kobiet. Cóż, teraz była dojrzałą kobietą, a nie naiwną gąską, jak wtedy gdy była z Joshem. Cokolwiek miałoby się stać, nie pozwoli, by ktoś ją zranił. Tym razem będzie tak, jak ona zagra. Gdy czarne porsche podjechało pod jej dom, zaprosiła go na kawę.

Johnny otworzył przed nią drzwi z galanterią dobrze ułożonego brytyjskiego uczniaka. — Napiję się koniaku albo armagniacu, jeśli masz.

Siedzieli przed migoczącym ogniem, sączyli armagnac i rozmawiali. Zgasiła światło. Przez wielką oszkloną ścianę widać było niebo usłane milionami gwiazd. Rozmawiali o swym życiu tak, jakby układali kawałki puzzla; pewnego dnia, jeśli ich przyjaźń posunie się dalej, kawałki będą mogły ułożyć się w logiczną całość.

Wreszcie dotknął ją ustami, odpowiedziała chętnie. Usta miał natarczywe, ponętne, słodkie. Dłońmi dotknął jej twarzy, potem — drżąc — guzików jedwabnej bluzki. Od dawna nikt nie pieścił Chloe tak słodko, tak czule.

Usiłowała odegnąć wizję Josha. Nie potrafiła. Johnny był dla niej za młody. Jeszcze nie zapomniała o Joshu. Nie była gotowa. — Josh — podszeptował wewnętrzny głos. — Josh, och, Josh, nie chcę tego. Pragnę ciebie. Usiłowała coś zrobić, by do niczego nie doszło i wiedziała, że to śmieszne.

Czterdziestoletnia kobieta zachowująca się jak dziewczynka. Uprawiająca petting, jak szesnastolatka. — Nie, nie mogę. Przepraszam, po prostu nie

mogę, Johnny! — odepchnęła jego czule, napastliwe usta i dłonie, które teraz tak zręcznie podwijały jej spódniczkę.

— Dlaczego? — głos miał chrapliwy, natarczywy. Nie przestawał ją całować. Zupełnie jakby wiedział, gdzie lubi być całowana, rozpałał ją wbrew jej woli. Nie umiała odpowiedzieć. Była taka słaba. Pragnęła go. Od wielu miesięcy nie była z Joshem. Trzecia separacja będzie chyba ostatnią. Oczywiście nie była zakochana w Johnnym, był jednak atrakcyjny i pociągał ją seksualnie. Dlaczego by nie? Czowała, jak ogarniają ją fale pożądania. Chciała, by wziął ją teraz. Czowała, jak rośnie jej seksualny głód.

Nagle zrozumiała, że nie warto walczyć. Przestań się zastanawiać — pomyślała. Nie myśl o przeszłości. Do diabła z Joshem! Do diabła z tym, co pomyśla sobie ludzie! Z głową i sercem pełnym myśli o Joshu pozwoliła, by Johnny Swanson zaniósł ją do łóżka.

Pustkę oczekiwania Emeraldy wypełniała rzucając się w wir życia towarzyskiego. Popularna jak zwykle, przyjmowała zaproszenia na wszelkie przyjęcia, obiady, fety. Konto bankowe uszczupliła znacznie, kupując dziesiątki nowych strojów. Ostrzegano ją w banku, uśmiechała się tylko uroczo i — wydawała dalej.

Sissy niemal umartwiała się. Schudła jeszcze półtora kilograma stosując nową, cudowną dietę chińską. Jadła tylko wodorosty, ciasteczka ryżowe i kiwi. Spędzała ranki uprawiając jogging, yogę i gimnastykę, popołudniami rozmawiała przez telefon z Daphne i Robin Feliks. Zastanawiały się, jakie ma szanse.

Rozalinde Lamaze większość czasu spędzała w małej słonecznej kuchni, oddając się dwu ulubionym zajęciom: gotowaniu i oglądaniu seriali na hiszpańskim kanale ósmym. Właśnie przygotowywała smażoną fasolę z ryżem, zapach był wspaniały. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy pochłonie jedzenie z młodą kuzynką Angelica, a potem pożre ją samą.

Rozalinde była szczęśliwa spędzając czas w domu. W głębi duszy była zwykłą kobietą. Zwykłą we wszystkim oprócz seksu. Znudziły ją seksualne zabiegi niezliczonych kochanków. Ciężar ich grubych ciał, ciężkie oddechy, spocone rozgrzane ciała, zapach alkoholu i nikotyny zaczął być odpychający.

Ostatnio, gdy jakiś mężczyzna kochał się z nią, usiłowała wykrzesać z siebie jakiegokolwiek podniecenie — nie czuła niczego. Później znajdowała zaspokojenie za pomocą własnych palców. To również wkrótce się jej znudziło. Gdy zamieszkała z nią Angelica, zabawna osiemnastoletnia kuzynka, ku swemu zadowoleniu odkryła, że łączy je nie tylko miłość do smażonej fasoli i oglądanie seriali.

Niczego nie da się porównać ze zniewalającymi nocami, gdy poznawała delikatne ciało młodej Angeliki.

Zadzwoił agent Chloe mówiąc, że nagle zachorowała Dionne Warwick i nie może wystąpić w hotelu Empire w Las Vegas. Chloe aż podskoczyła;

wiedziała, jaka to dla niej okazja. Ucieknie od Johnniego, gnębiącego ją teraz. Czemu mu pozwoliła? Wiedziała, że jego uczucie rośnie szybciej niż mogła to sobie wyobrazić. To, co dla niej było tylko mało znaczącym romanssem, by zapomnieć o Joshu, dla niego znaczyło wiele, ciągle chciał się z nią widywać. — Śpiewając łatwiej zniesiesz te kilka tygodni — uspokajał ją Jasper.

— Masz rację — długie oczekiwanie to za dużo nawet jak na moje mocne nerwy — odparła z wdzięcznością.

— Czy możesz wyjechać pojutrze? — niecierpliwie czekał na odpowiedź. — Przygotuj się do występu o dziewiątej.

— Co takiego? — westchnęła Chloe. — Jasper, wiem, że oboje jesteście Brytyjkami i możemy dokonać czego tylko chcemy, ale — kochany, ja nawet nie miałam próby generalnej. Od ostatniego tournée nie śpiewałam ani razu.

— To tylko dwa miesiące — Jasper powtarzał mechanicznie. — Jeśli przylecisz w czwartek samolotem o pierwszej, o trzeciej możesz mieć próbę. Będziesz mogła śpiewać przez cztery godziny. To z pewnością wystarczy dla takiego utalentowanego słowiczka jak ty, kochanie.

— Przesadzasz, Jasper! — uśmiechnęła się wbrew sobie. — Właściwie to może być nawet podniecające, przynajmniej odwróci moje myśli od tego cholernego testu.

— Mądra dziewczyna — cieszył się. W hotelu zgodzili się na sensowne wynagrodzenie. Nie całkiem takie same, jakie dostawała Dionne, ale czterysta pięćdziesiąt za tydzień. Jak ci się to podoba, kochanie?

— Odpędzę widmo głodu — zażartowała. W myślach robiła przegląd garderoby. — O.K. Jasper, spotkamy się na lotnisku. Muszę się teraz spakować.

Szybko i sprawnie spakowała walizki. Dziesięć lat życia w drodze nauczyło ją, jak szybko spakować tylko to, co niezbędne. Krytycznie przeglądała wiszące w szafie suknie wieczorowe, wprawnym okiem dokonując selekcji. Zapakowała obcisłą czerwoną suknię usianą cekinami, z rozcięciem na udzie, oraz czarną z koronki. Dołożyła srebrny gorsecik z aplikacjami z kwiatów oraz czarną suknię z jedwabnego jerseyu z rękawami obszytymi czarnym lisem. Wybór uzupełniła biała suknia Valentino wyszywana perłami i kością słoniową. Następnie przejrzała dwa rzędy sukni wieczorowych, sukienek i kostiumów, w które przebierze się po występie, jeśli będzie chciała pójść na kolację lub popisać się w kasynach Vegas. Trzy kostiumy od Saint-Laurenta i trzy od Bruce Oldfieldsa, dwa lub trzy od Versace, jeden od Donny Karen i jej ulubiona suknia z czarnej koronki, zaprojektowana i wykonana przez Freddy'ego Lomglana. Czy to wystarczy na dwa tygodnie? Nie może dopuścić, by poza sceną widziano ją w tym samym stroju więcej niż raz. Przypuśćmy, że w Caesar's występowałby Sinatra. Barbra też tam mogła być. Las Vegas jest małym miastem. Co noc mogą spotkać się na tych samych przyjęciach. Musi być przygotowana. Lepiej być nadgorliwą niż czegoś nie dopilnować.

Pośpiesznie wybrała jeszcze dwie krótkie sukienki: jedną od Karla Lagerfelda, drugą od Anthony'ego Price'a. Marnieli poleciła spakować odpowiednie dodatki, które leżały porządnie poukładane w pudełkach pod każdą z sukienek. Chloe przywiązywała wielką wagę do porządku wśród garderoby. Wszystkie stroje uważała za inwestycję, więc dbała o nie bardzo. Wybrała naręcze odpowiednich swetrów, bluzek i spódnic, rzuciła je na łóżko i podeszła do szuflady z biżuterią. Cała szafka składająca się z małych szufladek zawierała wielką kolekcję sztucznej biżuterii. Z wyjątkiem pierścionka z szafirami i diamentem oraz wysadzanego diamentami zegarka firmy Boucheron, nosiła tylko sztuczne błyskotki. Prawdziwą biżuterię miała wspaniałą, bardzo drogą i wielce podziwianą.

Chloe nawinęła włosy na wałki, szybko zrobiła makijaż i usiłowała zadzwonić do Johnniego. W La Maison oczekiwano go o pierwszej trzydzieści. Zostawiła krótką wiadomość u jego sekretarki.

— Gdzie jedziesz? — w drzwiach pojawiła się Sally, jak zwykle bez pukania. Popisywała się nową fryzurą „na punka” i aroganckim zachowaniem.

— Co tu robisz? — spytała Chloe tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

— Przyjechałam zabrać trochę moich rzeczy. Tata kupił mi mieszkanie w Wilshire Towers. Urządzam je sobie — niedbale wskazała na jedną z francuskich waz Chloe.

— Oczywiście ma być nowoczesne. Przybytek sztuki. O najwyższym standardzie.

— To miło — Chloe usiłowała być cierpliwa, choć wolałaby, żeby dziewczyna wyniosła się i przestała dotykać jej rzeczy.

Włosy Sally były obcięte pięć centymetrów ponad uszami, a to, co pozostało, ufarbowała na czarno ze srebrnymi pasemkami i polakierowała tak mocno, że kilkunastocentymetrowe strąki sterczały na baczność na całej głowie. Usta i oczy umalowała na purpurowo. Ubrana była niesamowicie — fioletowa winylowa spódniczka, ledwie zakrywająca łono, srebrne długie buty, srebrne rajstopy i olbrzymi mohairowy sweter koloru lawendy, który prawie przykrywał spódniczkę. Dookoła szyi miała łańcuch z matowego srebra, a na nim dwunastocentymetrową figurkę Chrystusa na krzyżu. We włosy wplątane było coś, co przypominało czarne nietoperze. Z jednego ucha zwisał wąż z czarnej gumy — taki, jakie sprzedają za pięćdziesiąt centów w sklepie z zabawkami dla dzieci, z drugiego — jeden z najdroższych kolczyków Chloe, zrobiony u Diora z kości słoniowej. Wyglądała na naćpaną, mimo że była dopiero jedenasta rano.

— No to gdzie się wybierasz? — powtórzyła Sally otwierając i zamykając szuflady z bielizną Chloe. Wybierała i odkładała niektóre z najbardziej intymnych części garderoby macochy.

— Do Vegas — zdegustowana Chloe zacisnęła zęby; postanowiła nie dopuścić do awantury, jaką zawsze chciała wywołać Sally.

— Dostałaś kontrakt?

— Tak, dwa tygodnie w Empire. — Chloe skupiła się na czesaniu włosów, ale obserwowała Sally otwierającą szafki w łazience i robiącą inspekcję ich zawartości. Kipiała z wściekłości, że nie potrafiła wyrzucić nastolatki na ulicę.

— Tak, myślę, że dobrze robisz wracając do kariery piosenkarskiej — powiedziała Sally z przekąsem. — Nie wygląda na to, żebyś miała dostać rolę, co?

Chloe skończyła malować twarz, była spokojna; nie pozwoli sprowokować się temu wstrętnemu bachorowi. — Dlaczego tak myślisz, Sally?

— Piszą o tym dzisiejsze gazety, nie czytałaś?

— Nie. Może powiesz mi, o czym piszą? Muszę złapać samolot.

— W kolumnie Army'ego piszą, że najbardziej podobały się zdjęcia Rozalindy Lamaze. — Wyszła z pokoju i wróciła z gazetą. — Tutaj.

Chloe szybko przejrzała artykuł, jej serce skakało.

— To tylko przypuszczenia — powiedziała ożywiona. W torbie z krokodylej skóry szukała maskotek na szczęście.

— Oczywiście — Sally szczyrzyła zęby w uśmiechu, pokazując mały diament osadzony w przednim zębie. — To powodzenia w Vegas. Do zobaczenia.

Chloe zauważyła, że Sally wzięła fiolkę valium, szal z szyfonu i cztery srebrne bransoletki.

— Proszę pani, przyjechała taksówka — zawiadomiła Manuela. — Kierowca wejdzie na górę po bagaże.

— Niech wejdzie, jestem gotowa. — Oddychając głęboko, poszła schodami w dół.

Rozalinde przeczytała artykuł i uśmiechnęła się. Nowy agent prasowy pokazał, co potrafi.

Zgodziła się podpisać kontrakt z jego firmą opiewający na trzy tysiące dolarów, pod warunkiem że dostanie się w ciągu tygodnia na kolumnę Archerda. Zrobili to. Byli warci trzech tysiączków. Zadzwoiła do banku, zlecając wysłanie czeku.

Popatrzyła na drugą stronę łóżka. Była pusta. Angelica wyjechała na cały tydzień, by odwiedzić chorą matkę w Mexico City. Trzy dni opalania się — pomyślała Rozalinde, dogadzając sobie wśród pościeli pełnej okruszków. Kto wie, może dostanę tę rolę. Bóg wie ile razy zmówiła „Zdrowaś Mario”, wyznała wszystkie grzechy, jakie mogła sobie przypomnieć. W zeszłą niedzielę zapaliła w kościele dodatkowo trzydzieści świec przed Świętą Marią i Dzieciątkiem Jezus. Gdyby wiara religijna mogła pomóc, dostałaby rolę Mirandy.

Calvin wiele razy przeczytał kolumnę plotek. Dusiła go straszliwa wściekłość. Co to za ludzie te hollywoodzkie głupki! Czy nie potrafią rozpoznać prawdziwej gwiazdy? Jak mogli pominąć milczeniem najpiękniejszą, najbardziej utalentowaną aktorkę na świecie? Jak mogli brać pod uwagę tę

hiszpańską tandeciarę Rozalinde? To zdrada. Obraza i zniewaga dla Emeraldy.

Calvin szukał teraz towarzystwa amatorów i profesjonalnych dziennikarzy. Gdy tylko usłyszeli plotki o przyjęciu, premierze czy innej fecie, kręcili się wokół Spago, Mortona i Chasen jak stado wilków.

Przez ostatnie dwa tygodnie Calvin rzadko był rozczarowany — Emeraldalida pokazywała się wszędzie. Zupełnie niepewna wyników testu, pojawiała się w najbardziej znanych miejscach tego szpanerskiego miasta. Stopniowo zaczęła tracić sławę. Była na siebie wściekła, że jest taka słaba. Powinna zapomnieć o tym cholernym teście. Ale jak zapomnieć, że tak bardzo potrzebuje roli? Zapomnieć, że pomimo posiadłości i bajecznej biżuterii była prawie zrujnowana. Zapomnieć, że ma czterdzieści lat i nie jest materiałem na żonę po tyłu klęskach. Z lubością rzuciła się w wir życia towarzyskiego, zupełnie nieświadoma, że każdy jej ruch obserwuje mężczyzna o jasnych włosach i oczach.

Każda restauracja, przyjęcie, wernisaż, na który przybywała, były pełne Calvina. Jego obiektyw śledził Emeraldę, a on wstrzymywał oddech ujęty jej urodą, powabem ciała, cudnymi blond włosami i... ciągle robił jej zdjęcia. Ściany pokoju, w którym mieszkał, pokrywały plakaty z jej filmów. Ponad dwieście plastikowych ramek otaczało jej podobiznę. Na półce piętrzyło się mnóstwo albumów z jej zdjęciami i książek o jej karierze filmowej i niezwykle ciekawym życiu prywatnym.

Calvin miał nawet jedną z lalek Emeraldy, tak popularnych w latach trzydziestych. Miały je wszystkie małe dziewczynki w Ameryce — ona wtedy była cudownym dzieckiem ekranu. Lalka miała prawie metr wysokości, mnóstwo loczków w kształcie rurek i oczy wielkie jak spodki, okolone gęstymi brązowymi rzęsami. Maleńkie umalowane usta wydęte jak do całowania, delikatne porcelanowe ręce z paznokciami pomalowanymi na blad różowo. Lalkę dostarczono w białym pudle, razem z trzema różnymi kostiumami. Był tu kostium kąpielowy w cytrynowo-białe paseczki i maleńki gumowy czepek, maleńki szlafrok z frotte oraz zielona suknia wizytowa z marszczonym kołnierzykiem. Dołączono też maleńkie emaliowane lustro, grzebień i szczotkę, którymi można było czesać włosy lalki.

Czasami Calvin siadał i czesał lalkę. Przemawiał do niej, manipulując przy nylonowych włosach niezgrabnymi rękami. — Jesteś moją Emeraldą, moją ukochaną dziewczyną — mruzczał w kierunku umalowanej twarzy, a loki nawijał na palce. — Nikt oprócz ciebie nie może mi zastąpić Emeraldy! Z miłością zmieniał jej ubrania, często sprawdzał i wyglądał bezpłciowe ciało lalki. Na śliczne stopki zakładał maleńkie bawełniane skarpetki, a potem małe skórzane buciki w stylu Mary Jones.

Kochał tę lalkę. Jeszcze bardziej kochał prawdziwą Emeraldę.

Rozalinde jeszcze raz spojrziała w lusterko wsteczne BMW. Może to głupie, może to paranoja, ale wydawało się jej, że od La Scali do domu na szczycie Mulholland Drive jechał za nią samochód. Wyprzedził ją z dużą prędkością i zniknął za zakrętem.

Z magnetofonu płynął słodki głos Johna Lennona. Myślała o jego śmierci — tak niedawno, tak nagle, tak... To może przytrafić się mnie — pomyślała — to może zdarzyć się każdemu z nas. Robertowi Redfordowi z jego dziwacznymi pomysłami dotyczącymi energii słonecznej i ochrony przyrody. Albo Jane Fondzie z jej radykalnymi pomysłami i niemożliwymi do wykonania ćwiczeniami. Każdemu,

o kim pomyśli jakiś maniak. Może, zupełnie bez powodu, przytrafić się jej, tylko dlatego, że jest gwiazdą. Wzdrygnęła się, pomimo ciepła w samochodzie. Podjechała właśnie przed posiadłość w Mulholland.

— Po co kupiłam ten cholerny dom? — rozmyślała i dlaczego nie zatrudniłam ochrony osobistej?

Dom wyglądał jak wyjęty z powieści Edgara Allana Poe w pochmurną noc: szara kamienna fasada, ciężkie czarne chmury, wiatr wiejący pięćdziesiąt metrów na godzinę. Wiało z Santa Ana, palmy wyginały się gwałtownie w podmuchach wichury. Jakieś nieznanne zło czaiło się wokół domu. Jej domu. Walczyła z chciwym eks-małżonkiem i jego drapieżnym prawnikiem. Walki w sądzie, złościwości, nagłówki w gazetach. Dzięki kilku błyskotliwym legalnym manipulacjom wreszcie dom należał do niej. Czy był tego wart — zastanawiała się — wielka kupa wyblakłych cegieł udających dziewiętnasty wiek z ostatnimi dwudziestowiecznymi wstawkami.

Wyłączyła silnik. Nagle wszystko ucichło. Wiatr przestał wiać, ale... coś ją zaniepokoiło. Nic konkretnego, a jednak...

Calvin siedział na poddaszu, przez maleńkie okienko obserwował wahającą się Rozalinde. Słyszał jak zbliża się do drzwi, jak wkłada klucz do zamka, jak przestraszona woła:

— Rosa, jesteś tu? — co potwierdzało, że dała służącej wychodne. Drzwi zatrzasnęły się. Była w środku, z nim. Tylko nas dwoje — pomyślał — zamkniętych razem...

Włączyła telewizor w sypialni. Schodząc schodami w dół, słyszał jak spuszcza wodę w łazience, przyłożył ucho do drzwi sypialni.

— Cześć, Angelico — rozmawiała przez telefon.

— Wiem, że to głupie, ale coś tu dziś straszy... (Calvin uśmiechnął się do siebie). — Tęsknię za tobą, querida mia. Wracaj do mnie szybko.

Rozalinde uśmiechała się odkładając słuchawkę. Sięgnęła po czekoladkę i... zastygła w bezruchu, gdy Calvin otworzył drzwi jej sanktuarium.

— Czego chcesz? — Nagle jej głos stał się suchym skrzypieniem, źrenice pięknych brązowych oczu zwięzły się ze strachu, dłońmi zasłoniła ciało, jakby mogła się obronić.

Calvin stał w drzwiach; czuł, że ona boi się jak zwierzę. Wiedział, że to on panuje nad sytuacją. Kontroluje ją swą obecnością.

— Niczego — odpowiedział wolno. — Zupełnie niczego nie chcę. — Stał bardzo spokojnie, rozglądał się po pokoju. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, przykryta do pasa wymiętą różową kołdrą; cienki jedwabny szlafrok przykrywał resztę jej obfitych kształtów. Zza chmury ciemnych włosów wylaniała się sterta poduszek z wyhaftowanymi powiedzonkami: „Trudno znaleźć prawdziwego mężczyznę”, „Szczęście to przyjaźń”. Wypchane zabawki leżały nieporządnie na łóżku, nawet stary Snoopy.

Calvin podskoczył, czując że coś ociera mu się o nogi. Zobaczył białego perskiego kota, który zeskoczył z łóżka pani i skuliwszy się przy kratce wentylatora, zerkał przestraszony.

Rozalinde przełknęła ślinę. Myślała o tym, co czytała o gwałcicielach — jak z nimi rozmawiać, jak się bronić. Pamiętała, że należy być czujną, że musi mu pokazać, iż jest silniejsza niż on, że nie ma nad nią przewagi.

— Wynoś się do cholery, ty gnojku! — krzyczała. — Jak śmiałeś tu wtargnąć?! To wbrew prawu. Wzywam policję.

Z przerażeniem usiłowała sobie przypomnieć, gdzie położyła urządzenie alarmowe. Policja Bel Air szczegółowo objaśniała co robić, gdy zakładali jej alarm antywłamaniowy. — Pierwsze i najważniejsze — poinstruowali ją — alarm zawsze powinien być włączony. Uświadomiła sobie, że dziś zignorowała tę radę, tak samo jak i drugą — by zawsze mieć go przy sobie. Naciśnięty przycisk wysyłał sygnał prosto do siedziby policji; pomoc mogła nadejść w ciągu ośmiu minut. Tak mówili. Wiedziała, że trwa to piętnaście lub dwadzieścia minut, bo kilka razy przez przypadek nacisnęła przycisk. Musi zmusić tego maniaka do rozmowy! Gdzie, gdzie jest ten cholerny alarm? — była na siebie wściekła.

Jedną dłonią podciągnęła szlafrok do gardła, drugą przeszukiwała wymiętą pościel, pisma, poduszki i scenariusze.

Spojrzała na szafkę przy łóżku. Różowy marmur był zaśmiecony resztkami. Na pół opróżniona szklanka z winem, dwie filiżanki po kawie z resztkami zawartości, nadgryzione jabłko, sterta listów od fanów, jej zdjęcia, oliwka dla dzieci, popielniczki przepełnione petami, a nawet karaluch. Wiele by teraz dała za papierosa!

Dlaczego to musiało przytrafić się właśnie jej?

Nagle dostrzegła... urządzenie alarmowe; leżało przykryte stertą listów. Czas na rozmowę. Czas na układ z szaleńcem... On wyglądał na szalonego, pot spływał mu po czole zalewając oczy. On jest bardziej przerażony niż ja — uspokajała siebie samą — bez skutku.

Calvin oblizwał wargi. Czuł słony smak potu. Ta dziwka gadała. Trudno było zrozumieć co mówi, walenie w jego głowie było tak mocne jak uderzenia młotkiem. Ruszała ustami, ale nie mógł jej zrozumieć. Mówiła, a jej szlafrok rozchyłał się coraz bardziej. Widział jej piersi, pępek i tę inną rzecz. Coś, co budziło obrzydzenie, ale i podniecało go. Dłonią uderzyła wypchanego misia. Chciałby, żeby ta dłoń uderzyła jego, a jednocześnie myśl o tym była odrażająca. Czuł do niej niechęć. Nienawidził wilgotnych czerwonych ust,

wypiętych piersi z brązowymi sutkami. Mówiła, a dłoń przesunęła na stolik przy łóżku. Co ta dziwka chce zrobić? Trzymała coś w dłoni — co to jest? Radio? Magnetofon? Ciągle mówiła. Uśmiechała się, wyglądała na zadowoloną z siebie. Dziwka. Krowa. Kurwa. Patrzyła na niego jakby zapraszając, by usiadł na satynowej pościeli. Pieściła misia usiłując się uśmiechać.

Nagle usłyszał, co mówi: — Wiesz, jesteś całkiem przystojnym chłopakiem. Jak ci na imię, kochanie?

Kochanie! Nazwała go kochaniem! Co to za obrzydliwa ździra! Mężczyzna włamuje się do jej pokoju, a ona spokojnie zaprasza go, by ją uwiódł! Zdzira, ulicznica, że też sieć telewizyjna w ogóle bierze ją pod uwagę do tej samej roli co Emeraldę. Ona jest wstrętna. Podszedł do niej powoli. W głowie znów zaczęło mu walić. Widział tylko jej ruchy i uwodzicielski uśmiech, słyszał jej spokojny głos. Gdy podszedł bliżej, uśmiech zgasł. Opuściła ją odwaga.

— Proszę, nie zrań mojej twarzy — prosiła wystraszonym głosem małej dziewczynki.

— Twojej twarzy? — Dlatego że tak bardzo o nią dbała, chciałby ją rozkwasić.

— Jakiej twarzy? — Podniósł olbrzymią statuetkę z brązu i z całej mocy uderzył w tę błagającą twarz.

— Nie, proszę, nie! — krew ciekła jej z czoła. — Zrobię co zechcesz. Możesz mnie wziąć, zrobić co chcesz, ale proszę, nie zabijaj mnie! Błagam, nie rób tego!

— Ladacznic! — krzyczał zaciskając dłonie na jej białej szyi, śliskiej teraz od krwi. — Dziwka! — Wystraszony kot skoczył jeżąc sierść, usiłował wymknąć się z pokoju, ale drzwi były zamknięte.

Calvin skończył. Teraz przyglądał się pulchnemu nagiemu ciału rozciągniętemu na satynowej kołdrze. Puste celuloidowe oczy i wiotkie ciało były tak zadziwiająco erotyczne, że nie potrafił się powstrzymać. Białe kot skulił się ze strachu i miauczał przerażony, obserwując mężczyznę zachowującego się jak w najokropniejszym horrorze. Gdy Calvin wreszcie oderwał się od trupa, z ulicy dobiegał dźwięk syren policyjnych. Zdażył uciec zanim policja weszła do domu. Tylko biały kot ukryty za kanapą był świadkiem tego, co się stało.

Chloe patrzyła przerażona na nagłówek: Rozalinde Lamaze Slain — zgwałcona. Odłożyła gazetę kręcąc głową niedowierzająco: Rozalinde nie żyje, zamordowana w bestialski sposób. Nieprawdopodobne. A co jeszcze straszniejsze — na ciele nagryzmołono obscenicznie szminką do ust: „Nie jesteś ostatnia”.

Chloe wzdrygnęła się, odepchnęła jajka i sok grapefruitowy, które postawił przed nią hotelowy boy.

Telewizor był nastawiony na wiadomości lokalnej stacji Las Vegas. Zmieniała kanały, by usłyszeć więcej. Jak dotychczas, nie było żadnych pewnych

informacji, same przypuszczenia. Przyjaciele i rodzina, a także wielbicieli z zapłakanymi twarzami mówili przed kamerami o nieżyjącej ukochanej. Chloe była szczerze zmartwiona. Choć nie знаła dobrze Rozalinde, zaledwie kilka tygodni wcześniej ta kobieta była gościem w jej domu. Żeby tak mogła zadzwonić do Josha i porozmawiać o tym. On zawsze był jej najlepszym przyjacielem. Zawsze mogli śmiać się, płakać i rozmawiać o wszystkim... Ale Josh był teraz przeszłością.

Popatrzyła na zegarek. Była pierwsza po południu

— w Londynie dziewiąta wieczorem. Nawet jeśli zadzwoniłaby do Josha — czego nie zrobi, bo zabronił tego jej prawnik — i tak by go nie zastała. Pewnie jest w jednej ze swych melin, w barze w Chelsea lub w Soho, włóczy się z chłopakami, popija i podrywa kogo się da. Nie ma wątpliwości, że znów się z nimi spotyka, że wrócił tam, skąd się wyrwał zanim ożenił się z nią. Stawia szampana i drinki, opowiada dowcipy — wszyscy chłopcy słuchają uważnie każdego słowa, przecież jest gwiazdorem.

— Zapomnij o Joshu — westchnęła. Zadzwonił telefon. To był Johnny Swanson z najświeższymi plotkami z Hollywoodu. Chciał porozmawiać o zabójstwie Rozalinde.

— Znaleźli pudełko zapalek, wyraźnie z jakiegoś baru w Los Angeles, z takiego miejsca, gdzie Rozalinde nigdy nie chodziła. Musiały należeć do zabójcy.

— Skąd wiesz?

— Od wujka Vana. Jest kumplem szefa policji w Chicago. Mówił, że szybko znajdą tego szaleńca.

— Mam nadzieję. „Nie będziesz ostatnia” — to brzmi złowieszczo. Chloe wzdrygnęła się.

— Tęsknię za tobą, kochanie, myślę o tobie — powiedział czule Johnny, nie wspomniawszy o nocy pełnej radości i figli, jaką spędził z namiętną brazylijską aktorką szukającą roli w filmie. — Przyjdę cię zobaczyć w czasie następnego weekendu — dobrze, kochanie?

— O.K. Johnny, cieszę się. — Siedziała na wymiętym łóżku. Patrzyła na swą twarz w kształcie serca, odbijaną przez lustro nad łóżkiem. Czy to jej zawsze będzie przypominało Josha? A niech go diabli!

Podniosła słuchawkę i podała operatorowi w hotelu londyński numer. Czas porozmawiać z Annabel. Kochana Annabel, jej dziecko, z którym zawsze tak świetnie się czuła.

Maria, siostra Rozalinde, czuwała przy zwłokach w swej posiadłości w Beverly Hills. Ciągłe przysyłano kwiaty — kosztowały ponad tysiąc dolarów. Chuch Pick zapewniał parkowanie od południa do północy, trzy pokojówki z hotelu Beverly Hills były w ciągłej gotowości; usługiwały Marii, młodej rozżalonej Angelice i wielu kuzynom i ciotkom Rozalinde, którzy przyjechali z Mexico City, Acapulco i Los Angeles.

Właściwie wszyscy ważniejsi producenci, reżyserzy, agenci i gwiazdy z miasta składali hołd kobiecie, z której często drwili gdy żyła, choć doceniali miliony dolarów, jakie pozwoliła zarobić wielu z nich.

Rozalinde byłaby dumna, wiedząc kto przybył, by złożyć jej hołd. Ci sami ludzie, którzy za życia ledwie witali się z nią, teraz ronili krokodyle łzy i opowiadali o niej banały.

Pomimo sukcesu na ekranie, Rozalinde nigdy nie została zaakceptowana w towarzystwie. Łączyło się z nią coś lepkiego. Oczywiście uwielbiali ją kierowcy ciężarówek, urzędnicy i dzieciaki z college'ów, ale pomimo wysiłków siostry nigdy nie weszła do wyższej sfery. Zresztą wcale tego nie pragnęła.

Pochłaniała ją całkowicie bogate i urozmaicone życie seksualne oraz kariera. Zazwyczaj wzruszała ramionami, gdy Maria, żona producenta filmowego, Emmanuela Siegala, chciała wprowadzić ją do towarzystwa.

Okazało się, że Hollywood nadal uwielbiało celebrowanie żałoby po zmarłych, jakby przypominając sobie dawno zapomniane przyjęcia lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych. Teraz blask tego miasta gasł z każdą dekadą. Niemniej jednak, w wypełnionej antykami żółtej bawialni Siegalów, którą pokazywano w zeszłym miesiącu w „Architectural Digest”, panowała podniosła atmosfera. — Manny nigdy nie przestał narzekać na koszty, ale teraz już nie narzeka — powiedziała do siebie Maria, obserwując z dumą sławy Hollywoodu przy uginającym się od jedzenia bufecie. Rozeszła się wieść, że w tym tygodniu należy pokazać się w domu Siegalów.

Nawet Sissy (krokodyle łzy, buty ze skóry krokodyla i pasująca torebka) przyszła złożyć hołd. Żeby zauważono jej przyjście, włożyła małe kapelusik z woalką. Było piątkowe popołudnie, dzień przed pogrzebem. Daphne, która codziennie bywała u Siegalów, poinformowała ją, że zjawilo się tu całe Hollywood. Sissy pożytecznie spędziła czas; najważniejsza była rozmowa z Menachemem Golanem o możliwości zatrudnienia jej w trzech filmach.

Pogrzeb w Forest Lawn był okropną mieszaniną rozhisteryzowanych fanów, jedzących chrupki i fotografujących gwiazdy, oraz ciekawskich pismaków deptających trawniki, przepychających się, by zdobyć materiał dla pisma. Spoceni policjanci, gotujący się w żarze prawie czterdziestu stopni Celsjusza, usiłowali zachować porządek. Mała grupka posepnie ubranych żałobników, najbliższych przyjaciół i rodziny Rozalinde, usiłowała zachować dostojeństwo w obliczu tego pandemonium. Przez gapiący się tłum przeciskały się cztery ekipy telewizyjne. Trzy ulice dalej cztery wozy telewizyjne z technikami nagrywały scenkę dla zblazowanych telewidzów programu nocnego. W końcu ludzie zostali odepchnięci, trawniki zdeptane, zapanowano nad tłumem.

Chuck Waggoner z CBS News, stary wyga i doświadczona ręka, przez ostatnie dwadzieścia lat robił wiele reportaży z pogrzebów w Hollywood. Wyglądał poważnie, wzbudzał zaufanie. Stał z boku rozgadanego tłumu, gdy orszak i trumna wolno opuszczały kościół, udając się na wzgórze ostatniego miejsca spoczynku. Nie życzyła sobie kremacji. Przeżyła szok, gdy dwadzieścia lat temu spalono cudowne ciało Marilyn Monroe. Choć miała

wtedy zaledwie siedemnaście lat, powiedziała Marii, że gdy umrze, chce być pochowana w pięknym, słonecznym miejscu. Maria zapamiętała to i gdy duża dębowa trumna za dziewięć tysięcy dolarów zniknęła przysypana ziemią, zapłakała nad siostrą, która tak bardzo kochała słońce.

Calvin miał na sobie podkoszulek z napisem Universal City i bermudy, popijał mrożony Kool-Aid, stał na zewnątrz kościoła wśród dziennikarzy i fanów. Przepelniała go dziwna radość, uczucie euforii. Uśmiechał się i gawędził z innymi fotografami, którzy byli nieco zdumieni tą nagłą odmianą zazwyczaj małowównego człowieka.

Czuł się prawie bosko. Zrobił to. Utorował drogę swemu idolowi. Teraz sieć telewizyjna musi wybrać ją! Emeraldę! Jego boginię!

Udawał, że fotografuje inne gwiazdy w żałobnych szatach, szybko pozujące fotografom. Sabrina Jones przybyła z Luisem Mendoza. Oboje wyglądali nadzwyczajnie; ubrani na szaro szli trzymając się za ręce. Ciepły oceaniczny wiaterek rozwiewał nie farbowane i nie spięte blond włosy Sabriny. Ciemne loki Luisa spadały falą na czoło, podkreślały jego rozmarzone latynoskie oczy. Fotografowie rzucili się, by zrobić im ujęcie. Calvin został z tyłu. Czekał, kiedy przybędzie ONA. Wiedział, że się zjawi. Nareszcie...

Emeralda wyglądała wspaniale, spowita w suknię z jedwabnego jerseyu, tak ciemnozieloną, że prawie czarną, sięgającą do kolan; uzupełnieniem sukni były czarne pończochy ze szwami i olbrzymi kapelusz z czarnej słomki.

Towarzyszył jej Sol, pośpiesznie wezwany z Nowego Jorku, by służyć za eskortę. Sol był bardziej niż szczęśliwy mogąc spełnić jej prośbę, bo uczucie, jakim ją darzył, nigdy nie wygasło.

— To ty, kochana Emeraldo, dostaniesz tę rolę — szeptał Calvin cichutko. — Ty jesteś Mirandą! Tylko ty możesz ją zagrać. Gyby tak wiedziała, co dla niej zrobił — pomyślał. Co więcej, jeszcze nie skończył...

W dzienniku TV Sissy z niechęcią podziwiała wspaniałą żałobną suknię Emeraldy i drwiła z Luisa, umizgującego się Latynosa. Co za kutas — pomyślała sącząc Perrier i żując kawałek skórki cytrynowej.

Masażysta właśnie skończył ją masować. Zawsze czuła się zrelaksowana, gdy Sven wprawnymi palcami manipulował przy jej kościstym ciele.

Kilka lat wcześniej twardy skandynawski kutas Svena również przy niej manipulował. Było to szczególnie podniecające erotyczne doświadczenie, tym bardziej że drzwi były lekko uchylone, a wiedziała, że Sam będzie mógł nakryć ich w każdym momencie. Leżała na plecach na przenośnym stole do masażu, natarta oliwką dla dzieci, z nogami w górze i wielkim Szwedem pomiędzy nimi. To był pierwszy i jedyny raz, gdy Sven obdarzył ją swym sławnym masażem. Nie chodzi o to, że nie był dobry, ale Sissy preferowała chłopców, a on — trzydziestolatek — był dla niej za stary.

— Najlepszym ogierem w mieście, moja droga, jest milczący Szwed — pewnego dnia Daphne zwierzała się Sissy w czasie lunchu. Upiły się wtedy

„na smutno” szampanem podawanym przez Patricka Trail, gdy obchodziły któreś tam urodziny Daphne. — Mniej więcej dziesięć lat temu, nigdy nie pamiętam dat, było coś między nami, coś całkiem dużego — chichotała, gdy Patrick dolał jej szampana i wrzucił truskawkę do kieliszka.

— Serdeńko, był boski, naprawdę boski, a — co więcej — on nie mówi, nie plecie głupio o interesach, polityce czy golfie! — Tematyka męskich rozmów nigdy nie przemawiała do Daphne. Męskie towarzystwo było ważne, ważni byli również mężczyźni w ich właściwych funkcjach, którymi według Daphne były pieniądze i seks. Woląla jednak towarzystwo własnej płci, dzielenie się najintymniejszymi myślami i czymś, co uwielbiała może bardziej niż seks — plotkami!

Daphne mogła teraz wykorzystywać swój olbrzymi talent do robienia aluzji, szeptania sekretów i rozsiewania pogłosek — mogła zamienić go w lukratywną kolumnę w gazecie, dającą jej jeszcze więcej wpływów w mieście. Zaczynała się tym rozkoszować.

Spowita teraz w biały szlafrok frotte kupiony u Ritza, Sissy czytała najświeższe ploteczki Daphne. Miała kolekcję szlafroków frotte zabieranych z każdego większego hotelu na świecie — przyzwyczajenie, które rozwinęła, gdy studio zaczęło płacić jej rachunki.

— Miliony lojalnych przyjaciół i fanów będą boleśnie tęskniły za energiczną imitującą wolność Rozalinde Lamaze. Nasze miasto oddało honory seksownej, rudowłosej, tak zawsze pełnej życia kobiecie w przepięknej posiadłości w samym sercu Beverly Hills, należącym do jej siostry i szwagra Emmanuela Siegala. Emmanuel powiedział mi w sekrecie, że to Dustin Hoffman zagra Toulouse-Lautreca w przerabianym przez niego „Moulin Rouge”. Manny będzie kręcił ten film w Paryżu na wiosnę przyszłego roku. Jego piękna, pogrążona w żałobie, żona Maria wyznała mi pomimo smutku, że nie mogą doczekać się wakacji na Lazurowym Wybrzeżu w hotelu Voile D'or. Spotkają się tam z ich bliskim przyjacielem Adnanem Kashoggi na jego cudownej łodzi „Nabili” i wezmą udział w dorocznym balu u Lynna Wyatta. Bardzo szczupła, boska — jak zawsze — i elegancka w czerni Sissy Sharp opłakiwała stratę utalentowanej i pięknej Rozalinde. Sissy wróciła właśnie z prapremiery jej najnowszego filmu „Lady Be Bad”. Rozpowszechnianie filmu rozpocznie się w przyszłym tygodniu i zapowiada się niezwykle interesująco.”

„Rozpowszechnianie przyniesie wielką sławę Luisowi Mendozie — powiedziała mi szlachetna jak zawsze Sissy.”

— Nikt już dziś nie potrafi grać tak jak Sissy, prawdziwa gwiazda starego Hollywoodu. Urzekająca, utalentowana i uprzejma dla wszystkich. Jest jedną z głównych pretendentek do wielce obiecującej roli Mirandy w »Sadze«. Sissy jeszcze raz przeczytała artykuł; była zadowolona, że Daphne napisała o niej tak miło. Po to ma się przyjaciół. Podniosła magnetofon kasetowy firmy Sony i nagrała polecenie dla sekretarki, by wysłała Daphne kosz orchidei. Tak więc pozostało ich trzy — uśmiechnęła się. Trzy aktorki, które mogłyby zagrać Mirandę Hamilton.

— Biedna stara Rozalinde, nie będę za tobą tęskniła — pomyślała złośliwie. Brytyjska dziwka, amatorka oraz to beztalencie, tracąca sławę gwiazdy Hollywoodu, Emeraldal, były jedynymi rywalkami. Sieć nie może ich nawet porównywać z nią, Sissy Sharp, aktorką i zdobywczynią nagrody Akademii. Tylko ona może zagrać Mirandę.

14

Następnego dnia po pogrzebie Emeraldal obudziła się smutna. Odczuwała żal po stracie Rozalinde. Przyjaźniły się, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych. Pamiętała to gorące lato, gdy obie przebywały w St. Tropez. Emeraldal odpoczywała po zdjęciach w Hiszpanii, gdzie pieprzyła się nie tylko z dwoma głównymi bohaterami, ale i z operatorem zdjęć — niezłą sztuczka gwarantująca dziewczynie wspaniałe ujęcia. Rozalinde kręciła się w poszukiwaniu łupu, „zaliczała” opalonych, wspaniałych młodych mężczyzn spacerujących po plażach, wypełniających bistra i dyskoteki w poszukiwaniu rozrywek.

Obie kobiety bawiły się razem świetnie. Apetyt seksualny Emeraldy nie był tak eklektyczny jak Rozalinde, ale gdy ta, nasycona Kochaniem się z jakimś francuskim ogierem, raczyła ją opowieściami o swych podbojach, dostawała napadu śmiechu.

Emeraldal była jej idolem od czasu gdy była jeszcze uczennicą w Meksyku; była nieco przerażona, mogąc być tuż obok niej.

Emeraldę bawiło udawanie doświadczonej starszej kobiety, udzielającej mądrych rad przy jedzeniu rogalika na śniadanie.

— Nie ma nic złego w namiętności do mężczyzn. Sama kochałam kilku, a poślubiłam lub żyłam z większością. Popelniasz błąd, Kochana, bo jesteś zbyt otwarta.

— Wiem! — Na ładnej twarzy Rozalindy pojawił się grymas. — Wiem, jak mnie czasem nazywają. Mexican Open! Co za insynuacja; Czy nazywali tak Errola Flynna czy Warrenal Beatty? Oni kochali kobiety, tak jak ja Kocham mężczyzn. Ooo! Popatrz na niego! Rozalinde nagle pochyliła się, by obserwować młodego mężczyznę zbliżającego się do hotelowego basenu. Był dobrze umięśniony, mocno opalony, olbrzymich rozmiarów przyrodzenie wypychało jego slipki. — Uhm, bardzo ładny. Jak sądzisz, Emeraldal?

— Jasne, że ładny, dlaczego nie pójdziesz go poderwać? — roześmiała się Emeraldal. — Spotkamy się w „Tahiti” w czasie lunchu.

Gdy się spotkały, Rozalinde, jak zwykle, była ze swą zdobyczą. Miała dwadzieścia sześć lat, wyglądała ślicznie i była gwiazdą kina, niewielu mężczyzn potrafiło się jej oprzeć.

Emeraldal westchnęła wspominając tamte dni. Była smutna. Rozweselić ją mogły tylko dwie rzeczy — zakupy lub wizyta w Bekins. Zadzwoiła do starego wypróbowanego Sola; zawiózł ją do wielkiego brzydkiego budynku na

Western Avenue. Opowiadała mu o magazynie Bekinsa, lecz nie był tam z nią nigdy.

Pracownicy znali ją dobrze. — Dzień dobry, pani Barrymore — powiedział z szacunkiem mężczyzna za biurkiem. — Wszystko na panią czeka. — Starą windą towarową wjechali na trzecie piętro, szli korytarzami zastawionymi tekturą, metalem, drewnianymi skrzyniami i kontenerami różnej wielkości. — Jesteśmy na miejscu — powiedział strażnik, gdy podeszli do olbrzymich drzwi zamkniętych na kłódkę.

— Chce pani zostać sama?

— Tak, może pan odejść.

Mężczyzna wyszedł, kłaniając się uniżenie.

Sol nie wierzył własnym oczom. Pokój był zastawiony setkami tekturowych pudeł na odzież. Wieka usunięto, widać było zawartość połyskującą w jasnym kalifornijskim świetle.

Suknie Emeraldy. Jej kostiumy. Każdy strój, jaki kiedykolwiek nosiła na ekranie i poza nim, był tu przechowywany. Każdy karton miał starannie wypisaną naklejkę. — Czy to nie wspaniałe, kochanie? Czy nie śliczne? — szeptała pieszcząc jedwab, szyfon, satynę — wszystkie materiały, jakie kiedykolwiek wyprodukowano.

Sol potakiwał zdumiony. Wspomniała kiedyś, że trzyma „kilka rzeczy w magazynie”, ale zawartość jej kolekcji była niewiarygodna.

— Spójrz, kochanie, popatrz tutaj — mój pierwszy film — westchnęła.

Pudło miało naklejkę „Little Miss Marzipan. 1940. Columbia”. Prawie jak w transie wyjęła kilka maleńkich sukienek pokrytych pająkami. — Miałam wtedy sześć lat

— westchnęła. — Sześć lat. Spójrz, jestem tu z Douglasem i panną Goddard. Czyż można było mnie nie uwielbiać? Z tekturowej teczki wyjęła kilka dużych fotografii i pokazała je Solowi. Rzeczywiście była mała i zabawna — burza złotych loków, pyzate policzki z dołeczkami, wykrojone jak do całowania usteczka. Na zdjęciu miała na sobie powiewną białą sukienkę, którą trzymała teraz i gładziła. Patrząc na

roześmiane twarze Melvyna Douglasa i Paulette Goddard, sięgnęła pamięcią czterdzieści lat wstecz — grali wtedy jej wujka i ciocię.

— Chcieli wtedy, żebym była gwiazdą musicalu, więc byłam — powiedziała miękko. — Śpiewałam i tańczyłam tak, że nikt nie mógł uwierzyć, iż mam dopiero sześć lat. Sądziła, że jestem dwudziestopięcioletnią karlicą — dasz wiarę, Sol? — Roześmiała się dźwięcznie, a Sol, patrząc na nią, prawie widział maleńką, słodką dziewczynkę, jaką była.

— Panna Goddard była dla mnie taka cudowna — szeptała Emeraldy. — Pokazała mi, jak nakładać cienie i róż, pozwalała mi używać swoich perfum. Były mocne i seksowne. Przysyłano jej z Paryża całe butle. Podarowała mi nawet małą buteleczkę.

— Masz ją jeszcze? — spytał Sol. Nowy dziwny obraz Emeraldy zmieniał nieco jego obcesowe nowojorskie podejście do wszystkiego.

— Oczywiście, że mam — popatrzyła na niego zielonymi oczami. — Chodź ze mną. Zabrała go do następnego pokoju wypełnionego mniejszymi pudłami z podobnymi nalepkami. Otworzyła pierwsze z brzegu. Zawierało lalki, misie, maleńkie buciki do stepowania.

— Spójrz! — wyjęła maleńką butelkę koloru morskiego, teraz pustą. Podniosła ją do nosa i powąchała. — Nadal je czuję. „Je Reviens”. Używałam ich jeszcze dziesięć lat później. Paulette, to znaczy panna Goddard, była dla mnie taka dobra. Naprawdę ją kochałam.

Wróciła do pierwszego pokoju i pudła z naklejką „Daisy Did It, Fox. 1951”.

Wystawał z niego strój z krynoliny, taki jak nosiły wtedy nastolatki. —

Grałam wtedy razem z Jonet Leigh! — Ostrożnie otworzyła brązową kopertę. — Popatrz na tę okładkę. Co najmniej trzy razy byliśmy wtedy na okładkach magazynów. Popatrz, Sol, popatrz! Każda nastolatka w Ameryce chciała wyglądać tak jak my.

Sol przyjrzał się dwu uśmiechniętym blondynkom w sportowych butach i szortach, popychanym przez wiatr na plaży. Na następnym zdjęciu stały w sukniach wieczorowych bez ramiączek u boku młodego Roberta Stacka.

— Zobacz, byłam nawet na okładce „Life”. Pokazała mu czarno-białą okładkę: roześmiana Emeralda w dwuczęściowym kostiumie klęczała na plaży. Głowa odrzucona do tyłu, rozwiane jasne włosy, żadnych trosk na twarzy.

— O Jezusie, po co ty to wszystko trzymasz? — Sol był coraz bardziej zdumiony. Mężczyzna o prostym smaku, należał do ludzi, którzy potrafią się czegoś pozbyć, przestrzegał zasady — jeśli czegoś nie używasz, wyrzuć to. To, że Emeralda przechowuje te wszystkie rzeczy, uważał za dziwactwo. — To są śmiecie bez wartości, kochanie!

— Śmiecie? Śmiecie! Ty głupi skurwysynu! To jest historia Hollywoodu! Nikt nie ma czegoś takiego, nikt. Mary Pickford, Gloria Swanson, Greta Garbo, Joan Crawford, Liz Taylor, Lana Turner, żadna z nich nie zachowała swoich rzeczy, nie zadbała o te cudowne ubrania, dodatki... dla potomności. Czy wiesz, jakie to będzie miało znaczenie dla historyków za sto lat?

Sol potakiwał, by załagodzić jej gniew. Nie potrafił zrozumieć fascynacji stertą niemodnych kostiumów, starych magazynów i zdjęć. Kto ich będzie potrzebował?

— Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty drugi! Popatrz, Sol! Kręciłam wtedy w Paryżu mój pierwszy francuski film „Les Amies de Montmartre”. Z Alainem Delonem. Oczywiście nie był wtedy jeszcze znany. Ja byłam gwiazdą.

Największą francuską gwiazdą w tym czasie. Czy nie byłam wspaniała?

— Nadal jesteś — odparł Sol, patrząc jak urzeczoną na egzemplarz „Paris Match” z 1960 roku, gdzie Emeraldą drażniła zmysły platynowymi włosami, wysokimi białymi butami, czarną mini-spódniczką i pończochami. Stała oparta o balustradę Pont Neuf nad Sekwaną u boku młodego przystojnego mężczyzny a kruczoczarnych włosach, w którym Sol rozpoznał Alaina Delona.

— Grałam angielską piosenkarkę rockową — roześmiała się. — Popatrz tylko, co się wtedy nosiło. Kupiłam to wszystko na Carnaby Street i King's

Road. Och, jakie to były radosne dni! Paryżanie nie widzieli jeszcze takich ciuchów, jakie nosiłam. Byłam pierwszą, która w Paryżu— nie, w całej Francji — założyła mini-spódniczkę. Popatrz! — Przyniosła wieszak, na którym wisiało sześć czy osiem małych spódniczek: skórzanych, wełnianych i z denimu. Żadna z nich nie była dłuższa niż trzydzieści trzy centymetry, uszyto je zaledwie z połowy jarda materiału.

— O Jezu! Nosiłaś coś takiego? — Sol przełknął ślinę.

— Musieli widzieć twoją cipkę za każdym razem, gdy skrzyżowałaś nogi.

— Co ty, Sol? Nosiłam takie same majtki. Pod każdą spódniczkę była para majtek tego samego koloru. W wysokich białych butach wyglądałam jak nastolatka, choć miałam prawie trzydzieści. — Pokazała mu następny zbiór zdjęć. — Londyn i Paryż w szalonych latach sześćdziesiątych. Boże, ale się bawiliśmy.

Była na zdjęciu z Brigitte Bardot w St. Tropez, obie w tak krótkich szortach, że ich okrągłe opalone pośladki były prawie na wierzchu. Na następnym siedziała w Paryżu z Belmondem, rozmarzona sączyła kawę przed kawiarnią Left Bank. Na innych zdjęciach Emeralda była w Londynie z Mickiem i Bianką, w czasie koncertu z Johnem Lennonem i Bobem Dylanem — obaj nosili płaskie, czarne, skórzane czapki i okrągłe okulary; była z Michaeliem Caine, Terencem Stamp i najslawniejszą brytyjską modelką, Jean Shrimpton — jadły obiad w Club del Aretusa. Wszyscy wyglądali młodo i radośnie. — Lata sześćdziesiąte — westchnęła rozmarzona. — Dla mnie to najlepsze i najgorsze lata. — Sięgnęła po następną porcję zdjęć.

— To ja i mój lord — roześmiała się, pokazując mu czarno-białe ślubne zdjęcia z pozującymi gośćmi. — Zdjęcia robił lord Lichfield. Były tam księżniczka Margaret, hrabina Argyllu i księżna Westminsteru — cała angielska arystokracja, śmietanka śmietanki angielskiej. Ślub odbył się w kościele świętej Marii w Mayfair. Przez dwa czy trzy lata byłam lady Haverstock! Sol roześmiał się. Emeralda zawsze żartowała ze swych rozlicznych małżeństw; przepelniała ją radość i nadzieja, gdy nadchodził dzień kolejnego ślubu. Zawsze zaczynała jako oddana, spełniająca małżeńskie obowiązki żona, do czasu, gdy oczekiwania nie spełniały się, a mąż okazywał się zwykłym śmiertelnikiem. Żadne z sześciu małżeństw, oprócz tego z O'Herlihim, nie trwało dłużej niż trzy lata. Będąc zawsze optymistką, radośnie poślubiała następnych.

— W latach siedemdziesiątych wyszłaś za mąż dwa razy?— dopytywał się Sol.

— Tak, za angielskiego lorda i włoskiego hrabiego— Emeralda uśmiechnęła się i podeszła do pudła oznaczonego „1971”, wypełnionego koronkowymi, kwiecistymi strojami. — W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku zostałam na siedem i pół wspaniałych miesięcy contessą Calimari. Spędziłam je opalając się w Ibizie w willi Franco; on tymczasem zabawiał się z młodymi chłopcami. Mówiąc „młodymi” mam na myśli naprawdę młodych. Małżeństwo ze mną było tylko pokrywką. Amerykańska aktorka, bogini

seksu była doskonałą zasłoną dla włoskiego homoseksualisty. Małżeństwo unieważniono. Oczywiście zrobił to papież.

— No jasne — przytaknął Sol. — Kto jeszcze?

— Sol?

— Słucham, kochanie.

— Nie wiem, dlaczego to robię. Nigdy tu nikogo nie przyprowadziłam. Może to wyda ci się dziwne — głos zaczął się łamać, ale opanowała się — to jest naprawdę wszystko, co posiadam.

— Masz jeszcze mnie, kochanie. Jeśli tylko chcesz — powiedział. Poślubiłby ją jeszcze raz bez zmruczenia oka, gdyby tylko chciała.

— Nie, Sol. Jesteś słodki, ale to miejsce, te pudła i ich zawartość są moim prawdziwym życiem. Są bardziej realne niż jakikolwiek mężczyzna czy moje małżeństwa. To jest prawdziwa Emeralda Barrymore. Ten magazyn jest moim domem.

Usiadła na jednym z pudeł, szlochała rozpaczliwie. Sol poczuł się bezsilny. Nigdy przedtem nie otworzyła przed nim swej duszy. Emeralda Barrymore, królowa Wielkiego Ekranu, miała serce tak jak każda kobieta. Nie wiedział, jak się zachować.

Do tej pory ich małżeństwo, a potem życie po rozwodzie układało się, bo byli dla siebie atrakcyjni i pomagali sobie w trudnych momentach. Emeralda często potrzebowała osoby towarzyszącej. Lubiła wychodzić z domu, a nudziło ją towarzystwo przypadkowo poznanych mężczyzn. Dla Sola małżeństwo z nią było spełnieniem marzeń. Niestety, trwało bardzo krótko. Ślubną obrączkę wysadzaną szmaragdami i diamentami Emeralda nosiła tylko trzy miesiące. Dzięki Bogu pozostali nadal przyjaciółmi. Zawsze mogła wypłakać się w jego ramionach. Teraz też płakała.

— Gdybym mogła mieć dzieci — chlipała, a tusz do rzęs znaczył niebieskie strumyczki na policzkach. — Sol, gdy miałam trzydzieści lat, bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęłam dzieci.

— Co się stało? — dopytywał gładząc jej śliczne platynowe włosy, spod których wyglądały siwobrazowe odrosty.

— W studiu zmuszano mnie do brania tych cholernych pigułek. Brałam je zbyt wiele lat, ot i wszystko. Przestałam je zażywać, gdy poślubiłam jego lordowską mość. Naprawdę chciałam mu dać spadkobiercę — dziecko, które bawiłoby się z synem księżniczki Małgorzaty.

Wytarła mokre rzęsy maleńką chusteczką z koronkowym brzeżkiem. Sol nie znał nikogo, kto nosiłby takie chusteczki.

— Mów dalej, kochanie.

— W ciągu dwu lat trzy razy zaszłam w ciążę z lordem. Z nadzieją leżałam nieruchomo na plecach, ale za każdym razem poroniłam. Wreszcie jego matka postawiła ultimatum: Emeralda nie może mieć dzieci, pozbądź się jej. Musisz mieć dziedzica tytułu. Byłam już śmiertelnie znudzona mężem, ale było mi tak strasznie smutno — wytarła nos w maleńką chusteczkę.

— Co dalej? — spytał Sol. Trudno mu było uwierzyć w to, co słyszał. W trakcie małżeństwa nigdy mu się nie zwierzała.

— Cóż, kupiłam sobie psy! — roześmiała się z sarkazmem. — Miałam psy, puszczałam się, zakochiwałam wiele razy, ciągle się zaręczałam i ciągle zachodziłam w ciążę. W ciągu dziesięciu lat poroniłam jedenaście razy. W przeddzień moich czterdziestych urodzin ginekolog zaprosił mnie do siebie. Powiedział, że nie będę mogła mieć dzieci i żebym przestała się oszukiwać. I tak już byłam za stara.

— Nonsens — Sol zaprzeczył z grzeczności.

— Za stara, by być matką — dodała rozgoryczona. — Za każdym razem kiedy zaszałam w ciążę, byłam starzejącą się pierwiastką. Zabawne, co? Więc pozbyłam się całego wyposażenia.

— Jakiego wyposażenia? — nie rozumiał Sol.

— Kobiecego, kochanie. Wszystkich tych rzeczy, które sprawiają, że kobieta ma humory i jest nieobliczalna dwanaście czy trzynaście razy w roku. Zjawia się to

nieoczekiwanie, gdy zakładasz białą spódniczkę i siedzisz na oficjalnym obiedzie u jakiegoś tam ambasadora. Gospodarz jest mężczyzną, więc wiesz, że w jego łazience nie znajdziesz podpaski, tylko wazelinę i lekarstwa.

Uśmiechnęła się smutno. — Tak skończyła się moja kariera. Ginekolog rozpowiedział po całym Hollywood, że już nie jestem prawdziwą kobietą. Skończyły się propozycje dla biednej małej Emeraldy. A ja nadal musiałam prowadzić życie na odpowiednim poziomie. To wtedy zagrałam w pornosach.

— Emeraldo, na miłość boską, to nie były pornosy. Przecież to były filmy artystyczne.

— Dla ciebie były artystyczne, dla mnie były pornosami.

— Co z tego, że pokazywałaś piersi?

— Tylek też pokazywałam.

— Masz wspaniały tylek, maleńka — powiedział z uznaniem, ściskając ją. Zastanawiał się, czy zgodziłaby się na szybki numerek wśród krynolin.

— Zdjęcia były wspaniałe — prawda, Sol?

— Tak, och tak, kochanie. — Tak jak tysiące mężczyzn, pamiętał jej śmiałe sceny w nadzwyczaj poważnym, choć erotycznym włoskim filmie „L'innamorata”.

— To jest zdjęcie sprzed pięciu lat. Myślisz, że wyglądałam tak samo? — Trzymała olbrzymie kolorowe zdjęcie z tego filmu. Miała na sobie czapkę oficera gestapo, czarny nazistowski mundur, którego rozpięta marynarka odsłaniała średniej wielkości śliczne piersi. Jak na czterdzieści trzy lata, wyglądała na zdjęciu sensacyjnie. Znalazła się na okładce „People”, „Newsweeka”, znów obsadzano ją w filmach, najczęściej w Hiszpanii, Niemczech i we Francji.

— Wiesz teraz, dlaczego muszę zagrać w „Sadze”. Na grobie matki przysięgłam, że nigdy nie zagram dla telewizji, ale czas ucieka, a jedyne, co posiadam, to twarz, ciało i sławę.

— Nadal jesteś śliczna, kochanie — uspokajał Sol.
— Mam dokładnie dwieście pięćdziesiąt tysięcy w banku, co — nawet jeśli będę oszczędna — wystarczy mi najwyżej na rok. Mam dom w górach...
— Jest wart kilka milionów, uspokój się.
— Mam wiele futer, wspaniałą biżuterię. Gdybym je sprzedała, mogłabym przetrwać następny rok, a co potem? Co potem, Sol?
— Znów wyjdiesz za mnie, kochanie.
— Nie, nie mogę. Przykro mi, ale nie kocham cię, skarbie. Bardzo cię lubię, jesteś zabawny i słodki, ale dla mnie ważna jest namiętność, nie potrafię udawać. Wiesz, że nie zmyślam.
Pośród rekwizytów czterdziestoletniej kariery popatrzyli na siebie smutno. — Teraz wiesz, dlaczego muszę dostać tę rolę — powiedziała ściskając rękę Sola.
— Jestem aktorką od czterdziestu lat. Nie potrafię robić nic innego. Pragnę tej roli, pragnę akceptacji tego miasta. Znów chcę pieniędzy, sławy, chcę być na okładkach pism. Jeśli jej nie dostanę, na zawsze zostanę starym pudłem. Jestem taka zmęczona. Starzeję się...
— Nie, kochanie, to nieprawda!
Przerwała mu: — Jest tylko jedna rzecz, na której się znam — Hollywood. Tak, dla widzów nadal jestem gwiazdą, ale dla wszystkich w przemyśle filmowym, dla każdego cholernego producenta czy agenta w tym śmierdzącym mieście jestem byłą gwiazdą. Muszę to zmienić. Zagram Mirandę, żeby to nawet miało mnie zabić. Zrobię wszystko co potrafię, znów będę prawdziwą gwiazdą. Nic innego mnie nie obchodzi.
Pokiwał smutno głową. Wiedział, że mówiła prawdę. — Wynośmy się stąd, dziecinko — zaproponował.

15

Nic nie zmieniło się w Las Vegas — pomyślała Chloe, przyglądając się swym towarzyszom w windzie kasyna. Grube tyłki w obcisłych szortach, pomarszczone stare damulki, które robiły trwałą tyle razy, że ich włosy wyglądały jak szaroniebieska włóczka, panienki i businessmeni. Zawsze zastanawiała się nad otyłością ludzi tu przyjeżdżających. Może jedzą za dużo donatów i przekąsek popijając koktajlami mlecznymi? Chyba najgrubszy byli ci popijający dietetyczne jedzenie sodą. Chloe skrzywiła się, gdy kobieta jedząca lody poplamiała jej zamszowe buty.

Pokój w hotelu Empire był jak zwykle urządony z przepychem, choć „adamaszkowo-jedwabne” zasłony na ścianach i w oknach były ze stuprocentowego poliestru o miękkości lakierowanej tektury, a „welwetowa” sofa była twarda jak skała. Czarna akrylowa wanna z kranami udającymi złoto była wystarczająco szeroka dla dwojga. Na jej końcu umieszczono cienką czarną plastikową poduszkę, na wypadek gdyby oboje chcieli wypróbować jej rozkosze.

Siedziała na szerokim łóżku przykrytym wiśniową pogniecioną kołdrą i patrzyła w górę, przyglądając się swemu samotnemu odbiciu w umieszczonym na suficie lustrze. Pamiętała, jak razem z Joshem występowali ostatnio w Empire, dzielili ten sam apartament, błyszczącą czarną wannę, to samo łóżko, obserwowali siebie w tym samym lustrze...

Josh zawsze uwielbiał patrzeć na ich ciała splecione w uścisku na pościeli koloru wina. Nigdy nie był tak podniecony jak wtedy, gdy razem byli w Las Vegas. Brał ją wtedy trzy, cztery razy dziennie, jego pożądanie rozpałał widok ich ciał w lustrze. Westchnęła zdejmując zamszowe spodnie De Fabrizio. Przestań myśleć o Joshu — ganiła samą siebie. Przestań myśleć o przeszłości. Weź się w garść, dziewczyno! Przed tobą występ!

W ciasnym pokoju w motelu na południu Las Vegas Calvin rozpakował swój płócienny plecak i przeglądał jego zawartość. Jest nóż. W metalowym błyszczącym ostrzu odbijały się błyszczące oczy, którymi tępo gapił się na niebieskie niebo Nevady. Z tej odległości nie widział odcieni piasku między drzewami, zasłaniały go proste palmy i zarośla krzaków. Wszystko, co mógł dostrzec, to napis dominujący nad nimi. Na wielkiej tablicy wypisano: CHLOE CARRIERE, 16—27 lipca, 20\$ występ popołudniowy; 25\$ występ nocny. Rezerwacje telefon: 732-8800 LAS VEGAS EMPIRE. U nas spędzisz miło czas.

Calvin powoli podniósł słuchawkę i wybrał numer. Na nazwisko John Ryan zarezerwował bilet na wieczór. Najwyższa pora, by się do niej dostać. Późno wieczorem Chloe siedziała w garderobie. Fryzjerka wpinała białe kwiaty z cekinami w jej ciemne włosy, a ona trzęsącymi się rękami malowała twarz. Dręczyły ją myśli o Joshu. Słyszała śmiech tłumu, występował Shecky Greene.

Pięć lat temu, w tym samym pokoju błagała Josha, by przestał brać narkotyki. Niszczyły jego karierę i małżeństwo. Gama medykamentów, jakich potrzebował do życia, stała się koszmarem. Zazwyczaj budził się o czwartej, piątej po południu i dostawał zastrzyk z witamin na poprawienie głosu, zapisany przez lokalnego szarlatana z Vegas. Potem brał trzy proszki, olbrzymią dawkę koki i coca-coli. Siedział przy stoliku do gry w kości kilka godzin, jeśli Chloe miała masaż lub manicure. Gdy była w pobliżu, chciał uprawiać z nią seks. Pomimo narkotyzowania się, nadal był niewiarygodnie męski. Był jej mężem, uwielbiała go pomimo wszystko. Na godzinę przed występem jeszcze jeden zastrzyk z witamin, pigułka z kokainą i następna porcja koki. Tuż przed wyjściem na scenę dilaudid, legalnie dozwolony narkotyk, dwa razy silniejszy od heroiny. Pięknie opalone i umięśnione ciało w białej jedwabnej koszuli rozpiętej do pasa i czarne spodnie podkreślały jego olbrzymi sex appeal. Nadal miał „to” dla kobiet w Las Vegas. Stare czy młode, dla wszystkich był dziko atrakcyjny. W czasie przedstawienia śpiewał przez pierwsze czterdzieści minut, ona przez następne czterdzieści, a potem jeszcze piętnaście minut razem. Patrzyli sobie w oczy, śpiewali ballady, piosenki o

miłości z uczuciem i seksownymi półtonami przyprawiającymi publiczność o szal. Po występie zaufany lekarz badał mu ciśnienie; jeśli było powyżej stu czterdziestu, dawał pigułkę na obniżenie, po której Josh znów zażywał kokę. Wzmocniony aplauzem i wzajemną empatią mógł przyjmować gości i znajomych, załatwiać interesy w ich wspólnej garderobie z oszklonym barkiem i kominkiem opalany drewnem.

Później szli z przyjaciółmi na obiad do Rib Room; tam pozostawał do świtu. Zanim poszedł spać, brał dwa quaaludy, pigułkę od nadciśnienia i demerd. To było za dużo. Dużo za dużo. Często robiła mu długie wykłady.

Utrzymywał, że nie jest uzależniony, że potrafi to opanować, a bierze, bo musi pracować. — Przestań pleść bzdury, Chloe — mawiał. — Nie niszczę organizmu.

Najdziwniejsze, że tak wtedy wyglądało. Ale stopniowo nałogi zaczęły nadwierać jego występy, a potem jego życie. Właściciele kasyn w Vegas szybko dowiedzieli się o wszystkim. Stawał się nieodpowiedzialny, niewiarygodny. Wielkie występy i lata wielkich pieniędzy — siedem tysięcy pięćset, dziewięć tysięcy tygodniowo — zaczęły odpływać w przeszłość. To wtedy musieli zacząć jeździć na prowincję. Ach, te tournee. Nużące, wyczerpujące psychicznie. Milwaukee, New Haven, Idaho, Atlanta, Connecticut, Kansas. Tygodnie i miesiące włóczęgi.

Powolne umieranie zabiło jego karierę i małżeństwo. Teraz musiała troszczyć się tylko o siebie. Przypudrowana twarz, błyszczące usta, ciemne oczy. Czarna koronka na przezroczystym szyfonie szczelnie otulała jej ciało. Wyglądała doskonale.

Zespół grał, zapowiadając jej występ. Słyszała aplauz na dźwięk dobrze znanych piosenek — jej piosenek. Czas na występ.

Choć Chloe nie występowała w Las Vegas od czterech lat, powrót na tutejszą scenę był wielkim sukcesem — nadal miała wielu fanów. Ku jej zdumieniu i radości na pierwszym występie zjawili się Sammy i Altovise Davis, Milton i Ruth Berle, Steve Lawrence i Eydie Gorme. Przyszła też Pandora. Kończył się jej romans z młodym aktorem. Spędzał więcej czasu, grając w ruletkę, niż z nią. Była w filozoficznym nastroju.

— Kochanie, uczucia są jak torba z zakupami — im więcej w nią wkładasz, tym bardziej ci cięży.

Następnego ranka leżały obok hotelowego basenu.

— Na moim horyzoncie zjawi się następny obiekt — Pandora rozcierała krem do opalania na zgrabnych nogach. — Mężczyźni są jak autobusy; jeśli poczekasz dostatecznie długo, zjawi się następny.

— Wyglądasz tak świetnie, że nie będziesz musiała długo czekać — odparła Chloe, podziwiając szczupłe ciało koleżanki w białym kostiumie.

— Telefon do pani, panno Carriere — powiedział hotelowy boy, mocując przewód telefonu i podając go Chloe.

— Cześć, kochanie, to ja, Jasper — powiedział z nienagannym angielskim akcentem. Chloe ucieszyła się.

— Cześć, Jasper, co się stało?

— Myślę, że jesteś na pierwszym miejscu do roli Mirandy. Dziś rano rozmawiałem z Abbym i Gertrudą. I oni, i sieć uważają, że twój test wypadł najlepiej. Są pewni, że chcą ciebie.

— Ale nie są jeszcze całkiem pewni, tak, Jasper?

— Tak, kochanie. Wiesz, jak to jest. Bądź spokojna, moja droga i śpiewaj. Jestem pewien, że pod koniec tygodnia dostanę wiążącą odpowiedź.

— Dobrze.

— Aha, w dzisiejszym „Reporter” Robert Osborne napisał o tobie długi artykuł; mówi, że jesteś główną pretendentką do roli Mirandy. Zadzwoń do ciebie.

— Dziękuję Jasper, będziemy w kontakcie, całuję cię — Chloe odłożyła słuchawkę, czuła się podniecona.

Pandora była pochłonięta rozmową z człowiekiem, który w niezwykle sposób ostatnio pobił wszelkie hotelowe rekordy. — Znasz Wielkiego Geraldo, prawda? — ledwie oddychała, błyszczały jej oczy.

Wielki Geraldo pochylił głowę z europejską galanterią, pokazując farbowane czarne odrosty.

— Enchante, madame.

— Przepraszam na chwilę, chce kupić gazetę. Wielki Geraldo nadal kłaniał się z elegancją kontynentalnego galanta, gdy Chloe, unikając nasmarowanych olejkiem opalonych ciał, weszła do ciemnego chłodnego lobby.

Rzeczywiście pisano o niej w kolumnie plotek „Hollywood Reporter”: Abby Arafat i sieć BBC zgadzają się, że Chloe Carriere byłaby najlepsza do roli Mirandy Hamilton

w nowym serialu Abby'ego „Saga”. Pani Carriere występuje do dwudziestego siódmego lipca (bez Joshuy Browna) w hotelu Las Vegas Empire. Zobaczcie ją, jeśli możecie! Jest czego posłuchać!

Chloe była zadowolona. To nie był artykuł ludzi zajmujących się reklamą. Nie miała agenta prasowego. Może prawdziwa była zwrotka: To powinnaś być ty/to powinnaś być ty/ Szukam wszędzie/ i wreszcie znalazłem/ kogoś, kto...

Chloe miała ładny gos, była zrelaksowana, wzbudzała zaufanie. Nerwowość pierwszej nocy zniknęła; była zdziwiona, ile przyjemności sprawia jej występ. Wyglądała promiennie w srebrnej sukni Nolana Millera która skrzyła się od maleńkich imitacji diamentów. Twarz Chloe też promieniała. Sala była wypełniona. Publiczność lubiła ją, koniec każdej piosenki witany był oklaskami.

Z boku, skulony z butką whisky dla dodania sobie odwagi, stał Calvin, obserwując jej każdy ruch.

Dziwka! Skąd u niej taka pewność siebie? Jak śmie pokazywać się w tej sukni, tak cienkiej i przylegającej do ciała, że ludzie mogą prawie zobaczyć zarys jej piersi i tyłka. Angielska dziwka, zapłaci za to drogo! Przyglądał się jej złośliwie. Zeszła w dół, śpiewała wśród publiczności: „Wszyscy powinni kogoś kochać”. Z gracją poruszała się wśród stolików pełnych turystów w

ubraniach z poliestru. Wyciągali do niej dłonie. Ścisnęła je, ciepło patrzyła w ich twarze, dzieliła ich radość.

— Zdzira! — zacisnął usta, jednocześnie zaciskając dłoń na nożu w kieszeni. Palce świerzbiali go, by uderzyć tę dziwkę w twarz. Jęknął. Miał wzrów. Dlaczego to się teraz dzieje? Gdy tak bardzo nienawidzi tej kobiety, dlaczego zdradza go własne ciało?

Usiłował odwrócić uwagę, obserwując twarze publiczności, ale oczy jak przyklejone nie chciały się oderwać od jaśniejącej sylwetki. Światło reflektora śledziło ją, gdy przeciskała się pomiędzy zatłoczonymi stolikami.

— Zwróć uwagę na tego faceta z boku — szepnął Jake Walker do swego partnera Hanka Gillisa.

Jake, normalnie ubrany mężczyzna z obstawy, od piętnastu lat pracujący w kasynach, a od dziesięciu w policji, był dumny ze swego instynktu. Ale Hank go nie słuchał. Jake jeszcze raz dźgnął partnera łokciem.

— Cicho! — syknął Hank. Był zafascynowany Chloe, przyglądał się jej, gdy wolno szła wśród publiczności. Może dotknie i jego. — Jake, zamknij się, jestem zakochany! — odpowiedział.

Chloe była już teraz bardzo blisko. Zatrzymała się przy stoliku podnieconych japońskich turystów. — „Wszyscy powinni kochać” — śpiewała, ujmując dłoń młodej Japonki; ta poczerwieniała podekscytowana.

Calvin prawie przestał oddychać. Zaplanował to przemyślnie. Miejsce, gdzie stał, było obok wyjścia. Tylko jeden szybki ruch. Zanim krew zacznie wypływać z jej gardła, zanim ktokolwiek uświadomi sobie, co się stało, on już będzie w kasynie, zmiesza się z tłumem. Była prawie północ, sobota, sala szczelnie wypełniona. Z łatwością zniknie wśród tłumu. Był przebrany w czerwoną perukę i okulary w rogowej oprawie, później zamierzał się ich pozbyć.

Zbliżała się. Czy podejdzie do niego? Tak, jasne, że podejdzie. Poprzedniej nocy obserwował oba jej występy. Zawsze podchodziła aż do ostatniego rzędu. Czas naglił. Nóż palił w kieszeni. Dłonie miał całkiem mokre, wytarł je czerwoną lnianą serwetką. Czerwień — kolor krwi, która wkrótce popłami srebrną sukienkę. Od dawna nie miał takiej erekcji. Stęknął. Potrzebował ulgi.

Chloe była teraz tak blisko, że czuł zapach jej perfum. Podniecający, podobał mu się.

Wszystkie oczy zwrócone były na nią.

Tylko jeden człowiek patrzył na Calvina. Jake obserwował go z instynktem wyczulonym przez lata doświadczenia; wiedział, że z tym mężczyzną dzieje się coś bardzo złego.

— „Powinieneś kochać, kochać, kochać”... — śpiewała Chloe, wzruszona miłością i szczęściem, jakiego doznawała od publiczności.

— Kochać, kochać, kochać! — wtórowała szczęśliwa publiczność.

Wszyscy oprócz Calvina mieli zamglone oczy i twarze mokre od potu. Jake obserwował jego oczy, potem ręce, czekał na ruch potwierdzający, że jego

przypuszczenia są słuszne. Gdy Chloe znalazła się o kilka metrów, Calvin sięgnął po nóż. Jake przesunął się do stolika obok niego. Calvin zamarł. Jake błysnął odznaką policyjną. — Spokojnie, gnojku— powiedział, umiejętnie naciskając dłoń mężczyzny i wyluskując z niej nóż. To z pewnością była śmiertelna broń, nóż łowcy jeleni, dwudziestocentymetrowy, o trzynaście centymetrów ponad dozwolony limit. Ostry jak bagnet. — To zakazana broń. Wybierasz się na polowanie?— warknął do trzęsącego się Calvina. Chloe przeszła obok stolika, wracała teraz na scenę. Strach sparaliżował Calvina. Pot kapał mu z czoła na rękę Jake'a, ten trzymał jego przegub w stalowym uścisku. Nikt nie zauważył obu mężczyzn. Wszystkie oczy utkwione były w falującej sylwetce Chloe. Gdy rozległy się oklaski, Jake na moment odwrócił uwagę.

Ze zwierzęcym okrzykiem i nagłą siłą szaleńca Calvin lewą ręką uderzył Jake'a w twarz, przewrócił stolik i uciekał w kierunku wyjścia.

— Zatrzymajcie go! — krzyczał Jake do policjanta stojącego przy wejściu. — Zatrzymaj tego mężczyznę!

Calvin zawył z bólu. Olbrzymi strażnik złapał go i przygwoździł do ziemi. Spadła mu peruka, okulary roztrzaskały się o podłogę. Zapomniano o Chloe. Ludzie, słysząc wrzaski Calvina, wstali, by zobaczyć, co się dzieje.

Chloe zamarła przerażona, gdy szepejący tłum skupił się wokół niej i popychał ją w panice. Ci sami ludzie, których zniewoliła zaledwie kilka sekund wcześniej, teraz spychali ją ze swej drogi. Wspinając się na stopnie sceny, straciła równowagę i potknęła się. Ktoś z tłumu podał jej dłoń, pomógł wejść na scenę. Zespół grał jakąś skoczną melodię.

— Dobrze się pani czuje, madame? — Chloe z wdzięcznością spojrzała w oczy wysokiego ciemnego mężczyzny, który obejmował ją protekcjonalnie ramieniem.

— Dobrze... nie, niezbyt... jest mi słabo. Czy wie pan, co się stało?

— Proszę iść ze mną — powiedział, prowadząc ją za kulisy. W garderobie Chloe siadła na kanapie. Mężczyzna nalał jej szklanek wody i podał kieliszek koniaku.

— Wie pan, co się stało? — spytała jeszcze raz.

— Proszę wypić i nic nie mówić. Proszę wypić koniak — komenderował.

Była bardzo wdzięczna nieznanemu, który wiedział jak jest zdezorientowana i jak bardzo potrzebuje pomocy.

— O, Boże — westchnęła. — Co chciał zrobić ten mężczyzna? Kim on jest?

— Nie wiem — Chloe rozpoznała obcy akcent. Francuz, Włoch — nie umiała powiedzieć.

— Dziękuję za pomoc. Proszę wybaczyć, jestem nieco roztrzęsiona.

— To zrozumiałe, madame. Czy mogę się przedstawić? Philippe Archambaud, a votre service. Skinął nieco oficjalnie głową i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Las Vegas to bardzo daleko od Francji. Poczula się lepiej po wypiciu koniaku, rozgrzał ją.

— Mam tu robocze wakacje, by napisać coś o tym, co nazywamy „amerykańską sceną”. Piszę serię artykułów dla „Paris Match”.

— Dziennikarz! — Chloe jęknęła bezwiednie. Nigdy nie ufała dziennikarzom. Byli jej „złymi duchami”.

Weszła służąca mówiąc, że policja chciałaby porozmawiać z Chloe. Philippe wstał. — Pójdę już.

Delikatnie przycisnął jej palce do swych ust. — Tout a l'heure, madame Carriere.

— Au revoir, et merci — odpowiedziała podziwiając jego wygląd, nienagannie skrojony ciemny garnitur, ślicznie zawiązany subtelny krawat. Zauważyła, że napisał coś na pudełku zapalek, które włożył jej w dłoń.

— Zostanę tu do końca weekendu. Jeśli ma pani ochotę, możemy razem wypić kawę. W wolnym czasie, oczywiście.

Znów się uklonił, w sposób kultywowany przez Francuzów, i wyszedł, mijając w drzwiach dwóch policjantów.

Przesłuchanie było krótkie. Choć policjanci wyglądali na sympatycznych, było w ich trosce coś, co sprawiało, że Chloe poczuła się prawie winna temu incydentowi. Cieszyła się, gdy sobie poszli. Nie mogła im pomóc. Widziała tego mężczyznę tylko przez sekundę czy dwie. Nie miała wrogów.

Służąca krzątała się wokół niej. — Czy madame życzy sobie jeszcze drinka, papierosa? Nie, madame nie chciała. Madame wiedziała, czego jej potrzeba dzisiejszej nocy.

Czuła się samotna, opuszczona, smutna. Chciała być blisko kogoś. Podniosła pudełko, które zostawił Francuz.

— Philippe Archambaud. Pokój 1727.

— Jakie atrakcyjne nazwisko. Jaki atrakcyjny mężczyzna — pomyślała.

Otworzyła torebkę i włożyła pudełko do środka.

Spędziła tę noc, tak jak czterdzieści poprzednich — samotnie.

Część czwarta

16

Chloe popatrzyła na zegarek. Jasper Swanson obiecał zadzwonić, jak tylko zadzwoni do niego Abby. Trzecia po południu. Powinien już wrócić z piątkowego lunchu w La Maison. Pewnie Sissy dostała rolę — pomyślała Chloe, gapiąc się na ocean. Trzeba było przyjąć propozycję trzymiesięcznego tournée po Europie. To było lepsze niż grywanie gościnnie w „Aniołkach Charliego” czy „Police-woman”. Od obu propozycji uchyliła się grzecznie po powrocie z Vegas. Minęły trzy tygodnie. Był prawie koniec lata. Zdjęcia do „Sagi” miały się rozpocząć za dwa tygodnie — na co oni czekają?

Włożyła czarny jednoczęściowy strój kąpielowy i biały szlafrok frotte. Do diabła z czekaniem. Pójdzie nad morze — popłynie daleko, wypije szklanę

mrożonej herbaty, potem pojedzie do salonu Billa Palmera, by Tanni zrobiła jej manicure, a Dino nową fryzurę. Zapomni o Mirandzie! Zadzwoił telefon. Za czwartym razem podniosła słuchawkę.

Usłyszała podniecony głos Jaspera: — Dostałaś ją, kochanie, dostałaś ją! Zaraziła się jego podnieceniem.— Och, Jasper, nie mogę w to uwierzyć. Jesteś pewien? Nie mylisz się?

— Tak, tak. Oczywiście, jestem pewien, kochanie. Sieć uwielbia cię. Powiedzieli, że nikt ci nie dorównuje. Twoje zdjęcia były najbardziej ekscytujące. Gertruda powiedziała, że ty jesteś Mirandą!

— Och, bełkotała Chloe, Jasper, jesteś cudotwórcą. Jak mogli mnie wybrać zamiast Emeraldy, ona jest taką wielką gwiazdą... a Sissy, taka wielka aktorka? Po prostu nie dowierzam własnemu szczęściu. Dlaczego tak długo czekali?

Roześmiał się. Przeciąganie przyniosło ponad milion dolarów zarobionych na reklamie. — Droga dziewczyno, wiesz, że ci z kanału nie są głupcami. Masz swój styl, Chloe. Może sama tego nie rozumiesz. Dam ci radę: nie myśl o tym za bardzo, bo zaczniesz rozmyślać, analizować i możesz go stracić.

— Co masz na myśli? — pytała. To, co się stało, zaczęło dopiero docierać do jej świadomości.

— Uważam, że jesteś urodzoną gwiazdą, głuptasie — jego brytyjski głos stał się bardziej poważny. — Abby i Gertrude wiedzieli o tym zaraz po teście. Musieli tylko przekonać sieć, że jesteś odpowiednią kobietą do tej roli.

— I przekonali. Och, Boże, Jasper, jestem taka podniecona, chciałabym krzyczeć. Musimy to uczcić.

— Dobrze. Wieczorem ruszymy w miasto. Włóż, co masz najlepszego. — Jasper pracował w tym zawodzie od trzydziestu lat, ale rzadko słyszał, by jakiś wykonawca był tak szczęśliwy, dostając pracę. — Spago, Chasen's, La Maison — co pani wybiera, milady?

— Wszystkie! — roześmiała się Chloe — szampan w Spago, chili w Chasen's i deser w La Maison.

— Masz to załatwione, głuptasie! — I dodał: — Musisz teraz uważać, moja miła. Uważać na ludzi, na tych, którzy nie chcieli cię wcześniej znać, a teraz będą chcieli być twoimi najlepszymi przyjaciółmi. Znajdziesz się w bagnie, moja droga, w bagnie „najlepszych przyjaciół”.

— Będę się strzegła, kochany, oczywiście będę. Nawiasem mówiąc, ile będę zarabiała?

Zamilkł na chwilę. — Nnno, tu jest mały problem. To znaczy, powiedzmy to sobie szczerze, jesteś gwiazdą kabaretu, jak na piosenkarkę całkiem wielką.

— Oszczędź tych szczegółów, Jasper.

— Piętnaście za odcinek.

Była zdumiona. — Piętnaście? Och, Jasper, tak mało? Nie myśl, że jestem niewdzięczna, ale wiem, że Sam Sharp dostaje pięćdziesiąt, dlaczego dla mnie tylko piętnaście?

— Moja droga, tak wyglądają interesy. Chcą cię, ale jeśli chodzi o amerykańskie filmy klasy A, to nikt cię nie zna.

— Właśnie sprzedałam dom w Vegas — protestowała Chloe.

— Na miłość boską, bądź rozsądna! Oboje jesteśmy tylko Brytyjczykami. Wiemy, że świetnie radziłaś sobie w Vegas, ale oni mają jeszcze dziesięć innych osób z obsady, którym też trzeba zapłacić. Ty jeszcze nie jesteś gwiazdą. Aha, obsadzili Sissy w roli pierwszej żony, Sirope.

— Sissy? To dziwne, testowali ją do roli Mirandy. Dlaczego?

— Cóż, Abby potrzebuje do tego filmu gwiazd. A Sissy potrzebuje porządnej roli. To dlatego nie mogą ci zapłacić tyle, na ile zasługujesz. Sissy jest nadal gwiazdą i zapłacą jej jak gwiazdzie. Kochanie, w tym mieście gwiazda jest zawsze gwiazdą.

— O.K., wiesz, jak bardzo pragnęłam tej roli. I oczywiście jestem zadowolona, że ją dostałam. A co się stanie, jeśli ja też zostanę wielką gwiazdą? Dostanę podwyżkę?

— Kochanie, wtedy nie będzie limitu, nie ma o czym mówić! Dopilnuję, żeby potroili twoje zarobki, jeśli będziesz wysoko notowana przez ośrodek badania opinii publicznej. Obiecuję ci to, kochanie.

— Świetnie! — Chloe promieniała. — W takim razie akceptuję. Oczywiście mam jeszcze kilka pytań.

— Tak myślałem. Zawsze byłaś sprytna, Chloe. Moja limuzyna przyjedzie po ciebie o ósmej. Uważaj na fałszywych przyjaciół!

— Nie zapomnę, Jasper, obiecuję.

— Nie, nie, nie! Nie mogę w to uwierzyć! — wrzeszczała Sissy do swego agenta. Okręciła ręcznikiem nieistniejące piersi i skinęła na Svena, by przyniósł jej papierosa.

— Cholera! — krzyczała wściekła. Usiadła na przenośnym stole do masażu i wciągnęła dym głęboko w płuca.

— Do cholery z rakiem — powiedziała sama do siebie.

— Jestem skończona, zrujnowana przez to zagraniczne krówsko.

Sven zapalił camela. Ze stoickim spokojem przeglądał ostatni numer „Body Building”, który wyjął z nesesera. Jego spokojne rysy nie zdradzały niczego, żadnych uczuć. Sissy przedstawiała żaloszny widok — zbyt opalona skóra, wychudzone ciało, za mocno ufarbowane włosy. Szlochała z wściekłości rozmawiając przez telefon.

— Jak będę mogła podnieść oczy? — krzyczała na Robin, swą beznadziejną agentkę. — No jak, może mi powiesz?

Robin usiłowała ją ułagodzić.

— Pomyślę o tym — wymamrotała Sissy. Rola pierwszej żony nie umywa się do roli Mirandy, ale jeśli przyjmę ją, zrobią mi reklamę, tak?

Znów słuchała, mocno zaciągając się papierosem. Sven obserwował pogłębiające się zmarszczki nad cienką linią jej ust — rezultat trzydziestu papierosów dziennie. Żaden face-lifting nie może ich zlikwidować.

— Czterdzieści tysięcy za odcinek. Nieźle — wyraźnie się uspokajała. Rysy twarzy nieco zmiękły. Sven spojrział znad magazynu.

Sissy skończyła rozmowę, mówiąc: — Pomyślę o tym. Obiecuję. Zadzwoń do mnie jutro. — Odłożyła słuchawkę. Uśmiechnęła się. Głębokie zmarszczki i gorzki wyraz twarzy ustępowały. Gdy uśmiechała się, wyglądała o dziesięć lat młodziej, prawie dziewczęco. — Chodź tu, Sven— zażądała chrapliwym, zmysłowym głosem.

Urok Svena polegał na tym, że był tak bardzo dyskretny i heteroseksualny. Żadna z pań, które dzieliły jego szczerze rozdawany skandynawski urok, nie miała nigdy powodu do narzekania. Chciał je zadowolić i zadowalał. Nigdy również nie przepuścił okazji. Jeśli lady tego chciała, on też tego chciał. Pomimo że Sven nie był zainteresowany Sissy jako osobą— ani ciałem, ani seksualnością — odkręcił zakrętkę oliwki dla dzieci i powoli zdejmując ręcznik z jej ciała, zaczął pracować nad słynnym piece de resistance ze swego repertuaru.

Gdy Sue Jacobs powiedziała Sabrinie, że nie obsadzono jej w żadnej z ról, ta była zadowolona. Natychmiast podpisała kontrakt na nowy film.

Natomiast Emeraldą była zmartwiona straciwszy rolę Mirandy na rzecz Chloe, bardzo zmartwiona. Cały ranek spędziła w sypialni popłakując, histeria rosła razem z niepewnością jutra. Zadzwoiła do Eddiego.

— Dlaczego Chloe? Dlaczego nie ja? — dopytywała się. — Kim ona w ogóle jest? Czy potrafi grać? Czy jest wielką gwiazdą, taką jak ja? — wykrzykiwała. Przyglądała się swej twarzy w lusterku powiększającym. Patrzyła, czy widać maleńkie szramy po liftingu.

Szybki Eddie westchnął. Im większa gwiazda, tym trudniejszy upadek i tym trudniej to zaakceptować.

— Test wypadł świetnie, dziecinko. Abby i Gertrude uważali, że wyglądałaś ślicznie i grałaś wspaniale.

— Rewelacyjnie! — odparowała Emeraldą, dostrzegając jeszcze jedną zmarszczkę pod wielkim zielonym oknem.

— No dobra, Eddie, jeśli byłam taka wspaniała, to dlaczego nie dostałam tej cholernej roli?

— Chloe lepiej im pasuje — to wszystko, dziecinko. Szukali nowej twarzy, zawsze szukają! — Eddie miał rację. Chcieli kogoś, kogo nie widzą od lat w telewizorze, o kim nie czytają w gazecie przy porannej kawie. Amerykańska widowia, choć uwielbiała Emeraldę, już dawno zapoznała się z jej życiem i osobowością. Nie potrafili oddzielić Emeraldy Barrymore — wielkiej gwiazdy — od postaci, które grywała. To była opinia Abby'ego, Gertrudy i sieci.

Eddie usiłował wytłumaczyć to wścieklej Emeraldzie, ale w połowie rozmowy rzuciła słuchawkę, mówiąc: — Pieprzę ciebie i twoją agencję! Eddie, zwalniam cię!

Odetchnęła głęboko, pomyślała o swych atutach. Nadal jest piękna i sławna, ma sex appeal. Wynajęła najlepszego w mieście agenta — Jaspersa Swanson — który natychmiast znalazł dla niej film w Australii. Reżyserem był bardzo popularny młody czarny Horatio George Washington.

— Australia? Znów? Dlaczego by nie? — pomyślała.

— Wolę być daleko stąd, gdy ta Chloe Carriere zostanie gwiazdą.

17

Perry przyniósł Joshowi śniadanie razem z egzemplarzem „Hollywood Reporter”, gdzie starannie podkreślił na czerwono tytuł: Chloe Carriere zagra Mirandę w „Sadze”, Josh nagrywał w Los Angeles nowy obiecujący singel. Przeczytał artykuł z mieszaniną smutku i dumy.

Dokonała tego. Jego mała Chloe miała rolę, której tak bardzo pragnęła. Chciał jej pogratulować, posłać ulubione róże i lilie z maleńkim liścikiem. Podniósł słuchawkę by zadzwonić do Perry'ego, ale zmienił zdanie i sam wybrał numer ich domu na plaży.

Odebrała telefon.

— Chloe, tak się cieszę, kochanie. Właśnie przeczytałem. Gratuluję.

— Dziękuję, Josh — nie umiała ukryć radości w głosie. Zadzwonił — nie mogła uwierzyć, że nadal go obchodziła. — To miło, że zadzwoniłeś. — Z jego głosu słyszała, że też mu na niej zależy. Pomimo innych kobiet, nałogów, wolności odzyskanej na nowo, jego głos przyniósł falę szczęśliwych wspomnień. Znów chciał ją zobaczyć, znów chciał ją wziąć w ramiona.

— Czy mógłbym zaprosić cię na butelkę szampana, kochanie? Nie wiem, czy jesteś wolna. Chciałbym, żebyśmy dziś poszli na kolację.

Zawahała się przez moment. — Jestem. Z przyjemnością, Josh. Gdzie pójdziemy?

Być może z powodu otrzymania roli, Josh i Chloe znów się pogodzili — czwarty i, jak Chloe miała nadzieję, ostatni raz. Jej prawnik jęknął zdegustowany; powiedział, że nigdy w ciągu trzydziestu lat praktyki nie znał kobiety, która zmieniałaby zdanie tak często, jak ona. Josh zapewniał, że weźmie się w garść i zerwie z nałogami.

Przez dwa tygodnie wszystko układało się jako tako — pomyślała Chloe przyglądając się sobie obiektywnie w maleńkim zaplamionym lusterku; siedziała w czymś, co szumnie zwano „domkiem gwiazdy”.

Ben spisał się świetnie. Dobry stary Ben. Dyskretny makijaż, wspaniała fryzura, szyk — zupełnie jak nie w Hollywood. Prosty czarny kostium Chanel, wystarczająco drogi i elegancki, by przy niej inne aktorki ubrane były jak kucharki. To był własny kostium Chloe. W zeszłym tygodniu kategorycznie i z obrzydzeniem odrzuciła proponowany przez studio tweedowy kostium z

kołnierzykiem z norki i udającymi diamenty guzikami. Zażądała ubrań najwyższej jakości. Wszystkie aktorki w innych „operach mydlanych” nosiły jedwabne bluzki, gabardynowe spodnie i spódnice. W scenach przyjęć zakładały krótkie sukienki z jedwabnego jerseyu szyte przez Holly Harp lub Strip Thrills. Chloe pragnęła wyglądać tak jak aktorki w cudownych czasach Dietrich, Turner czy Crawford.

We wszystkich wywiadach podkreślała: — Miranda jest kobietą lubiącą otaczać się tajemnicą i tak powinna wyglądać. Nosi najlepszą odzież i żyje w luksusie.

Abby i Gertrude po obejrzeniu kilku testów byli zachwyceni.

— Wspaniale, wygląda po prostu wspaniale — cieszyła się Gertrude i gratulowała sobie, że miała dość siły, by odrzucić zakusy Sissy, która ciągle przypominała czego dokonała dla Gertrudy, gdy wieki temu zaczynały w Nowym Jorku.

— Bajeczna! Uwielbiam ją. Wygląda jak złośliwa dziwka, ale jest w niej coś takiego, że nie można jej nie lubić — powiedział Abby.

— Masz rację, jest też dobrą aktorką — dodał Bill Herbert, producent „Sagi”.

— Zajdzie daleko, bardzo daleko. Ile jej płacimy, Abby?

— Prawie nic — Abby był podekscytowany. Kupienie kogoś tanio zawsze sprawiało mu radość. — Tylko piętnaście tysięcy za odcinek, a sądząc z obejrzanego testu jest warta dwa razy tyle.

— Nie pozwól, by stała się zbyt pewna siebie — ostrzegała pragmatyczna jak zawsze Gertrude. — To jest praca zespołowa, pamiętaj, tu wszyscy mają być równi.

— Gówno prawda! — podsumował Abby. — Ona i Sam będą gwiazdami „Sagi” — już to widzę.

— Zaden aktor nie jest niezastąpiony — kontynuowała Gertrude. — Nie zapominajcie o tym, chłopcy. Jeśli zapomnicie, może nastąpić najgorsze. Popatrzcie, co się dzieje w kinie.

Rzeczywiście, przemysł filmowy był ostatnio rozdarty wewnętrznie: niektórzy aktorzy założyli własne wytwórnie filmowe, przejmując panowanie w kinie. Redford, Beatty, Reynolds, nawet Goldie Hawn mówili teraz o sobie, że są producentami. Niektórzy z nich rzeczywiście odnosili sukcesy, co tylko pogarszało sytuację.

— Telewizji to nie grozi — przerwał milczenie Abby.

— Czyżby? A Lucy? — Na miłość boską, już ma własne studio. A Mary Tyler Moore?

— Mary miała poparcie wysoko postawionego męża. Telewizja jest bezpieczna. Aktorzy grają, producenci produkują, reżyserzy reżyserują i tak będzie w mojej wytwórni aż do końca. W przypadku „Sagi” nikt nie jest ważniejszy niż producent i sam film. Abby był nieugięty. Pokiwali głowami zgadzając się z nim.

— Pokażcie mi to jeszcze raz — rozkazał. Patrzyli uważnie, gdy twarz Chloe wypełniła mały ekran.

— Jest świetna — westchnęła Gertrude. — Mam tylko nadzieję, że nie odkryje tego za szybko. Kiedy sobie to uświadomi, nie będziemy już mogli jej powstrzymać.

Chloe weszła na plan „Sagi” udając spokój, jakiego nie czuła. Była wyczerpana. W czasie gdy powinna zadbać o wygląd, bo kamera nigdy nie kłamie, spędziła pół nocy na użeraniu się z pijanym i napastliwym Joshem. Jego nowy singel „Rainbow Girl” — zamiast powoli, ale ustawicznie piąć się w górę, jak przewidywali jego doradcy — nie wszedł nawet na listę „Top 100”. Od wybrzeża do wybrzeża przyjęło go chłodno.

Jego nadzieje na zrobienie trzyminutowego clipu z piosenką zostały przekreślone przez prezesa wytwórni Polygram. — Muszę być brutalnie szczery: rynek clipów rockowych jest nastawiony na dzieciaki. Mówiąc „dzieciaki” mam na myśli młodzież od jedenastu do dwudziestu lat. Wzruszył ramionami — Josh, to są dzieci twoich fanów, wiesz co mam na myśli? — dodał nieco złośliwie.

Josh wyładował swą złość na Chloe. Siedział teraz przed wielkim telewizorem w bawialni, popijał brandy i co kilka minut zmieniał kanał. Telewizor ryczał głośno, ciągła zmiana kanałów doprowadzała Chloe do szaleństwa.

Usiłowała nie wybuchnąć, zajęta tysiącem spraw, które powinna załatwić zanim zacznie pracować. Ten film prawdopodobnie będzie najważniejszy w jej karierze i życiu. Próbowwała powtórzyć wyuczoną kwestię. Głowę okręciła ręcznikiem, drżącymi rękami usłowała zrobić sobie manicure. Od kilku tygodni odchudzała się i ćwiczyła, ważyła teraz pięćdziesiąt kilogramów. Powinna splukać odżywkę z włosów, wysuszyć paznokcie i zasnąć o dziewiątej, wypijając szklaneczkę wina, które działa lepiej niż pigułki nasenne. To dałoby jej pełnych osiem godzin snu zanim będzie musiała wstać o piątej, by o szóstej zjawić się w studiu.

Musi być przygotowana do tej ważnej pracy psychicznie, fizycznie i emocjonalnie. Telewizja jest trudną, wymagającą areną. Wielu złośliwców czyhało tu na Chloe, już ostrzyli pazury gotowi do walki.

— Rozszarpia ją na kawałki i zetrą w proch! — drwiła jedna z telewizyjnych rywalek Chloe. — Przecież jestem o dziesięć lat młodsza i dziesięć centymetrów wyższa!

Chloe chciała być naprawdę doskonała. Płacą jej, więc zagra tak, by nigdy nie zapomnieli o Mirandzie. Spędziła ostatnie dwadzieścia lat życia śpiewając i obserwując takie kobiety jak Miranda. Dowcipne, przykuwające uwagę, wspaniałe i niegrzeczne — cały świat jest pełen takich Mirand.

— Chloe, na miłość boską, kiedy będzie obiad? — Josh wydzierał się z bawialni, przerywając jej rozmyślania.

— Kochanie — usprawiedliwiała się — gdy Manuela odeszła, powiedziałaś, że nie potrzebujemy w domu kucharki. Znajdź sobie coś w lodówce.

Zaczynała się stara śpiewka o zatrudnieniu gosposi. Chloe nie lubiła gotować i nie miała zamiaru uczyć się tego w przeddzień rozpoczęcia pracy. Josh zawsze usiłował ją zawstydzać insynuując, że „prawdziwa kobieta” powinna

gotować. Jego matka i siostra gotowały. Nawet Sally to robiła. Dlaczego ona nie może?

— Co za żona z ciebie?! Nadal ścisnął butelkę brandy, gdy wtargnął do pokoju. Usiłował się przymilnie uśmiechać, w sposób, jaki zawsze ją ujmował. — Tak, a ty jakim jesteś mężem? — przekomarzała się z nim. — Josh, proszę, nie zaczynaj — powiedziała spokojnie usiłując zignorować jego zachowanie. Przyciągnął ją, obrócił, by popatrzyła mu w twarz. Wydzielał silny zapach brandy, a oczy miał rozbiegane.

Zakłulo ją serce. Brandy i kokaina — zła kombinacja. Widziała już coś takiego i nie był to piękny widok.

— Muszę splukać włosy. Jeżeli odżywka pozostanie na nich za długo, jutro fryzjerka nie będzie mogła mnie uczesać. Uwolniła się i uciekła pod prysznic. — To co z tego? Chcę zjeść obiad, a potem chcę ciebie— majaczył w drzwiach, przekrzykując szum wody. — Daj spokój, Chloe. Otwórzmy puszkę fasoli, usmażymy jajka jak za dawnych dobrych czasów. Chloe, no chodź, kochanie. Jego ton miał urok flirtu, był preludium, które kiedyś towarzyszyło ich małżeństwu. Choć tego nie chciała, nadal ją podniecał. Pomimo jutrzejszej pobudki o piątej i napięcia przed pierwszym dniem pracy nadal czuła resztki dawnej namiętności.

Wyszła spod prysznica, owinęła się szlafrokiem frotte. Odwzajemniła jego pocałunek. Do licha! Dwa jajka w koszulkach i puszka fasoli nie zajmą dużo czasu. Jeśli będziemy się kochali, zaśnie natychmiast, a ja będę mogła odpocząć...

Później przytuliła się do niego, usiłując wskrzesić dawne uczucia satysfakcji i zadowolenia; czekała na sen. Ale on znów zaczął narzekać. Jęczał, że jego kariera już się kończy, gdy tymczasem jej kwitnie. Pozwoliła mu mówić o frustrującym show businessie, o świństwach przy nagrywaniu płyt, o niedocenianiu jego talentu, głupocie i niestałości fanów.

— Kochanie, staraj się zasnąć — mamrotała Chloe— szklanka wina zaczynała działać. — Ja muszę spać, Josh.

— Cholera jasna, Chloe, gówno cię obchodzi, co?— oskarżał ją. Usiadł na łóżku, jednocześnie włączył światło i telewizor. — Dbasz tylko o siebie i o swoją cholerną karierę, a nie o moją. Jesteś wstrętną, samolubną dziwką. Nic go nie mogło powstrzymać. Chloe zamknęła oczy, usiłując przynajmniej odpocząć; wiedziała, że ta noc będzie stracona. W końcu poszła do zimnego wąskiego łóżka w pokoju gościnnym.

Ostatecznie separacja okazała się łatwiejsza, niż Chloe przypuszczała. Pewnego dnia wróciła ze studia nieoczekiwanie. Zastała go kochającego się z piętnastolatką. Robili to w wannie, używali jej olejku kąpielowego i jej ulubionych kieliszków do szampana, nacierali swe ciała jej lotionem po sto pięćdziesiąt dolarów za uncję.

Tym razem nie walczyła. Zdrętwiała od bólu i szoku, zamknęła się w pokoju gościnnym, połknęła dwie tabletki Valium i położyła się spać. Josh płakał pod drzwiami.

Jak dużo można znieść? Chloe wyczerpała swój limit. Następnego dnia zadzwoniła do prawnika: — To już koniec — absolutnie. Niechętnie obiecał jeszcze raz zająć się rozwodem.

Josh nie sprzeciwiał się. Wyprowadził się do ulubionego mieszkania w Wilshire. Przyjechał taktowny Perry, szybko spakował dwadzieścia walizek, ubrań, płyt, wyposażenia elektronicznego i — Josh zniknął z jej życia.

— Nie miej do mnie żalu, mała — powiedział uśmiechając się i pocałował ją na pożegnanie. Pocałunek — nagroda za jedenaście lat życia razem...

— Będziemy przyjaciółmi, O.K. Chlo? Zawsze zostaniemy przyjaciółmi, prawda?

Milcząc pokiwała głową. Piekły ją oczy od ciągłego wycierania łez. Do cholery z nim! Jak może być taki obojętny, taki nieczuły, taki „koleżeński”?! Czy kiedyś będzie umiała o nim zapomnieć?

Zatrzasnęła ciężkie, rzeźbione w azteckie wzory drzwi, wyszła na balkon.

Dzień był prześliczny. Krążyły mewy, ludzie uprawiali jogging, morze koloru kobaltu wyrzucało na brzeg wodorosty. Cudowna niedziela w Trancas.

Została sama, skończyło się małżeństwo, zaczynała się kariera — nowe życie przed nią. Miała czterdzieści lat. Mój Boże, jeszcze piętnaście lat temu ten wiek uważano za starość! Na szczęście Jane Fonda zmieniła podejście wielu ludzi do oceny wieku kobiet. Należy się jej pomnik.

Niestety, Chloe dziś czuła się staro. Niedziela dłużyla się, była pusta. Pusty będzie poniedziałek, wtorek i reszta tygodnia. Jedynie Josh wypełniał jej życie i czas. A teraz już wszystko skończone. Cholera, dlaczego nie potrafiła utrzymać szczęśliwego małżeństwa? Nie dla niej skakanie z łóżka do łóżka, co jest głównym zajęciem wielu znajomych. Jej to nie bawi. Chciała tylko jednego mężczyzny. Jednego wiernego mężczyzny, żeby być z nim, żeby dzielić życie. Dlaczego nie może tego mieć?

Co teraz? Ma serial telewizyjny, ale nie ma — nigdy nie będzie miała — tego, czego pragnęła najbardziej: dziecka. Chciałaby trzymać je w ramionach, tulić, pieścić. Trochę za późno — drwił wewnętrzny głos. Zegar biologiczny już wybił godzinę. Annabel — strzeżony przed wszystkimi sekret, ukończyła niedawno osiemnaście lat i mieszkała w Londynie z równie niezależnym chłopakiem, w zupełnej niewiedomości tego, że sławna Chloe Carriere jest jej matką. Chloe pisała do niej co tydzień, dzwoniła tak często jak to było możliwe, a myślała o niej codziennie. Annabel nie podejrzewała niczego.

Niezależna, entuzjastycznie nastawiona do życia, ambitna. — Boże — modliła się Chloe — nie pozwól, by spotkała kogoś takiego jak Matt czy Josh. — Tak się cieszę widząc cię, ciociu Chlo — Annabel promieniała radością, kiedy się spotykały. Zawsze gdzieś się śpieszyła, potrzasała długimi brązowymi włosami i z gitarą przewieszoną przez ramię pędziła na randkę lub pograć z przyjaciółmi. — Muszę pędzić, wrócę szybko, obiecuję — to była cała Annabel.

O, tak, bratowa współczuła Chloe, ale jeśli była tak głupia, by zająć się z Mattem, musiała teraz ponosić tego konsekwencje: Annabel była dzieckiem

Susan — legalnie zaadoptowanym, bardzo kochanym. I nikt nigdy nie będzie znał prawdy.

Część piąta

18

Późną jesienią 1982 roku „Saga” weszła na ekran. Sam Sharp zagrał Steve'a Hamiltona, opryskliwego patriarchę rodu. Chloe grała Mirandę Hamilton, jego seksowną byłą żonę. Pandora King zagrała chłodną, wykształconą Judith Hamilton Stevens, była żonę numer dwa, a Sissy Sharp zagrała Sirope, świętoszkę, obecną żonę Hamiltona.

Z odpowiednio dobranymi młodymi aktorami grającymi różnych synów, córki, kuzynów i kuzynki, kochanki i kochanków, w ciągu sześciu tygodni opera mydlana stała się największym przebojem sezonu 1982/83, a Chloe Carriere była na najlepszej drodze do olbrzymiej popularności.

— To zupełnie ładaco — szeptał Larry Carter, siedząc z Chloe w kantine studia, przy stoliku w rogu. On jadł kanapkę, ona żuła pokrojone jabłko i avocado; dbała o linię.

— To znaczy, pytam cię, co byś powiedziała, gdybym zastąpił Alexa? Wiem, że to ryzykowne, ale u licha, jest jednym z moich najlepszych przyjaciół.

— Tak, ale on nie chce dostosować się do pozostałych — powiedziała Chloe. — Ciągłe walczy z zespołem. Wiesz, że udzielał wywiadów, ośmieszał film przed Carsonem. Wiesz, że to się nie podoba.

— Prawda — powiedział ponuro.

„Saga” szła w telewizji półtora roku. Stała się najlepszą z dotychczasowych oper mydlanych w historii telewizji.

Wyniosła Chloe na szczyty sławy, o jakiej nawet nie śniła. Były teraz lalki Miranda Hamilton, kosmetyki z jej imieniem, podkoszulki z nadrukiem, widokówki z życzeniami, a nawet naklejki na samochody „Niech żyje Miranda” — odnoszące się do sceny w sądzie, w której Miranda walczy o swe życie, oskarżona niesłusznie o zabójstwo jednego z wielu kochanków.

Magazyny robiły wokół Chloe wiele szumu, kolumny plotek desperacko szukały jakiegokolwiek skazy. Aktorka udzielała wywiadów magazynom poświęconym dbaniu o zdrowie i wygląd, magazynom dla fanów i zajmujących się modą. Wkrótce awansowała udzielając wywiadów „People”, „US” i pismom zagranicznym, takim jak „Paris Match” we Francji, „Hola” w Hiszpanii, „Oggi” we Włoszech i „Sunday Times” w Wielkiej Brytanii. W okresie osiemnastu miesięcy była na okładkach ponad stu magazynów na świecie.

„Saga” dokonała wiele dla Chloe i innych gwiazd. Dla wszystkich oprócz Alexa Andrews.

W trzynastu pierwszych odcinkach grał Caina, złego syna Steve'a i Sirope, ale zupełnie nie podobały mu się dialogi i sytuacje, w które był uwikłany. W każdym z udzielanych wywiadów mówił o tym złośliwie. Na planie i w charakteryzatorni powtarzał ciągle, jakimi głupcami muszą być telewidzowie oglądający takie brednie.

Bardzo szybko dowiedzieli się o tym Abby i Gertruda. Wezwali go na dywanik do biura (o powierzchni większej niż wszystkie pomieszczenia dla aktorów) i poinformowali, że albo się uspokoi albo na jego miejscu zagra kto inny.

— Nie będziemy tolerowali nielojalności — Gertruda, zazwyczaj w dobrym nastroju, tym razem podniosła głos.

Abby mówił niewiele. Istniało ciche porozumienie między nim a Gertrudą, dotyczące załatwiania sporów z kłopotliwymi aktorami; to ona pouczała ich jak nauczycielka karząca niegrzeczne dziewczynki i chłopców. Dawała im klapsa w tyłek, łajała surowo, potem kazała odejść i zachowywać się grzecznie. Alex czuł się zażenowany. Mając dwadzieścia trzy lata, uważał, że dominuje intelektualnie nad tymi dwoma trzęsącymi się ze starości relikdami, które absolutnie nie znały się na sztuce. Oglądanie filmu Bertolucciego w domu Sue Menger było szczytem ich kulturalnych potrzeb. Będąc aktorem, musiał jednak jeść, a nie był dość bogaty, by odrzucić rolę Caina.

Przemówienie Gertrudy trwało dwadzieścia minut, pomimo trzech telefonów spanikowanego Neda, proszącego, by Alex wrócił na plan.

— Żeby się to więcej nie powtórzyło — syknęła Gertruda — twarz jej płonęła, tak jak i rude włosy. — Jesteśmy tu rodziną — szczęśliwą, twórczą rodziną. Popieramy się wzajemnie. Nie kąsa się ręki, która cię karmi.

— Tak, Gertrudo, oczywiście. Przepraszam, to się więcej nie powtórzy — obiecał nienawidząc własnej hipokryzji.

— Dobrze to załatwiłaś, Gert — skomentował Abby, gdy aktor wyszedł jak pies z podkurczonym ogonem. — Za dużo sobie pozwalają.

— Nie dopuszczę do tego — powiedziała stanowczo. Dwa tygodnie później Alex spędzał weekend w Nowym Jorku. W Russian Tea Room popijał z nowo poznanymi aktorami. Wszyscy byli bez pracy, w duchu zazdrościli mu prestiżu i zarabianych pieniędzy. Ale drażnili go mówiąc, że „Saga” jest okropnym kiczem, że dla takiego dobrego aktora jak on granie w niej jest poniżające.

— To najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam, to obraza inteligencji — powiedziała mała aktorka o drobnych loczkach i lekkim zezie. Brak talentu i wyglądu gwarantował, że zawsze pozostanie bez pracy. — Nie robi ci się niedobrze, kiedy musisz mówić te głupawe kwestie? — spytała Tiger Lily, śliczna aktorka o orientalnym wyglądzie, której trudno było dostać jakąkolwiek pracę poza kręceniem filmów porno.

— Człowieku, aktorstwo to walka. Cholerne współzawodnictwo — narzekał Mack. W nocy zmywał talerze u Sardiego, w dzień przechwalał się zarozumiałe. — Rzuć to! Stary, musisz być prawdziwym aktorem. Skończ z tymi bredniami! Przyjedź i zamieszkać w Nowym Jorku, tu coś się dzieje, tu

aktor szanuje samego siebie. Tu docenia się prawdziwy talent. Dołącz do nas — do teatru. Prawdziwe...

Gertruda właśnie oglądała „Sagę”, gdy zadzwonił Alex.

— Pieprzę cię i pieprzę twój zaszary film. On cuchnie, ty też śmierdzisz! Chcę się od was uwolnić! — wrzeszczał pijany Alex.

Nie traciła czasu. Nie spuszczała oczu z ekranu i ślicznej twarzy Chloe, usiłując zapamiętać, by fryzjerka skróciła jej włosy, wybrała numer telefonu Abby'ego.

Po południu już wszyscy wiedzieli. Wyrzucono Alexa jak zużytą chusteczkę higieniczną. Sceny z jego udziałem zastąpiono innymi. Dopisano scenę, w której wszyscy zastanawiają się dlaczego zniknął, i dowiadują się, że pojechał do Australii w poszukiwaniu swego prawdziwego ojca.

Dwa tygodnie później jego miejsce zajął Larry Carter. Nie wyjaśniono widzom, dlaczego Cain ma teraz inną twarz, jest o dziesięć lat starszy i mówi z brytyjskim akcentem. Jedynym ukłonem w stronę widowni było ufarbowanie mu włosów na czarno. Popularność „Sagi” była tak ogromna, że widzowie przełknęli to bez zmrużenia oka.

Masażystka zadzwoniła, budząc Chloe o piątej rano. — Dzień dobry, kochana, jest piąta. Wstałaś już? — zabrzmiał głos sympatycznej Glorii.

— Tak, tak — wstałam — mruknęła Chloe, spoglądając na zegarek. Wstała z łóżka i poszła do łazienki będącej też garderobą. Włączyła elektryczną maszynkę do parzenia kawy. Obok niej stał kubek z napisem kto mówi, że życie zaczyna się po czterdziestce? Przez dziesięć minut robiła przysiady i podskoki, wanna wypełniała się wodą, a ona oglądała poranny dziennik CNN. Dwadzieścia minut później, wymyta i odświeżona, włożyła wygodny welurowy kostium, wsiadła do mercedesa i pomknęła do „fabryki”, jak pieśczośliwie nazywano studio.

Studia MCPC znajdowały się w ponurym budynku bez okien w niezbyt atrakcyjnej części Pico Boulevard w Los Angeles. Wyglądem tak przypominały studia telewizyjne jak więzienie przypomina klub nocny.

W maleńkiej garderobie Chloe usiadła przed lustrem i nakładała makijaż szybkimi, wprawnymi ruchami. Wolała sama to robić. W ten sposób miała trochę czasu tylko dla siebie. Przed nią dwanaście godzin pracy.

Fryzjerka Theo nałożyła gorące wałki na jej grube ciemne włosy. Druga asystentka, Debbie, przyniosła śniadanie. Na talerzyku ze styropianu, z plastikowym widelcem, papierową serwetką i sokiem jabłkowym w puszcze, wszystko przykryte aluminiową folią. O siódmej Chloe zeszła na scenę numer jedenaste na pierwszą tego dnia próbę. Jej sekretarka, Gina, przyszła z plikiem zdjęć do podpisania dla fanów. Omawiały plan spotkań i wywiadów na następne dwa dni.

Dziś kręcono scenę przyjęcia, w którym brali udział wszyscy aktorzy. Sissy i Sam byli jak zwykle zajęci prywatną rozmową. Jak na małżeństwo, o którym wszyscy wiedzieli, że nie łączy ich seks, zadziwiająco dużo czasu spędzali

zaglądając sobie w oczy i rozmawiając z przejęciem. Dziś mieli na sobie jeansy i kraciaste koszule. Za kołnierze mieli wetknięte grube wałki z ligniny, by nie pobrudzić ubrań pomarańczowym makijażem, jaki był potrzebny przed kamerą telewizyjną. Blond włosy Sissy były nie uczesane i tak zniszczone silnymi światłami telewizyjnymi oraz ciągłym nawijaniem na gorące wałki, że do zdjęć wkładała delikatną jasną perukę.

Ten odcinek kręcił ulubiony reżyser Chloe, Chelsea Deane. Pięćdziesiąty trzeci. Do końca roku pozostało jeszcze dziewięć. Notowania serialu, tak jak i nastroje wszystkich, nie mogły być lepsze. Dziś dodatkowo grało osiemdziesięciu aktorów, ubranych w kostiumy z lat dwudziestych — kręcili scenę balu. Ustawiono trzy kamery. W drzwiach londyńskiej posiadłości stali Sam jako Steve Hamilton i Pandora King jako Louise, trzecia pani Hamilton. Witali gości. Aktorzy próbowali pierwszą scenę tego dnia. W czasie próby Chloe, Pandora i Sam zazwyczaj zaglądali do tekstu, nie uczyli się go na pamięć. Tylko Sissy знаła tekst do perfekcji — nie tylko swój, również innych aktorów. Biada temu, kto zapomniał kwestii. Niecierpliwie podpowiadała. Po próbie Chloe wróciła do garderoby. Wisiała tu w szafie zaprojektowana przez nadwornego projektanta „Sagi”, Rudolpha, suknia haftowana złotem. — Boże, jaka ciężka — westchnęła, kiedy Trixie pomagała ją włożyć. — Musi ważyć chyba z dziesięć kilo.

— Piętnaście — sprostowała lakonicznie Trixie, podając długie kolczyki, diamentowe bransoletki i pozłacane buciki. — Ważyliśmy ją. Złamały się pod nią już dwa wieszaki.

— Wspaniale. Już czuję się jakbym ciągnęła pług.

— Musisz pocierpieć! Jeśli chcesz być piękna... — skomentowała Trixie, gdy raptem rozległ się głos wrzeszczącej Sissy: — Trixieeee, gdzie do licha się podziałaś?

— Aha, słodki głosik naszej boskiej divy — Trixie uśmiechnęła się i puściła oczko do Chloe. — Może złapię ten jej chudy tyłek suwakiem. Wtedy dopiero będzie wrzeszczeć! — Sissy generalnie była zde gustowana obsadą i ekipą zdjęciową.

W pokoju fryzjerów Theo czesał włosy Chloe, wpinał w nie złote pióra, mocował do obcisłej opaski, którą miała na czole. Na krześle obok siedział Larry. Druga fryzjerka, Monica, nakładała czarny placek na plamę łysiny, która ostatnio pojawiła się na jego głowie.

— Wspaniale, co? — spytał rozżalony Larry. — Pocieszam się tylko, że księżę Charles też łysieje.

— A jest młodszy od ciebie — drażniła go Chloe. Larry skrzywił się.

Trzydziestopięciolatek grał dwudziestopięciolatek... Ciągłe musiał pilnować wagi ciała, co zresztą dotyczyło wszystkich aktorów, jeśli chcieli zachować młody wygląd przed bezlitosną kamerą. Długa nużąca praca skłaniała do sięgnięcia po przekąski i kawę, a że kamera na ogół dodaje dwa do pięciu kilogramów, więc grający aktorzy trzymali się z dala od stolików zastawionych jedzeniem. Jednak często pod koniec dnia cała silna wola

znikała i ku swemu niezadowoleniu Pandora i Chloe musiały dać teraz ciasne kostiumy do poszerzenia w pasie i biodrach. Coś takiego nigdy nie przytrafiło się Sissy. Odchudzanie się było jej religią.

— Gotowa? — pytała Chloe radosna jak zwykle Debbie. — Scena jedenasta, pośpiesz się, kobieto.

Na scenie Ned, pierwszy asystent reżysera, ustawił już osiemdziesięciu aktorów. W tym ujęciu Chloe razem ze swym ostatnim kochankiem, którego grał Garth Frazer, przybywa powitać Pandorę i Sama. Scena krótka, ale trudna do nakręcenia, ze względu na liczbę aktorów, a raczej „atmosferę”, jaką mieli wykreować. Powinni poruszać się wokół głównych aktorów, nie zasłaniając ich jednak, tak by kamera mogła śledzić dialog. Tłum powinien być ożywiony, śmiać się i rozmawiać, ale wyrażać to tylko za pomocą mimiki, żeby operator dźwięku słyszał rozmowę głównych postaci.

Po pięciu ujęciach Chelsea krzyknął: — Cięcie! — Nastąpiła kilkuminutowa przerwa.

Pomimo straszego upału Chloe usiłowała zachować spokój i nieco ostudzić ciało. Czuła, że jej twarz śmierdzi pod warstwą grubego makijażu. Silne światła tak zmieniały rysy twarzy, że trzeba było nakładać bardzo dużą warstwę makijażu, by dobrze wyglądać przed kamerą. Sissy siedziała wachlując twarz starym wachlarzem, ponoć kiedyś należącym do Lily Langtry. Garth, telewizyjny kochanek Chloe, siedział obok, a pot ciurkiem ściekał po jego umalowanej na pomarańczowo twarzy.

Garth Frazer, blondyn o przereźdzonych włosach, miał tylko około metra siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, inni aktorzy byli znacznie wyżsi. W butach musiał nosić wkładki, przez co wyglądał dziwacznie, pochylony do przodu; gdyby go popchnąć, mógłby kiwać się jak wańka-wstańka. Chloe ukradkiem odsunęła nieco krzesło, by uniknąć jego oddechu. Czuć było, że poprzedni wieczór spędził w dobrej włoskiej restauracji, gdzie wszystko przyprawiano czosnkiem. Mało sobie robił z tego, że następnego dnia będzie namiętnie tulił Chloe. Lecz im bardziej odsuwała krzesło, tym on niżej się pochylał, wyjaśniając Chloe, jakby sama tego nie wiedziała, subtelności sceny, którą mieli zagrać.

Bawiła ją jego pompatyczność; pouczał ją, jak powinna zagrać i jakie są intencje bohaterki. Rzeczywiście zagrał w kilku popularnych serialach, ale przecież nie był lordem Olivierem. Zaczął ją razić tak, jak raził już ekipę zdjęciową i aktorów.

— Wiem, że grasz zaledwie od trzech lat — uśmiechał się odsłaniając najbrzydsze zęby, jakie kiedykolwiek widziała. Jak długo jeszcze będzie musiała znosić tego bufona? Jej „zespół piękności” — Trixie, Theo, DeDe i Ben — usiadł obok, obserwowali ich ubawieni. Gina podeszła ze stertą listów od fanów, chciała pomóc Chloe uciec od tego nudziarza.

— Więc widzisz, kochanie, ja tak rozumiem postać Mirandy i postępowanie Charlesa w tej scenie, zgadzasz się — pytał ochoczo.

— Tak, tak, oczywiście — mamrotała Chloe. Znała swą postać lepiej niż on i umiała kwestię. To on miał poważne kłopoty z dialogami w ostatnich czterech odcinkach. Sprawiał problemy, opóźniał nagranie. Tracili pieniądze, a tego nienawidzą producenci. Gartha nic nie obchodziło. Nadęty nudziarz, egoista, krótko mówiąc — typowy przykład średniej klasy aktora, któremu powodzenie i sukces serialu uderzyły do głowy.

Mrucząc „przepraszam”, Chloe pozwoliła, by Gina odciągnęła ją na bok. Kilka godzin później czekała ich scena miłosna. Chloe westchnęła.

— Czekają na ciebie, Chloe. — Ned prosił ją na plan. Ben jeszcze raz pudrował jej twarz Max Factorem, by przestała błyszczeć.

— Dobrze, kochanie, możemy zaczynać? — pytał Chelsea, nadal tak milutki jak marynarz przed wypłynięciem w morze.

Reżyser oświetlenia poprosił, by przesunięto reflektory nieco w lewo.

Dźwiękowiec polecił operatorowi zmienić położenie mikrofonów, bo następował dysonans. Asystent kamerzysty wyskubał taśmę mierniczą, zbliżył ją do nosów Chloe i Gartha, w głowie robił sobie jakieś obliczenia.

Trixie majstrowała coś przy perłach Chloe, Theo poprawiał pióra w jej włosach, bo odklejały się i opadały na rzęsy. Ben — piętnasty raz tego dnia — poprawiał kontur jej ust morelowym błyszczkiem. Bobby, wzdychając z rezygnacją, wycierał twarz Gartha mokrą irchą, potem ligniną, a następnie nałożył grubą warstwę pudru.

Jedna z sekretarek Billa Herberta zjawiała się na planie z całą rodziną z Arkansas. Stali, z otwartymi ustami, tuż przed oczami Gartha. Jedno z nich mocowało się z aparatem fotograficznym, podekscytowani głośno rozmawiali. Chloe skinęła na Neda, by kazał ich usunąć, ale zanim to uczyniono, Garth spieprzył scenę.

— Zabierzcie mi z oczu tych ludzi! — wrzeszczał. — Co to jest, pora karmienia w jakimś cholernym ZOO?

— Uspokój się... — szepnęła Chloe.

— Staramy się tu zagrać tę przeklętą scenę. Nie chcę, by gapiono się na mnie jak na głupią małpę!

Jak na komendę operatorzy podnieśli oczy ku niebu. Od kilku miesięcy w milczeniu znosili jego humory i napady złości. Tolerowali Sissy. Ona była wielką gwiazdą, główną postacią filmu, ich chlebem i masłem. Garth nie był nikim ważnym. W zasadzie to był film Chloe, Sissy i Sama, choć Abby i Gertruda uparcie twierdzili, że to praca zespołowa.

Charakteryzator Gartha jeszcze raz podszedł do jego spoconej twarzy. Chloe zastanawiała się, czy był pod działaniem narkotyku. Nigdy nie widziała, by ktoś się tak pocił.

— Dobra, dzieciaki, możemy już zaczynać? — Chelsea Deane wydawał się spokojny, ale kipiał w środku. Ten ignorant działał mu na nerwy. — Co za beztalencie i nudziarz — zwierzał się Chloe w ubiegłym tygodniu. Reżyserował wtedy scenę, w której Garth spieprzył swoją kwestię osiem razy.

— Wiem, wiem, mój drogi. On sprawia kłopoty. Nigdy nie rozumiem, dlaczego obsadzili go zamiast Colina Bridgesa.

Ona i Chelsea wymienili porozumiewawcze spojrzenia. — Dobra, dzieci, akcja! — Chelsea stał obok kamery, uważnie przyglądał się Chloe i Garthowi w tej scenie. Garth natychmiast spalił pierwsze zdanie.

— Dobra, kręcimy to jeszcze raz — powiedział Chelsea. Ned poprosił o czerwone światło. Trzeci asystent kamerzysty przyniósł kołatkę. — Trzydzieści trzy, ujęcie drugie! — krzyknął.

— Akcja! — wrzeszczał Chelsea.

— Kocham cię, Mirando — wzdychał Garth/Charles, łagodnie pochylając blond głowę ku ciemnym włosom Chloe. Siedzieli razem na szezlongu w posiadłości Hamiltonów. — Nigdy nie kochałem kogoś tak jak ciebie.

— Chloe czuła, że zbiera się jej na wymioty, owionął ją zapach czosnku.

— Och, Charles, dlaczego mówisz jedno, a myślisz co innego? — odsunęła się tak daleko jak tylko mogła. Zapadła brzemienista cisza. Usiłowała wypełnić ją dziewczęcym westchnieniem. Garth znów skopał.

— Przepraszam — powiedział spokojnie. — Jest tak gorąco, że nie mogę się skupić.

Chloe zagryzła zęby. Trixie i Gina patrzyły współczująco. Ekipa usiłowała nie denerwować się.

— Trzydzieści trzy, ujęcie czternaste — wykrzyknął asystent kamerzysty, ciachnął kołatką tuż przed nosem Gartha. Ekipa zdjęciowa gotowała się, współczuli Chloe, bardzo już zmęczonej. Na planie było ponad 40°C. Ciężka suknia z perłami, strzępiące się pióra, okropny aktor ze swym obrzydliwym oddechem i potem kapiącym na jej twarz stały się koszmarem. Już dość tego. Tym razem miała wszystkiego po dziurki w nosie.

Wreszcie skończyli tę katorgę, Chelsea skrócił scenę i wyciął co mógł. Chloe wróciła do garderoby, skąd zadzwoniła do biura Gertrudy. — Muszę się z tobą zaraz spotkać. To sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Po obejrzeniu piekielnej sceny Abby i Gertruda zrozumieli, że muszą znaleźć dla Chloe nowego kochanka. Zbuntowała się po raz pierwszy w ciągu trzech i pół sezonu. Zapowiedziała, że potrzebuje silnego, stanowczego mężczyzny emanującego sex appealem, tylko u boku takiego mogła grać. Wiedzieli, że ma rację. Zwołano nadzwyczajne spotkanie z Billem Herbertem w obecności Chloe i Jaspera Swansona. Siedzieli w wykładanym dębową boazerią biurze Abby'ego i dyskutowali o tym, co mogą zrobić. Kogo uda się im zatrudnić, a kogo nie. Kto nadaje się do telewizji, kto nie będzie uważał grania w niej za ponizające.

— Burt Reynolds — sugerowała optymistycznie Chloe. — To prawdziwy mężczyzna, nie gra ostatnio zbyt wiele.

— Ha, jak go namówić? On grywa tylko w filmach pełnometrażowych. Nie zagra w telewizji — odparł Abby.

— Timothy Dalton — sugerował Jasper, zawsze gotów do pomocy brytyjskiemu koledze.

— Timothy — jak mu tam? — pytała rozdrażniona Gertruda. — Nigdy o nim nie słyszałam.

— Jest dobry. Jest wspaniałym aktorem szekspirowskim. Będzie sławny — naciskał Jasper.

— Ale nie w „Sadze” — odparł Abby. — Widziałem go w filmie Mae West kilka lat temu.

— Mylisz się. Timothy zdobędzie sławę — powiedział Jasper.

— Niech sobie zdobędzie, ale nie u nas — Gertruda poparła Abby'ego. — My potrzebujemy bardzo męskiego faceta ze znanym nazwiskiem.

Dwie godziny zajęła ta frustrująca zabawa w obsadzanie roli. Jasper trzymał swój atut w zanadrzu. Czekał na właściwy moment. Gdy rozważono już postacie Toma Sallecka, George'a Hamiltona, Roberta Wagnera, Jamesa Ferantino, Alaina Delona, Michaela Landona, Petera Straussa, Martina Sheena, Jeffa Bridgesa i Gregory Harrisona — i z takiego czy innego powodu odrzucono — zaproponował: — Co powiedzielibyście na Luisa Mendozę?

Luis siedział naprzeciwko Jaspera w La Maison, przebierając palcami.

Upłynęły trzy lata od filmu z Sissy, podobno bombowego. Producenci nie mogli go nawet sprzedać telewizji. Od tego czasu Luis nie miał zbyt wielu ofert filmowych. Gdyby nie jego uczucie do Sabriny, wróciłby do Meksyku, gdzie nadal był supergwiazdorem, a nakłady jego płyt były wyższe niż Iglesiasa. Hollywood nie traktowało poważnie śpiewającego Meksykanina. Wynajął najlepszą w mieście firmę reklamową, pozbył się Milтона Klingera, a wynajął Jaspera Swansona na agenta, brano go pod uwagę w filmach z Bo Derek, Kim Basinger i Kathleen Turner, ale żadna z ofert nie została potwierdzona.

Miał teraz trzydzieści dwa lata, czarne lśniące kręjące się włosy i skośne brązowe oczy z grubymi rzęsami; wyglądał przystojniej niż kiedykolwiek w życiu. On i Sabrina stanowili najczęściej fotografowaną parę Hollywood. Dziennikarze szaleli, gdy dopadli ich publicznie, co nie zdarzało się zbyt często. Woleli zostawać w domu przy plaży, kochać się, siedzieć na tarasie, popijać wino i rozmawiać o przyszłości.

Ostatnio jednak urok Sabriny zaczął blednąć w oczach Luisa. Wspaniała i kochająca jak dawniej stawała się nieco nużąca. Czasem, o zgrozo, nie był w stanie odpowiedzieć na jej umizgi. Udając ból głowy, wyczerpanie lub nadmiar tekstu do nauczenia się, wycofywał się do swego pokoju. Siedział tam, zastanawiając się dlaczego opuszcza go pożądanie, z którego zawsze był tak dumny. Pamiętał, jak słuchał w dzieciństwie prawdziwych mężczyzn opowiadających o swych przyjaciółkach, którym „nie chciał stanać”; teraz on miał chyba pomnożyć ich zastępy. Choć zdarzyło się to zaledwie kilkakrotnie w ciągu ostatnich miesięcy, wystarczyło, by zmrozić gorącą krew Luisa.

Z Sabrina spotykał się prawie trzy lata, był jej prawie wierny, co jak na Latynosa było niezwykle. Kochali się co najmniej raz lub dwa razy dziennie. Teraz zawodziło go męskie wyposażenie, los gorszy niż śmierć.

Zajęty własnymi problemami, Luis prawie nie słuchał Jaspera.

— Myślę, że powinieneś zagrać w serialu — mówił Jasper ze znanstwem, ściągnął opaskę z cygara firmy Davidoff i zapalając go zwykłą zapalką wyjętą ze srebrnego wiktoriańskiego pudełka, które zawsze nosił przy sobie.

— Serial? Ay Lama, miałem propozycję serialu w ubiegłym miesiącu. Gwiazdą miałem być ja i samochód. Nie, dziękuję.

— Nie mam na myśli „jakiegoś” serialu — niecierpliwił się Jasper. — Myślę o „Sadze”, w tej chwili jest to najpopularniejszy film.

— Co z tego? Jest opanowana przez Sama i Sissy! — skrzywił się, przypominając sobie obleśny film i jeszcze gorszy krótkotrwały romans.

— A co myślisz o Chloe Carriere? — pytał Jasper, z zadowoleniem dmuchając dymem z cygara. W jego wieku cygaro dawało więcej komfortu i przyjemności niż seks.

— Chloe Carriere — słyszałem, że też niezły kasek i dziwka! — Luis roześmiał się. — Słyszałem, że swym partnerom ucina jaja i smaży sobie na śniadanie.

— Luis, to bzdury — powiedział poważnie Jasper.

— Chloe jest bardzo miłą dziewczyną, osiągnęła sukces dzięki własnej inteligencji. Zaręczam ci, że jest cudowna

— roześmiał się. — Długo czekała na okazję taką jak ta rola, więc teraz daje z siebie wszystko. Wróćmy do tematu, Luis.

Abby Arafat i Gertruda złożyli nam ofertę trudną do odrzucenia.

— Co takiego?

— Dwa lata w „Sadze” z opcją na trzeci rok. Dwadzieścia pięć tysięcy za odcinek przez pierwszy rok, czterdzieści tysięcy przez drugi, a w trzecim do uzgodnienia.

— Hmm, mogę więcej zarobić w ciągu miesięcznego tournée w Hiszpanii.

— Słuchaj, chłopcze — Jasper mówił teraz poważnie. — „Saga” jest bardzo popularnym serialem, za rok też tak będzie. Jeśli dopisze nam szczęście, będą nagrywać sześć lub siedem lat. Chloe jest uwielbianą aktorką. Chcą, żebyś zagrał jej kochanka, męża, kogokolwiek. To da ci popularność w całej Ameryce, na czym ci tak zależało. Pozwól, że coś ci powiem o współczesnej scenie filmowej. Nawet Nicholson i Redford mają ostatnio problemy ze znalezieniem roli i pozostaniem na piedestale. Teraz telewizja tworzy gwiazdy. Weź tę rolę, Luis. Dziewczyny powinny sikać po nogach, gdy pojawisz się na ekranie, a za dwa lata to ty będziesz stawiał warunki. Przyjrzyj się Selleckowi — telewizja dała mu popularność. Ma teraz więcej ofert zagrania w filmie niż czasu.

Luis zastanowił się nad radą Brytyjczyka. Mówił prawdę. Telewizja zdominowała przemysł filmowy. Z kilkoma wyjątkami nie było już wielkich gwiazd dużego ekranu. W show businessie królowały gwiazdy telewizji, zapraszano je do Białego Domu, przedstawiano królowej, zdobyły okładki magazynów.

— Może powinienem to wziąć... Pozwól mi się zastanowić.

— Zrób to, chłopcze. Masz dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji, potem propocycja będzie nieaktualna.

Luis zachnął się: — Nie strasz mnie.

— Nie straszę. Nie o to chodzi. Po prostu uważam, że byłby to poważny krok w twojej karierze. — Już mówiłem, że przemyślę to — odparł Luis.

Luis nie zastanawiał się długo. Kilka tygodni później, gdy namiętnie obejmował przed kamerą kochankę — Chloe znów poczuł się prawdziwym mężczyzną. Czuł, jak jego przyrodzenie nabrzmiewa w dotyku z cienką jak mgiełka szyfonową koszulą nocną. Leżeli spleceni w fioletowej pościeli.

Dookoła łóżka kręciło się dziesiątki mężczyzn i kobiet, którzy wykrzykiwali polecenia i byli zajęci tysiącem spraw przed rozpoczęciem zdjęć. Luis zaczął się pocić, zazwyczaj nie zdarzało się to. Dlaczego tak podniecił się przy Chloe? Była dla niego za stara, nienawidził jej brytyjskiego usposobienia. Czuł, że zawsze w duchu śmieje się z niego, choć starała się być przyjazna i czarująca. Nie lubił jej chłodu i braku zainteresowania mężczyznami.

Chloe wyglądała na zdumioną, gdy poczuła na udzie gniotący ją penis Luisa. Zajrzała mu w oczy. Leżeli obok siebie. Asystent kamerzysty mierzył odległość ich nosów i porozumiewawczo puszczał do Luisa oczka. Ten odwzajemnił się bladym uśmiechem, usiłując zapanować nad zbuntowanym członkiem.

Na miłość boską, dlaczego teraz i z Chloe? Dlaczego nie przy delikatnej, adorującej go, wspaniałej i młodej Sabrinie?

— Dobra, dzieciaki — Chelsea Deane uśmiechał się uroczo. — Daję wam wolną rękę, zagrajcie tak, by ci przed telewizorami wzruszyli się naprawdę. Pokażcie, że to, co o was piszą w gazetach, jest prawdą — co, kochaneczki? Szczerzył zęby w uśmiechu do Chloe. Chelsea miał olbrzymie poczucie humoru, którego czasem tak bardzo brakuje producentom i reżyserom filmu. On i Chloe dokuczali sobie na planie, czasem żartowali tak bardzo, że nic wytrzymywała ekipa, a Chloe musiała wrócić do garderoby, by powstrzymać chichotanie. — Akcja! — krzyknął Chelsea.

Ukończono namiętną scenę miłosną. Zapanowała cisza. Trixie podała zdumionej Chloe szlafrok frotte. Luis był zdumiewający. Jego żarliwość, rozplamiona nagłym niewytłumaczalnym pożądaniem Chloe, przez moment prawie wzbudziła jej namiętność.

— Rany boskie, dzieciaki, ależ to zagraliście! — podziwiał Chelsea. — Nawet nie musimy powtarzać. No. Luis, byłeś wspaniały, chłopie! Po prostu wspaniały! Luis z dumą przyjmował komplementy od członków ekipy.

Ogłoszono przerwę na lunch, poszedł więc do swojej garderoby.

Debbie Drake, ładna i młoda druga asystentka reżysera, przyniosła jego ulubioną sałatkę, mrożoną herbatę, szarlotkę z bitą śmietaną. — Chcesz czegoś jeszcze, Luis? — spytała. Stała w drzwiach, jasne kalifornijskie słońce oświetlało jej sylwetkę, podkreślając zarys piersi pod białym podkoszulkiem. Miała zabawny tyłeczek opięty wyblakłymi niebieskimi jeansami. Twarz, nie

zniekształcona makijażem, okolona długimi blond włosami zebranymi w koński ogon, była ładna jak na Amerykankę.

— Tak, querida — chcę ciebie — powiedział ochryplym głosem. Patrzył na nią słynnymi ciemnymi oczami, pod których spojrzeniem omdlewały serca wszystkich panienek w całej Ameryce Łacińskiej.

— Och — Debbie przełknęła ślinę. Przed chwilą była świadkiem sceny miłosnej z jego udziałem. Dlaczego by nie? — pomyślała. Sprawdźmy, czy to prawda, co mówią o latynoskich kochankach. Zamknęła drzwi szybkim kopnięciem stopy, zdjęła podkoszulek i podeszła do Luisa leżącego na sofie. W następnym tygodniu Luis uprawiał seks z Pandora. Choć nie interesowały go starsze kobiety, jej zalotny sposób bycia, wsparty naprawdę wspaniałymi piersiami, obudził jego wyobraźnię. Podboje wyraźnie poprawiały gorliwość jego stosunków z Sabrina. Nie mogło to trwać długo. Nie możesz zjeść ciastka i mieć go również.

19

W ładnie położonym domku w ślepej uliczce Santa Monica mieszkał bardzo dobry przyjaciel Sama Sharpa, Freddy.

Projektant kobiecych strojów, Frederick Longlan, nie dorównywał klasą Bobowi Mackie czy Nolanowi Millerowi — jego stroje kosztowały siedemset dolarów, ich siedem tysięcy — ale miał wierną rzeszę klientek, nie tylko zamożnych ale i oszczędnych. Z jego usług korzystały też młode gwiazdki telewizji, które chciały wyglądać bajecznie, a nie stać ich było na ciuchy Boba, Nolana czy innych sławnych projektantów. Stałymi klientkami były też żony aktorów grających w filmach klasy B. Nie miały zbyt wiele pieniędzy, za to dużo kontaktów towarzyskich. Przychodziły dziewczyny właścicieli studia i starsze aktorki grywające okazjonalnie w „Loveboat” czy „Magnum” — one też chciały ślicznie wyglądać.

Gorliwie projektował „oryginalne” suknie Fredericka Langlana dla każdej z nich. Oryginał z trudem przypominał wykwintne kreacje Valentino czy Jacqueline de Ribes z ostatnich wydań francuskiego czy włoskiego „Vogue”, lecz dla pań to nie miało znaczenia. Im wystarczyło przeświadczenie, że nie nastąpi taka katastrofa, jaka ostatnio zdarzyła się na balu dobroczynnym w Beverly Hills. Żony dwu producentów „Sagi”, z których każda straciła dziewięć tysięcy na wytworną kreację, zjawily się na balu w takich samych sukniach. Gdyby spojrzenie zabijało, panowie Abby Arafat i William Herbert zostaliby wdowcami. Hollywood chichotało radośnie, gdy „Beverly Hills Tatler” zamieścił na okładce ich zdjęcie — stały obok siebie w identycznych sukienkach.

Czekając na Freddiego, Sabrina Jones i Daphne Swanson siedziały w jego przedpokoju. Przeglądały „Beverly Hills Tatler” i zaśmiewały się, oglądając zdjęcie obu kobiet.

Freddy rozsunał na boki zasłony ze srebrnej lamy. Wszedł do salonu otoczony chmurą bladoszarej organdy i podniecony ostatnimi plotkami.

— Moje drogie, słyszałyście o nowym kochanku Emeraldy? — spytał chichocząc. Podkroił dekolt Sabriny, by bardziej odsłaniał jej śliczne piersi — widok, który gwarantował dostanie się do „Time'u” lub przynajmniej do „Beverly Hills Tatler” i jego działu „Co noszą gwiazdy”.

— Myślałam, że nadal spotyka się z Solomonem. Kto to jest? — Daphne przerwała inspekcję pudełka mlecznych czekoladek Cadbury. Przywiózł je z Anglii przyjaciel Freddy'ego. Daphne szczyliła się, że jest pierwszą, która wie, kto z kim sypia. Sieć szpiegów w każdej restauracji, w studiu, w butikach od Palm Springs po Los Angeles, donosiła co się dzieje, gdy potencjalnie kochankowie ledwie popatrzyli na siebie.

— Moja droga, to tak daleko — mówił Freddy z ustami pełnymi szpilek. — Wiesz, że kręci film we Włoszech?

— Tak, tak — Daphne niecierpliwie zapalała dunhilla, zawsze wierna wszystkiemu, co brytyjskie.

— Gra tam u boku gasnącego włoskiego gwiazdora, zapomniałem jak się nazywa.

— Fabiano Frapani — Sabrina wymówiła jego nazwisko z szacunkiem. Rzeczywiście człowiek przeszłości! Największy aktor włoski. Co z tego, że dobiega sześćdziesiątki? Kogo to obchodzi przy jego talencie?

— Cóż? — mówił filuternie Freddy — bawiło go rozsiewanie plotek — pewnie wiecie, kto jest reżyserem?

— Au! — niechcący ukłął szpilką bezcenny lewy sutek Sabriny.

— Och, przepraszam, muszę podwinąć materiał. Chcesz, żebym ucałował ukłucie? — chichotał, lecz obie kobiety zauważyły, że jest smutniejszy niż zazwyczaj.

— Nie szkodzi, mów dalej. — Nawet Sabrina, którą zazwyczaj nużyły plotki, była zaintrygowana opowieściami o eskapadach Emeraldy. Raczone nimi już prawie trzy pokolenia, jej życie prywatne nadal było interesujące.

— Reżyseruje Horatio, tak? — dopytywała się Daphne. Choć wiedziała, kto z kim się pieprzy, czasem nie znała szczegółów.

— Tak, rzeczywiście. Horatio George Washington. — Freddy przestał mówić i zajął się rozcięciem spódniczki Sabriny.

— Do uda czy do krocza, moja droga? Jak sądzisz?

— Zrób do uda. Nie jestem Cher.

— I co z tym Washingtonem? — niecierpliwiła się Daphne. — Ożenił się z Edną Ann Mason, właśnie urodziło się im dziecko. Muszę posłać jej kwiaty.

— Moja droga, od kiedy poznali się prawie trzy lata temu, on i Emeraldal robili to jak króliki.

— Skąd wiesz, Freddy? — ucięła Daphne, zła, że jej włoskie źródło milczało na ten temat.

— Pisano o tym w Anglii. Dokładnie rzecz biorąc, w kolumnie Dempstera. Kochanie, chyba wierzysz Nigelowi Dempsterowi?

— Niekoniecznie — warknęła Daphne. — Jak się tego dowiedziałeś?

— Przykro mi, nie mogę zdradzać moich źródeł.

— Freddy pochylił się, sprawdzał czy suknia Sabriny jest zgodna z projektem.

— Wiemy wszyscy, że Emeraldą zawsze lubiła dotyk szczotki czarnej jak smoła, a Horatio jest sławnym kolorowym mężczyzną, prawda?

— Czarnym — poprawiła Daphne. — Fredd, mówimy „czarnym”, a nie „kolorowym”.

— Czarny nie jest bardziej czarny niż ty czy ja, moja droga — kpił sobie Freddy. — Powiedziałbym, że jest koloru tych czekoladek. To nie ma wcale znaczenia. Ożenił się i to jest...

— Niestosowne, kochanie? — dokończyła Daphne.

— Chyba tak.

— Jeśli dowie się o tym prasa amerykańska, jeżeli to jest prawda — dodała Daphne, rozsuwając suwak sukienki i próbując wcisnąć się w nią — będzie miała sporo kłopotów.

— Nie rozumiem — powiedziała Sabrina. — Ożenił się z Edną. Ona jest biała, on czarny, nikogo to nie dziwi. Dlaczego ma być taki skandal, jeśli sypia z nim Emeraldą?

Freddy usiłował zasunąć suwak w nowej sukni Daphne.

— Freddy, dlaczego to jest do cholery takie ciasne?

— Żabciu, popatrz sama, przytyłaś — wyjaśnił, cierpliwie rozpruwając szew. W czasie gdy Freddy pracował, Daphne wyjaśniała:

— Powiedzmy sobie szczerze, Edna jest niezłą aktorką. Nikt specjalnie nie interesuje się, co i z kim robi. Mogłaby stać na Empire State Building udając King Konga i nikt nawet nie napisałby o tym w gazetach. Jest nudna. To, że poślubiła czarnego reżysera, nawet jeśli jest tylko koloru mlecznej czekolady, nie interesuje publiczności. Edna to Edna. Stateczna, nudna, ale można na niej polegać. Za to wszyscy interesują się tym, co robi Emeraldą. Nawet jeśli zwraca kelnerowi przypalonego stęka, bardzo to wszystkich ciekawi z powodu jej charyzmy... Aaach, tak jest lepiej, Fred. — Daphne wreszcie odetchnęła z ulgą, gdy Freddy skończył poprawki.

— Telefon, panie Langlan — pokojówka weszła ostrożnie, patrząc z zachwytem na Sabrinę.

— Kto dzwoni? Jestem zajęty.

— To pan Smith — odpowiedziała jękając się. Daphne popatrzyła znacząco na Sabrinę.

— Przepraszam na chwilę, zaraz wracam.

— Wiesz kim jest pan Smith, prawda, kochanie? — pytała Daphne.

— Nie — odrzekła Sabrina. Zastanawiała się, czy powinna zamieścić całostronicowe ogłoszenie w „Reporter” i w „Variety”, kiedy jej następny film wejdzie do rozpowszechniania. Agent prasowy nalegał, żeby to zrobiła, ale doradca finansowy ostrzegł, że nie stać jej na zapłacenie dziewięćset dolarów za ogłoszenie. — Na miłość boską, gdzie się podziewają moje

wszystkie pieniądze? — zastanawiała się. Wszyscy w Hollywood narzekali na pieprzone pieniądze, ciągle ich było mało.

Trzy tysiące miesięcznie płaciła za wynajęcie domu przy plaży, dzieląc koszty z Luisem. Samochód wynajmowała. Miała niewiele dobrych ciuchów, wszystkie uszyte przez Freddy'ego. Nigdy mu dużo nie płaciła, bo była jedną z najnowszych i najładniejszych jego klientek. Na co idą pieniądze? Jej rozmyślenia przerwała Daphne, szepcząc: — Jeśli nie wiesz, to powiem ci, kim jest pan Smith.

Sabriny to nie obchodziło. Jej zainteresowania ograniczały się głównie do kariery i Luisa. To pochłaniało cały jej czas, szczególnie Luis, który ostatnio wyglądał na roztargnionego. Nie kochali się już tak często jak kiedyś.

Daphne mówiła dalej: — Ten Smith to oczywiście Sam Sharp. Spotykają się od wielu lat.

— Naprawdę? — Sabrina popatrzyła na Daphne, bardzo zadowoloną, gdy mogła poinformować o czymś tych nielicznych, którzy nie znali tajemnicy poliszynela. — To bardzo ciekawe. — O Boże, nudziły ją takie plotki.

— Co się stało? — zapytał Freddy. Sam prawie nigdy nie dzwonił w czasie jego godzin pracy. Jeśli to było możliwe, spotykali się dwa razy w miesiącu w mieszkaniu Freddiego nad sklepami.

— Źle się czuję, Freddy i pracuję dziś do późna. Nie mogę przyjść wieczorem. Pomyślałem, że zadzwonię i dam ci znać.

— Nic nie szkodzi, kochaneczku — odparł Freddy, zadowolony, że wieczorem będzie miał czas dla siebie i spotka się ze ślicznym młodym marynarzem, który mając tydzień urlopu popijał co noc w King's Head w Santa Monica. Kilka razy przyglądali się sobie z zainteresowaniem. Freddy pomyślał, że najwyższa pora, by zrobić pierwszy ruch, zanim uczynią to inni.

— W następny czwartek, O.K.? — pytał Sam.

— Oczywiście, kochany.

— W takim razie do zobaczenia. — Sam był spięty przy telefonie. Z każdym mijającym rokiem rósł strach, że ktoś może odkryć jego homoseksualne skłonności. Odłożył słuchawkę, przeciągnął się i popatrzył na swe odbicie w lustrze łazienki. Nieźle, całkiem nieźle. Mocne, dobrze zbudowane ciało, męsko wyglądający pięćdziesięciolatek. Gdyby tylko nie czuł się tak osłabiony... może pora na kontrolę u lekarza?

20

— Jak ci się podobają? — spytała drżącym głosem Emeraldy. Bransoletka z diamentami i szmaragdami błyszczała w pudełku wyściełanym czarnym welwetem.

— Śliczne, po prostu śliczne — wzdychała Vanessa Vanderbilt. — Muszę je mieć. Ile?

— Zgodzę się na trzynaście tysięcy — zaproponowała Emeraldy. — To chyba nie za dużo.

Trzydzieści tysięcy dolarów. Vanessa w myśli obliczała zysk, jaki mogłaby osiągnąć na bransoletkach Emeraldy. — Za dużo! Daję dziewięć. Bierzesz albo uciekam...

Musiała wziąć. Upłynęły trzy lata odkąd nie dostała roli Mirandy. Los płał coraz gorsze figle. Wszyscy wiedzieli kim jest, ale jak zwykle nikt nie chciał jej zatrudnić. Nadal wydawała pieniądze jak przed laty i usiłowała żyć na takim samym poziomie.

Tyle że dawno minęły lata świetności. Już nie miała dwudziestu lat, nie była ulubienicą Ameryki, nie miała zalotników, lukratywnych kontraktów i pieniędzy na kupowanie biżuterii będącej spełnieniem dziewczęcych marzeń. Nastął rok 1985. Pomimo operacji plastycznych twarzy i usunięcia tłuszczu miała poważne kłopoty. Sześć filmów, które nagrała w ciągu ostatnich trzech lat, nie mieściło się w klasie B. Były klasy F — F jak fiasko. Dziś pojechałaby wszędzie, byle tylko grać. Gdziekolwiek, byle tylko zapłacili dwadzieścia pięć tysięcy, opłacili pokój w dobrym hotelu w pobliżu planu zdjęciowego. Żeby tak dołożyli jeszcze pięć tysięcy tygodniowo na wydatki i pozwolili zatrzymać garderobę.

Nie zależało jej na tym, by film był dobry, zły czy nijaki. Ona musi żyć na odpowiednim poziomie, nie może go zaniżyć.

Choć zamieniła posiadłość w Beverly Hills na mniejszy dom, nadal był to mały klejnocik na wzgórzach Beverly. Pochłaniał każdego centa, jakiego zarobiła. Nie potrafiąc żyć samotnie, bez stałego mężczyzny, zaczęła pić. Rano wódka z sokiem pomarańczowym, na planie wódka z lodem, później butelka za butelką Dom Perignon całe popołudnie i noc, czy pracowała czy nie. A po kolacji dziewięćdziesięcioprocentowy armagnac. Piła tyle, ile może wypić silny mężczyzna.

Kiedy z filmami było coraz gorzej, leczyła ból innymi środkami. Najpierw, tylko czasem, joint, potem wdychała kokę. Błogosławiony biały proszek dawał zapomnienie. Znów była młoda, pełna życia, kochano ją, odnosiła sukcesy. Kokaina jest droga — sprzedawała biżuterię, by móc ją kupić.

Vanessa Vanderbilt nie była taka, na jaką wyglądała. Pod szorstką kupiecką powierzchownością kryła się sympatyczna i hojna kobieta. Ale tatuś naczył ją, że psy zagryzają inne psy. Tylko najprzebieglejsze pozostają na świecie. W interesach nie ma miejsca na współczucie. — Wszędzie jest pełno pieprzonych żarłocznych ryb — mawiał. Była wtedy małą czteroletnią dziewczynką. — Cały czas pilnuj swego tyłka, mała, bo inaczej zjawi się jakiś rekin i odgryzie ci go — zapamiętaj moje słowa.

Vanessa, posłuszna córka, robiła o co prosił i wkrótce stała się w interesach bardziej przebiegła niż tatuś. Bogaci szejkwowie, arabscy handlarze bronią, managerowie wielkich gwiazd, amerykańscy politycy — Vanessa знаła ich wielu i wykorzystywała zanim zdążyli wykorzystać ją.

— Ludzie to dranie. Nie zapomnij o tym, maleńka — pouczał tatuś. — Jeśli kogoś nie wykiwają, to sami tracą, nie zadawaj się do cholery z takimi. W ten sposób przemawiał Luke Higgins, w rocznica na Pettcoat Lane. W ponie-

działki i piątki pracował w składzie używanych mebli, w soboty uczył swe potomstwo jak wygląda życie, a także jaką wartość mają dolary, funty, jeny, franki i ruble. Pewnie słowo „paser” jest zbyt mocne na określenie Luke'a, zawsze udawało mu się pozostać poza podejrzeniami, zajmował się tylko rzeczami kradzionymi w innych krajach. Interpol, na ogół dobrze węszący, nigdy nie zdołał wpaść na ślad Luke'a. On mówił o sobie, że jest zdolnym draniem. Wcielając w życie filozofię Robin Hooda, zawsze pomagał biedniejszym klientom, gdy musieli coś sprzedać nie naruszając prawa. Tym z Włoch, Francji i Niemiec, którzy przekazywali mu kradzione rzeczy do sprzedaży, nie okazywał litości.

Bizuteria, aparaty fotograficzne i inne przedmioty padały łupem złodziejasków na Rivierze Francuskiej czy w ośrodkach narciarskich Gstaad i St. Moritz. Przez zdolne ręce Luke'a przechodziły też inne dobra, znajdujące później nabywców na rynkach antyków przy Portobello Road, Bermondsday i Kensington.

Luke wiódł przyjemne życie. Ładna żona pochodząca z Jamajki uwielbiała go, nie mamrotała jak te zadzierające nos do góry czarne kobiety z Nigerii i Ugandy. W zamian za to był dobrym ojcem i nauczycielem, ich czwórka dzieci wiele się od niego nauczyła.

Vanessa wymknęła się z rodzinnego klanu. Mając osiemnaście lat, została modelką. Oglądając zdjęcia wspaniałej i eleganckiej Glorii Vanderbilt w amerykańskim „Vogue”, Vera zmieniła imię na Vanessa, a nazwisko Higgins na Vanderbilt. Higgins brzmiało zbyt prostacko, nie pasowało do jej sposobu życia.

W 1960 roku Vanessa, uroczy koktajl rudych włosów i irlandzkiego uroku ojca oraz ciepłej, brązowej skóry matki, jej ciemnych oczu i słodkiej osobowości, odniosła mały sukces jako modelka, ale olbrzymi w sferach towarzyskich Londynu.

Szybko przestała być modelką, wolała towarzyszyć księżniczkom, hultajom i gwiazdom rocka w ich podróżach. Tu diamentowy kolczyk, tam bransoletka Buccellatiego, futro z norek czy lis — Vanessa była wniebowzięta. Życie należało do niej. Uważaj, Glorio Vanderbilt, mruzczała zadowolona — oto nadchodzi czas Vanessy Vanderbilt.

Hołubili, podziwiali i kochali się z nią bogaci i posiadający władzę mężczyźni, żaden jednak nigdy nie zakochał się w niej. Pływała na ich jachtach, żeglowała na ekstrawaganckich pięćdziesięciometrowych łodziach, jeździła ich ferrari, mercedesami czy starymi bentleyami. Napelniała kieszenie ich dolarami, funtami, frankami, robiła zakupy — tyle, ile tylko zapragnęła.

Vanessa była pożądaną, ulubioną zabawką bogatych mężczyzn. Rok za rokiem obnosiła z dumą mlecznoczekoladowe ciało na luksusowych jachtach w Portofino czy Monte Carlo, wygrzewała się nad basenami marmurowych willi w Marbelli i Sardynii, przechadzała się bulwarami Rive Gauche, Fifth Avenue i Rodeo Drive w poszukiwaniu coraz piękniejszych strojów, by dodać

je do i tak już olbrzymiej garderoby. Była szczęśliwą kobietą. Tak szczęśliwą, że celebrowała szczęście swym ulubionym zajęciem — jedzeniem. Wolała rezerwować miejsce w restauracji niż uprawiać miłość. Często w trakcie aktu miłosnego myślała podniecona, jakie przekąski zamówi, gdy skończy się to wyczerpujące zajęcie. Gdy bogaci i wielcy tego świata zagłębiali swe głowy i członki w jej rozkoszne ciało, gdy podniecali się jękami rozkoszy, nawet nie domyślali się, że nie pożąda ich, a jedzenia.

Zazwyczaj trzymała małą przekąskę obok łóżka. Czasem było to pudełko po herbatnikach z podobizną królowej, pełne batoników Mars czy szwajcarskich mlecznych czekoladek. Żuła je później zadowolona, gdy obok leżał wyczerpany kochanek. Wkrótce napęczniała jak dojrzały melon w samo południe i... zaczęła tracić kochanków. Najpierw opuścili ją Amerykanie, potem Brytyjczycy i Francuzi, wkrótce Włosi i Niemcy, aż wreszcie jedynymi pożądanymi jej pozostali Arabowie.

Vanessa nie przejmowała się, szczęśliwa, że jej życie opływa w dostatki. Nadal miała licznych przyjaciół obojga płci. Była zabawna, potrafiła żartować z siebie samej, również ze swojej tuszy.

Na próżno usiłowała się odchudzić. Po pokoju walały się kasety Jane Fondy, ale Vanessa nie miała silnej woli. Po prostu nie potrafiła oprzeć się kawiorowi ze śmietanką, kotlecikom cielęcym z frytkami, kremowi czekoladowemu — wszystko tak wspaniale smakowało — już nie mówiąc o winach towarzyszących ucztom, czekoladkach wypełnionych alkoholem, mrożonej whisky z cukrem czy pikantnych przystawkach.

Jej najnowszy kochanek, arabski szejek, traktował ją jak manę od Allacha. Europejka uwielbiająca jedzenie była w Londynie rzadkością. Większość modelek i gwiazdeczek, z którymi się zadawał, jadła jak małe ptaszki.

Vanessa była kimś więcej niż tylko kobietą uwielbiającą jedzenie, dorównywała mu żarłocznością.

— Jeszcze jedno jagniątko? — wykrzykiwał z rozkoszą, gdy siedzieli w kucki na podłodze jego apartamentu w hotelu Dorchester. Osobisty kucharz przygotowywał tymczasem smakołyki Synaju, desery, jakich nie znajdzie się w żadnej restauracji zachodniego świata.

Vanessa oparła pulchny mały policzek na równie pulchnym ramieniu Samira. Nałożywszy pasztet na kawałek chleba, włożyła mu go z uczuciem do ust.

Takie cudowne życie! Samir obdarował ją pieniędzmi i prezentami. W przeciwieństwie do wielu Arabów, był uroczy, miał dobre maniery, a dzięki harwardzkiej edukacji mówił z najzabawniejszym amerykańskim akcentem. Seks ją nudził, odpychająca była też miłość po francusku. Tolerowała to tylko dlatego, że wyobrażała sobie jedzenie kulki lodów. Gdy Samir musiał jechać do Kuwejtu, zostawiał ją w stale wynajętym apartamencie hotelu Dorchester, z olbrzymią sumą pieniędzy oraz kartami kredytowymi American Express i Visa wystawionymi na jej nazwisko.

O tym, że został zamordowany, dowiedziała się z dziennika telewizyjnego. Jadła właśnie śniadanie w łóżku — piąty rogalik z dżemem malinowym i śmietanką Devonshire.

Wszystko zaczęło się źle układać. Ponieważ nie była wymieniona w testamencie Samira, jego pieniądze i domy przeszły na rzecz trzech żon i jedenaściorga dzieci w Kuwejcie. Dla niej zostały tylko ciuchy, biżuteria i dwie karty kredytowe. Nauki ojca nie poszły na marne. Natychmiast udała się na Bond Street, chodziła po galeriach i sklepach z antykami, kupowała cenne przedmioty, dopóki nie wyczerpała kart kredytowych. Choć nadal miała ładną twarz, ważyła teraz sto osiem kilogramów i już nie interesowała odpowiednio bogatych mężczyzn w Londynie ani w Europie. Oni woleli kobiety wysmukłe jak ich jachty. Ładna kulka tłuszczu mimo radosnego usposobienia nie interesowała ich nawet jako chwilowa dekoracja ramienia. Vanessa musiała pogodzić się z myślą, że szczęśliwe dni zarabiania na życie wykorzystywaniem ładnej buzi minęły na zawsze. Miała trzydzieści dwa lata. W pełni umiała wykorzystać uroki dolce vita. Teraz trzeba było naprawdę popracować. Zaczęła sprzedawać biżuterię, obrazy i przedmioty, które kupiła po śmierci Samira. Dzięki szczodrości mężczyzn przez czternaście lat miała wszystkiego w nadmiarze, ojciec też dał jej kilka drobiazgów. Zaczęła uczyć się na aukcje i wyprzedaże. Sprytna przy dobijaniu targu, znająca się na biżuterii, potrafiła w ciągu trzech lat zamienić swe zbiory w lukratywny business. Często robiła interesy z mężczyznami, z którymi przedtem sypiała, a ponieważ była lubianą lojalną przyjaciółką, business prosperował. Dziś leciała do Los Angeles.

— Podoba ci się to pudełko? — spytała Emerald. Vanessa pokiwała potakująco głową, przyglądając się czerwonemu skórzanemu pojemnikowi ze złotymi brzegami firmy Cartier. — Tak, na razie zatrzymam bransoletki dla siebie — powiedziała wypisując czek.

W barze w West Hollywood Emerald zamawiała koktajle z wódką. Pięć pod rząd.

Barman przyglądał się jej ciekawie. Odnosił wrażenie, że ją zna, ale wiedział, że lepiej nie wdawać się w rozmowę z kimś, kto ma kłopoty. Ta kobieta wyglądała tak, jakby miała wyłącznie problemy. Kiedyś musiała być piękna. Twarz miała arystokratyczny zarys, rzeźbiony nos i pełne usta. Teraz jasne włosy z siwymi odrostami zwisały w rozczochranych strączkach dookoła twarzy bez makijażu. Oczy ukryła za ciemnymi okularami. Nosila nieforemny tweedowy żakiet i spodnie deformujące jej ciało, na nogach miała wytarte szpilki. Paliła papierosy jednego za drugim.

Czasem jakiś mężczyzna podawał ogień — odrzucała propozycję.

Przyglądający się jej mężczyźni czuli zwierzęcą zmysłowość dawnego blasku. Gapiała się przed siebie, prawie nie poruszała się, podnosiła jedynie szklaneczkę do bladych ust.

Pijąc ostami koktajl, skinęła drżącą ręką na barmana, by nalał jeszcze jednego.

— Proszę pani, chyba ma pani już dość?! — Barman usiłował być miły. Obserwował ją, gdy wracała z toalety. Ledwie mogła iść.

— Czuję się świetnie. Nalej jeszcze jednego — ucięła.

— Nie mogę, przykro mi.

— Do diabła z tobą, frajerze! — warknęła Emeraldal.

— Proszę pani, w tym mieście obowiązuje prawo. Nie mogę podawać drinka osobie, po której widać, że wypila za dużo. Nie chcę stracić licencji.

— Pieprzę twoją licencję — mruzczała Emeraldal wstając. Zataczając się szła ku drzwiom. — Pieprzę ciebie i twój parszywy bar. — Rozglądała się dookoła, a na nią gapili się siedzący tu mężczyźni. Żaden nie rozpoznał jej. — Wszystkich was pieprzę, łobuzy — krzyczała. Zatrzasnąwszy drzwi poszła w kierunku Olympic Boulevard.

Następnego dnia, gdy doszła do siebie, wzięła się w garść i odwiedziła Daphne Swanson.

— Będę z tobą szczerą, potrzebuję pracy — jakiegokolwiek. Nie będę wybrzydzać. Spłukałam się co do centa. Wczoraj sprzedałam moje ulubione bransoletki, wiesz, te, które Stanley podarował mi w prezencie ślubnym. Wiesz, ile on dla mnie znaczył.

— Pamiętam, kochanie! Dobrze to pamiętam, choć to było trzydzieści lat temu.

— Dwadzieścia osiem — sprostowała Emeraldal. — Miałam zaledwie dwadzieścia lat.

— Oczywiście — zgodziła się Daphne uśmiechając się. Dlaczego ciągle odejmujesz sobie lata? Wszyscy w mieście znają dokładną datę twoich urodzin, a co do tysiąca wiedzą, ile kto ma w banku.

— Dapne, ty wiesz o wszystkim, co się dzieje. Musi być coś, jakieś miejsce, gdzie nadawałabym się. Chyba coś mi się należy od Hollywood — zaśmiała się boleśnie.

— Kochanie, postaram ci się pomóc — uspokajała Daphne. — Ale postaraj się zrozumieć, gwiazdy z twojej generacji nie są chętnie zatrudniane. — Spróbowała lodów, skrzywiła się, bo były bardzo słodkie, i podsunęła je pekińczykowi.

Emeraldal gryzła skórkę przy paznokciu, zapaliła Lucky Stricke'a. Boże, tak by się chciała napić. Joint też by się przydał. Która jest godzina? Jedenasta rano. W Londynie siódma po południu — czas na drinka dla cywilizowanych ludzi. Jej przyjaciele w Eaton Square i Chelsea popijają teraz martini albo szampana.

— Chcesz drinka, kochanie? — spytała Daphne, jakby czytając w jej myślach.

— Nie wiem... może... Bloody Mary.

— Sobie też należę. Potem wybieram się na lunch w Ivy. Będzie tam dzisiaj Burt Hogarth.

— Co teraz porabia Burt? — spytała Emeraldal.

— Wiem, że byłaś daleko, ale myślałam, że wiesz, co się dzieje w mieście.

— Nie wiem — odparła szczerze Emeralda. — Pięć miesięcy byłam we Włoszech, nie zapominaj.

— Musisz zmądrzeć, kochanie, albo wypadniesz z gry

— ostrzegę ją Daphne, biorąc Bloody Mary od pokojówki.

— Wiesz, który jest rok. Jeśli chcesz jeszcze istnieć na tutejszym rynku, radzę, żebyś szybko postarała się dostać do telewizji. Tylko ona teraz się liczy. Nawet Burt to rozumie — dlatego pracuje dla telewizji pomimo sukcesów na wielkim ekranie.

Emeralda piła Bloody Mary; jak zwykle wódka poprawiała nastrój i inspirowała ją.

Daphne mówiła dalej: — Burt Hogarth jest producentem prestiżowego i bardzo ambitnego serialu. Ma tytuł „Historia Ameryki. Myślę, że tytuł mówi sam za siebie.

Właśnie dobierają obsadę, same znane nazwiska, bardzo znane, kochanie. Podpisali już kontrakty z Geoffreyem Fennelem i Olivia Grosvenor z Teatru Narodowego — pamiętasz ją jako Julię? Boże, była cudowna! Ale gdyby Burt zobaczył, jak świetnie nadal wyglądasz...

Prawdę mówiąc, Daphne nie uważała, że Emeralda dobrze wygląda. Operacja plastyczna nie pomogła jej, ale pomimo opuchniętej od picia twarzy, worków pod oczami i siwych odrostów, nadal wyglądała interesująco. Przeczytawszy scenariusz, Daphne uświadomiła sobie, że Emeralda pasowałaby do roli Evelyn — pełna wigoru, lubiąca ryzyko pionierka, która w 1880 roku przybywa ze starego kraju do nowego miasta na granicy. Pomimo przeciwności losu sprawia, że i ona, i miasto stają się sławne w całym kraju. Od czasów „Sagi” to mógł być najlepszy nowy serial sezonu 1985/86 — już tak o nim mówiono.

To, że Burt Hogarth, cudowne dziecko kina, zostawił karierę filmową i działa jako scenarzysta i producent, że jest reżyserem siedmiu uznanych filmów, jest wielkim i bezprecedensowym wydarzeniem w telewizji. Inne konkurencyjne sieci telewizyjne już obawiają się tego nowego serialu.

— To jak? Idziesz ze mną na lunch? — spytała Daphne. Emeralda pokiwała potakująco głową. Daphne sięgnęła po telefon i zamówiła miejsca w restauracji.

— Idź teraz do domu i przebierz się w coś czarującego i seksownego — instruowała. — Spotkamy się o pierwszej, użyj swego wdzięku wobec Hogartha. Będzie zachwycony, jestem pewna.

Stało się nieco inaczej. Emeralda wróciwszy do domu wzięła kilka tabletek Valium i popiła je wódką, by uspokoić nerwy. Odurzona słowami Daphne „załóż coś czarującego i seksownego”, wybrała zieloną suknię koktajlową, zbyt wydekoltowaną, za krótką, po prostu nieodpowiednią.

Jak zwykle spóźniona, podjechała pod Ivy. Zamiast nacisnąć hamulec, nacisnęła pedał gazu, uderzyła swym mercedesem w otwarte drzwi nowiutkiego czarnego rolls-royce'a corniche — na oczach ubawionych gapiów i kilku gliniarzy.

Gdy jej agent Eddie wreszcie wyciągnął ją z tego, prasa miała temat. Gazety otwarcie pisały o nałogach, braniu narkotyków, piciu alkoholu. Zajął się tym telewizja, plotkowało całe Los Angeles, a to, co mówili, nie przypominało komplementów.

— Nieźle wszystko spięprzyłaś, dziecino — skomentował Eddie bez owijania w bawelnę. — Koniec z karierą. Nie zatrudni cię teraz żadne studio, żaden producent.

Emeralda płakała. Co mogła zrobić? Czterdzieści lat starań! I tak to ma się skończyć! — Nie jestem pijaczką, Eddie. Ani narkomanką. Dobrze wiesz, że nie jestem — pochłipywała.

— Czy ja tak uważam? — popatrzył cynicznie, zerkając przez okulary powiększające. — Rzeczywiście tak wyglądałaś, gdy wyciągnąłem cię z tego nędznego więzienia. Wzdrygnął się przypominając sobie, jak śmiesznie wyglądała w krótkiej sukience z koronki oświetlona słońcem i stojąca przed hordą pismaków. — Wyglądałaś na godną pożalowania, kobieto. Zdjęcia nie były ładne. Zdobiły pierwsze strony gazet od Tokio po Londyn — zniszczona, pozbawiona złudzeń, z pijacką opuchlizną na twarzy, wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt lat. Stara, zniszczona, nikomu już niepotrzebna.

Calvin spędził w więzieniu prawie trzy lata. Większość więźniów skazanych za posiadanie śmiertelnej broni zwolniono wcześniej. Calvin nie wykorzystał swojej szansy, nie poddawał się resocjalizacji, zaatakował strażnika, który usiłował zmusić go do uprawiania seksu. Siedział w celi i wielokrotnie czytał artykuł w „American Informer”.

W czasie gdy Chloe Carriere wspina się na wyżyny filmu w bardzo popularnej «Sadze», smutna, legendarna niegdyś aktorka Emeralda Barrymore zmaga się z depresją i uzależnieniem od narkotyków. Zatrzymana w ubiegłym miesiącu za prowadzenie po pijanemu, piękna niegdyś gwiazda jest teraz praktycznie bez środków do życia i nie może dostać poważnej pracy w Hollywood. Inaczej ułożyłoby się jej życie, gdyby obsadzono ją w roli Mirandy. Królową Hollywood jest teraz Chloe Carriere, Emeralda Barrymore jest tylko przekwitającą kobietą”.

Jego Emeralda. Jego piękna, niezniszczalna Emeralda, której życie zrujnowała ta brytyjska dziwka! Znów popatrzył na kalendarz. W głowie miał wrytą datę — 24 kwietnia 1987 roku. To będzie dzień zwolnienia. Zaraz potem ta dziwka umrze!

Burt Hoggarth przeglądał zdjęcia, które asystent zostawił na jego biurku. Ta kobieta w krótkiej sukience wyglądała rzeczywiście okropnie i śmiesznie. Alkohol i narkotyki zrobiły swoje, tak jak rujnują zdrowie wszystkich, którzy ich nadużywają. Skóra na karku była zbyt naciągnięta, a policzki nalane, ale była w niej niezaprzeczalna siła i wrażliwość oraz wewnętrzna łagodność, która do niego przemawiała. — Zróbmy jej zdjęcia próbne — powiedział do asystenta.

— Jej? Zdjęcia? — młody mężczyzna spojrzał na Burta zdumiony. — Nie możesz robić testu Emeraldzie Barrymore. Ona jest supergwiazdą, legendą kina, nawet jeśli dziś jest obiektem żartów.

— Robiono jej zdjęcia próbne do „Sagi”, prawda? — Burt znał całe Hollywood tak jak biały myśliwy zna równiny Afryki. — Słyszałem, że bardzo chciała grać w „Sadze”, ale to było trzy lata temu. Od tamtej pory nie nagrała porządnego filmu. Jak słyszałem, jest w potrzebie.

— Może obejrzelibyśmy ten test do „Sagi”?

— Nie. Chcę mieć własne zdjęcia. Jeśli o mnie chodzi, Emeraldza Barrymore jest starzejącą się gwiazdą, ale być może będzie nadawała się do roli. Zadzwoń więc do jej pieprzonego agenta i ustal datę testu. Telewizja chce mi narzucić Angie Dickinson, ale choć lubię Angie, uważam, że nie nadaje się do roli. Zrobimy więc test pani Barrymore. Miejmy nadzieję, że będzie się nadawała.

— Zdjęcia próbne! Och, Eddie, dlaczego? Na miłość boską, zagrałam w pięćdziesięciu dwu filmach. Robiono mi test do „Sagi” i nic z tego nie wynikło. Nie mogą sobie obejrzeć tamtych zdjęć?

— Nie, dziecinko — odparł chłodno Eddie, patrząc jej prosto w oczy. Bywał szorstki wobec klientów, jednak wszyscy szanowali go bardziej niż Emeraldę. Nigdy nie odszedł od niego żaden klient, to on porzucił wielu.

— Test do „Sagi” robiono trzy lata temu, a Hollywood ma krótką pamięć. A jeśli chodzi o obsadzanie ról w „Historii Ameryki”, to nie obsadzano w niej narkomanów ani pijaków.

— Eddie, to nieprawda! — wykrzyknęła Emeraldę.

— Prawda boli, dziecinko. Spójrz prawdzie w oczy, moja droga. Byłaś ulubienicą w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, synonimem seksu w sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ale teraz jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty. Dawno nie grałaś. Czas się wziąć w garść albo wycofać się z tego wyścigu szczurów!

— Kocham film. Jest moim życiem — płakała Emeraldę.

— Świetnie. To zrobisz ten test! — powiedział twardo.

— Zrobisz test i dostaniesz tę rolę. Zaufaj mi. — Maleńki mężczyzna nagle uśmiechnął się, co mu się rzadko zdarzało.

— Ironia w tym, dziecinko, że sieć robi co tylko może, by „Historia Ameryki” w następnym sezonie pobiła „Sagę” popularnością. Są już umęczeni tą „Sagą”. To jest wojna, głuptasie, totalna wojna.

— Zawsze lubiłam walczyć — Emeraldę uśmiechnęła się. Wreszcie poczuła się jak dawniej.

— Wiem, księżniczko. Najciekawsze w tej walce jest to, że jeśli serial będzie miał powodzenie — a tak oczywiście będzie — będziesz główną rywalką Chloe Carriere. Już widzę te tytuły w gazetach: „Wojna rywalek!” — złośliwie zmrużył oczy schowane za wielkimi okularami.

— Myślałam, że uwielbiasz Chloe.

— Jasne, dziecino. Uwielbiam ją. Jest moją przyjaciółką, nawet jeśli nie jest moją klientką. Zyskała sławę, a wcale nie zmieniła się. Chciałbym tylko, żeby była szczęśliwa w życiu osobistym. Myślę, że nadal darzy uczuciem swego byłego. To jest wasz problem, dziewczyny — popatrzyl z wyrzutem na Emeraldę. — Dopóki w waszym życiu nie ma mężczyzny, czujecie się tak, jakby wam czegoś brakowało. Rywalizacja to dobra rzecz. Krew żywiej krąży. Emeralda Barrymore przeciwko Chloe Carriere! W czasie takiego wydarzenia chciałbym siedzieć w pierwszym rzędzie. Publiczności wam nie zabraknie, gwarantuję ci to.

21

Chloe obudziła się o szóstej rano. Na zewnątrz nadal było ciemno, „ciemno i mokro” — jak śpiewała Lena Home o Kalifornii. Zeszła do kuchni zaparzyć mocną kawę z trzema łyżeczkami miodu dla nabrania energii. Zrobiła sobie prysznic, włożyła jeansy, podkoszulek, koszulę, sweter, żakiet, szalik i wełniany kapelusz. Wbrew temu co sądzą na świecie, wczesne godziny w Kalifornii bywają naprawdę lodowate. Ponieważ temperatura rośnie od kilku do kilkudziesięciu stopni w czasie dnia, Chloe zawsze wkładała kilką warstw ubrania.

Kierowca minibusu już czekał, do studia jechało się siedemnaście minut. W czasie gdy on prowadził, usiłowała uczyć się dzisiejszych dialogów — całe jedenaście stron — głównie monologu Mirandy.

Po ponad trzech latach dialogi stały się bardzo podobne do tych z poprzedniego odcinka albo były takie jak przed tygodniem czy miesiącem. Aktorzy ci sami, plan ten sam tylko kostiumy były dowodem, że to już następny odcinek.

W małym pokoiku charakteryzator rozłożył swe przybory. Asystentka przyniosła jeszcze jedną kawę i nastawiła radio na FM URMS (Uprzejmość, Radość, Miłość i Szczęście) — nadawali piosenki Ala Jarreau i Lionela Richie. Chloe nakładała makijaż powtarzając tekst.

O siódmej Debbie wezwała Chloe na plan — ona, Sissy i Sam mieli pierwszą próbę tego ranka.

Trixie weszła niosąc sześć kostiumów w plastikowych ochraniaczach oraz wielką torbę pełną butów i torebek.

— Rudolpho uważa, że powinnaś włożyć coś czarnego, ale reżyser mówi, że na planie jest ciemno i nie będzie cię widać, przyniosłam więc czerwoną.

— O.K. — Chloe przyglądała się twarzy w trzyskrzydłowym lustrze. Dobrze byłoby troszkę schudnąć. Kiedy tyła, zawsze najpierw widać to było na twarzy — znikają kości policzkowe.

— Co chcesz na lunch? — Debbie wetknęła głowę w drzwi. Chloe skrzywiła się. Lunch! Jak może wiedzieć o siódmej rano, na co będzie miała ochotę w południe?

— Przynies tuńczyka z ryżem i sok jabłkowy — powiedziała. Trixie przeszukiwała wysoką czarną szafkę pełną szuflad — tu chowano biżuterię Mirandy: perły, diamenty, rubiny, szmaragdy i złote błyskotki na palce.

— Myślę, że sznur pereł najlepiej pasuje do twojego stroju — powiedziała Trixie, kładąc go na eleganckiej sukni. — A może wolisz złoty łańcuszek Kenetha Lane?

— Sama wybierz — zaproponowała Chloe. Ufała dobremu smakowi Trixie dobierającej dodatki do dziewięciu lub dziesięciu kostiumów, jakie musiała nosić w każdym tygodniu.

— Chcesz kolczyki firmy Givenchy? Wyglądają wspaniale.

— Nie uważasz, że są za duże? — Chloe nakładała tusz na rzęsy.

— Kochanie, nic nie jest za duże do „Sagi”, powinnaś to wiedzieć.

Chloe włożyła obcisłą czerwoną suknię, Trixie stała z tyłu, przyglądając się krytycznie.

— Chyba troszkę przytyłaś, co? — Nawet kilogram więcej robił różnicę, gdy suknia pasowała do ciała jak druga skóra.

— Dziękuję, kochanie. Ty też dziś nie wyglądasz jak Twiggy. — Uśmiechnęły się do siebie. Były przyzwyczajone do przekomarzania się, to pomagało przetrwać ranek.

Chloe wpadła na Pandorę, idąc na scenę numer dwa. W szarym flanelowym kostiumie od Thierry Mugler z okropnie wypchanymi ramionami Pandora wyglądała jak gracz w baseball. Jej ruda peruka była stylizowana na pazia z lat czterdziestych, usta miała jaskrawoczerwone, a oczy ze złotym cieniem. Robiła wrażenie pewnej siebie.

— Cześć. Jak podobała ci się wczorajsza scenka? — Pandora była przyjazną duszą, nie wojowała z nikim. Jako aktorka nie błyszczała specjalnie, ale była profesjonalistką. Wiedziała, że ma szczęście, zarabiając dwadzieścia pięć tysięcy za odcinek w jednym z najpopularniejszych seriali.

— Uważam, że twoja scena w sądzie była doskonała

— Chloe nigdy nie chwaliła nikogo, jeśli nie podobał się jej naprawdę.

— Dziękuję, kochanie, to była dobrze napisana scenka: Co myślisz o niej? — spytała wskazując ręką Sissy siedzącą na krześle obok reżysera. Palila nieodłącznego papierosa, a podchodzących do niej ludzi obrzucała stekiem wyzwisk.

— Uważaj, ktoś tu wstał dziś lewą nogą — ostrzegła Pandora.

— Co jeszcze nowego? — roześmiała się Chloe.

Sam stał na scenie, sączył kawę ze styropianowego kubka i rozmawiał z ekipą zdjęciową. Był wśród nich popularny, zrobił wiele, by się z nimi zaprzyjaźnić, żartował, usprawiedliwiał swoją żonę. Współczuli mu. — Nic dziwnego, że jest pedałem — pewnego dnia mruknął do Chloe Maxie.

— Jakbym miał taką żonę, to też wolałbym chłopców. Tak jak wszyscy, Chloe pogardzała Sissy, a uwielbiała Sama. Cmoknęła go w mocno upudrowany policzek. Zauważyła, że ostatnio zeszcupłał. Nie wyglądał dobrze. Jego wąsy, zazwyczaj tak bujne i brązowe, wyglądały na zaniedbane i nie przystrzyżone.

Gęsty brązowy tupet wyglądał jakoś dziwnie i był przekrzywiony, jakby za duży. Może to dlatego, że miał na sobie piżamę i szlafrok i ucharakteryzowano go na chorego. Kręcili scenę, w której Sam/Steve jest w szpitalu w stanie śpiączki, jego trzy żony — obecna i dwie poprzednie — stoją dookoła łóżka i modlą się, by przeżył.

— Masz kawę, kochanie.

— Cześć, Vanesso! — Chloe uśmiechnęła się do swej nowej asystentki. Od kiedy została sławną gwiazdą, potrzebowała kogoś więcej niż tylko sekretarki. Rozglądała się za osobistą asystentką. Setki próśb o wywiad, tysiące listów od fanów oraz czytanie wielu nadsyłanych scenariuszy — wszystko to wymagało czasu.

Vanessa Vanderbilt znużyło handlowanie biżuterią. Nie tak łatwo było ostatnio kupić piękne klejnoty za sumę, na jaką byłoby ją stać. Vanessa rozglądała się za czymś ciekawszym. Pewnego dnia los sprawił, że w samolocie z Londynu usiadła obok Chloe wracającej po jednej z wizyt u Annabel. Chloe zauważyła na ręku Vanessy przepiękne bransoletki wysadzone diamentami i szmaragdami. Ta odpowiedziała, że są na sprzedaż. Zdziwiona i przejęta Chloe wypisała czek na dwanaście tysięcy dolarów, nie pytając swego doradcy finansowego, i wsunęła bransoletki na przegub ręki. Obie kobiety świętowały transakcję szampanem, a po trzecim kieliszku zaczęły rozmawiać bez skrępowania. Czuły się ze sobą wspaniale. Śmiały się, opowiadały intymne historie swojego życia, odkryły pokrewne dusze. Zanim samolot wylądował, uzgodniły, że Vanessa przez trzy miesiące spróbuje być asystentką Chloe.

Dotychczas wszystko układało się wspaniale. Ku zazdrości Sissy, która nie miała żadnych przyjaciół, a szczególnie kobiet, bardzo się zaprzyjaźniły. Sissy nie potrafiła zatrzymać żadnej asystentki ani służby domowej dłużej niż kilka miesięcy.

— Dobrze, zaczynamy próbę — wołał Ned.

Czworo aktorów weszło na plan „Sagi”. Sam zdjął szlafrok i z gracją położył się na łóżku. Dzięki Bogu w tej scenie musiał tylko jęczeć. Czuł, że może to zagrać realistycznie.

Ostatnia noc była okropna. Sissy była w podłym nastroju. Jej zazdrość o Chloe codziennie podsycali różne artykuły w magazynach i na kolumnach z plotkami. Ostatniej nocy wściekła się, gdy przeczytała fragment kolumny Archiego Archerda: Kariera Chloe Carriere coraz bardziej umacnia się. Najsławniejsza postać telewizji podpisała kontrakt na produkcję i występowanie w jej własnym miniseriale «Ecstasy» w koprodukcji z Hammersmith Productions. Zdjęcia rozpoczną się w Londynie i Madrycie w czasie jej trzeciej przerwy w grze w «Sadze».

— Niech ją piekło pochłonie! — Sam ledwie miał siłę uchylić się, gdy Sissy rzuciła gazetę z taką siłą, że tropikalna rybka, płynąca leniwie w akwarium za pięć tysięcy dolarów, ustawionym ze smakiem na polerowanym granicze przed kominkiem, skryła się bojaźliwie za malowanymi skałami.

— Przekłeta dziwka! Dlaczego robi swój pieprzony miniseriał? Co u licha robi mój agent? — pochyliła się, by nalać duży kubek wódki Smirnoff. Sam leżał na kanapie, usiłując oglądać film wideo z Johnem Wyne. Czuł się bardzo źle.

Teraz Sam leżał w łóżku szpitalnym na scenie numer dwa. Czuł się jeszcze gorzej. W czasie przerwy w zdjęciach trzy kobiety nie mogły powstrzymać się od komentowania artykułu z kolumny Archerda dotyczącego „Historii Ameryki”. Autor wyrażał się entuzjastycznie o nowym serialu i podnieceniu w kręgach telewizji. Film Burta Hogartha uważał za arcydzieło.

— Słyszałam, że jest zainteresowany obsadzeniem Emeraldy Barrymore w roli Evelyn — powiedziała Pandora.

— Naprawdę? — drwiła Sissy zaciągając się papierosem. — Czy będą w stanie wyrwać ją z łóżka i oderwać od butelki na tak długo, by ustała przed kamerą? — roześmiała się hałaśliwie.

Pandora i Chloe zignorowały uwagę, ale Sam zdołał się słabo uśmiechnąć. Nie czuł się dobrze. Musi znaleźć czas, by pójść do lekarza.

— Kochanie — zwrócił się do żony — wiesz, że Emeraldę opuściło szczęście. To miła dziewczyna. Bardzo potrzebuje roli i miejmy nadzieję, że ją dostanie. — Tak — dumiała Sissy — gdyby Emeraldę dostała tę rolę, mogłoby to mieć pewne korzyści. Wreszcie ta brytyjska dziwka zeszlaby z pierwszych stron gazet i okładek magazynów. Chloe była obsesją Sissy, jej sukces irytował. Tylko jedna osoba nienawidziła jej coraz bardziej.

Calvin siedział na szarym podłym kocu w swej celi. Usiłował nie słuchać obrzydliwych rozmów współwięźniów. Jak zwykle rozmawiali o seksie. Zawsze o tym rozmawiali. Tylko przypadkowo o baseballu czy piłce nożnej. Teraz współtowarzysze Calvina dyskutowali o intymnych szczegółach ciała ostatniej dziewczyny „Penthausu”. Nogi kobiety były szeroko rozwarte, pokazywała obrazek, jaki zazwyczaj ogląda tylko ginekolog. Mężczyźni byli przejęci. Calvin wiedział, co teraz nastąpi. Po trzech latach bycia tu znał ich dobrze. Będą robili to sobie wzajemnie, udając, że partner jest kobietą z „Penthausu”. Czasem robią to Calvinowi, nawet jeśli będzie się opierał. Wiedział to. Zdarzyło się to już pierwszego dnia, gdy go tu wsadzono, a powtarzało się z obrzydliwą regularnością.

Calvin nie był zbyt przystojny, ale był młody, miał jasną skórę i mocne ciało. Reszty dopełniała wyobraźnia mężczyzn.

Calvin udawał, że śpi — nie pomogło. Podszedł do niego Kolinsky, wielki dwudziestotrzyletni Polak o ciemnych włosach, popsutych zębach i wielkim penisie.

— No chodź, Calvin. Czas na coś miłego z twoim starym przyjacielem.

Calvin wiedział, że jeśli będzie stawiał opór, zostanie pobity. Strażnicy udawali, że nie widzą. Czasami sami najpierw próbowali tych młodszych, jeszcze „dziewicznych”. Gdy Kolinsky uściskał go gwałtownie, Calvin myślał

tylko o tym, jak bardzo nienawidzi Chloe Carriere. To ona jest wszystkiemu winna! Zapłaci za to! Zostało jeszcze tylko piętnaście miesięcy tego horroru. Od czasu ostatecznego rozstania z Joshem, życie erotyczne Chloe stało się bardzo interesującym tematem. Drukowali, co tylko mogli gdzieś wywęszyć. Zwykła pogawędka z mężczyzną na przyjęciu — i już pisano, że ma z nim romans. Więcej niż dwie randki z tym samym mężczyzną i już była zaręczona. Więcej niż sześć randek było zapowiedzią małżeństwa. Od czasu rozstania z Joshem, tak naprawdę nie interesowała się nikim. Ona i Johnny od czasu do czasu spędzali ze sobą noc, umawiali się albo nie, ale to nie była poważna znajomość. On miał w zasięgu ręki wiele kobiet. Tak łatwo zarazić się AIDS — nie miała zamiaru ryzykować życiem dla przypadkowej znajomości, bez względu na to, jak mogła być atrakcyjna. Trzy lata myślenia tylko o karierze zaczynały zbierać swoje żniwo. Stała się zgryźliwa, irytująca, nie interesowało jej nic poza „Saga”.

— Potrzebny ci mężczyzna — zauważyła Daphne pewnego dnia w czasie lunchu. — Dobry mężczyzna.

— Tak, trudno teraz takich znaleźć — dodała Vanessa. Chloe, nic nie mówiąc, piła Perrier.

Daphne naciskała: — Nie wyglądasz na szczęśliwą.

— Nie potrzebuję mężczyzny, by być szczęśliwą! — ucięła Chloe, zapalając papierosa i składając następny autograf.

Stół, przy którym siedziała z Daphne i Vanessa, stał na rogu kantyny należącej do studia, ale i tak był przedmiotem zainteresowania wszystkich. Fanowie przychodzili na wycieczki, zwiedzali plan „Sagi”. Abby i Gertruda — wiedząc, że mają w ręku kopalnię złota — pozwalali turystom błąkać się po terenie.

— Vanesso, nie chcę, żebyś myślała, że mam objawy paranoi, ale czy widzisz tę kobietę z aparatem? — spytała Chloe. Vanessa spojrzała we wskazanym kierunku. Kobieta rozglądała się po planie, ale zbyt często zwracała oczy na Chloe.

— O co chodzi? — spytała Vanessa.

— Ona mnie śledzi. Przysięgam, że jest z prasy. Widziałam ją wielokrotnie. W zeszłym tygodniu zaczęła się nawet na planie, podsłuchiwała jak rozmawiałam z Annabel przez telefon.

— Żartujesz? — Vanessa bardzo starała się chronić Chloe.

— Nie. Wystawała przy automatach z kawą, gawędziła z chłopakami z obsługi i szoferami. Myślałam, że jest fryzjerką serialu o gliniarzach i pracuje w studiu obok, ale później robiła notatki. Sprawdź ją.

— Dobrze, szefowo — odpowiedziała Vanessa. Popatrzyła na kobietę, ale ta szybko odwróciła wzrok. Chloe miała rację. Wyglądała na dziennikarkę.

Prawdopodobnie pracowała dla brytyjskich szmatławców.

Magazyny i dzienniki drukowały teraz wszelkie szczegóły, mniej czy bardziej pikantne, z przeszłości Chloe. Robili wywiady z jej szkolnymi koleżankami, nauczycielami i współpracownikami. Rich, jej chłopak z czasów, gdy była

prowinjonalną piosenkarką, sprzedawał wspomnienia o ich „burzliwej znajomości” pismu „Sun”. Reporterzy ciągle dzwoniли do Richarda, Susan i Annabel, pytając o błahostki dotyczące najpopularniejszej teraz aktorki brytyjskiej. Chloe żyła w ciągłym strachu, że prasa odkryje, iż Annabel jest jej córką. Jeden z ciekawskich dziennikarzy pojechał do Somerset House, brytyjskiego rejestru narodzin i zgonów, i skopiował jej świadectwo urodzin, by żaden z czytelników nie miał wątpliwości, ile ma lat. Nic nie mogło go powstrzymać przed dalszym węszeniem. Odkrył, że 15 maja 1964 roku w Plymouth urodziła się dziewczynka, której ojciec był nieznany, a matką była Chloe Carriere, wówczas dwudziestoletnia. Chloe często myślała, jak bardzo mogłoby to zakłócić szczęśliwe i spokojne życie Annabel.

Nienawidziła tego, że staje się cyniczna i wpada w paranoję. Nieustanny atak na jej życie osobiste, zarówno przez media jak i fanów, był nie do zniesienia. Pracowała ciężko. Samo utrzymanie włosów, makijażu i przymiarki strojów często zajmowały dwanaście godzin dziennie. Męczyło uśmiechanie się do pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu zwiedzających studio, którzy często chcieli osobiście porozmawiać z Królową Ekranu. Grzechem byłoby zaniedbanie choćby jednego. Gertruda ostrzegała: — Obraż jednego fana, on opowie o tym dziesięciu, a oni dziesięciu następnym.

— Bądź dla nich miła teraz, gdy pniesz się w górę — ostrzegał Jasper. — Teraz jesteś popularna, ale oni będą czekali na twój upadek; zapewniam cię, że kiedyś to nastąpi. Każdy aktor ma wzloty i upadki. U jednych — Gary Granta, Katherine Hepburn — trwa to pięćdziesiąt lat albo i więcej. U innych — szczególnie jeśli chodzi o gwiazdy telewizji — pięćdziesiąt miesięcy, tygodni, a nawet dni. Publiczność jest...

— Niestała! Wiem, Jasper. Mówiłeś mi to już milion razy. Wiem, jacy są.

— Mądra dziewczynka. Pamiętaj o tym. Nie zadzieraj nosa.

— Nie zadzieram! — prawie krzyknęła. Po prostu usiłuję być sobą.

W jej życiu nie było miejsca na mężczyzn. Jeśli czasem miała wolny dzień, poświęcała go na udzielanie wywiadów i sesje zdjęciowe. Przymiarki u Trixie i Rudolpho też wymagały zastanowienia i koncentracji. Musiała uczyć się tekstu, chodzić na manicure i pedicure, gimnastykować się regularnie, robić masaż twarzy, znać najnowsze kierunki w modzie. Nie miała nawet czasu, by przeczytać gazetę, czy porządnie się wyspać, nie było więc mowy o mężczyznach.

— Gdyby tak widzowie wiedzieli, jak cholernie ciężką pracą jest aktorstwo — wzdychała Chloe, potwierdzając, że widzi sygnał Neda, iż skończył się lunch. Lunche powodowały u niej niestrawność. Wszystko działo się w ciągłym pośpiechu. Ledwie zeszła z planu, zamieniła wydekoltowaną suknię czy inny strój na coś wygodnego, poszła do kantyny, poczekała na sałatkę z tuńczyka i wodę Perrier, porozmawiała z Vanessa czy Daphne, a już należało wracać na plan. — Hej ho, hej ho, do pracy by się szło! Zupełnie jak siedem krasnoludków:— śmiała się Vanessa.

— Myślę, kochana, że potrzebny ci mężczyzna — w celach terapeutycznych, jeśli nie w innych. A ja nawet znam jednego. Doskonały dla ciebie i bardzo przystojny — Daphne nigdy nie ustawała. Za każdym razem wracała do tematu, gdy szły razem na lunch.

Vanessa chichotała. Uwielbiała romanse i intrygi. — Kto to jest? Znamy go? Ja też bym chciała, żeby się z kimś przespała. Za bardzo daje mi się we znaki — Vanessa żartowała drażniąc Chloe. Uwielbiała ją, choć czasem miały małe spięcia. Była też powiernicą Chloe — to nie było słodkie życie z Arabami, ale z pewnością bardziej interesujące.

— Przespać się! A co to jest? Nie mogę sobie przypomnieć takiego doświadczenia. Czy to jest coś, co robią zwykli śmiertelnicy?

— Kochanie, w przyszłą sobotę zjesz obiad u mnie — Daphne uwielbiała rolę swatki. Ten mężczyzna jest Francuzem i jest bardzo seksowny.

— O, towar importowany! — żartowała Vanessa. Ktoś, kto nie pieprzył twoich wszystkich koleżanek! Czy to nie dobre wieści?

Chloe rozpoznała go, gdy tylko weszła do bawialni Daphne. Choć nie myślała o nim od trzech lat, pamiętała dobrze tamtą noc w Las Vegas. Wzdrygnęła się. Nadal nawiedzały ją nocne koszmary.

Philippe Archambaud uśmiechnął się jak Alain Delon, odsłaniając śliczne zęby. Wyglądał romantycznie europejsko w ciemnoniebieskim garniturze z kontrastującym krawatem, zwłaszcza przy kochanku Daphne Richardzie Hurrelu, w cyklamenowym blezerze i takiej muszce, oraz przy Luisie Mendozie, który w ogóle nie dbał o dobór stroju. Uważał, że jeśli pragną go wszystkie kobiety w Ameryce, to wystarczy ubierać się w czarną jedwabną koszulę i białe obcisłe spodnie. Philippe był przystojny, wysoki, miał brązowe falujące włosy, lśniące oczy. Zachowywał się spokojnie. Nie jest komediantem — pomyślała Chloe, gdy w czasie obiadu rozmawiali o polityce Francji.

Pamiętała brytyjski urok Josha, jego dowcip i humor. Przez pierwsze siedem czy osiem lat małżeństwa było między nimi tyle namiętności i porozumienia. Gdzie to wszystko się podziało? Dlaczego? Usiłowała pozbyć się tych myśli i skoncentrować na Philippe. Tak, był bardzo przystojny i wyjątkowo uroczy. Zwracał na nią uwagę i prawił komplementy. Była przecież najpopularniejszą gwiazdą telewizji. Na jak długo — nikt nie mógł przewidzieć...

— Kiedy znów będę mógł cię zobaczyć, Chloe? — dłoń Philippe znaczyła maleńką ścieżkę wzdłuż jej kręgosłupa. Nagle poczuła dawno zapomnianą falę pożądania — ile to już miesięcy... — Jutro? — Jego oczy — jaki to kolor? Szare? Zielone? Niebieskie? Oczy kameleona — było w nich wyraźne uwielbienie. Wbrew sobie była nim zainteresowana.

— Cóż, jutro niedziela. Mam kilometry tekstu do nauczenia się, nowy scenariusz do przeczytania i...

— Kochanie! — przerwała Vanessa. Żadnych wykrętów. Myślę, że powinnaś zaprosić go do domu przy plaży — szeptała przez zaciśnięte zęby.

— Richard i ja też przyjedziemy. Nie martw się — dodała Daphne widząc, że Chloe zaczyna się wycofywać.

— Wiem, że w niedzielę nie masz służby, a nienawidzisz gotować. Richard zatrzyma się przed Nate'n'Al, kupimy tam wędzonego łososia, bagietki i serek. Zrobimy sobie piknik na plaży. Czyż nie będzie wesoło? Zupełnie jak w Anglii.

Richard jęknął. Mając sześćdziesiąt pięć lat, czuł się nieco za stary na pikniki na plaży. Ale to Daphne była szefową, więc zmusił się do uśmiechu.

— Dobrze, zrobimy sobie wszyscy piknik.

— Z szampanem! — dodała Daphne.

— Naturellement — powiedział Philippe z uśmiechem, który zaczął pociągać Chloe. — Ja przyniosę.

— Dom Perignon — ostrzegła Vanessa. — Na piknikach pijemy tylko Dom Perignon.

— Oczywiście, przyniosę z przyjemnością. Ukłonił się lekko, nie spuszczać oczu z Chloe.

Zaloty trwały krótko. Fizyczny urok Philippe podziałał na Chloe tak szybko, że nie wiedziała kiedy to się stało. W stosunkach z mężczyznami zawsze zależało jej na dowcipnej rozmowie; tym razem to nie miało znaczenia.

Zaczęli się spotykać w każdy weekend, potem co drugą noc, wreszcie co noc. Wkrótce Philippe przywiózł do domu Chloe w Beverly Hills większość swoich rzeczy. Po kilku miesiącach uznali, że to głupie tracić pieniądze na wynajmowanie mieszkania, którego się prawie nie używa. Przeprowadził się do domu nad morzem.

Philippe nadal pisał artykuły do „Paris Match”, „Jour de France”, a czasem do „Oggi” i „Tempo”. To zajmowało go w ciągu dnia. Ponieważ był dobry w analizie rynku akcji, Chloe pozwoliła mu zainwestować swoje pieniądze.

Poradził sobie z tym tak doskonale, uzyskał takie dochody, że Chloe pozbyła się swego doradcy finansowego i powierzyła te sprawy Philippe.

— Kochanie, on jest wspaniały, ale jest... — Vanessa usiłowała ostrzec przyjaciółkę po kilku tygodniach tego szaleńczego romansu.

— Nudny? Nużący? Uparty? Wiem, Vanesso. Nie jestem głupia. Dobrze wiem, że nie jest Einsteinem. Nie wiem co to jest, ale on mi chyba... — pomyślała o ostatniej nocy, o wspólnej namiętności i o tym, jak niechętnie zwlokła się z łóżka o piątej.

— Cóż, cokolwiek robi, wygląda na to, że dobrze na ciebie wpływa — skomentowała Vanessa. — Od dawna tak dobrze nie wyglądałaś.

Chloe poczerwieniała. Jej noce, ranki i popołudnia z Philippe były zdumiewające. Ten mężczyzna był gejzerem energii. Kiedy nie kochali się, chciał trzymać ją w ramionach, gładzić jej włosy, mówić jaka jest cudowna. To niezwykle jak na trzydziestodwuletniego mężczyznę. Chloe lubiła to i lubiła jego. Coraz bardziej.

Nadal jednak myślała o Joshu. Czasem dzwonił do niej z Anglii lub Skandynawii. Pierwsza sztuka, do której napisał muzykę, zrobiła klapę. Potem zginął gdzieś na rok. Jedni mówili, że wyemigrował do Australii, inni, że mieszka

gdzieś z siedemnastoletnimi bliźniaczkami, komponuje muzykę, bawi się w klubach dla mężczyzn. Wreszcie zadzwonił do niej.

— Cześć Chloe, moja maleńka. Jak leci?

Serce zabiło mocniej, gdy usłyszała jego głos. Jak głupia nastolatka — łajęła samą siebie po krótkiej, ale miłej rozmowie.

Powiedział, że pracował w Australii. Nie mówił o bliźniaczkach. Ona nie pytała. Teraz pracował na statku wycieczkowym. Mówił, że to zabawne. Nadal miał wielu fanów — matron w średnim wieku, pamiętających młodego Joshuę Browna z lat sześćdziesiątych i jego piosenki. Przez następne kilka miesięcy miał śpiewać na statku wycieczkowym pływającym dookoła Karaibów.

— Czy to ci naprawdę sprawia przyjemność? — spytała Chloe. Czuła się dziwnie winna, że ona odniosła wielki sukces w czasie gdy on staczał się coraz niżej. — Lubisz to, Josh?

— Jasne, bardzo — kłamał. — Bawię się świetnie. Alkohol leje się strumieniami, zaśmiewam się do rozpuku, śpiewają ptaszki. — Chloe zadrżała. Myśl o Joshu z inną kobietą w ramionach nadal była nieprzyjemna.

— Jesteś beznadziejnie staroświecka — powiedziała Vanessa, gdy Chloe opowiedziała jej o rozmowie z Joshem. — Chloe, czy ty w ogóle wiesz coś o mężczyznach?

Vanessa, która spędziła osiemnaście lat studiując ten gatunek i była pewnego rodzaju ekspertem, była zdumiona widząc naiwny romantyzm przyjaciółki. Chloe zmieniła temat. Ciągle myślała o rozmowie z Joshem. Chciała, by znów zadzwonił. Jeszcze nie dopełnili formalności rozwodowych, ciągnących się od dwu lat. Prawnik usiłował ją dopaść, by podpisała papiery. Potem, gdy zniknął Josh, nawet jego własny prawnik nie mógł go znaleźć.

Teraz Philippe naciskał, by wreszcie przeprowadziła rozwód. Chciał się z nią ożenić, ale Chloe nie wiedziała czy tego chce. Pociągał ją fizycznie, była pod jego urokiem, ale brakowało jej tego rodzaju porozumienia, jakie łączyło ją z Joshem.

— Może oczekuję za dużo — mówiła do siebie jadąc przez Pico Boulevard do studia MCPC. — Cóż, nie możesz mieć wszystkiego. — Możesz! Możesz! — podpowiadał wewnętrzny głos. — Możesz i powinnaś.

Suces „Sagi” był tak olbrzymi i niespodziewany, że wszelkie kampanie telewizyjne robiły wszystko, by go powtórzyć. Jedna ze stacji nagrała „Rodzinę Abrahama” bliźniaczo podobną do „Sagi”, inna próbowała zrobić to samo z „Imperium Arizony”. Oba seriale zdobyły na krótko popularność i szybko znikły z ekranu.

— Naśladownictwo jest najlepszą formą pochlebstwa — cieszyła się Gertrude na spotkaniu ze zmarłym Abby. — Nie mamy się czego obawiać. Popatrz tylko na notowania. — Miała rację. „Saga” od czterech sezonów wciąż była na samym szczycie listy popularności seriali. Ubrania z napisem „Saga”, biżuteria jak w „Sadze”, lalki naśladowujące aktorów z „Sagi” — wszędzie to

sprzedawano. Świat ogarnęła mania „Sagi”. Świat uwielbiał Chloe i Sissy, Sama i Pandorę. Kochano ich wszystkich. Pościel, talerze, świece, buty, bluzy, krawaty — sklepy pękały w szwach pod rzeczy w stylu „Sagi”.

— Chyba tylko na prezerwatywach nie ma napisu „Saga” — śmiała się Pandora. Christopher, człowiek zajmujący się reklamą, podszedł do Chloe z plikiem papierów do podpisania. Ona i Sissy miały reklamować nowe perfumy. Jedne nazwano „Frywolna” — na opakowaniu była Chloe we frywolnej pozie, drugie „Kobieta” — ozdobił je wizerunek Sissy wyglądającej ciepło i kobieco.

W ciągu czterech lat pracy nad serialem Sissy przeszła dwie małe operacje kosmetyczne i powiększanie piersi. Nadal się odchudzała, wyglądała jak jastrząb, ale była wystarczająco dobrą aktorką, by tchnąć nieco życia w prześłodzoną rolę Sirope. Była uosobieniem Matki Ziemi: słodkiej, uprzejmej, zajmującej się problemami telewizyjnych dzieci i machinacjami telewizyjnego byłego męża Steve'a. Chloe natomiast uosabiała frywolną, łakomą seksu dziwkę.

Widzowie pokochali obie kobiety, choć nigdy nie byli pewni, czy w życiu są takie same jak na ekranie.

— Siedzisz na moim krześle — warnęła Sissy w kierunku Chloe.

— Och, przepraszam — odparła Chloe patrząc na trzy puste krzesła, na których mogłaby usiąść Sissy, gdyby tylko chciała.

Sissy uwielbiała dokuczać Chloe i reszcie ekipy zdjęciowej przy każdej nadarzającej się okazji. Osiągnęła sukces, ale coraz trudniej było z nią wytrzymać. Nawet wierny Sam, lojalny przez wszystkie lata, z trudem znosił jej arogancję. Była niegrzeczna dla ludzi, zazdrościła pozostałym aktorom, nie chciała brać udziału w próbach, obrażała każdego kolegę, który zapomniał tekstu. Zmuszała producenta, by zmieniał dla niej dialogi i ciągle zmieniała je sama, wprowadzając w zakłopotanie innych aktorów. A potem wściekała się na nich, bo nie rozumieli, co robi.

Ostatnio zaczęła brać kokę zanim zjadła śniadanie, by jakoś przetrwać nudne dni. Drugą działkę brała w czasie lunchu i jeszcze jedną po południu. W domu każdej nocy narzekała, że operator światła woli Chloe i Pandorę, że reżyser jest prostakiem bez talentu, że garderoba Sama jest większa niż jej. Kokaina wywoływała u niej objawy schizofrenicznej paranoi. Gdyby jej wielbiciele wiedzieli o tym, stałaby w kolejce dla bezrobotnych na Sunset Boulevard.

— Co sądzisz o nowym scenariuszu?

Chloe była zdumiona, że Sissy pyta o jej zdanie. Nigdy przedtem tego nie robiła. — Nie najgorszy. A ty jak sądzisz?

— Śmiecie, pieprzone śmiecie. Piszą tak, jakbyśmy mieli zejść z ekranu w przyszłym sezonie! — Sissy nerwowo gładziła satynową suknię na udach. — Doris, przynieś mi filiżankę kawy — na miłość boską, pośpiesz się!

Chloe współczuła Sissy. Nie czuła nienawiści do kobiety, której brak pewności siebie był tak oczywisty. Często broniła jej, podczas gdy reszta zespołu

rozdziarała ją na strzępy. To i tak nie pomagało, bo Sissy nienawidziła Chloe bardziej niż kogokolwiek z obsady filmu.

Jeżeli Chloe była na okładce „USA Today”, Sissy tak długo wrzeszczała na ludzi z działu reklamy, aż zdobyli dla niej taką samą okładkę. Prawdę mówiąc, obie kobiety były na tej samej liczbie okładek w magazynach ilustrowanych. Jeśli serial jest tak popularny jak „Saga”, to prasa dobrze wie, że umieszczenie zdjęcia Sissy, Chloe czy Pandory na okładce zwiększa nakład pisma.

— Widziałas to? — Sissy podała Chloe najnowsze wydanie „American Informer”.

Tajemniczy owoc miłości Chloe Carriere — głosił nagłówek.

Chloe mało nie zemdląca. Udawała obojętność, wiedziała, że Sissy obserwuje ją.

— Interesujące, co? — Sissy uśmiechała się jak kobra. Czy to prawda, kochanie? — przybrała ton zaufanej koleżanki, brzmiący bardziej szyderczo niż nieustanne wbijanie szpil. — Możesz mi powiedzieć. — Pochyliła się bliżej. Chloe widziała zmarszczki pod jej oczami i dookoła ust; nie zdołały ich zlikwidować nawet trzy operacje plastyczne.

— Wiesz, że to zwykły stek kłamstw. Nie potrafiła się powstrzymać i odgryzła się: — Pamiętasz, jak w zeszłym miesiącu napisali, że Sam jest homoseksualistą? Śmieszne, prawda?

Sissy zacisnęła zęby, szare oczy straciły wyraz ubawienia. — Na miłość boską, Doris, gdzie jest ta pieprzona kawa? Pośpiesz się!

Chloe odeszła. Artykuł, którego tak się obawiała, wreszcie pojawił się.

Widziała, jak Sissy pokazuje okładkę pisma kilku ludziom z ich otoczenia.

W domu przeczytała dokładnie artykuł. Była przerażona.

Od dwudziestu lat Chloe Carriere nie widziała swego owocu miłości — krzyczał podtytuł. Chloe Carriere, super-gwiazda opery mydlanej „Saga”, ma sekret, który będzie straszył ją aż po grób. Dwadzieścia jeden lat temu urodziła nieślubne dziecko. Możemy wam powiedzieć, że młoda dziewczyna, Annabel, żyje szczęśliwie na brytyjskiej prowincji z bratem Chloe, Richardem i jego żoną Susan, nieświadoma, że jej prawdziwa matka jest najsławniejszą dziwką telewizji.

— O mój Boże — Annabel! — rzuciła gazetę na podłogę. Drżącą ręką sięgnęła po telefon.

— Witaj, Daphne. Nie obudziłam cię?

— Nie, oczywiście, że nie, kochanie, dawno wstałam. Co się dzieje? — Daphne odepchnęła Richarda na bok i sięgnęła po magnetofon zawsze stojący obok łóżka.

Nieczęsto zdarzało się, by Chloe dzwoniła prosząc o pomoc. Tak często pisano o niej niepocholebnie, że przestała się tym przejmować.

— Czytałaś już „Informer” — pytała zdesperowana Chloe.

— Tak, czytałam.

— To stek kłamstw, Daphne, wiesz dobrze.

— Wiem, kochana. Wiedzą o tym wszyscy, którzy przeczytali te brednie. — Ale uwielbiają to — pomyślała Daphne. Gazetę mają dziś wszyscy na biurkach, czytają u fryzjera, pożyczają od służącej, z radością czytają kłamstwa i insynuacje dotyczące bliźnich. — Przestań, Richard — syknęła. To, że go odtrąciła, podniecało go jeszcze bardziej. Z zapalem gładził obfite uda Daphne.

— Daphne, ludzie zaczęli już prawie wierzyć w te brednie, że jestem dziwką. Nie chodzi o mnie, ale ten artykuł tak strasznie zasmuci moją bratanicę.

— Wiem, moja droga, to same kłamstwa. Ignoruj je i bądź ponad wszystko.

— Zawsze ignorowałam oszczerstwa, może w tym tkwi problem...

— W czym może pomóc stara przyjaciółka? — spytała Daphne. Dała Richardowi klapsa i usiłowała ułożyć go wygodnie w załamaniu ramienia jak wielką pulchną lalkę.

— Powiedz im, by zamieścili sprostowanie tak szybko, jak to możliwe.

— Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy — Richard przeszkadzał w rozmowie jak tylko mógł. Odłożyła słuchawkę.

Chloe sięgnęła po wódkę, naląła do soku pomarańczowego. Zadzwoił telefon. Włączyła automatyczną sekretarkę, słuchała nagrywających się głosów: — Dzień dobry, mówi Mike Russel z „News of the World”. Chciałbym mówić z panią Carriere o... Zmartwiona wyłączyła telefon. Jutro przedruk z gazet amerykańskich znajdzie się w pismach brytyjskich. Przeczyta go Annabel. Zastanawiała się, jaka będzie jej reakcja. Kochana Annabel, która uważała ją za ciotkę. Co sobie pomyśli? Jak będzie się czuła wiedząc, że oszukiwano ją całe życie? To będzie dla niej klęska.

Bez względu na reakcję, Chloe musi się z nią zobaczyć. Natychmiast. Nie można tego odwlekać. Musi powiedzieć jej prawdę. Natychmiast. Nie można tego odwlekać. Musi powiedzieć jej prawdę.

Zadzwoiła do Gertrudy. — Czytałaś artykuł?

— Oczywiście. Czy to prawda?

— Tak, Gertrudo. Nie obchodzi mnie, co pisze prasa. Ale to będzie straszny szok dla Annabel. Ona nie ma najmniejszego pojęcia, że jestem jej matką, a Susan i Richard nie są jej prawdziwymi rodzicami. Gertrudo, muszę pojechać do Londynu, natychmiast. Czy możecie przelozyc zdjęcia? Proszę, to pilne.

— Kochanie — odpowiedziała lodowato Gertrude. — Wiesz, że nie możemy. Zbliżamy się do końca sezonu, a ty grasz w każdej prawie scenie. Musimy się naprawdę postarać, bo od następnego sezonu na ekrany wchodzi „Historia Ameryki”. Czy to nie może poczekać?

— Nie! — Chloe była zdesperowana. — Nie może. To dotyczy życia mojej córki, Gertrudo. Czy to nie jest ważniejsze od filmu?

— Szczerze mówiąc, kochanie, nie jest. Bardzo ci współczuję, przyrzekam, że zrobię co będę mogła, by ludzie z działu reklamy pomogli ci wydostać się z tarapatów, ale po prostu nie możemy i nie będziemy przychyłać się do kaprysów aktorów.

— Kaprysów! — Chloe prawie płakała. — Gertrudo, to jest najważniejsza rzecz w moim życiu. Zaczęła opowiadać jej prawdziwą historię, ale Gertruda przerwała jej.

— Kochanie, jestem w trakcie przyjęcia — nie zamartwiaj się — usiłowała ją uspokajać. — Nie sądzę, by zła prasa mogła ci zaszkodzić. Przecież jesteś dziwką.

— Nie jestem! — krzyknęła Chloe. — Jestem aktorką, i to dobrą, dlatego wszyscy uważają, że muszę być dziwką. Proszę, pozwól mi pojechać, chociaż na weekend. Annabel mnie potrzebuje — muszę jej sama wszystko wyjaśnić! Nie mogę tego zrobić przez telefon.

— Muszę pomówić z Abbym — powiedziała sucho Gertrude. — Zobaczę, co da się zrobić. Muszę już kończyć, goście czekają. — Położyła słuchawkę.

— Do diabła z tobą! — krzyknęła Chloe. — Do diabła z wami wszystkimi! I tak pojedę. — Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Vanessy. — Zarezerwuj dla mnie na jutro bilet do Londynu, British Airways, a dziś wieczorem zwołaj spotkanie z Christopherem. Muszę wypić to piwo.

— Jadę — powiedziała rano spokojnie. Siedziała naprzeciwko Abby'ego w jego olbrzymim biurze.

Był dla niej sympatyczniejszy niż Gertrude. — Zamierzam pozwolić ci jechać, żebyś mogła uporządkować tę niefortunną historię. Ona rzuca na ciebie cień. Jeżeli to zignorujesz, widzowie będą uważali, że jesteś dziwką. Choć nieślubne dziecko nie jest powodem do napiętnowania, myślę, że opinia publiczna powinna znać prawdę. Jesteś to winna i córce, i publiczności. Żuł cygaro i obserwował ją uprzejmie. Gdy sytuacja stawała się beznadziejna, Abby zazwyczaj stawał po stronie aktorów. Lubił Chloe i wiedział, że nie przypomina jędzy o sercu z kamienia.

— Jedź, kochanie. W Londynie weź udział w konferencji prasowej dla mediów, to ważne. Ale najważniejsze jest dziecko — jak ona to przyjęła?

— Nie wiem — odpowiedziała walcząc ze łzami. — Nie mogę się z nią skontaktować — wyłączyli telefon, a nie mogę jej zastać w college'u. Tak mi ciężko, Abby. Ta dziewczynka jest najważniejszą osobą w moim życiu. — Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. Abby, mężczyzna sentymentalny pomimo oschlej powierzchowności, czuł ucisk w gardle i pośpiesznie podał jej chusteczkę zanim sam zaczął głośno mówić.

— Nie, nie, kochanie. Proszę, żadnych łez, wstrzymujesz nagranie, będą musieli poprawić ci makijaż. Wróć na plan, będziesz wolna o czwartej trzydzieści, żebyś zdążyła złapać samolot do Londynu.

Zanim artykuł ukazał się w gazecie, Annabel była dobrze sprawującą się młodą panią w college'u. Czowała się również szczęśliwa w domu, w bezpiecznej rodzinnej atmosferze. To nie powstrzymało żmij z Fleet Street. Rzucili się na skandal jak sępy. Wszystko, co dotyczyło Chloe, było dla nich ciekawe. To dopiero była kopalnia wiadomości, chcieli wykorzystać ją do cna. Codziennie pojawiały się nagłówki:

Chloe porzuciła dziecko — wykrzykiwał „Sun”.

Samolubna królowa serialu oddała dziecko — narzekał „Star”.

— Och, Chloe, gdzie ty masz serce? Gdzie jest twoje poczucie moralności, gdzie instynkt macierzyński? Głupia kobieta. Czy diamenty, futra, posiadłości w Hollywood, baseny mają większą wartość niż życie z dzieckiem? Urodziłaś dziecko i oddałaś je krewnym, by sama zająć się karierą, cieszyć się pustą sławą i frywolnym dostatnim życiem. Zostawiłaś własne ciało i krew, by wychowywało się w kłamstwie... — każda gazeta plotła bzdury. Ta historia przyciągała uwagę, pisali więc, ile tylko mogli.

Obrzydliwość — pomyślała Chloe. W samolocie do Londynu czytała artykuły, a każdy następny coraz bardziej ją przerażał. Zastanawiała się, jak Annabel zniesie to wszystko. Towarzyszyła jej Vanessa, podekscytowana powrotem do Londynu. Spadała na nią część sławy Chloe, stała się pewnego rodzaju znamienitością w Petticoat Lane, gdzie nadal mieszkała jej rodzina. Philippe, który także towarzyszył Chloe, usiłował ją pocieszyć:

— Kochanie, jakie to ma znaczenie, co o tobie mówią?

— pytał. — I tak uważają, że jesteś dziwką. Wściekała się na niego za ten francuski pragmatyzm, rozmowa skończyła się łzami.

Na Heathrow powitał ich tłum dziennikarzy — dziesiątki pismaków łącznie z ekipą telewizyjną. Przepychali się, krzyczeli, robili jej zdjęcia, gdy z podniesioną głową szła korytarzami lotniska w prostym ciemnym płaszczu z kaszmiru, chroniącym przed londyńskim chłodem. Reporter BBC prawie uderzył ją mikrofonem w twarz — żądał, by złożyła oświadczenie. Były tu też NBC, ABC, ITV, jej macierzysta stacja BBC oraz ekipy europejskie i australijska — wszyscy!

— Chwileczkę! — Christopher, agent prasowy „Sagi”, usiłował kontrolować podniecony tłum i reporterów.

— W tej chwili pani Carriere nie złoży żadnego oświadczenia. Jak wiecie, konferencja prasowa odbędzie się o czwartej w hotelu Ritz. Wtedy pani Carriere opowie wam szczegółowo o ostatnich wydarzeniach.

Chloe uśmiechała się przez zaciśnięte zęby. Trzej policjanci, dwu przedstawicieli linii lotniczych, Vanessa, Philippe i Christopher usiłowali precyzyjnie się przez tłum fotografów, dziennikarzy i łowców sensacji.

To mogło być trudniejsze niż przypuszczała. Poprzedniej nocy rozmawiali długo, planując strategię działania. — Boże, spraw, żeby się wszystko udało — modliła się Chloe. — Pomóż mi, Boże!

23

Bezpieczny prywatny świat Annabel stał się nagle publicznym koszmarem. Jej twarz znalazła się na pierwszych stronach pism. Koledzy w college'u plotkowali na jej temat. Dlaczego ciocia Chloe — nie, teraz to jest mamusia Chloe — nie powiedziała jej prawdy?

Prasa brukowa zaczęła bombardować telefonami schludny domek w Barnes. Rodzina Annabel doznała szoku. Sytuacja stała się nie do zniesienia. Gdy

zaczęły ich nachodzić dziesiątki dziennikarzy i fotografów z całego świata, zamienili dom w fortecę. Wyłączyli telefon, uprzejmi sąsiedzi przynosili jedzenie, i czekali modląc się, by to się szybko skończyło, by prasa dała im wreszcie spokój.

Reporterzy kłębili się wokół domu w oczekiwaniu na jakieś wydarzenia. Wiedzieli, że Chloe musi tu przyjechać. Gdy wysiadła, zasypali ją tysiącem wścibskich pytań. Flesze aparatów błyskały tak szybko, że mimo szarej ponurości popołudnia prawie oślepiły ją. Christopher chronił ją jak mógł przed napierającym tłumem, poczerwieniał z wysiłku zanim blada, zmartwiona Susan otworzyła drzwi i pośpiesznie wprowadziła ich do wąskiego korytarza. Ona, Richard i Chloe przywitani się serdecznie, dodając sobie otuchy. Potem Susan pokazała Chloe zamknięte drzwi bawialni. — Ona jest tam — szepnęła. Richard zabrał Christophera do kuchni.

— Przeżywa to bardzo. Usiłowałam jej powiedzieć, że to nie była twoja wina, wyjaśnić jaki był wtedy świat i że zrobiłaś co mogłaś. Ale im dłużej mówiłam, tym bardziej była zmartwiona.

— Dziękuję, Susie — Chloe uśmiechnęła się do bratowej i uściśnęła ją. Pamiętała, jak dawno temu były szkolnymi przyjaciółkami, jak szeptały i chichotały, dzieliły się wspaniałymi sekretami, gdy miały po dwanaście lat i były „przyjaciółkami od serca” na zawsze. Teraz znów miały o czym szeptać. — Powiedziałam jej, że przyjedziesz, ale nic nie odpowiedziała.

— Dobrze, Susie. Muszę z nią porozmawiać, wiem, jakie to musi być dla niej trudne.

Chloe otworzyła drzwi. Annabel siedziała w bawialni na kwiecistej kanapie. Matka i córka patrzyły na siebie. To był moment, którego Chloe tak bardzo się bała. Gardło miała ściśnięte, oko drgało w nerwowym tiku, pewnie dlatego, że prawie nie spała od trzech dni. Popatrzyła na córkę z miłością, ale oczy Annabel były zimne, nieobecne i obojętne.

Ogień buzował w kominku. Było zimne marcowe popołudnie i choć zegar wskazywał czwartą, na zewnątrz było prawie ciemno. Zielone zasłony z welwetu były zaciągnięte, a okna szczelnie zamknięte, lecz mimo to słychać było wrzawę przed domem.

Chloe przyjechała prosto z Heathrow. Stała w swym ciemnym płaszczu i zamszowych botkach, czując się przeraźliwie wystrojona w tym prostym pomieszczeniu. Na pianinie i gzymsie kominka — zdjęcia jej i rodziny. W jednym kącie — fikus, który Chloe przysłała Richardowi na urodziny, w innym plastikowy barek z butelkami whisky, dżinu, wódki i likierów. — Tak chętnie napiłabym się — pomyślała — ale nie czas na to.

Córka, jej śliczna, zawsze pełna radości córka odwróciła się od niej. Ponuro patrzyła w dal.

— Pewnie czekasz, że padnę ci w ramiona i wszystko zostanie przebaczone — w młodym głosie Annabel brzmiał sarkazm.

— Nie, nie oczekiwałam tego. Zaslugujesz na wyjaśnienie. Postaram się zrobić to, jak potrafię.

Chloe zdjęła płaszcz i położyła go na fotelu naprzeciwko Annabel. Jej zazwyczaj radosna twarz teraz była posępna. Lecz mimo to w żółtym swetrze i z włosami spiętymi żółtym grzebieniem była naprawdę śliczną młodą dziewczyną, tak podobną do Chloe sprzed lat, że ktoś obcy — obserwując je razem — musiał wiedzieć, że to matka i córka.

Na stole przed kominkiem Susan zostawiła tacę z herbatą i ciasteczkami i dwie filiżanki. Milczenie wydłużało się nieznośnie. Annabel popatrzyła na Chloe, potem znów odwróciła się. Zaciągała się papierosem i spoglądała w ogień.

Chloe usiłowała przełknąć ślinę. Wiedziała, że dopóki nie napije się herbaty, nie będzie w stanie wypowiedzieć dręczących ją myśli. Bolało ją suche gardło. — Kochanie, napijesz się herbaty? — głos Chloe zabrzmiał zbyt radośnie i teatralnie, nowo nabyty amerykański akcent nie pasował do cichego brytyjskiego pokoju.

— Nie, nie chcę herbaty. Chcę usłyszeć, co masz mi do powiedzenia, ciociu. — Nie pasował do niej sarkazm. Prowadziła szczęśliwe życie, pełne śmiechu i radości, nie była przyzwyczajona do problemów.

— Wiem, kochanie, wiem. Wszystko ci wytłumaczę. Tylko muszę się czegoś napić, samolot bardzo wysusza gardło. — Chloe zmusiła się do uśmiechu, drżącą ręką nalewała herbatę.

— Mów, proszę — powiedziała chłodno dziewczyna, znów patrząc w ogień.

— Annabel, musisz wiedzieć, że to niełatwe dla żadnej z nas.

— Boże, jak ja nienawidzę kłamców — popatrzyła na Chloe oskarżające. — Nienawidzę tego, że wszyscy kłamaliście — całe moje życie. Mama, tata i ty — wszyscy kłamaliście. Dlaczego, na miłość boską, nie potrafiłaś powiedzieć mi prawdy albo przynajmniej tego, że jestem nieślubnym dzieckiem, gdy dorosłam na tyle, by móc to zrozumieć? — pytała z goryczą w głosie. Chloe zauważyła, że jej paznokcie były całkiem ogryzione, zaciskała w dłoniach mokrą chusteczkę.

— Chcę wiedzieć, dlaczego mi nie powiedziałaś. Dlaczego? — oskarżała pytając.

— Będę z tobą szczerą — powiedziała Chloe tak spokojnie jak tylko potrafiła.

— Ale wydarzenia, o których ci opowiem, należą do zupełnie innej epoki, o całkowicie innej moralności. To co było moim udziałem, może być dla ciebie trudne do zrozumienia, ale proszę, spróbuj...

Dziewczyna patrzyła na Chloe wyzywająco. — Zamieniam się w słuch! — Znów ten sarkazm. Jej wrogość była barierą, cała była najeżona z wściekłości. Będzie trudniej niż przypuszczałam — pomyślała Chloe.

— Miałam dwadzieścia jeden lat, prawie tyle co ty teraz. Jestem pewna, że choć troszkę potrafisz zrozumieć, jak to było — zaczęła powoli.

— Oczywiście — odparła chłodno Annabel.

— Pierwszy raz w życiu zakochałam się. On był żonaty, mnie to nie obchodziło. Byłam zupełnie zaślepią, po prostu zgłupiałam. Nie mogłam

myśleć o niczym ani nikim innym. Był moją obsesją. Przestała mówić, drżącymi dłońmi zapaliła papierosa.

— Nie pal, proszę. Mama nienawidzi ludzi palących w domu — głos Annabel był lodowaty, wyglądało jakby w jej twarzy było jeszcze więcej nienawiści do matki. Chloe zaczęła protestować, że ona sama właśnie przed chwilą paliła, ale zamilkła. Nie po to tu przyjechała. Przełknęła ślinę. Mięśnie nogi kurczyły się gwałtownie, nasilił się też tik w oku. Musi powiedzieć jej wszystko. Annabel jest jej dzieckiem. Nawet gdyby oznaczało to koniec ich przyjaźni, powie jej o wszystkim. Szczerze, jakając się czasem, opowiedziała o gorzko-słodkim romansie z Mattem. O swych zranionych uczuciach, gdy zaproponował aborcję. O bólu, gdy ją odrzucił. — Nie mogłam zniszczyć tej cząstki, którą oboje stworzyliśmy. Po prostu nie mogłam, była zbyt cenna. Jeśli był kiedykolwiek „owoc miłości”, to jesteś nim ty, kochanie. — Annabel nie odpowiedziała, ale przynajmniej odwróciła głowę od ognia i patrzyła na Chloe.

— To były inne czasy. Świat dopiero wychodził z moralizujących lat pięćdziesiątych. Trudno uwierzyć, ale to były lata przed rewolucją seksualną. Wtedy śliczne dziewczyny nie uprawiały seksu, nie miały kochanków. Ja należałam do świata show businessu, gdzie ludzie mieli inną moralność, więc takie podejście nigdy nas nie dotyczyło. Gdy zaszłam w ciążę, Matt mnie opuścił. Nie wiedziałam, co robić. Byłam na skraju obłąkania. Na życie umiałam zarabiać tylko śpiewaniem. Musiałam utrzymywać się sama, bo ojciec już nie żył, a matka, pracując w sklepie, niewiele zarabiała.

— Rozumiem — oczy Annabel były nadal zimne. Wypiła łyk herbaty, którą naląła jej Chloe. — Mów dalej.

— Chciałam cię mieć, Annabel. Tak bardzo chciałam mieć dziecko. Nie potrafiłam zrobić tego, co robiły moje niektóre przyjaciółki, gdy zaszły w ciążę. Szły do jakiegoś rzeźnika przy bocznej uliczce i pozbywały się kłopotu. Ja nie mogłam. Pragnęłam cię, Annabel. Czy możesz to zrozumieć?

Annabel nie odpowiedziała. Chloe mówiła dalej, starając się trzymać faktów. Usiłowała nie dać ponieść się emocjom i powstrzymać łzy.

— Nie miałam wątpliwości, Annabel, że nie mogę zniszczyć tego życia. Twojego życia. Wiedziałam, że nieślubne dziecko w tamtym czasie zrujnuje te małe szanse kariery, jakie miałam, i że dziecko będzie rosło z piętnem „nieślubnego”. Wtedy to bardzo potępiano. Wychowywanie ciebie byłoby zupełnym koszmarem. I tak trudno mi było być samotną młodą dziewczyną włóczącą się po nocnych klubach całej Brytanii. Jazda autobusami i na ciężarówkach, wystawanie godzinami na stacjach, często o północy, włóczenie się od Wigan do Sunderland czy Skegness — jak w takich warunkach mogłam wychowywać dziecko? Zarabiałam śpiewając. Gdybym cię zatrzymała, musiałabym to rzucić. Możesz to zrozumieć?

Oczy Chloe zaszły łzami, ale wyraz twarzy Annabel nie był łagodniejszy.

— Jakkolwiek byś się tłumaczyła, najdroższa mamusiu, nic nie zmienia faktu, że mnie nie chciałaś, że w twoim życiu nie było dla mnie miejsca.

Porzuciłaś mnie. Nie obchodziło cię to. Nie miałaś odwagi powiedzieć mi prawdy, gdy była na to pora. Musiałaś czekać, aż jakaś nic niewarta gazeta wyciągnęła to na światło dzienne. I nie pleć bzdur, że tak bardzo mnie kochałaś. Nigdy mnie nie kochałaś, nigdy cię nie obchodziłam. Dla ciebie ważna była tylko twoja cholerna kariera. Światła rampy błyszcząły dla ciebie! Wyglądała jakby miała zamiar się rozplakać; cała wrogość i złość ostatnich trzech dni wypłynęła we wścieklej tyradzie, jaką wygłosiła do matki.

— Jaka kobietą jesteś? — krzyczała. — Samolubną, bezmyślną! Skacząc do łóżka, nie pomyślałaś, co może się stać. I to do łóżka żonatego mężczyzny — dodała z obrzydzeniem. — To obrzydliwe! Tak, wiem co nieco o rewolucji seksualnej lat sześćdziesiątych. Kobiety uważały, że mogą się pieprzyć jak mężczyźni. My teraz nie jesteśmy tacy — powiedziała oskarżające — Dziś młoda kobieta myśli zanim wskoczy do łóżka. Usiłujemy być odpowiedzialne, bierzemy środki zapobiegawcze. Nie jesteśmy swobodnymi dziwkami, które przypiliło! — podnosiła głowę jak w ewangelicznej furii. Należała do nowej generacji seksualnie wykształconych kobiet — pokolenia czasu AIDS: popatrz zanim przytulisz się radośnie, nie przytulaj się, jeśli nie wiesz czy to bezpieczne.

— Annabel, nie byłam taka swobodna, więc przestań. Nie mów tak! — Nagle Chloe wściekła się. — Mam tego dość!

Annabel popatrzyła zdumiona na zmianę nastroju matki.

— Przestań mnie tak osądzać. Napadasz na mnie, mówisz jaka byłam okropna, obrzydliwa. Teraz na to za późno. Powinniśmy zrozumieć się wzajemnie, zaakceptować przeszłość.

Zapaliła papierosa pomimo zakazu Susan i mówiła dalej, już spokojniejsza: — Nie mam zamiaru usprawiedliwiać swego, jak to powiedziałaś, „porzucenia” cię i oddania na wychowanie mojemu bratu i Susan. Nie chcę i nie będę się już usprawiedliwiać. Zrobiłam to, co musiałam zrobić. Nadal uważam, że to było dla ciebie najlepsze rozwiązanie. Ty możesz myśleć, co chcesz. Miałaś bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Uwielbiali cię, jakbyś była ich własnym dzieckiem. Uważają cię za swe dziecko — nie rozumiesz tego?

Zielone oczy Annabel były nieprzeniknione, ale Chloe zobaczyła w nich iskierkę zrozumienia.

— Przebyłam dziś sześć tysięcy mil, by powiedzieć ci prawdę. Tak, to bolesne, straszne i nie w porządku. Wiem, że ostatnie dni były dla ciebie trudne, mnie też nie było łatwo. Ale pomyśl o tym — położyła obie dłonie na ramionach dziecka, czuła jak trzęsie się pod cienkim żółtym sweterkiem — mogłam usunąć ciążę.

Annabel wzdrygnęła się i odsunęła ze złością. — Dziękuję za to. Pewnie powinnam być wdzięczna, bo chyba nie zrobiłaś tego z tchórzostwa.

— Do cholery, Annabel, przestań tak mówić! — wybuchła Chloe. — Kocham cię, zawsze cię kochałam. Nie było takiej nocy, żebym poszła spać nie myśląc o tobie. Ale chciałam sukcesu. Chciałam być piosenkarką. To było moje życie. Gdybym się do ciebie przyznała, żyłabym ze świadomością skandalu z powodu

posiadania nieślubnego dziecka. A to oznaczałoby koniec kariery. Miałabym ciebie, tak, ale musiałabym porzucić swe marzenia, moje życie.

— Rozumiem marzenia — powiedziała spokojnie Annabel. W jej głosie nie było cienia sarkazmu. — Dla nich warto żyć.

— Chciałabym, żebyś pamiętała, że to był mój wybór — Chloe uspokoiła się.

— Susan i Richard byli wspaniałymi rodzicami dla swoich dzieci, powitali ciebie jak jedno z nich. Wiedziałam, że będziesz w domu pełnym miłości.

Oddana rodzina, bracia i siostry, stabilne szczęśliwe życie. Podjęłam decyzję — myślałam o niej każdego dnia mojego życia!

Przestała mówić. Wspomnienia były tak bolesne. Matt odrzucający ją i ich dziecko, koszmar bezsennych nocy, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, rozmowy z Susan i Richardem, ciągle łzy, usiłowanie skontaktowania się z Mattem, on mówiący, że nie chce jej już widzieć. Była dorosłą kobietą.

Wiedziała, co robiła. To był jej problem, tylko jej. On nie zrobił niczego.

Uważał, że nie ma z tym nic wspólnego. Chloe musiała poradzić sobie sama.

Annabel oparła ciemną głowę na oparciu zielonej kanapy, ugryzła herbatnika, patrzyła na Chloe. Nadal była zła, ale jej wściekłość i niepokój łagodziło zrozumienie.

— O czym myślisz, Annabel? — ciepło spytała Chloe.

— O powiedzonku, którego używają dzieciaki w college'u — na słodkiej twarzy zagościł uśmiech. — „Życie to dziwka, a potem umierasz”. — Chloe uśmiechnęła się nieśmiało. Och, jak bardzo chciała, by Annabel zrozumiała i zaakceptowała to, co się stało. Chciała ją uspokoić, wytrzeć nie uronione łzy z tych pochmurnych oczu. Pamiętała, jak trzymała ją w szpitalu, gdy pielęgniarka po raz pierwszy podała małą w jej ramiona.

Pamiętała śmieszoną pomarszczoną twarzyczkę i ciepło maleńkiego ciała.

Pamiętała, jak bardzo pragnęła zatrzymać przy sobie niemowlę. Całymi godzinami tuliła małą w ponurym szpitalnym pokoju. Annabel rzadko płakała. Czasem, gdy budziła się, patrzyła na Chloe takimi mądrymi oczkami. Chloe kochała ją najszczerszą miłością, jaką może czuć tylko matka. Teraz patrzyła w niespokojne oczy Annabel. Bardzo chciała znów ją objąć, gładzić jej włosy, powiedzieć jak bardzo ją kocha. Nie czas na to. Jeszcze nie teraz. Może jutro... Może za tydzień... Może, Boże uchwaj, to nigdy nie nastąpi, może Annabel nigdy jej nie przebaczy. Chloe powiedziała, co miała do powiedzenia, zrobiła co mogła. Teraz wszystko zależy od jej córki.

— Panie i panowie — zaczęła Chloe. To była prawdopodobnie najtrudniejsza publiczność, z jaką miała się spotkać. Nie — pomyślała — rozmowa z Annabel była jeszcze gorsza. Baterię mikrofonów i kamer ustawiono na wprost podium. Miała mokre dłonie, pot ciekł jej po plecach. Z przerażeniem patrzyła na morze wrogich twarzy pragnących konfrontacji. Boże, musiało tu ich być ze stu! Może to odwołać? Wiele jednak zależało od tej konferencji.

Najważniejsze były uczucia jej córki, ale opinia publiczna dotycząca jej samej

też jest ważna. Uważali ją za dziwkę wyzutą z ludzkich uczuć — miała tego dość.

Kątem oka obserwowała Annabel, posyłającą jej promienny uśmiech. Kciukiem uniesionym do góry pokazywała, że wszystko będzie dobrze. Zaczęła.

— Dwadzieścia jeden lat temu... nagle — o, mój Boże, kto to? W tłumie dziennikarzy rozpoznała tę twarz. To nie może być... nie! Odetchnęła głęboko i popatrzyła na niego. Gapił się na nią z tym uwodzicielsko-seksownym uśmiechem, któremu dwadzieścia jeden lat temu nie potrafiła się oprzeć. Matt Sullivan! Jej samolubny, seksowny, zajęty tylko swoimi sprawami kochanek, ojciec Annabel. Jej pierwsza miłość. Zaszokowana Chloe nie mogła się poruszyć. Czarne oczy, nadal niezwykle błyszczące, przyglądały się jej ciekawie, jakby nie istnieli ludzie wokół nich. Nadal wydzielał seksualne fluidy, zadziwiające jak na mężczyznę w jego wieku. Musi być powyżej sześćdziesiątki — pomyślała. Prawie wyłysiał, ale miał w sobie coś, co nadal czyniło go atrakcyjnym. Do dolnej wargi jak zwykle przyklejony był papieros, a w ręku... co ma w ręku? Notes! Jak może?! Robi notatki — oczywiście nadal jest reporterem. Wyraźnie nie zrobił kariery i nie został wydawcą jednego z tych szmatławców. Nadal był zwykłym dziennikarzyną, konkurującym z dwudziestopięciolatkami. Współczuła mu. Dla jakiej gazety teraz pracuje? Usiłowała zebrać myśli i powiedzieć to, co miała do powiedzenia. On musiał wiedzieć, że Annabel jest ich dzieckiem. Dzieckiem ich miłości. To okropne. Ostatnim razem, gdy się spotkali, dwadzieścia jeden lat temu, powiedział, by o nim zapomniała. Jak może być tu teraz?

Przełknęła ślinę i przeniosła wzrok na innych dziennikarzy.

— Dwadzieścia jeden lat temu byłam bardzo naiwna — zaczęła nieśmiało. — Rozpoczyłam swoją karierę piosenkarską, śpiewanie było moim życiem. Przynajmniej tak uważałam. Pewnego dnia zakochałam się po raz pierwszy... Dziennikarze notowali szybko — och, ale jutro będą nagłówki!

— On był żonatym mężczyzną, znacznie starszym ode mnie. Wiedziałam, że to straszne mieć romans z żonatym mężczyzną, ale zakochałam się — i to bardzo.

Tylko prawda mogła ją uratować. To było trudne, ale nie mogła już przestać.

— Nie pozwól, by te łobuzy przyłapały cię na kłamstwie — ostrzegęła Vanessa zanim Chloe podeszła do mikrofonu.

Opowiedziała całą historię — od początku do końca. Zauważyła, że słuchali jej uważnie. Gdy skończyła, niektóre wrażliwe siostrzyczki z Fleet Street miały prawie łzy w oczach. Jean Rook posłał jej współczujący uśmiech.

— Wielu z was będzie uważało, że zgrzeszyłam, ale mój grzech był spowodowany miłością do nie narodzonego dziecka. Później uświadomiłam sobie, że gdyby Annabel dowiedziała się prawdy, byłoby to dla niej okropne. Nie chciałam jej matwić. Miała normalną rodzinę, kochali ją bracia i siostry. Utrzymywałam wszystko w tajemnicy dla dobra i szczęścia mojej córki, a nie dla własnej korzyści. Mam nadzieję, że mi wierzycie.

Wyglądało na to, że wierzą. Ale najpierw musieli zadać swe wścibskie pytania. Jak się czuła, gdy stwierdziła, że jest w ciąży? Czy czuła się winna, mając romans z żonatym mężczyzną? I wreszcie... kto to jest? Kim jest mężczyzna, którego tak namiętnie kochała Chloe Carriere? Jak się nazywa? Gdzie teraz przebywa? Byli tego bardzo ciekawi — koniecznie chcieli wiedzieć. Wiedziała, że jeśli nie skłamię, reporterzy będą dalej węszyć. Nie tak trudne znaleźć jakiegoś barmana, jednego z jej przyjaciół muzyków, czy kogoś, kto ich widywał w Liverpoolu, Manchesterze czy Newcastle. Skłamała więc: — On nie żyje. Zginął w wypadku samochodowym w Marbella, zanim urodziło się dziecko. Wyglądali na usatysfakcjonowanych odpowiedzią, choć Annabel była smutna.

— A teraz, panowie i panie — jej głos drżał z emocji — chciałabym, byście poznali moją córkę. — Annabel dołączyła do matki stojącej na podium. Prasa szalała. Były do siebie bardzo podobne. Ten sam chód, te same kości policzkowe, oczy, ciemne włosy. Przez pięć minut pozowały do zdjęć. Później Chloe odpowiadała na pytania grupy pisarek z konserwatywnych tygodników dla kobiet. Nagle poczuła klepnięcie w ramię. — Dzielna dziewczyna! Jestem z ciebie dumny, Chlo — Matt mówił do niej tak, jakby widzieli się wczoraj, a nie dwadzieścia jeden lat temu.

Popatrzyła na niego długo i surowo. Dziwne — choć teraz był prawie stary, uczucia, które w niej wzbudzał, nadal w niej kołatały. — Dziękuję, Matt — szepnęła. Wspomnienia wróciły jak fala.

— Ona jest śliczna — zupełnie jak jej mama. Mrugnął, odciągnął ją na bok, pocałował w policzek i szeptał:

— Kocham cię, Chlo. Nie wiedziałem tego wtedy. Byłem za młody, zbyt ambitny, pewnie zbyt samolubny.

Zbyt często pijany — pomyślała Chloe bez złośliwości.

— Myślę, że nie kochałeś mnie. Nigdy tego nie powiedziałaś. Proszę, nie mów teraz. Wiem, że to nieprawda.

— Cóż, ty byłaś jeszcze dzieckiem, a ja byłem żonaty. Nadal jestem — żartował. — Jestem już dziadkiem. Możesz w to uwierzyć? Jestem dziadkiem! Wierzyła. Był już stary. Mimo to jej serce zastanawiało się — dlaczego mnie porzucił, gdy tak bardzo go kochałam?

Całymi latami myślała o nim. Nigdy nie wyrzuciła go z pamięci — dopóki nie spotkała Josha.

— Chciałbym się z tobą spotkać — jego szept był natarczywy. — Ja też chciałbym poznać. Spędzić z wami trochę czasu.

— Nie, Matt. Nie. — Tym razem to ona musi go odrzucić. Pamiętała te tysiące telefonów do jego biura. Sekretarka mówiła, że wyszedł na lunch, że go nie ma, nie można go znaleźć — wszystkie te zwykłe kłamstwa sekretarek. Nie chodziło o słodką zemstę, to nie było w stylu Chloe, ale ujrzenie go ponownie zamknęło tamten rozdział jej życia na zawsze. — Żegnaj, Matt — szepnęła. — Trzymaj się.

— Do zobaczenia, kochanie, i... powodzenia. Patrzyła jak odchodzi. Zdumiona dostrzegła, że płakał. Po miesiącu zapomniano o całym incydencie. Książę Charles i księżniczka Diana ogłosili, że znów spodziewają się dziecka.

Zdjęcia próbne Emeraldy wypadły dobrze. Postarała się zagrać jak przystało na dobrą aktorkę i udało się. Ekipa zdjęciowa biła brawo, gdy skończyli nagranie. Pojechała prosto do mieszkania w Century City, zmyła makijaż, zapowiedziała służbie, by łączono do niej telefon tylko wtedy, gdy zadzwoni Eddie Barker, i zaczęła pić.

Postanowiła, że jeśli nie dostanie tej roli, zapije się na śmierć. Po co dalej żyć? Nie będzie mogła cieszyć się życiem na odpowiednim poziomie. Sprzedała wszystkie wartościowe klejnoty oprócz jednego naszyjnika, który nosiła razem z postrzępionym białym szlafrokem frotte. Trzy dni spędziła w łóżku, bezmyślnie zmieniając kanały telewizyjne i pijąc wódkę prosto z butelki. Nic nie mówiła, nie płakała, nie myślała o niczym. Była w stanie zawieszenia, czekała na pogrążenie się na zawsze w rozpacz albo na wyniesienie na nowe szczyty sławy.

Telefon zadzwonił w środę rano.

— Cześć, Ed. Co słychać? — potrafiła mówić tak, że nie było słychać, iż jest pijana. Słowa nie zlewały się w bełkot.

— Masz rolę, dziecinko — powiedział podniecony.

— Bóg jeden wie, ile masz szczęścia po tym, jak zrobiłaś z siebie pośmiewisko. Ale Hogarth uwielbia cię. Musiał prawie stanąć na głowie, by przekonać się telewizyjną.

— Dlaczego? Nadal jestem wielką gwiazdą.

— Emerald, prawda jest taka, że grasz już za długo. Wie o tym sieć, wie studio, nawet widownia wie.

— W Europie jestem bardzo popularna — dodała dumnie. — Zaczepiają mnie, gdy idę Via Condotti.

— Zaczepiają i inne, moja droga. I co z tego? Posłuchaj Emerald, Europa ma maleńką widownię, a szczerze mówiąc nie widzę by Zeffirelli pukał do twoich drzwi — nawet jeśli jesteś popularna na Via Condotti.

— Nie zapukałby — chichotała — on nie lubi dziewczyn.

— Nie jesteś już dziewczyną, mała. Musisz to sobie uświadomić, Emerald. Bez względu na to, ilu młodzieniaszków zwabisz do łóżka, jesteś kobietą w średnim wieku, która gwałtownie traci atrakcyjność — na i poza ekranem.

— Nie musisz tego tak podkreślać, Eddie — jęknęła.

— Wiesz, że nadal mogę dobrze wyglądać! — Rozumiała jego ostrzeżenia. To była jej ostatnia szansa.

— Masz przymiarkę kostiumów w następny wtorek o jedenastej. Nie spóźnij się, głuptasie, choć raz się nie spóźnij. Zdjęcia zaczynają się za tydzień. Masz szczęście, Emerald — dodał łagodniej. — Nie spieprz wszystkiego!

Wiedziała, że miał rację. W czasie następnych dni przestała pić, jadła pieczonego indyka, straciła cztery kilogramy, ufarbowała siwe odrosty przywracając włosom dawną wspaniałość. We wtorek rano punktualnie stawiała się w garderobie, prawie jak nowo narodzona.
— Nikt oprócz mnie — mówiła do siebie — nie potrafiłby tego dokonać.

Część szósta

24

Josh ziewnął, przeciągnął się, rozprostował ramiona. — Hej, uważaj — mała rudowłosa dziewczyna mruknęła przez sen.

Hippodrome w Manchesterze nie był Broadwayem w Las Vegas, gdzie kiedyś tak dobrze mu szło. Show business jest brutalny, wiedzą o tym wszyscy, którzy wybrali tę profesję. Podstawowa zasada: nikt się nikim nie przejmuje. Podlizują się, gdy idziesz w górę; jesteś obojętny, gdy spadasz w dół. Josh spadał i wiedział o tym. Czuł do siebie obrzydzenie i litość.

Po omacku szukał przyborów, by przygotować pierwszą ranną działkę. Pod łyżeczką zapalił zapałkę, patrzył jak biały proszek zamienia się w brązowy syrop. Gdy narkotyk zadziałał, przyjrzał się małej dziewczynie u swego boku. Chryste, ona była naprawdę młoda. Podniósł koldrę. Nie miała więcej niż czternaście—piętnaście lat. Lubił dziewczęta w pełnym rozkwicie, tuż po dojrzewaniu, gdy stawały się młodymi kobietami — najlepiej szesnasto-siedemnastolatki. Raz miał tyle szczęścia, że trafiły mu się szesnastoletnie bliźniaczki. Nie umiały się nim zająć, nie tak, jak to małe stworzenie, które leżało nie narzekając, podczas gdy on usiłował rozognić ich oboje. Nie udało mu się. Może się starzeje? Ale przecież czterdziestka to nie starość. Tom Jones, Julio Iglesias i Mick Jagger, idol nastolatek, dobiegali czterdziestki. Już nie mówiąc o McCartneyu, Rodzie Stewardzie czy Davidzie Bowie.

Czterdziestka to jeszcze nie koniec — a może dla niego już?

— Cześć — powiedziało małeństwo. Boże, może nie miała nawet czternastu lat? Pośpiesznie wyskoczyła z łóżka mając nadzieję, że nie będzie znów chciał tego robić. Wczorajszej nocy był taki nudny.

— Dlaczego to zrobiłam? — zastanawiała się. — W jego wieku mógłby być moim ojcem. Nie, pewnie dziadkiem. Jej tata miał trzydzieści dwa lata — Josh musiał mieć z pięćdziesiąt. Ubrała się szybko, powtarzając sobie historyjkę, jaką opowie przyjaciółkom. Joshua Brown, wielki podrywacz, wielki gwiazdor. Ulubiony piosenkarz jej mamy. Wyrosła przy dźwiękach jego ballad dobiegających ze stereo mamusi. Ona uwielbiała go. Opowiadała o nim całymi godzinami. — Nudny stary pierdziel — pomyślała. Nie zna się na pieprzeniu. Z trudem mu stawał. Wujek Fred jest znacznie lepszy. Włożyła czarne koronkowe rajstopy, skarpetki z zielonego lureksu i uciekła mrużąc pod nosem, że spóźni się do szkoły.

Josh poczuł ulgę. Teraz musi wziąć się w garść. Spotkanie z dziennikarzami, potem próba, rozmowa o recenzjach. O Boże, recenzje! Nieśpieszno mu było do tego. W czasie finałowej ballady wczorajszego wieczora widział tłum podążający ku drzwiom wyjściowym. Kurtyna podniosła się po występie zaledwie dwa razy.

Ostatniej nocy po występie dziennikarz z jakiejś podrzędnej gazety chciał z nim koniecznie porozmawiać. Josh, świadom potęgi prasy, zawsze miał czas dla dziennikarzy. Potrzebował ich teraz, jeśli show miał odnieść sukces. Przez pełne cztery minuty Josh roztaczał swój urok, zanim ten gad zadał pytanie, którego tak się obawiał.

— Jaka jest naprawdę Chloe?

Josh udawał głuchego. Dziennikarz zadał następne pytanie.

— Byliście małżeństwem ponad dziesięć lat — czy ona jest naprawdę podobna do Mirandy?

Chloe. Ta kobieta rujnowała jego życie swym przeklętym serialem telewizyjnym i sławą zdobytą po czterdziestce. Pieprzona Joanna d'Arc. Sądzi, że jest teraz wziętą aktorką. Pokazuje swe ciało w magazynach, stara się dowieść, że kobieta po czterdziestce może być równie seksowna jak dwudziestolatka. Gównu prawda. Skąd może wiedzieć? Przecież nie jest mężczyzną. Młode prężne ciało — to najbardziej interesuje mężczyznę. Mylą się te wszystkie feministki mówiąc: — Popatrzcie na nas, jesteśmy po czterdziestce, a czyż nie jesteśmy wspaniałe? Na miłość boską, czy one nie wiedzą, czy nie rozumie tego Chloe, że czterdzieści lat to już starość? Wciskają się teraz wszędzie te twarde baby ze swymi dietami, ćwiczeniami gimnastycznymi, rekordami. Pieprzona Tina Turner, Jane Fonda, a teraz Chloe. Nawet wczoraj była na pierwszej stronie „Daily Mirror” z uwodzicielskim Luisem Mendoza. Żarliwi kochankowie Sagi — krzyczał nagłówek. Artykuł opowiadał, jak nagrywają pełne namiętności sceny z filmu. Od czasu Petruchia poskramiającego Katharine nikt nie pokazał pary kochanków tak bardzo podobającej się publiczności — zachwalał artykuł. Luis Mendoza jest najbardziej seksownym, elektryzującym widzów aktorem telewizyjnym od czasów Toma Sellecka. Przedsiębiorstwa telewizyjne już ustawiają się w kolejce, oferując mu kontrakty. Dzięki „Sadze” cała Ameryka jest u jego stóp.

Josh uśmiechnął się gorzko, usiłował ukryć zazdrość. — Och, Chloe... Tak...

Wspaniała dziewczyna. Zasługiwała na sukces. Naprawdę zasługiwała.

Cieszę się, że go osiągnęła.

Gównu prawda. Słowa utknęły mu w gardle, przeprosił dziennikarza mówiąc, że idzie do toalety. Poszedł zaciągnąć się koka.

Sally popatrzyła za nim zmartwiona. Był tak bardzo blady. Występ nie był dobry. Widziała znudzone twarze publiczności oglądającej „Prywatne życie Napoleona i Josephiny”. Biedny tatuś. Usiłowała rozweselić go w sposób, jaki uwielbiał — rozejrzała się dookoła i spostrzegła małą rudowłosą nastolatkę

patrzącą z podziwem na miejsce, które przed chwilą zajmował jej ojciec. Podeszła do niej.

— Chciałabyś się z nim spotkać? — spytała od niechcienia.

— Och, nie, to niemożliwe — zapiszczała mała.

Odetchnął, gdy dziewczyna poszła sobie. Poczul się lepiej, kokaina zaczynała działać. Ubrał się i wyszedł na spotkanie z dziennikarką w hotelu Metropol. Stara jędba, niewidzialny jad kapał z jej czerwonego długopisu, udawała radosne zainteresowanie Joshem. Znów zadawała pytania dotyczące Chloe. Wytrenowane odpowiedzi łatwo padały z jego ust. Czy nigdy nie przestaną o nią pytać?

— Telefon, tato — Sally pociągnęła go za łokieć. Jędba wyglądała na usatysfakcjonowaną. Dostała swoją porcję bajek. Sama dopisze resztę. Zawsze to robiła. To dlatego nazywano ją drapieżną rybą z Fleet Street. Przygotowując się do spotkania z Joshem, już zdążyła napisać artykuł o nim. Zatytułowała go „Spadająca gwiazda”.

Kiedyś był supergwiazdorem w Ameryce i na świecie. Dziś z trudem zarabia na życie występami w podmiejskich teatrzykach Wielkiej Brytanii. Joshua Brown, kiedyś idol milionów, dziś jet załamany człowiekiem pełnym nie spełnionych snów. Jego piękna ex-żona, Chloe Carriere, stała się jedną z największych gwiazd amerykańskiej telewizji, podczas gdy Josh ledwie wiąże koniec z końcem, występując w musicalach pośledniego gatunku. I dalej w tym stylu. Czytelnicy kochali takie sensacje. Uwielbiali historyjki o biedakach i bogaczach, a najbardziej o tym, jak biedni stają się bogaczami, a potem znów tracą wszystko. Josh spełniał ich oczekiwania. Narkotyki, alkohol, wyrok więzienia, awantury pijackie, przygody z młodymi dziewczynami— to wszystko zwiększa nakład gazety. Czytelnicy chcieliby zobaczyć, jak stacza się na dno.

Drapieżna jędba miała wspaniałą komplet zdjęć ilustrujących artykuł. Na fotografii z 1965 roku Josh pokazywał białe zęby w uśmiechu, w błyszczących satynowych spodniach stał w pozie akrobata, trzymał mikrofon tak, jakby był jego penisem, patrzył najbardziej seksownym i dzikim wzrokiem. I ostatnie zdjęcie — Josh odziany w płaszcz i szalik, blada twarz, siwiejące włosy, okulary i podejrzliwe spojrzenie przez ramię. U jego boku dziewczyna tak młoda, że mogłaby być jego córką. Przedtem i teraz. Tak przemija sława. Poczytajcie sobie!

Do tego ładne zdjęcia Chloe. Z 1962 roku — olbrzymie niewinne oczy, czarne włosy i ładnie przycięta grzywka, prosta minispódniczka i podkolanówki. I współczesne— w obcisłej sukni Rudolpho z białym lisem i diamentami, w uwodzicielskiej pozie na satynowym szelngu. Umalowana, zadowolona z siebie, świadoma, że odniosła sukces. Wspaniale. Jędba zachichotała. Nigdy nie lubiła Josha. Zawsze był zarozumiały.

Chloe przeczytała artykuł o Joshu tydzień później. Współczuła mu. Dlaczego doprowadził się do takiego upadku? Miał przecież wszystko. Gdyby znalazł sobie odpowiedniego agenta, poszedł do psychoterapeuty, rzucił narkotyki i

lalnieniu, a naprawdę skoncentrował się na pracy i muzyce, mógłby osiągnąć wszystko.

Westchnęła i poparzyła na Philippe, leżącego obok niej w pościeli koloru bzu. Oglądał MTV, swoją ulubioną stację telewizyjną. Chloe uważała, że to dziwne, by czterdziestoletni mężczyzna tak uwielbiał Madonnę i Michaela Jacksona. Ale on, jeśli nie zajmował się jej finansami albo pisaniem artykułu do „Paris Match”, całymi dniami glądał telewizję.

Philippe był zawsze w domu. Po przeczytaniu artykułu o Joshu znów nalegał, by się z nim rozwiodła.

— Kiedy wreszcie podpiszesz dokumenty rozwodowe, cherie? — pytał, wspaniale masując jej ramiona. Dlaczego tego nie zrobisz? Moglibyśmy się pobrać. Pozbądź się go, najwyższy czas.

Znów zaczyna — pomyślała Chloe.

Mieszkali razem od roku a on ciągle nalegał, by się pobrali. Niezwykle jak na mężczyznę. Uwielbiała go, ale nie miała ochoty na następne małżeństwo. Nigdy nie przestała myśleć o Joshu.

Po raz kolejny, bardzo taktownie, wyjaśniła, dlaczego nie chce małżeństwa.

Nie ułagodziło go to, przez resztę dnia był w bardzo złym humorze.

Chloe jechała do studia usiłując nie myśleć o kłopotach Josha i wściekłym Philippe. Z samochodu zadzwoniła do Jaspera. — Co postanowiono? — spytała. — Czy przyznano mi podwyżkę na następny sezon? Kręcimy już ostatni odcinek. Zostało tylko pięć dni zdjęciowych.

Jasper spotkał się z Abbym w jego biurze. Reputacja Abby'ego jako wielkiego producenta nie tolerującego wszelkiej niesubordynacji aktorów, stała się legendarna. Udawał Pana Zawsze-Wszystko-Rozumiejącego, w rzeczywistości był bezlitosny, gdy ktoś wyłamał się z szeregu. Wielu członków kompanii zwolniono, gdy zażądali podwyżek.

Jasper przekazał niezadowolenie Chloe. Od czterech lat przyczyniała się do sukcesu „Sagi” i jej wysokich notowań. Stała się jedną z najbardziej nienawidzonych i uwielbianych kobiet telewizji, ale nadal otrzymywała wynagrodzenie niższe niż Sam i Sissy. Abby nie chciał słyszeć o podwyżce dla Chloe. Przez zaciśnięte zęby wycedził: — Powiedz jej, że jeśli chce jeszcze grać w tym mieście, to niech lepiej nie mać. Jeśli się nie uspokoi, jeśli będzie sprawiała nam kłopoty, pozbedziemy się jej. Zmienimy scenariusz, skreślając jej rolę. Nikt nas nie będzie szantażował, Jasper! Ani ona, ani nikt inny. Zarabia czterdzieści tysięcy tygodniowo — to chyba wystarczy jak dla byłego słowika z prowincjonalnej Brytanii.

Z uśmiechem rekina dodał: — Powiedz Chloe, że zapraszam ją w przyszły wtorek na obiad w Beverly Hilton. Będą rozdawane nagrody „Mężczyzna Roku”. Ma miejsce zarezerwowane przy moim stole. Byłoby dobrze, żeby tam przyszła.

Rozkaz pana i władcy. Abby potrafił być władcą. Władza była potwierdzeniem jego wartości. Żaden z aktorów, producentów czy reżyserów nie będzie miał

nad nim władzy, on się nie ukorzy. Chloe nigdy nie zapomniała, co zrobił z Pandorą w zeszłym sezonie.

Pandora zbyt wiele razy spóźniała się na plan, za często naigrawała się z „Sagi” i marudziła, że dialogi są kiepskie, a jej kostiumy nie tak kosztowne jak Chloe i Sissy. Całkiem znudziła Abby'ego i Gertrude.

W hotelu Beverly Hills wydano wspaniałe przyjęcie dla uczczenia zakończenia zdjęć do „Sagi”. Wszyscy byli w doskonałych nastrojach. Za nimi dziewięć miesięcy ciężkiej pracy. Przed nimi trzymiesięczna przerwa. Wszyscy będą mogli robić to, co zechcą. Dla ekipy technicznej oznaczało to konieczność podjęcia nowej pracy tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Dla trójki najlepiej opłacanych aktorów — Sama, Sissy i Chloe — oznaczało to, że mogli wybierać wśród wielkiego stosu scenariuszy na biurkach agentów, lub zrobić sobie dłuższy urlop. Przyszłość innych aktorów zależała od ulitowania się jakiegokolwiek producenta lub sieci telewizyjnej.

Po obiedzie i wesołych pogawędkach, po dwudziestu minutach żartów i ogólnej wesołości Gertrude i Abby weszli na podium i zapraszali po kolei wszystkich aktorów. Każdy powiedział kilka słów.

Najpierw Sam, najstarszy członek zespołu. Mówił niezłe, ale zaczynał wyglądać staro bez grubego pomarańczowego makijażu. Vanessa szepnęła do Chloe: — Schudł tak bardzo, że zęby wyglądają jakby za duże w jego ustach. Potem na podium wpadła Sissy, chuda jak szczapa, prawie przezroczysta, w sukience z szarej tafty, bez ramiączek i z obojczykami sterczącymi jak skrzydła kurczaka.

Następnie przyszła kolej na Chloe, wyglądającą nie najlepiej po jeszcze jednej awanturze z Philippe.

Wreszcie Abby zwrócił się do Pandory:

— A teraz posłuchamy ślicznej kobiety i utalentowanej aktorki, która niestety nie będzie już grała dla nas w przyszłym sezonie. Proszę o oklaski dla pani Pandory King.

Krew stężała w żyłach Pandory. „Nie będzie już grała dla nas w przyszłym sezonie”? Nie mogą! Nie zrobią tego! Nie teraz, gdy odrzuciła ofertę studia Disneya. Od kilku miesięcy podejrzewała, że jej dni w „Sadze” są policzone. To normalne postępowanie w telewizji. Listy od widzów były coraz rzadsze. Im mniej listów dostawała, tym mniej tekstu miała do nauczenia się. Była realistką i czuła się podniecona myśląc o serialu Disneya — byłby odmianą w jej życiu. Jednak po rozmowach z Abbym jej agent powiedział, że definitywnie wraca na plan „Sagi” w przyszłym sezonie oraz, że dostanie dużą podwyżkę. Abby zapewnił go, że wszyscy ją uwielbiają. Nie powinna wierzyć ani słowu. Teraz Disney zwrócił się do innej aktorki, a ten skurwiel wyrzuca ją na oczach wszystkich. Przełknęła dumę i weszła na podium, by powiedzieć kilka słów, które starannie przygotowała, a które teraz były tak okropnie niewłaściwe.

Chloe ścisnęła jej ramię z sympatią: stały obok siebie na podium. To mogło przytrafić się każdej z nich. W głębi duszy reszta obsady wzdychała z ulgą, że

przynajmniej w tym sezonie udało im się uniknąć pętli kata. W czasie nagrywania trzydziestu odcinków trzeciego sezonu Chloe usiłowała zachować spokój. Nie martwiła się, gdy gościnnie występujące gwiazdy, często już gasnące, otrzymywały dwukrotnie wyższe wynagrodzenie.

— To moja wina, że od początku zgodziłam sprzedać się tak tanio! — powiedziała do Vanessy. Właśnie grała w scenie ze „sławnym nazwiskiem”, który spieprzył dialog piętnaście razy pod rząd, a dostawał sześćdziesiąt tysięcy za odcinek.

Na dwa dni przed zakończeniem zdjęć Chloe dostała wiadomość od Jaspera, że jej prośba o podwyżkę została znów odrzucona. Postanowiła zrobić przerwę w grze zanim zacznie się następny sezon. Poinformowała Jaspera, że przestanie grać w filmie.

— Naprawdę to zrobię, Jasper. Wyjeżdżam na południe Francji i nie wrócę, dopóki nie zmienią zdania.

Nie zmienili.

Choć sieć chciała, by Chloe pozostała w filmie, Abby i Gertrude byli nieugięci. Żadnej podwyżki. W ich oczach popełniła kardynalny błąd. Obwieścili, że Chloe usiłowała ich szantażować. Ludzie, którzy skakali sobie do gardła dla filmu, którzy kłamali, oszukiwali, manipulowali — teraz stanęli po stronie Chloe. W czasie przerwy w kręceniu, którą skrócono z trzech miesięcy do sześciu tygodni, bo sieć chciała, by „Saga” wróciła pod koniec października na ekran, Jasper usiłował wynegocjować kompromis z Abbym i Gertrude.

Bezskutecznie.

Pozbyli się jej. Zmienili pierwszy odcinek. Jej dialogi rozdzielili pomiędzy innych aktorów.

Wściekłość ogarnęła Chloe, gdy dotarł do niej telegram: Producenci „Sagi” sieci telewizyjnej MCPC i BBC niniejszym zawiadamiają Chloe Carriere, że wygasa jej kontrakt w telewizyjnym serialu „Saga”. Podpisano—Abby Arafat, prezes MCPC.

Leżała obok basenu, wygrzewając się w śródziemnomorskim słońcu, gdy Philippe podał jej telegram.

— Jak mogli zrobić to „Sadze”, nawet jeśli już nie zależy im na mnie? — zapytała zdumiona.

— To dla nich samobójstwo — zgodził się Philippe.

— Wszyscy wiedzą, jak popularną postacią jest Miranda i ty. To dla ciebie oglądają te cholerne głupoty.

Była czwarta po południu w Cote d'Azur. W Los Angeles jest siódma rano — pomyślała Chloe. Aktorzy śpieszą się, by skończyć makijaż, ułożyć włosy, iść na próbę. Sissy zakłada perukę, łyka witaminy i napój proteinowy. Sam odpoczywa. Młodszy aktorzy plotkują w charakterystycznych.

Chloe ogarnęła melancholia. Widok z domu na Morze Śródziemne był piękniejszy niż jakikolwiek w Beverly Hills czy Malibu, ale myśl, że zaprzepaściła z takim trudem osiągniętą karierę, zasmucała ją bardzo.

— Chcesz drinka? — spytał Philippe. Pokiwała głową. Podeszedł do bambusowego barku, nalał cassisa i Dom Perignon, dodał lodu, przyniósł jej wysoką szklanke.

— Prosiłam tylko o to, na co zasługuję. O nic więcej.

— Wiem, chérie.

— Oni wszyscy uważają, że naprawdę jestem dziwka— powiedziała gorzko. Przyglądała się turkusowym falom i rozebranych ludziom paradującym po plaży. Młodzi i starzy, o ślicznych i brzydkich ciałach — to nie miało znaczenia na francuskiej Rivierze. Nikt się tym nie przejmował.

Nagle zadzwonił telefon. — Chloe, musisz wrócić na nagranie drugiego odcinka albo już nigdy więcej nie zagrasz ani w kinie ani dla telewizji — głos Jaspera z tak daleka brzmiał trochę słabo. — To są interesy, Chloe. Nie możesz z nimi walczyć. Zrobiłem wszystko co mogłem, kochanie, wszystko! Ale muszę ci powiedzieć, że nigdy nie widziałem, by Abby tak się opierał. Jest na ciebie wściekły.

— Myślałam, że mnie uwielbia. Mówił mi to tyle razy.

— Na swój sposób uwielbia cię. Myślę, że ten opór ma też inne przyczyny. To wpływ Sissy. Myślę jednak, kochanie, że jeśli wrócisz, dostaniesz tę podwyżkę.

— Jak to? — Chloe była zdumiona.

— Odkryłem, że Sam ma na nich jakiś haczyk. To jest dobrze ukrywany sekret, ale rozszyfrowałem ich. Początkowo podpisał kontrakt tylko na dwa lata, a kiedy się skończył, jedyną drogą, by pozostał w filmie, był udział w dochodach z niego.

— Ach! — krzyknęła Chloe — teraz wszystko jasne. To sprawka Sissy.

— Tak, kochanie, to ta dziwka. Jako współwłaścicielka udziałów z filmu nie pozwala, byś dostała podwyżkę. Urwie Samowi jaja, jeśli ten zgodzi się, byś dostała choć cent więcej.

— Do diabła z nią! Dlaczego mnie tak bardzo nienawidzi?

— Zazdrość, kurczaczku. Dostajesz więcej listów od wielbicieli, jesteś bardziej popularna, twoja rola jest bardziej ekscytująca i oczywiście lepiej wyglądasz. Nie walcz z nią, głuptasie, zazdrość zawsze towarzyszyła życiu tego miasta. Nie bierz wszystkiego do siebie. Gdyby kto inny grał Mirandę, też by go nienawidziła. To taka kobieta.

Chloe westchnęła. — Wiem, pracowałam z nią tyle lat. Nie było się z czego śmiać, uwierz mi.

Jasper mówił dalej: — Ci z sieci powiedzieli mi w największej tajemnicy, że jeśli wrócisz, z własnej kieszeni dołożą ci te dwadzieścia tysięcy. Ale nie mogą o tym wiedzieć Sam i Sissy... Nie zwracaj uwagi na telegram. Wracaj we wtorek. Obiecuję, że w ciągu dwu miesięcy dostaniesz podwyżkę.

— Dobrze, Jasper, wrócę. Wiesz przecież, że wrócę.

Jasper był zadowolony. Lubił Chloe. To, że nie zadawała się z żadnymi osobistymi doradcami, specjalistami od interesów i podatków, prawdopodobnie zaoszczędziło jej wiele pieniędzy. Mądra dziewczyna. I nie

tylko to. Trzymała się z dala od alkoholu, dopaminy i kochanków. Jak na standardy Hollywoodu, była prawie staromodna. Chloe położyła słuchawkę. Czuła, że ją wykorzystują. Ton telegramu, to, że tak szybko skreślono ją z pierwszego odcinka, pokazywał do czego jest im potrzebna. Można mnie zastąpić jak zużytą chusteczkę do nosa — pomyślała. Patrzyła jak Philippe na desce surfingowej menewruje wśród fal. Brązowe włosy kleiły się do jego głowy. Ciało miał opalone, smukłe i atletycznie zbudowane, choć niewiele się gimnastykował. Emocjonalnie był jak skała, czasem trudna skała, ale taka, o którą można się oprzeć. Prowadził jej sprawy finansowe i interesy, najczęściej była z niego zadowolona. Czasem bywał uparty, często miewał zmienne nastroje, potrafił być uosobieniem uroku, ale i męskim szowinistą. Rozmowy z nim były ograniczone. Westchnęła. Im dłużej znała Philippe, tym płytszym się okazywał. Ale fizyczna więź między nimi była ogromnie silna. Drżała pomimo śródziemnomorskiego słońca. Ciągłe nalegał, by się pobrali. Dlaczego? Ona była przeciwna. Ból, jaki zadał jej Josh, jeszcze całkiem nie zniknął. Josh. Biedny Josh. Inteligentny, zabawny, niszczący swe życie, skomplikowany. Gdzie teraz jest? Co robi?

25

Emeralda miała być pierwszą aktorką o znanym nazwisku obsadzoną w serialu „Historia Ameryki”. Miała zagrać główną rolę kobiecą — Evelyn Alexander McFadden — ponętą, śliczną właścicielkę hotelu i saloonu w małym miasteczku na zachodzie. Burt Hogarth miał kłopot z obsadzeniem głównej roli męskiej. Bez powodzenia szukał wśród najbardziej znanych aktorów brytyjskich. Sieć telewizyjna chciała, by rozpoczęli zdjęcia w lipcu. Serial miał być gotów do rozpowszechniania w październiku 1986 roku. Postanowili, że „Historia Ameryki” ma być serialem konkurującym z „Sagą”, która od czterech lat miała najwyższe notowania na listach popularności programów telewizyjnych. Producenci zgadzali się, że rywalizacja pomiędzy Emeraldą w „Historii Ameryki” a Chloe w „Sadze” będzie zwiększała zainteresowanie widzów. Chętnie też zaangażowali Pandorę King do drugiej roli. Jedynym problemem pozostawało znalezienie odpowiedniego mężczyzny do głównej roli u boku Emeraldy. Kogoś, kogo nie przyćmiłaby swoim blaskiem. Sir Geoffrey Fennel odpadał, ponieważ grał Mercutia w Narodowym. Zwrócili się do Piercea Brosnana, Rogera Moore'a i Michaela Caine. Wszyscy odmówili. Rola Malcolma McFaddena wymagała czterdziesto- pięćdziesięcioletniego aktora, który byłby mężczyzną silnym, heroicznym u boku swej żony Evelyn — Emeraldy. Powinien być seksowny, dobrze zbudowany, mieć poczucie humoru, umieć jeździć konno, władać szpadą, być w doskonałej kondycji psychicznej.

Na dziesięć dni przed rozpoczęciem zdjęć, po rozmowach i zrobieniu testów aktorom, po obejrzeniu kilometrów taśmy wideo, producenci nadal nie mieli nikogo odpowiedniego do zagrania głównej roli męskiej. Rozpoczęcie zdjęć ustalono na 4 lipca — dzień niepodległości Ameryki, a najważniejszego kandydata nie było.

Josh leżał w łóżku. Pocił się. Jego czaszkę wypełniał walący młot, język zamienił się w drętwy kołek. Telefon nie przestawał dzwonić. Przerzywał jego sen — a może to był koszmar senny?

On i Chloe byli znów młodzi. Znów zakochani w sobie. Był rok 1960, szli King's Road śmiejąc się jak nastolatki. Zawsze potrafił rozśmieszyć ją do łez. Ciągle się wtedy śmiała; zastanawiał się, czy teraz też to robi. Czy jest szczęśliwa z Philippe?

We śnie obejmował ją tak mocno, że czuł jak nabrzmiałym członkiem naciska na jej udo. Wtedy ludzie zaczęli mu ją porywać, z jej uśmiechniętej twarzy zniknął uśmiech, a pojawił się strach. — Chloe, Chloe — usiłował wymówić jej imię, ale słowa nie chciały wyjść z gardła. — Josh — krzyczała — a ręce podnieconego tłumu szarpały jej ciało i włosy, darły ubranie na strzępy. Teraz rozhisteryzowany tłum zaczął skandować jej imię — Chloe! Chloe! Miranda! Miranda! Kochamy cię! Uwielbiamy cię! — Wielbiciele bez twarzy odpychali Josha. Walczył z nimi, upadł na chodnik, patrzył jak otaczają Chloe, szarpiają jej ubranie i ciało, kaleczą ją drapiąc paznokciami i szarpiając zębami. Leżała krwawiąc na chodniku. Krzyczała prosząc o pomoc, ale Josh nie mógł się ruszyć.

Śnił dalej. Jej ciało leżało na wznak na ziemi. Wielbiciele krążyli dookoła jak mrówki: całowali, gryźli, rwali kawałki jej ciała, ona krzyczała przerażona. On nie potrafił ich powstrzymać. — Odpieprz się, staruszkule — wrzeszczał punk z zielonymi włosami, pochylający się nad Chloe. — Odpieprz się albo kopnę cię w dupę. — Pchnął Josha, ten zatoczył się na ścianę, patrzył bezsilny, jak ludzie rozdierają jego Chloe na strzępy.

Obudził się krzycząc jej imię. Wreszcie usłyszał dźwięk telefonu.

— Co? O co chodzi? — wrzasnął ochrypłym głosem. Musi się czegoś napić, zwilżyć wysuszone gardło. Głos w słuchawce był znajomy.

— Josh? Cześć, chłopie, mówi Jasper Swanson. Jak się masz, stary?

— Świetnie, wspaniale, Jasper. Co u ciebie? — podniósł do ust szklaneczkę z odrobiną wina, zwilżył wyschnięty język.

— Co się dzieje, Jasper?

— Słuchaj, stary, nie wiem czy to cię zainteresuje, bo twoje tournee układa się znakomicie...

Pieprzony kłamca — pomyślał Josh. Wszystkie cholerne grupki dobrze wiedzą, że to zupełna kłapa. O czym mówi ten stary pierdziel?

— Nie tak znów dobrze, Jasper. Jeśli masz coś na widoku, mógłbym być zainteresowany.

— Oczywiście, chłopie, dlatego do ciebie dzwonię tak rano. Słyszałeś o książce „Historia Ameryki”?

— Jasne, a kto o niej nie słyszał? — Usiadł. Umrze, jeśli nie zapali.

Popielniczka była pełna petów, paczka po papierosach pusta.

— To będzie bardzo ważny serial. Myślę, że przekonałem ich, że ty nadawałbyś się idealnie do roli Malcolma McFaddena — to główna rola u boku Emeraldy Barrymore. Czy to by cię interesowało?

Zapadło milczenie. Josh trawił to, co usłyszał.

— Halo, halo, Josh? Jesteś tam? — Jasper niecierpliwił się, jego czas był bezcenny. Wiedział, że jest wspaniałym agentem. Niektórzy mówili, że w pracy jest tak przebiegły, że potrafiłby sprzedać Watykan papieżowi.

— Tak, tak, jestem! — Josh zapalił peta. Papieros rozjaśnił jego zamroczony umysł. — To opera mydlana, tak?

— Można to tak nazwać, ale to bardzo prestiżowy serial. Producentem jest Burt Hogarth, jeden z najważniejszych ludzi w Hollywood, a Emeraldę Barrymore jest nadal wielką gwiazdą.

— Ostatnio nigdzie nie grała.

— Ty też nie, chłopcze — Jasper nie mówił już tak przyjaźnie. — Myślę, że powinieneś pamiętać, młody człowieku — powiedział nieco złośliwie — że Hollywood nie bije się o pięćdziesięcioletnich byłych piosenkarzy popu.

— Zaraz, zaraz, nie mam jeszcze pięćdziesiątki i nigdy nie śpiewałem popu.

— Josh, ta rola może dać ci znów popularność. Wszyscy wiedzą, że masz talent, ale i to, że masz... coś ...problemy. Nie było mi łatwo przekonać sieć telewizyjną, że już nie pijesz i naprawdę nie bierzesz narkotyków — w jego głosie była pogarda. Wiedział, że Josh nadużywa zarówno alkoholu, jak i prochów. — Przeworsowałem mój pomysł, byś zagrał Malcolma. To jest wspaniała rola, wspaniała szansa dla ciebie. W tym roku zapłacą dwanaście tysięcy za odcinek, w przyszłym sezonie dwadzieścia pięć tysięcy. Dostaniesz dwa bilety pierwszej klasy z Londynu do Los Angeles. Chcą, żebyś był w Hollywood pojutrze. Zrobią ci przymiarke kostiumów i zdjęcia próbne. Wtedy omówimy inne szczegóły.

Jashowi kręciło się w głowie. — A mój musical — co z występami? Mieliliśmy grać tu, w Leeds, a potem w Manchesterze.

— Twój musical zrobił klapę. Wiemy o tym obydwaj. Sieć jest przygotowana na rozmowę z właścicielami teatru, mogą pokryć straty. Co ty na to, Josh? To fantastyczna okazja, nie zaprzepaść jej.

— Rozumiem — Josh był bardzo podniecony. — Zarezerwuj mój apartament w hotelu Wilshire. Czy mogę dostać trzy bilety pierwszą klasą?

— Nie — odparł chłodno Jasper. Czy on już stawia żądania? — Jeśli chcesz jeszcze kogoś zabrać, możemy zamienić dwa bilety pierwszej klasy na trzy w klasie ekonomicznej. Josh, pamiętaj, że jeszcze nie jesteś gwiazdorem Hollywoodu. Jeszcze nie możesz niczego żądać.

— Dobrze. Zamień bilety. Muszę zabrać Sally i Perry'ego, mojego służącego.

— Załatwione. A teraz moje gratulacje. Wiem, że nie będziesz tego żałował. Zadzwoń jutro.

Josh leżał na łóżku. Był w euforii. Hollywood! Sławny serial telewizyjny z wielką gwiazdą. Emeraldą Barrymore. Widzowie. Machina studia kręcąca się wokół niego. Sława — znów może być sławny.

Zerwał się z łóżka, podniecenie dodawało mu sił, nie potrzebował działki, o której przedtem myślał.

— Strzeż się, Chloe, teraz na mnie pora! — krzyknął.

Chloe wróciła na plan „Sagi”. To był już jej czwarty sezon. Z powodu presji ze strony sieci telewizyjnej Abby i Gertrude złagodnieli. Na przykładzie Chloe chcieli pokazać innym aktorom i ekipie zdjęciowej, co może się z nimi stać, jeśli będą żądali podwyżek. Choć uważali, że poradzą sobie z „Sagą” bez udziału Chloe, nie wzięli pod uwagę reakcji sieci.

— Chcę, żeby znów grała w filmie! — naciskał Irving Schwarzman, prezes sieci, zwracając się do Abby'ego. — Dajcie jej tę cholerną podwyżkę na miłość boską, ona na to zasługuje. Ma wrócić na plan!

Chloe wróciła. Co tydzień była teraz o dwadzieścia tysięcy zamożniejsza, ale nie układało się jej życie z Philippe. Okazywał miłość i oddanie, a jednocześnie ciągle kłócił się z nią o ślub. Jego drobnomieszczańskie wychowanie dawało o sobie znać co chwila. Matka Philippe uważała, że czterdziestoletni syn jest za młody dla czterdziestotrzyletniej kobiety. Był jej jedynym synem, a ona miała prawie osiemdziesiąt lat.

Philippe uważał, że przekona Chloe do małżeństwa i... dziecka. Gdy patrzył na Annabel, czuł, jaką oddaną matką potrafi być Chloe. Bardzo pragnął dziecka... z nią. Niestety, Chloe miała inne plany. Małżeństwo z Philippe i rodzenie dzieci w jej wieku wydawało się jej śmieszne.

— Ursula Andress urodziła — nalegał. — Miała dziecko w wieku czterdziestu czterech lat, a ty byłabyś wspaniałą matką.

— Po co, Philippe? Po co nam małżeństwo i dziecko? Jesteśmy szczęśliwi — czemu to psuć?

— Traktujesz mnie jak ogiera — odparł ponuro. — Wykorzystujesz mnie, tak jak mężczyźni wykorzystują kobiety. Potrzebny ci tylko mój mózg i penis. Jesteś bez serca, Chloe!

— Wiesz, że to nieprawda — powiedziała zła. — Jesteśmy razem, mieszkamy razem. Kocham cię. Proszę, nie zmuszaj mnie do małżeństwa. Raz to zrobiłam, na następne nie mam ochoty.

Annabel mieszkała z nimi w czasie wakacji. Były ze sobą szczęśliwe. Zaprzyjaźniły się bardzo, wiele godzin spędzały pogrążone w rozmowach. Philippe nużyły rozmowy, wychodził zły. Annabel pływała w basenie, doglądała ogrodu różanego, po całym domu rozkładała pięknie haftowane poduszki. Hafty i gitara były jej hobby.

Tak dobrze było mieć Annabel u siebie, w filmie wszystko układało się pomyślnie, a mimo to Chloe po nocach dręczyły koszmary. Czasami we śnie

widziała twarz mężczyzny, którego policja ujęła tamtej nocy w Las Vegas. Miał wtedy nóż, policja mówiła, że chciał ją zabić. Po co oni pokazali jej zdjęcia tego człowieka o pustej bezmyślnej twarzy? Gdy budziła się w środku nocy, otaczały ją silne ramiona Philippe, uspokajający głos pomagał znów zasnąć.

Pozostało tylko osiem miesięcy. Osiem miesięcy i wypuszczą go z tego cholernego pudła. Nie zaprzyjaźnił się tu z nikim. Nikt w kiciu nie chciał się z nim zaprzyjaźnić, wykorzystywali go tylko seksualnie.

Calvin każdej nocy przeglądał magazyny, które zgromadził. „Penthouse”. „Playboy”. Patrzył na nie podniecony. W magazynach wszystkie dziewczyny o dużych piersiach i w czarnej bieliźnie z rozchylonymi nogami miały jedną twarz — twarz Emeraldy Barrymore. Calvin wycinał zdjęcia swego idola z innych gazet i starannie dopasowywał jej głowę do ciał ponętnych młodych stworzeń. Jego Emeraldy. Jego królowa.

Zmartwił się bardzo, gdy w dziennikach zobaczył jej zdjęcia w chwili opuszczania więzienia. Rozwścieczył go artykuł w „American Informer”.

Gdyby rolę Mirandy Hamilton w serialu «Saga» zagrała Emeraldy Barrymore, zamiast brytyjskiej piosenkarki Chloe Carriere, być może Emeraldy nie skończyłaby tak patetycznie. Dziś stoczyła się na dno, w jej twarzy są ledwie ślady dawnej urody.

Calvin zgniótł gazetę w kulkę i rzucił ją w kąt celi. To wszystko jej wina, tej czarnowłosej czarownicy, beztalencia i zera. To przez nią Emeraldy jest w takim stanie. Kiedy wydobędzie się stąd, Chloe zapłaci za wszystkie grzechy.

Sam nie czuł się dobrze. Ogromnie stracił na wadze i nie mógł się zmusić, by zjeść cokolwiek. W czasie kręcenia zdjęć często czuł się wyczerpany, musiał się położyć i odpocząć. Rozboleła go klatka piersiowa. Zmusił się, by przejrzeć się w lustrze. Zobaczył to, czego tak strasznie się bał, czego nie chciał dopuścić do świadomości — czerwoną plamę, świerzbującą, spuchniętą, wielkości ćwierćdolarówki.

Strach ścisnął mu gardło. Nie, to nie może być prawda. Od czasów młodości zaspokajał swe pragnienia w kilku homoseksualnych związkach. Mniej czy bardziej był wierny Freddy'emu. Dobry stary Freddy, na nim można było polegać. Byli prawie jak małżeństwo — tyle że w małżeństwie ludzie czasem lubią robić to z osobami trzecimi. Przypomniał sobie Nicka. Jęknął. A Freddy? Czy on też miał kogoś innego? Gdy kota nie ma w pobliżu, myszy idą do najbliższego baru ... dla gajów. Czy Freddy to nadal robi? Czy nie obawia się AIDS?

Pukanie do drzwi było sygnałem, że Sam jest potrzebny za cztery minuty. Wrócił na plan uspokajając się, że to tylko wytwór jego wyobraźni. Ale sekretarce powiedział, by umówiła go z lekarzem tak szybko, jak to możliwe. Siedział naprzeciwko doktora Willowsa, którego mina nie wróżyła niczego dobrego.

— Przykro mi, ale muszę to powiedzieć, Sam. — Lekarz zakasłał. Był zażenowany. Znał Sama od trzydziestu pięciu lat, nigdy nie poruszali tematu jego upodobań homoseksualnych.

— Na miłość boską, powiedz, John! Czy to AIDS? Lekarz pokiwał głową. — Obawiam się ... że tak, Sam.

Dwa razy przebadaliśmy twoją krew, by upewnić się, że nie mylimy się. Tak mi przykro.

Spuścił wzrok na mahoniowe biurko i stojące na nim zdjęcie żony. Dziękował Bogu, że zawsze był jej wierny — już ponad trzydzieści lat. Udało mu się uniknąć pokus, jakie los stawia i na jego drodze. Co miał powiedzieć temu starzejącemu się aktorowi, którego wychudzona twarz ze zmarszczkami nagle wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt lat? Jak mu pomóc?

— Dziś nie ma na to lekarstwa. — Bawił się ołówkami na swym wielkim biurku. — Oczywiście możemy rakowatą narośl potraktować maściami i antybiotykami, ale obawiam się, że plama będzie jeszcze rosła.

Sam czuł, jak pokój wiruje dookoła niego. Jego kariera jest skończona. Złapał to świństwo — niektórzy nazywali je czarną śmiercią. Tak jak na wszystkie plagi, na AIDS też nie było leku.

— Jak długo? — ledwie dyszał. — Jak długo to potrwa zanim wszyscy to zauważą?

— Trudno powiedzieć — kilka miesięcy, może lat. Nie jestem ekspertem, Sam. Wiesz, że ta choroba szerzy się dopiero od kilku lat.

— Czy ludzie dowiedzą się od ciebie? Czy musisz im powiedzieć?

— Nie, oczywiście że nie. — W głosie lekarza było współczucie. Boże, w tym miesiącu Sam był siódmą osobą, która złapała wirusa. To przerażające. — Słuchaj, chłopie, jeśli potrzebujesz konsultacji, znam kilku ekspertów zajmujących się takimi problemami.

— O Chryste! Nie! — Sam był w stanie szoku. — Poradzę sobie sam. Moja kariera byłaby skończona, gdyby ktokolwiek dowiedział się o naszej rozmowie. Rozumiesz, John?

— Oczywiście. Nie martw się, Sam. Nikt się nie dowie, ale ... — lekarz popatrzył na zegarek. Jego poczekalnia była pełna pacjentów. — Lepiej sprawdź swoje kontakty.

— Cholera, John, miałem tylko jeden.

— Tak, tak. Słuchaj, przyjdź w przyszły wtorek, ustalimy, co dalej robić. — Chciał, by Sam już sobie poszedł. Nie potrafił mu pomóc. Zdobył się na miły uśmiech i odprowadził pacjenta do drzwi.

Nagła popularność Luisa Mendozy zdziwiła nawet jego samego. Zaledwie dwa razy pojawił się w „Sadze”, a już otrzymał tony listów od wielbicielek. Kobiety uważały, że jest niezwykle seksowny i męski. Nagle stał się aktorem miesiąca w całych Stanach Zjednoczonych. Wydawcy gazet zasypywali Christophera McCarthy'ego, szefa reklamy „Sagi”, pytaniami o jego przeszłość, prośbami o wywiady i sesje zdjęciowe, o wszystko, co było związane z Luisem.

Zanim mrugnął okiem, już był na okładkach „US”, „People”, „USA Today”, „GQ”, „American Informer”, „National Enquirer”, „Star”, „Globe”, nawet na okładce „Newsweeka”. Sława uderzała mu do głowy, odurzała.

Nie podobało się to Sabrinie. I nie chodziło tu o zazdrość. Piękna Amerykanka знаła swoją wartość, jej kariera miała solidne podstawy. Wiedziała, że nic jej nie grozi przez najbliższe lata. Ale nie podobało jej się, że Luis stroi się całymi dniami, ciągle czesze połyskujące czarne włosy, ćwiczy sprawność mięśni, podziwia je ze wszystkich stron w trzyskrzydłowym lustrze pokoju, pracuje nad i tak nieskazitelną opalenizną. Ich życie miłosne było nadal dobre, ale czegoś teraz brakowało ich związkowi, nie potrafiła określić czego.

Sam wszedł do pracowni Freddy'ego. Podszedł prosto do barku. Satyna i koronki, nie wykończone suknie gwiazdek leżały na sofie i stole. Włoskie, francuskie i brytyjskie magazyny mody piętrzyły się na podłodze. Sam widział przez okno opalonych nastolatków smarujących swe ciało oliwką, uprawiających surfing, jedzących hot dogi i śmiejących się. Tak, śmiali się. Czy on jeszcze się kiedyś roześmieje? Czy będzie umiał?

— Z kim się pieprzyłeś, ty ohydny mały pedale?!

— Z nikim, przysięgam, kochany, byłem ci wierny.

— Powiedz mi prawdę! — wrzeszczał Sam. — Kto to jest? Wiem, że to zrobiłeś. Złapałem AIDS i wiem, że to od ciebie, gnojku!

— Och, Boże, nie, to niemożliwe. Jak to się mogło stać? — Freddy rzucił się na stertę materiału na kanapie i zaczął płakać.

— Nie potrzebuję twoich pieprzonych łez, łobuzie!

— Sam nie potrafił pohamować wściekłości. Rudy kot wygrzewający się na parapecie popatrzył na nich obu, uznał, że to niewłaściwe miejsce dla niego i z godnością pomaszerował do kuchni.

— Tylko raz — szlochał Freddy. — Tylko raz, kochany.

— Nie mów do mnie kochany — głos Sama był ochryply.

— Gdzie, kiedy i z kim?

— O Boże, Sam, kocham cię, wiesz, że tak jest. Nie wiem dlaczego to zrobiłem, ale ...

— No mów — usta Sama były teraz cienką zaciśniętą kreską. Było w nim tyle złości, iż wyglądało na to, że eksploduje. Twarz miał karmazynowo-czerwoną, a serce waliło tak mocno, jakby miał dostać zawału.

— To było dwa lata temu — Freddy wycierał niebieskie zapłakane oczy kawałkiem jedwabiu po dwieście dolarów za metr. — W łaźni.

— Cholerna łaźnia. Mów dalej, z kim?

— Nie pamiętam — jęczał Freddy.

— Przypomnij sobie! — Sam złapał go za kaszmirowy sweter, przyciągał do siebie. — Przypomnij sobie, do cholery, albo cię zabiję!

— Och, Sam ... Sam. To było okropne. Nie mogłem nic zrobić. Byłem naszprycowany. Nie wiem dlaczego to zrobiłem. To ciebie kocham. Wiesz, że tak jest.

— Nie pleć bzdur, szmato. Gadaj dokładnie. Wszystko po kolei.
Przełykając łyżę, Freddy usiłował wszystko opowiedzieć. Tej nocy jego przyjaciel z Acapulco przyleciał na jedną noc. Przywiózł ze sobą nowy gatunek dopaminy.

— To, co przywiozłem z Acapulco, to prawdziwy skarb — powiedział wtedy Hugh, szczerząc zęby od ucha do ucha. Wypalili wtedy po dwa jointy, byli na takim haju, że nie wiedzieli, który to dzień tygodnia. To wtedy Hugh zaproponował, by poszli do łaźni. Od kiedy Freddy został kochankiem Sama, łaźnia była dla niego zakazanym miejscem. Ale dopamina zrobiła swoje — nie przejmował się żadnymi zakazami. Jak zwykle w sobotę w łaźni było tłoczno. Obaj mężczyźni wzięli prysznic i poszli do sauny. Freddy, trzydziestodwuletni niski blondyn, zazwyczaj bardzo podobał się innym. Choć od kilku lat zadawał się tylko z Samem — oprócz kilku dyskretnych okazjonalnych zdrad — narkotyk sprawił, że czuł się nadzwyczaj seksownie. Otoczyło go trzech wspaniałych młodzieńców. Leżał na plecach, gdy chłopcy zabrali się do niego ze znanstwem. Odchodził od zmysłów, był w ekstazie. Trzech czy czterech mężczyzn stało dookoła obserwując ich.

— Dalej, nie przerywajcie, chcę jeszcze — błagał Freddy. Pozostali mężczyźni też byli podnieceni. Pierwszy zszedł z Freddy'ego, następny zajął jego miejsce. Potem następny i jeszcze następny. Freddy nie miał dość tego wspaniałego doświadczenia. Czuł się jak satyr. Ciagle chciał więcej.

— Jeszcze — błagał, a oni nie odmawiali.

Radość Freddy'ego trwała do świtu. Ale jego wstyd trwał znacznie dłużej.

— Tak to było, kochany. Tak to się stało. Nic nie mogłem poradzić. Przykro mi. To się więcej nie powtórzy. Obiecuję ci.

— Za późno. Cholera! — Sam był teraz znużony. Opowieść Freddy'ego była dla niego obrzydliwa. — Ma AIDS. Ty też to pewnie złapałeś. Umrzemy obydwaj, Freddy.

— Co robić?

— Nic. — Sam usiadł ciężko na sofie. Jego złość przeszła. — Nic nie możemy zrobić, Freddy. Możemy tylko czekać.

Chudł z każdym tygodniem. Oczyszczał ciało, jak tylko potrafił, przestał jeść czerwone mięso, używać cukru, alkoholu, soli i artykułów konserwowanych. Usiłował żyć w możliwie zdrowy sposób: dieta, dziesięć godzin snu, ćwiczenia gimnastyczne. Modlił się i zwierzęco bał.

Czerwone plamy stopniowo rozprzestrzeniały się po całym ciele. Nie mógł na siebie patrzeć. Nie pozwalał garderobianemu zbliżyć się do siebie, gdy zmieniał kostiumy. Żył w ciągłym strachu. Nie mógł zwierzyć się nawet Sissy. Nie ufał jej. Nie ufał nikomu.

W czasie lunchu, gdy w prywatnej garderobie usiłował uciąć sobie drzemkę, zadzwonił telefon.

— Jak się czujesz, Sam? — dzwonił John Willows.

— O, cześć, John. Czuję się nieźle — usiłował przybrać wesoły ton.

— Cóż, Sam, mam dobre wiadomości i złe. Które chcesz najpierw usłyszeć?

— Dobrze.

— Cóż, stary, wygląda na to, że zlokalizowaliśmy wirusa— w twoim przypadku. Nie mówię, że następuje remisja, ale testy, które zrobiliśmy ci w zeszłym tygodniu, są nieco lepsze. Może zaczęło działać to francuskie lekarstwo.

— Wspaniale, to cudowna wiadomość, stary. Cudowna!

— natychmiast poczuł się lepiej. Złapano wirusa! To oznaczało, że może pożyje jeszcze kilka lat, może nawet dekad... Uśmiechnął się po raz pierwszy od kilku miesięcy.

Nastąpiła chwila ciszy. John Willows chrząkał.

— A zła wiadomość? Nic nie może być straszne po tym, co mi powiedziałeś.

— Cóż, stary... Właśnie zadzwoniono do mnie z kliniki.

— Z jakiej kliniki? — dopytywał się Sam.

— Z tej, gdzie wysłaliśmy twoją krew na badania.

— No to co, dlaczego to taka zła wiadomość? — warknął Sam. — Co się stało?

— Pielęgniarka wysyłająca krew nie usunęła z butelki twojego nazwiska. Mówiłem, żeby to zrobiła. Zapomniała. Wiesz, to jej pierwsza praca, jest prosto po szkole. No i jest problem...

— Co? Do cholery, powiedz jaki problem. Kręcę tu cholerny film i nie mam czasu na słuchanie bzdur. O co chodzi?

— Dobrze, dobrze, uspokój się. Nie jest mi łatwo powiedzieć.

— Niełatwo?! — Sam wrzasnął tracąc panowanie.

— Przykro mi to mówić, Sam. Skradziono ze szpitala poufny rejestr z nazwiskami wszystkich nosicieli wirusa.

— Ukradziono! Komu to do cholery jest potrzebne?! — Sięgnął po jedno z cygar, których nie ruszał od trzech miesięcy, i przytknął butelkę wody Evian do ust.

— Uważają, że rejestr został skradziony przez jakiegoś szantażystę.

— Szantażystę? — Sam był bliski zemdenia.

— Właściwie policja jest tego pewna.

— O Boże, to klęska. Koniec z moją karierą.

— Jeśli to cię pocieszy, stary, w rejestrze były setki innych, dla nich to też zagrożenie. Znani prawnicy, politycy, lekarze i aktorzy. Wiesz, że nie jesteś jedynym aktorem w tym mieście, który złapał AIDS. Ten koszmar gwałtownie szerzy się w San Francisco.

— O Jezu, o Jezu! — powtarzał Sam.

— Przykro mi, stary. Zadzwonię do ciebie jutro. Muszę jeszcze zadzwonić w kilka miejsc. Rozumiesz?

— Tak, John. — Sam położył słuchawkę, ujął głowę w dłonie i siedział bez ruchu. Weszła Sissy.

— Co się stało, kochanie? Wyglądasz na bardzo podnieconego, znów zacząłeś palić?

Sam nie odpowiedział. Sissy miała na sobie obcisły kostium z lat trzydziestych z beżowym kołnierzem z lisa i mufką, oraz śmieszny kozacki kapelusz.

— Odpowiedz mi, Sam — warknęła.

Popatrzył na nią — suche ciało, twarz jak u wróbla.

— Wyjdź stąd, Sissy, ale to już — warknął.

— Sam... ja...

— Wynoś się, dziwko! — wrzeszczał. — Wynocha stąd! Nie chcę znów widzieć twojej cholernej gęby. Wynocha z mojej garderoby! — Wrzaski ściągnęły dwu asystentów reżysera i kilku statystów. Gapili się na zazwyczaj spokojnego i uroczego gwiazdora.

— Panie Sharp, proszę się uspokoić — Debbie Drake wyprosiła wszystkich łącznie z Sissy i zatrzasnęła za nimi drzwi.

— Przepraszam, czy mogę w czymś panu pomóc?

— To nic, kochanie, niczego nie potrzebuję. Przepraszam. Daj mi pół godziny, Debbie, wrócę na plan. Powiedz, żeby Chelsea najpierw zrobił ujęcia z Sissy. Muszę tylko chwilę odpocząć.

— Dobrze, proszę pana. Proszę tu zostać jak długo trzeba — powiedziała i cicho zamknęła drzwi.

26

Horacy Reid, redaktor naczelny „American Informer”, przerzucał kartki cienkiego rejestru coraz bardziej podniecony. Co za gratka! Ta lista to dynamit. Mózg się lasuje. A szczytem wszystkiego było to, że wpadła mu w ręce przypadkowo i darmo. Wybuliłby ze trzydzieści tysięcy dolarów, gdyby musiał za to zapłacić.

— Sześciu aktorów, trzech z nich o znanych nazwiskach, czterech polityków, dwu pisarzy. To laska dynamitu. Najbardziej sensacyjna rzecz, jaką kiedykolwiek miał. Pobijemy wszelkie rekordy nakładu, jeśli wydrukujemy tę listę. Zarobimy więcej niż na reklamach telewizyjnych! — brzydki mężczyzna uśmiechnął się do swego asystenta. Zastanawiał się, kto nienawidził kogoś z tej listy tak bardzo, by to zrobić.

— Myślę, że będziemy to dawali w kawałkach — powiedział dłubiąc w zębie spinaczem. Na ścianie za jego biurkiem wisały oprawione w ramki niektóre z pamiętnych wydań gazety:

Marilyn Monroe lesbijka — sprzedali osiem milionów egzemplarzy.

Byłam nieślubnym dzieckiem Elvisa — prawie osiem i pół miliona.

Zabójstwo prezydenta Kennedy'ego zaplanowane przez jego rodzinę — jeszcze jeden wielki nakład.

Od czasu gdy dziesięć lat temu opuścił Australię i został wydawcą „Informera”, Horacy Reid zamienił dziennik w kopalnię złota. Robił, co tylko mógł, by uzyskać najintymniejsze informacje dotyczące znamienitości: gwiazd ekranu, polityków, brytyjskiej rodziny królewskiej. Jego asystent kręcił głową.

— To z pewnością oryginał. Nawet jeśli ktoś jeszcze to ma, my opublikujemy go pierwsi — uśmiechnął się pokazując żółtkę zębów.

— Przyjrzyj się tym nazwiskom. Popatrz na nie. To jest jak spełniony sen. Nawet nie wiem, od kogo mam zacząć.

— Myślę, że to oczywiste — powiedział asystent. — Zaczniemy od Sama Sharpa. Napiżemy ... „Gwiazda «Sagi» nosicielem AIDS”. Co za historia! Sprzedamy dziesięć milionów!

— Ten stary pedał wreszcie zapłaci za swoje grzeszki, a my będziemy mieli nasze bestsellerowe wydanie. Hurra!

Christopher McCarthy, szef działu reklamy „Sagi”, zadzwonił do Sama kilka dni później.

— Sam, trochę się martwię.

— Dlaczego? O co znowu chodzi? — w głosie Sama brzmiała irytacja. Ostatnio był jak kotka na gorącym dachu, nawet codziennie rano brał nieco kokainy, by wyjść z tej strasznej depresji.

— Słyszałem plotki — zaczął ostrożnie Christopher.

— Wiem, że to śmieszne. To nie może być prawda, ale słyszałem, że „Informer” szykuje na przyszły tydzień najbardziej haniebną artykuł, jaki kiedykolwiek mieli. Obawiam się, że będzie dotyczyć ciebie.

— Mnie? — słowa Sama były ledwie dosłyszalnym szeptem. To nie może być prawda. Tak szybko? To niemożliwe. Dlaczego mnie? — Usiadł. Zebrało mu się na wymioty.

— Cóż... — Christopher był zażenowany, ale jako dobry agent prasowy chciał to mieć za sobą. To jest jego praca.

— Mówią, że masz AIDS. Wiem, że to śmieszne. Sam.

— To śmieszne, haniebne, to bezczelność — Sam użył talentu aktorskiego, by jego słowa brzmiały wiarygodnie.

— To obrzydliwe — westchnął Christopher. — Ci ze szmatławców to pozbawione skrupułów łobuzy, zwykłe szumowiny. Tak czy inaczej musimy sobie z nimi poradzić. Myślę, że natychmiast powinienes dać kilka wywiadów, na przykład dla Ophry Winfrey, Carsona i kilku dzienników porannych. Potem do „People”, jestem pewien, że zechcą artykuł na pierwszej stronie. Zadzwonię do Suzy, Liz Smith i do gazet. Zdementujemy te plotki. Pokażemy im, jak świetnie wyglądasz. Te łobuzy nie mogą z nami wygrać, prawda, Sam?

— Tak — odpowiedział znużony Sam. Opadł na kanapę, usiłował nalać whisky do szklaneczki, ale ręce mu drżały tak bardzo, że upuścił ją.

— Jesteś pewien co do tego artykułu? Naprawdę chcą go zamieścić?

— Obawiam się, że tak. Właściwie jestem pewien — odparł ponuro Christopher. — Nie martw się o nic. Załatwię wywiady i przygotuje materiał dla prasy, natychmiast pójdzie do gazet.

— Zrób tak, Chris. Będę ci wdzięczny — powiedział cicho Sam.

Chloe i Sissy kłóciły się na planie z Luisem Mendozą. Stał arogancko ze skrzyżowanymi rękami, w czarnej jedwabnej koszuli i białych lnianych

spodniach, szyję zdobił mu złoty łańcuch. Sissy i Chloe rzadko kłóciły się o cokolwiek, ale tym razem nie miały wyboru. Luis stał się zarozumiałym bałwanem. Jego zdumiewający sukces uderzył mu do głowy tak bardzo, że ludzie już nie mogli z nim wytrzymać.

Kłótnia o to, jak Luis ma zagrać w scenie, była coraz bardziej zaciekle, operatorzy stali w milczeniu obserwując ją. Gdy zabrzmiał dźwięk wystrzału, wszyscy sądzili, że to ze sceny obok, gdzie nagrywano serial o gliniarzach. Dopiero, gdy Debbie Drake, pukając do drzwi Sama i nie usłyszawszy odpowiedzi, weszła do środka, dopiero wtedy wszyscy poznali prawdę. Bohater Stanów Zjednoczonych, który tak doskonale zagrał Lincolna, Eisenhowera, prawdziwy mężczyzna Ameryki — popełnił samobójstwo.

Calvin siedział w świetlicy więziennej jak przyklejony do telewizora. Drugi pogrzeb znamienitości w ciągu czterech lat, a on nie może w nim uczestniczyć. Wkrótce będzie trzeci, tym razem weźmie w nim udział. Rozchylił usta jak warczące zwierzę, gdy zobaczył Chloe u boku Philippe. Wysiadła z czarnego mercedesa, ubrana na szaro, zmartwiona.

— Ty będziesz następna, madame! — powiedział sam do siebie. — Tandetna dziwka. Zasługuje na śmierć.

— To jakiś koszmar, pieprzony koszmar! — wściekał się Abby. Maszerował po dywanie swego wielkiego jak stadion biura. — Co do cholery teraz zrobimy? Gertrude miała gęsią skórkę. Od dwudziestu czterech godzin nie czesała włosów. Cała sieć była przerażona. Samobójstwo Sama było tragedią samą w sobie, ale gdy ukazał się „Informer”, wszystkich ogarnęła panika. Do biura producentów zaczęły napływać listy z krytyką, szczególnie przykre dla Sissy. Pograżona w żałobie wdowa na dziesięć dni zamknęła się w swej posiadłości w Holmby Hills. Pokazała się tylko na pogrzebie. Filigranowa, ważąca czterdzieści dwa kilogramy kobieta, spowita w czarną suknię Oskara de Renty, woalkę miała tak gęstą, jak siatka chroniąca pszczelarza przed ukąszeniami pszczoł.

Co noc zasypiała płacząc. Tęskniła za Samem bardziej niż myślała. Ale był jeszcze jeden powód. Tak mało wiedziała o AIDS — czy mógł ją jakoś zarazić, choć nie sypiali ze sobą od lat?

Uprzywilejowanym, którzy mieli możliwość obejrzenia pierwszych zdjęć do „Historii Ameryki”, wydawało się, że będzie to gigantyczny hit. Emeraldal i Josh grali fantastycznie. Oboje byli dynamiczni i atrakcyjni. Ich wspólne sceny skrzyły się pikanterią.

Josh bardzo pociągał Emeraldę, była oczarowana jego inteligencją, męskością, niezwykle pocuciem humoru, godzinami mogła słuchać jego anegdotek i żartów. Josh uwielbiał takich słuchaczy, niestety nie odwzajemniał jej uczuć. Lubił ją — była dobrą aktorką i nadal nieźle wyglądała. Była też w dobrej formie, zupełnie zmieniła swe życie sprzed kilku miesięcy. Ściśle określone

godziny snu, żadnej dopaminy, zamiast tego gimnastyka. Ale nie była w jego typie, poza tym żył jak w celibacie.

Emeralda czuła się szczęśliwa mogąc grać. Lubiła serial, radość sprawiało jej znów królowanie w filmie, ale bardzo pragnęła mężczyzny. Jej błyszczące zielone oczy były utkwione w Joshu Brownie. Wiele czasu spędzali razem na planie i poza nim. Robiła co mogła, by usidlić Josha; nie udawało się. Nie chciał wiązać się z nią. Ona, pożeraczka męskich serc, była kobietą niezwykle wymagającą w kontaktach z mężczyznami. Lubił ją, ale nie był przygotowany, by być jej następnym mężczyzną. Ani nie potrzebował, ani nie chciał tego. Interesowała go kariera, i utrzymywanie ciała w sprawności fizycznej. Chciał trzymać się z dala od alkoholu, kobiet i narkotyków, chciał, by ten serial był najlepszym filmem telewizyjnym. Sieć, aktorzy i producenci robili wszystko co w ich mocy, by „Historia Ameryki” była popularniejsza od „Sagi”. Tak się też stało.

Każdy odcinek „Historii Ameryki” kosztował dwa razy tyle co „Sagi”. Dyrektorzy sieci rwali włosy z głowy, ale Hogarth dostał carte blanche. Nie mogli go naciskać. „Historia Ameryki” miała więcej klasy niż „Saga”. Artystycznie, a jednocześnie z ogromnym realizmem opowiadała o pionierach Ameryki.

W ciemnym kącie planu zdjęciowego Vanessa przyglądała się próbie Emeraldy i Josha. Plotki o magnetyzmie, jaki istniał między nimi, były oczywiście prawdą. Nie tylko Josh wyglądał bardziej atrakcyjnie niż kiedykolwiek. Emeralda była także równie zachwycająca jak wtedy, gdy miała trzydzieści pięć lat. Zadziwiające, była przecież o piętnaście lat starsza. Chirurgia plastyczna, podciąganie twarzy, platynowe włosy mogą wiele pomóc kobiecie, ale ona była niezaprzeczalnie urocza, szczególnie wtedy, gdy była blisko Josha, gdy patrzyła na niego oczami zakochanej kobiety. Byli na ekranie wspaniałą parą.

Vanessa wiedziała, że będzie musiała powiedzieć o tym Chloe. Plotki o namiętnym romansie Josha i Emeraldy były już bardzo głośne. Ani sieć, ani sami zainteresowani nie dementowali ich. Filmowi przysparzały tylko widzów i popularności. Patrząc na nich oboje na planie, Vanessa była prawie pewna, że są prawdziwe.

— Biedna Chloe — westchnęła Vanessa. Nie lubiła Philippe, wiedziała też, że Chloe jest nim znudzona, pomimo zapewnień o tym, jak wspaniałe jest ich życie miłosne.

Poczekajmy aż Chloe zobaczy „nowego Josha” — pomyślała Vanessa. Był teraz zupełnie innym mężczyzną, łatwiejszym we współżyciu. Kontrolował się, był bardziej męski i dynamiczniejszy niż przedtem. Był naprawdę wspaniały. Pokazywał, na co go stać — pomyślała — gdybym nadal lubiła mężczyzn, sama bym się nim zajęła.

Nie było sensu mówić Chloe, że jest jakaś szansa, by do niej wrócił. Widać było, że szaleje za Emeraldą, tak jak i ona za nim.

Chloe słuchała Vanessy i robiło się jej słabo. Więc to prawda. No tak — pomyślała rozżalona — czy Josh mógłby nie polubić Emeraldy? Jasper twierdził, że wygląda tak ślicznie, jak nigdy przedtem. Josh wiedział, że Chloe mieszka z Philippe. Nie dzwoniła do niego od sześciu miesięcy, kiedy to wrócił do Kalifornii.

Przestań myśleć o Joshu — tłumaczyła sobie. Pomyśl o Emeraldzie. Jeśli wygląda i gra tak bardzo zdumiewająco dobrze, co potwierdzała Vanessa, Jasper i połowa miasta, a ludzie uważają, że serial jest tak atrakcyjny, to „Saga” może mieć poważne kłopoty, a czasy twego królowania, Chloe, mogą się szybko skończyć.

Notowania popularności „Sagi” zaczęły gwałtownie spadać na trzy tygodnie przed końcem sezonu. Zupełnie jakby miłość widzów odeszła wraz ze śmiercią Sama. W tym samym czasie „Historia Ameryki”, według badań Nielsena, pięła się szybko w górę. Co tydzień była o jeden lub dwa punkty wyżej. Na spotkaniu w biurze Abby'ego i Gertrude zebrali się twórcy „Sagi”, by pomówić o środkach zaradczych i nowym scenariuszu, który trzeba było szybko napisać.

— Kto w zeszłym miesiącu dostał najwięcej listów od fanów? — warknął Abby do Billa Herberta.

— Chloe — odpowiedział Bill, patrząc w notatki — dziesięć do dwunastu tysięcy miesięcznie. To więcej niż dostaje jakakolwiek gwiazda filmowa i było tak zawsze przez ponad cztery lata.

— Kto jest następny? — niecierpliwiał się Abby. Dobrze wiedział, że Chloe dostaje najwięcej listów.

— Cóż, następna była Sissy, ale od kiedy Sam... no... opuścił nas, dostaje znacznie mniej. Ostatnio bardzo wzrosła liczba listów do Luisa Mendozy, szczególnie po pierwszej scenie miłosnej z Chloe.

— Powinien grać więcej — mruknęła Gertruda.

— Uczyńmy go ważniejszą postacią. Teraz, gdy straciliśmy Sama, potrzebujemy silnego męskiego charakteru. Wiesz, że to Sam i Sissy nie pozwalali, by grał więcej. Jego rola musi być teraz bardziej dominująca, trzeba skupić zainteresowanie widzów na nim.

— Jest wystarczająco dominujący — Bill szczerzył zęby w uśmiechu. Nigdy w życiu nie widziałem takiej erotycznej korespondencji. Nie uwierzylibyście, co one chciałyby z nim robić.

— Dajcie mu więcej czasu — powiedział zwięźle Abby. — Więcej scen, więcej emocji w scenach z Chloe.

— Ma być głównym męskim bohaterem — dodał Bill.

— O to mi chodzi. Zabierzcie się do roboty, chłopcy, dopiszcie kilka pikantnych scenek. Inaczej pod koniec sezonu wszyscy zostaniemy bez pracy. Josh przeglądał magazyn, który przyniósł Perry.

Od upadku do gwiazdorstwa — nagłówek zapowiadał artykuł w magazynie „People”. Okładkę zdobiła uśmiechnięta twarz Josha. Twarz przystojnego, czterdziestoletniego seksownego mężczyzny, wzbudzającego zaufanie. Włosy z

kilkoma siwymi pasemkami. Opalona twarz z kilkoma zmarszczkami dookoła oczu. To były zmarszczki człowieka, który dużo się śmieje. To była twarz człowieka zadowolonego z siebie, akceptującego swój wiek.

Rola w filmie bardzo zmieniła Josha. Zupełnie rzucił narkotyki, pił bardzo niewiele, przestał uganiać się za dziewczętami. Wraz z osiągnięciem sukcesu stracił potrzebę udowadniania własnej wartości w pościeli z kobietami, które mogłyby być jego córkami. Pomogła też psychoterapia.

Miewał przypadkowe przyjaciółki, zazwyczaj kobiety ponad trzydziestoletnie, ale teraz chciał od nich czegoś więcej niż tylko seksu: humoru i dowcipnej rozmowy, przyjaźni i wspólnych zainteresowań.

Jednak żadna z nich nie dorównywała Chloe. Często o niej śnił, myślał o ich wspólnym życiu zanim sam zniszczył swoją karierę, zanim rozkoszne lalunie zbyt zawładnęły jego życiem.

W trakcie rozmów terapeutycznych z doktorem Donaldsonem, uświadomił sobie, jak wstrętnie zachowywał się wobec niej.

— Dlaczego? Dlaczego to wszystko spieprzyłem? — często pytał sam siebie. —

Miałem najwspanialszą kobietę i tak wszystko zrujnowałem. Cholera!

Czasami marzył, że on i Chloe są znów razem tak jak kiedyś. Nigdy nie spotkał kobiety, z którą życie byłoby taką przyjemnością, której poczucie humoru odpowiadałoby jego dowcipowi, która rozumiałaby go tak doskonale.

Boże, przez co musiała przejść z jego powodu! Ile pojednań przeżyli? Nie mógł sobie przypomnieć. Zawsze zajęty był tylko własną karierą i wsadzaniem kutasa w babę, która go o to prosiła oraz w te, które go nie prosiły.

Słyszał, że jest szczęśliwa z Philippe. Cieszył się, choć za każdym razem, gdy widział ich wspólne zdjęcia, czuł ostry ból. Czasem wpadali na siebie przy jakiejś okazji, na rozdaniu nagród Emmy czy na przeglądach filmowych w Beverly Hills. Zawsze była u boku tego Francuza, śmiała się przyjaźnie. Nie czuła zawiści, cieszyła się z sukcesu Josha.

Zasada fizyki mówi, że żadne dwa obiekty nie mogą być w tym samym miejscu o tej samej porze. Chloe wiedziała, że dla Philippe nie ma miejsca w jej życiu. Nadal podświadomie myślała o Joshu. Tydzień wypełniała jej praca w „Sadze”: nauka dialogów, przymiarki kostiumów. Widzowie nie są w stanie wyobrazić sobie, jak wyczerpujący i niewdzięczny może być taki serial.

Weekendy spędzała snując się bezmyślnie po domu, rozleniwiona i bez makijażu. Philippe był zawsze w pobliżu. Dla niego miłe spędzenie wieczoru oznaczało obejrzenie trzech filmów wideo, kochanie się z nią kilka razy oraz jedzenie w łóżku zamówionej pizzy. Chloe, wyczerpana bezlitosną presją pracy, na początku znajomości towarzyszyła mu z radością, ale szybko odkryła, że rozmowy z nim są nudne. Szczerze mówiąc, wypełniał tymczasową pustkę w jej życiu bez wysiłku, intymność bez angażowania się, bliskość bez prawdziwych uczuć, a ona lubiła go. Na razie taka sytuacja odpowiadała jej. Rzadko chodzili na spotkania towarzyskie w Bel Air. Philippe często wprawiał ją w zażenowanie płytkością zainteresowań, nie istniał dla niego nikt poza Chloe i nim samym. Teraz prawie zasypiał na satynowej kanapie

Daphne. Właśnie trwało jedno z wiecznych przyjęć dla gwiazd i gwiazdek: tuziny najślawniejszych mężczyzn i kobiet w pięknych sukniach i wspaniałej biżuterii.

Philippe był znudzony. W czasie osiemnastu miesięcy, gdy on i Chloe mieszkali razem, jej przyjaciele wielokrotnie usiłowali porozmawiać z nim jak z cywilizowanym człowiekiem. Wreszcie zrozumieli, że to strata czasu. Miał niewiele do powiedzenia, żadnych własnych opinii. Tylko obsesyjna miłość do Chloe. Wydawał się im nudny. Chloe podzielała ich zdanie. Często kłócili się z powodu braku entuzjazmu i zainteresowania jej przyjaciółmi. Nie chciał iść na kompromis, nie robił niczego, by wkraść się w ich łaski. Chloe była zażenowana, gdy na przyjęciach jej przyjaciółki zamieniały stojące na stole kartki z nazwiskami, by nie siedzieć obok takiego nudziarza.

Westchnęła poprawiając załamania czarnej jedwabnej sukni od Donny Karen. Myśl, że będzie musiała usiąść obok niego na kanapie, że on będzie usiłował wyjść wcześniej, by obejrzeć jeszcze jeden film wideo, a potem wskoczyć na nią jeszcze raz tej soboty, nie była zachęcająca. Ten mężczyzna był ciągle nienasycony, znała jego seksualne marzenia... wyłącznie seksualne.

— Jesteś znudzona, kurczaku, zanudził cię na śmierć, prawda? — Daphne przerwała myśli Chloe. Rude loczki kłębiły się wokół jej pyzatej twarzy. Myślę, że naprawdę jest nudny jak flaki z olejem. Nieźle wygląda, ale mogłabyś znaleźć kogoś lepszego. Nie sądzisz, że już czas się go pozbyć? Znam pewnego włoskiego markiza, który przyjeżdża tu w przyszłym tygodniu. Tak bardzo pragnie cię poznać, kotku. Jeśli nie ciebie, to Lindę Gray w następnej kolejności. Co ty na to?

Jak na sześćdziesiąt pięć lat nadal była przystojną, seksowną kobietą. Plejada aktorów od czterdziestu lat przewijała się przez jej łóżko. Ściany jednego z małych pokoików gościnnych zdobiły zawieszane od podłogi do sufitu zdjęcia Daphne w towarzystwie wielu hollywoodzkich i europejskich osobistości. Było tu ponad sto zdjęć w ramach, poczynając od końca lat czterdziestych gdy Daphne i Jasper opuścili wybrzeża Malibu i wzgórze Beverly i udali się do Wielkiej Brytanii.

Chloe popatrzyła na posępną twarz trzydziestosześcioletniego Jaspera i wdzięczną trzydziestoletniej Daphne. Stali śmiejąc się w towarzystwie Oliviera i sir Ralpha Richardsona na trawniku w Highgrove. Na innym zdjęciu Jean Simmons, na planie „The Robe”, filmu Cinemascope, w którym ona zagrała małą rolę. Śmiała się też na wielu innych zdjęciach, gdzie stała — jak mówiły plotki — w towarzystwie licznych kochanków. Erol Flynn, Gary Cooper, David Niven, Wiliam Powell — podobno sypiała z nimi wszystkimi, nigdy nie potwierdzała ani nie dementowała tych plotek.

— Powiedzmy, że wszyscy moi kochankowie byli dobrze wyposażeni — śmiejąc się odpowiadała na pytania ciekawskich. — Ponad i poniżej pasa wymagam dużej dozy stymulacji. Wielki kutas to nie wszystko. Ja potrzebuję kogoś inteligentnego.

— Popatrz na tego, kotku — Daphne wskazała długim paznokciem na zdjęcie młodego, bardzo przystojnego blondyna, zrobione na planie filmowym w latach pięćdziesiątych.

— To jest mężczyzna, którego powinnaś znać — westchnęła. — Dusty Lupino. Był wielką gwiazdą i jednym z najlepszych kochanków, jakich miałam. Ode mnie też się wiele nauczył, choć miał osiemnaście lat, a ja... no... ponad trzydzieści. Jest teraz bogaty jak Krezus i ma zaledwie pięćdziesiąt sześć lat. Przestał grać w filmie, a wziął się za handel nieruchomościami, gdy można jeszcze było kupić połowę Rodeo Drive poniżej miliona. Nadal świetnie wygląda, choć pozostał samotnikiem.

— Daphne, przestań. Wiem, co chcesz powiedzieć. Philippe nie jest odpowiednim mężczyzną dla mnie. Jestem tego świadoma i nie aż tak głupia, jak wszyscy uważają. Tak, handryczymy się. Wiem, że nie jest zabawny. Ale teraz mieszkam z nim. Dopiero kiedy z nim zerwę, co prędzej czy później nastąpi, będę mogła pomyśleć o kimś nowym. — Pochyliła się i pocałowała uperfumowany policzek Daphne.

— Jesteś strasznie staroświecka — westchnęła przyjaciółka. — Ale pamiętaj, kochana, kiedy będziesz gotowa pozbyć się go, wszyscy będą po twojej stronie.

—Dobra, frajerze! Czas, żebyś stąd spierdalał — strażnik spojrział na czyrak na twarzy Calvina. — Radzę, żebyś się uspokoił, frajerze, bo inaczej możesz mieć wiele kłopotów. Spływaj!

Calvin nie zwracał na niego uwagi. Jest wolny. Nareszcie wolny, by iść tam, gdzie chce i zrobić to, co chce. Musi ją teraz znaleźć. Wyśledzić. Sprawić, by cierpiała tak jak on przez te wszystkie lata.

Choć czytał, że Emeraldą dostała główną rolę w nowym serialu „Historia Ameryki”, rozwścieczała go niezwykła popularność Chloe Carriere w „Sadze”. Nie cierpiał Chloe. Brzydziła go jej zarozumiałość. Nienawidził jej brytyjskiego akcentu. Pogardzał nią. Pomści Emeraldę. Chloe musi ponieść karę.

27

— A teraz, panie i panowie, ulubieńcy Ameryki! — Aplauz tłumu był szalony. Gwizdy i okrzyki witały słowa mistrza ceremonii oznajmiającego nominacje w każdej kategorii.

Chloe i Philippe przybyli późno. Uśmiechali się do tłumu fanów i dziennikarzy zgromadzonych jak stado owiec przed Santa Monica Civic Auditorium. Trzymała go pod ramię, patrzyła w jego uśmiechniętą twarz, uśmiechała się do wszystkich — Pan i Pani Nierozłączni, portret szczęścia, choć nie byli małżeństwem.

To była ważna noc. Styczniowe nominacje, zarówno filmowe jak i telewizyjne, były uważane za zapowiedź nagród Emmy i Oscarów, przyznawanych pod koniec roku. Chloe miała na sobie wspaniałą suknię Christiana Diora z białej tafty, która ścisnęła jej talię, a unosiła do góry piersi. Czarne włosy zebrane

były do góry diamentowymi grzebieniami. Na szyi miała śliczny diamentowy naszyjnik, który wyszukała dla niej Vanessa.

Chloe i Philippe usiedli przy stoliku dla aktorów „Sagi”. Posadzono tu już Sissy, Luisa, Sabrinę i Billa Herberta. Chloe rozglądała się po audytorium. Josh uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech. Przecież jest jej byłym mężem. — Musimy być miłe — powiedziała fałszywie Sissy. — Od ramion po stopy zdobiły ją żółte koraliki pasujące do włosów. Skończył się sześciomiesięczny okres żałoby, grała teraz wesołą wdówkę u boku młodego przystojnego aktora.

— Nalej mi trochę wina, kochanie — Chloe poprosiła Philippe.

— Pijesz za dużo — szepnęła zbyt głośno. Ukradkiem znów popatrzyła na Josha. Był z Emeraldą, która wyglądała ślicznie w miętowozielonej jersejowej sukni.

— Bardzo zabawne — kpiała Sissy — dzisiejszą faworytką jest Tyne Daly. To była noc niezwyklej konkurencji. „Saga” i „Historia Ameryki” konkurowały z „Hill Street Blues”, „Dynasty” i „Cagney and Lacey”, najlepszymi serialami telewizyjnymi. Chloe, Sissy, Emeraldą, Tyne Daly i Sharon Gless uznano za najlepsze aktorki dramatyczne telewizji. Josh i Luis, Daniel J. Travanti i Larry Hagman byli nominowani jako najlepsi aktorzy.

Czuło się wyraźne podniecenie, gdy błyszczące gwiazdy kina i telewizji, jedna za drugą paradowały w eleganckich strojach na scenę.

Chloe, która zwyciężyła w ostatnich dwu konkursach, była mniej niż inni zainteresowana kryształową statuetką. Uważała, że Tyne czy Sharon Gless zasługiwały na nagrodę za świetną grę w „Cagney and Lacey”. Josha też nie obchodziły nominacje. Szybko dołączył do tych nielicznych dojrzałych aktorów, dla których taka nagroda nie miała znaczenia w karierze. Zależało mu, choć niechętnie się do tego przyznawał, na tej pięknej czarnowłosej kobiecie w białej sukni siedzącej o dwa stoły dalej.

— Cholera — przeklinał po raz setny — dlaczego popsułem takie małżeństwo? Dlaczego u diabła pozwoiliem jej odejść? Kochałem ją, ona uwielbiała mnie...

Emeralda pociągnęła go za rękaw i ożywiona szeptała mu coś do ucha, ale on ledwie to słyszał. Kątem oka obserwował Chloe, nie zwracał uwagi na inne piękne kobiety. Jego Chloe. Jego miłość, która odeszła na zawsze. Patrzył jak pochylila ciemną głowę w kierunku Philippe, śmiała się z czegoś, co powiedział Francuz, położyła dłoń na jego ramieniu w miłosnym geście, który pamiętał tak dobrze. Mnie też tak gładziła — pomyślał z bólem. Wyglądali rzeczywiście na szczęśliwych, zaglądali sobie w oczy, trzymali się za ręce. Było coś w tym wysokim Francuzie, co nie podobało się Joshowi. Zazdrościł mu związku z Chloe, ale drażniło go coś nieokreślonego. W ten sam sposób także inni ludzie odbierali Philippe. Źle się z nim czuli.

Ogłoszenie nominacji przerwało myśli Josha.

Emeralda trzymała rękę na jego kolanie i zaciskała ją coraz mocniej wraz z każdym kolejnym nazwiskiem. Widział, jak jej wilgotne cyklamenowe usta

rozchylają się w oczekiwaniu. Tak bardzo pragnęła tej nagrody, symbolu jej powrotu na szczyty sławy.

Popatrzył na Chloe. Wyglądała chłodno i spokojnie. Na twarzy Sissy gościł wymuszony uśmiech. Ona też umierała pragnąc tej nagrody. Ostatnią był Oscar — dawno. Znow przyszedł czas. Zaslugiwała na to. Wszyscy wiedzą, że jest wspaniałą aktorką.

Aktorki z „Cagney and Lacey” patrzyły opanowane. Ich film też był hitem. Ta nagroda ani dla filmu ani dla nich nie miała większego znaczenia.

— Proszę o kopertę — nagrody przedstawiał Don Johnson. — Zwycięzczynią jest ... — zrobił pauzę, patrzył zagadkowo na audytorium, przedłużał moment ogłoszenia. — Jeszcze raz pani Chloe Carriere! — Okrzyk radości wydali wielbiciel i publiczność zebrana wysoko na galerii audytorium. Prawie tak samo głośno krzyknęła Chloe. Zarzuciła ramiona na szyję Philippe, ścisnęła go z całej siły.

Posyłała całuski wszystkim dookoła. W obłoku białej tafty udała się w kierunku podium.

Z galerii obserwował ją Calvin, czerwony z wściekłości. To Emerald, jego bogini zasługiwała na to wyróżnienie. Ona na nie naprawdę zasługiwała, a nie ta perfidna brytyjska dziwka. Jak śmiała zabrać nagrodę Emeraldzie?! Skierował lornetkę na szczupłą sylwetkę Chloe. Przemawiała właśnie do zgromadzonych przed telewizorami. Mówiła jak jest szczęśliwa, dziękowała kolegom aktorom, ekipie zdjęciowej i Jasperowi, posyłała im całuski. Wzruszona zesłała triumfalnie ze sceny eskortowana przez Dona Johnsona.

Statuetkę trzymała wysoko nad głową.

Calvin skierował lornetkę na Emeraldę. Z wysadzanej sztucznymi kamieniami torebki Judith Leiber wyjęła małą koronkową chusteczkę i wycierała nią nos. Płakała! To przez Chloe Carriere jego ukochana płakała! Dziwka!

Josh usiłował właśnie uspokoić Emeraldę, gdy Angie Dickinson z uśmiechem ogłosiła nazwisko następnej osoby:

— Zwycięzcą jest Joshua Brown za rolę w „Historii Ameryki”.

Calvin nie zwracał uwagi na Josha pospiesznie udającego się po nagrodę.

Widział tylko jego śliczną Emeraldę. Nie mógł znieść, że tak cierpi. Ta pindzia ubrana na biało zapłaci za to. Nadeszła pani kolej, panno Carriere!

Po ośmiu tygodniach sezonu jesiennego „Saga” uplasowała się na drugim miejscu za „Ameryką”. W ostatnim tygodniu notowania zmieniły się: „Saga” była na początku listy. Niestety, dziś spadła na szóste miejsce.

W studiach MCPC zapanowała panika. Ogłoszeniodawcy zaczęli wycofywać się z podpisanych umów; uważali, że płacą za dużo. Woleli zwrócić się do innych kanałów telewizyjnych, gdzie łatwiej mogli zareklamować swoje produkty. Nastąpiły złe czasy dla Abby'ego i Gertrude. Film musiał być bardziej ekscytujący, dramatyczny i pikantny, by odzyskał utraconą widownię. Abby i Gertrude wydzielali się na producenta Billa Herberta, na scenarzystów,

aktorów i ekipę zdjęciową. Zwołano konferencję nadzwyczajną z udziałem Sissy, Luisa i Chloe; pytano ich, czy mają jakieś nowe pomysły. Wszyscy wyglądali na zdesperowanych.

Chloe nie przejmowała się tak bardzo. Zawsze brała pod uwagę, że popularność serialu kiedyś się skończy. Nadal była lojalna wobec producentów i grała z przyjemnością, ale czekała na nowe propozycje w miniserialach, filmach pełnometrażowych czy wideo dla MTV.

Luis miał nadzieję, że zaprzestaną produkcji. Był już na tyle popularny, że mógł grać w innych filmach. Jasper miał dla niego trzy ciekawe propozycje. W jednej z nich mógłby nawet grać razem z Sabrina. Czuł, że zrobił dość dla telewizji, choć grał w „Sadze” zaledwie rok. Chciał zagrać w prawdziwym filmie.

Sissy, jak zwykle niezadowolona, chciała grać w „Sadze”. Ponieważ dostawała udziały swoje i Sama, zarabiała fortunę.

Emeralda, straciwszy nagrodę na rzecz Chloe, znów zaczęła pić. Sfrustrowana i zmartwiona postawą Josha, który nie interesował się nią jako kobietą, znów szukała zapomnienia w alkoholu. Robiła co mogła, on nie zwracał na nią uwagi. Powiedział jej szczerze: — Słuchaj Emerald, uważam, że jesteś wspaniała. Jesteś cudowną, śliczną kobietą, radość sprawia przebywanie z tobą. Tyle że ja nie szukam przygody.

Emeralda zagryzła usta prawie do krwi. Odrzucenie ze strony mężczyzny bolało — zdarzało się jej tak rzadko. Czy to zła wróżba dla jej przyszłości? Siedzieli właśnie przed jej domem w samochodzie Josha. Właśnie wrócili z filmu i obiadu w domu Corinny i Freddiego Fieldów. Emerald wypiła wiele kieliszków szampana, czując się swobodnie usiłowała objąć Josha, ale odsunął się od niej.

— Emerald, mówiłem ci tyle razy, mogę być tylko twoim przyjacielem. Tak będzie lepiej.

— Dlaczego? — prawie krzyknęła. — Dlaczego mamy być tylko przyjaciółmi? Tyle nas łączy, Josh. W moim życiu nie ma nikogo, ty też chyba jesteś samotny... nie myślę się chyba?

Josh nie odpowiadał. Zapalił marlboro i przyglądał się niebu bez gwiazd.

— Masz kogoś, Josh? Jeśli tak, to powiedz mi... do licha, przecież zrozumieć to.

Łza spłynęła po jej upudrowanym policzku i spadła na zieloną satynową suknię Enrico Coveri. On nie odpowiadał, palił papierosa. Zarys profilu odcinał się na tle porsche.

— Kochasz kogoś? — spytała jeszcze raz, ale tak dramatycznie, że odwrócił się do niej i odpowiedział spokojnie:

— Tak, Emerald, myślę, że kocham kogoś innego.

— Kogo? To Chloe — powiedziała z goryczą w głosie. — Kochasz byłą żonę?

— Ona nie jest byłą żoną — jeszcze nie. Tak, nie mylisz się. Jeszcze ciągle coś do niej czuję.

— O mój Boże! Spotykasz się z nią? — Emeralda wzięła papierosa z ręki Josha i zaciągnęła się głęboko.

— Ależ skąd! Ona mieszka z Philippe Archambaud. Ale chciałbym, by do mnie wróciła.

— Do diabła z wami wszystkimi! — wykrzyknęła wysiadając z samochodu. Płacząc pobiegła do domu. Jak mógł ją odrzucić? Ja, Emeraldę Barrymore, piękność znaną na całym świecie, idola milionów. Legendarną boginię seksu. Jak mógł? Nie mogła tego zrozumieć. I to teraz, gdy tak ślicznie wygląda i osiągnęła sukces. Uświadomiła sobie, że zachowuje się śmiesznie, lecz nic nie mogła na to poradzić. Kochała go. Dlaczego on nie może odwzajemnić jej miłości?

Josh uruchomił samochód. Nie było sensu jej uspokajać. Sytuacja była trudna dla obojga. Do licha — pomyślał — jutro wyślę jej kwiaty.

Odjechał. To rozwścieczyło Emeraldę jeszcze bardziej.

— Do diabła z tobą — mruknęła wsiadając do cadillaca. Pojechała za nim w kierunku jasnych świateł Santa Monica Boulevard.

Policja zatrzymała ją cztery godziny później. Zupełnie pijana, bez prawa jazdy, jechała zygzakiem po Sunset Boulevard. Trzeba było czterech policjantów, by ją uspokoić i zabrać do samochodu policyjnego. Przypadkowy japoński turysta zarobił fortunę na zdjęciach, które jej zrobił i sprzedał do „American Informer”.

Jej drugi pobyt w więziennej celi wzbudził jeszcze większe zainteresowanie niż pierwszy. Telewizowie nie lubili pijanych aktorek nie panujących nad sobą. Gdy w prasie ukazały się niepochlebne artykuły, odwrócili się od niej. Brzydkie zdjęcie Emeraldy walczącej z policją wpłynęło na spadek notowań popularności „Historii Ameryki”. Widzowie przestali ją lubić. Tymczasem „Saga” znów odradzała się jak feniks z popiołów, by wspiać się na drugie miejsce.

Calvin jeszcze raz przeczytał artykuł w „Daily Variety”. „Saga” znów była o pięć punktów wyżej. Wściekły zacisnął usta. Nie udało mu się zdobyć nowego adresu Chloe. Nie wpuszczono go również na plan „Sagi”. Od handlarki siedzącej pod wypłowiałym parasolem na Sunset Boulevard kupił mapkę, gdzie zaznaczono adresy gwiazd. Od dwu tygodni wystawał przed domem przy Blue Jay Road. Nigdy nie widział, by wchodziła lub wychodziła z domu. Potem, nie chcąc wzbudzać podejrzeń, nie pokazywał się przez kilka dni. Wreszcie nawiązał rozmowę z młodą służącą, na którą „przypadkowo” wpadł w supermarkecie. Była ładna, miała długie blond włosy i zabawny skandynawski akcent. Od niechcenia spytał, jak pracuje się dla Chloe Carriere, sławnej gwiazdy telewizji.

Dziewczyna roześmiała się, wrzucając do koszyka paczkę mrożonego groszku. — Pracuję u doktora Sidneya, sławnego chirurga — chichotała. — Nawet nie znałam jej, dopóki nie robił jej podciągania twarzy. Chyba dwa lata temu kupił od niej ten dom.

Calvin wrócił do sprzedawczyni mapy i zrobił jej awanturę, że sprzedaje buble.

Wzruszyła ramionami. — Słuchaj, chłopcze, połowa z tych aktorów nie żyje, druga gdzieś się wyprowadziła. Ja tego nie drukuję, tylko sprzedaję. Odpieprz się, chłoptasiu, bo może cię spotkać coś złego! — pokazała mu ostrze noża błyszczące pod podartym ubraniem. Calvin odwrócił się od starej czarownicy. On miał złapać inną rybkę. Musiał znaleźć adres Chloe.

Nastąpiła najważniejsza noc dla Hollywoodu, noc rozdawania nagród Akademii. Mary i Artur Lazarowie wydawali, jak co roku przyjęcie w Spago. Znaleźli się tu najbardziej znani ludzie świata filmu i telewizji. Kobiety miały na sobie najpiękniejsze suknie, panowie byli równie wspaniale ubrani. Irving Lazar — „Swift” dla przyjaciół i wrogów — krążył pomiędzy wystrojonym tłumem, wymykał się kamerom telewizyjnym i dziennikarzom, by zamienić słowo ze wszystkimi.

Chloe siedziała przy narożnym stoliku z Philippe i Annabel. Była bardzo zadowolona, że Irving zaprosił Annabel. To było jedno z hollywoodzkich przyjęć, na które zapraszano tylko wielkie gwiazdy i znakomitości. Mała znów przyjechała z Londynu. Ona i Chloe coraz bardziej zbliżały się do siebie. Philippe niewiele mówił. Chloe wzdychała. Kiedy ludzie nie mają sobie już nic do powiedzenia, to znaczy że są między nimi poważne problemy. Nie miała jednak serca skończyć z tym.

Błysnęło wiele fleszów, to Emeraldę i Josh wchodzili do Spago. Emeraldę znów wyglądała promiennie w nefrytowo-zielonej welwetowej sukni z głębokim dekoltem. Znikły wszelkie ślady pijaństwa ostatnich miesięcy. Rzeczywiście potrafi szybko wziąć się w garść — pomyślała Chloe. Emeraldę uśmiechała się uroczo patrząc na Josha, on odwzajemnił jej uśmiech z uczuciem.

Chloe odwróciła się. Wyglądali na zakochanych i szczęśliwych. Spojrzała na Philippe, on zerkał na rudowłosego wampa przy stoliku obok, który miał wzmocnić popularność „Historii Ameryki”.

Emeraldę i Josha posadzono przy stoliku pośrodku sali. O Boże — pomyślała Chloe — Josh siedzi na wprost mnie. Rzeczywiście, gdy lekko odchyłała głowę w lewo, patrzyła mu prosto w twarz.

Zobaczył ich natychmiast. Podeszedł do stolika. Uścisnął dłoń Philippe, objął Annabel, a Chloe pocałował w policzek. Zadrzała patrząc w jego zielone oczy, bo zobaczyła w nich coś, czego przedtem nie miał — delikatność i współczucie. — Wielkie ekrany telewizyjne umieszczono w punktach strategicznych całej restauracji. Chloe nie mogła skupić się na oglądaniu zwycięzców, na znakomitej pizzy z wędzonym łososiem i kawiolem oraz na wyjątkowo dobrym szampanie. Ciągle spoglądała na Josha. To idiotyczne — łajała samą siebie. Głupia. Kobieta w średnim wieku rozmarzona jak nastolatka.

W czasie przerwy poszła z Annabel do toalety. Za nimi weszła Emeraldę. Obrzuciły się spojrzeniami. Choć uczestniczyły w wielu hollywoodzkich

przyjęciach, po raz pierwszy od kiedy zaczęła się „Historia Ameryki” były same.

— Cześć, Emeraldo — Chloe z uśmiechem chciała się przywitać. Emeraldę nie ujęła podanej dłoni. Po prostu gapiła się zdziwiona i wściekła. Na nadgarstku Chloe zauważyła wspaniałe bransoletki wysadzone diamentami i szmaragdami. Jej ulubione bransoletki sprzedane Vanessie. Dziwka! Teraz Chloe ma jej bransoletki i jej mężczyznę. Jest tak, jak gadają ludzie — Chloe jest nuworyszką i dziwką. Emeraldę pogardza takimi.

Oparła się o drzwi. Stała naprzeciwko Chloe z dziwnym wyrazem w oczach. Widać było, że jest pijana. Szukając w torebce perfum, odwróciła się do lustra.

— No, to teraz już wiem — bełkotała. — Wszystko wiem.

— Co takiego? — spytała Chloe, roztaczając upojny zapach perfum Obsession. Czekala, aż Annabel wyjdzie z łazienki, by mogły opuścić to miejsce.

— Co w tobie widzi — syknęła Emeraldę.

— Kto taki? — pytała Chloe. — Jej głos zdradzał emocję.

— Oczywiście Josh — roześmiała się Emeraldę. — Nadal cię kocha, nie wiedziałaś o tym? Nigdy nie przestał cię kochać. Masz szczęście, dziewczyno. Podeszła do lustra udając, że czesze włosy, ale Chloe widziała w jej oczach łzy.

— Skąd wiesz? — musiała o to zapytać. Czy to prawda?

— Powiedział mi o tym! — Emeraldę popatrzyła na odbicie Chloe w lustrze.

— Powiedział mi, że cię kocha. Że zawsze kochał. I co z tego? Kogo to obchodzi? Mnie na pewno nie. Jesteśmy przyjaciółmi — dobrymi przyjaciółmi. Tak już zawsze będzie — odwróciła się, by poprawić makijaż.

Annabel wyszła, Chloe ujęła ją pod ramię.

— Słyszałam, Chloe, wszystko słyszałam — powiedziała córka. — Myślisz, że to prawda? Czy Josh naprawdę cię jeszcze kocha?

— Nie wiem, kochanie. Naprawdę nie wiem. Ona jest pijana.

— Mam nadzieję, że to prawda — Annabel nie lubiła Philippe.

Obie wróciły do stolika. Przez resztę wieczoru Chloe usiłowała unikać oczu Josha. Na ekranach pojawiali się zwycięzcy, ona nie słyszała ich nazwisk. Myślała tylko o słowach Emeraldę.

Chloe z Vanessa i innymi asystentami powtarzała dialogi.

— O.K., pierwszy zespół gotowy i czeka na panią — zawołał Ned. Para stojąca od piętnastu minut pośrodku planu, w czasie gdy ekipa ustawiała kamerę i światła, podeszła do automatu z kawą. Ich miejsce zajęli Chloe i Luis.

Przechadzali się po scenie markując grę. Po każdym kroku asystent kamerzysty mierzył taśmą odległość ich twarzy od kamery. Boże uchroni, by zrobiono im zdjęcia o milimetr za daleko. Gertrude i Abby darliby się jak opętani, gdyby stało się tak częściej niż dwa razy. Głowy mogłyby spadać, a już na pewno głowa asystenta kamerzysty, dlatego on starał się tak bardzo. Na planie dziś było bardzo zimno. Jak zwykle zepsuło się ogrzewanie. Studio zbudowano ponad pięćdziesiąt lat temu; marzło się w nim zimą, w lecie można się było ugotować. Ekipa zdjęciowa miała na sobie swetry, serdaki i

szaliki, Chloe tylko krótką sukienkę z czarnego szyfonu. Jedynym dodatkiem jaki miał ją ogrzać, był naszyjnik za czterysta dolarów Kenny Lanego. Kręcili główną scenę. Musieli powtarzać ją cztery razy. Najpierw na ścieżce dźwiękowej słychać było odgłosy samolotu. Potem jeden ze zwiedzających studio zakasłał, gdy Luis wyznawał: — Kocham cię, Mirando. Za trzecim razem Chloe zaczęła obcasem o dywan. Wreszcie Chelsea dokończył scenę. — W porządku. Teraz już dobrze. Przejdźmy do zbliżeń. Najpierw Luis. Ty, Chloe, możesz odpocząć.

Brad z biura Abby'ego i Gertrudy wszedł na plan i rozdawał wydruki z ostatnimi notowaniami popularności. Chloe z zadowoleniem spostrzegła, że popularność „Sagi” rośnie.

— Jakie są notowania „Historii Ameryki”? — spytała.

— Bardzo dobre — odparł zadowolony Brad, choć pytała o konkurującą z nimi sieć. — Nieźle im idzie. Ten serial jest prawdziwym hitem. Oczywiście pomogła im nagroda Josha. Widzowie chyba polubili twojego byłego męża. Chloe cieszyła się z sukcesu Josha. Posłała mu kwiaty i liścik z gratulacjami. Miała nadzieję, że jest szczęśliwy. Sama też chciała być szczęśliwa i byłaby, gdyby mogła zrobić coś z informacją, którą przekazała jej pijana Emerald. Znow miała kłopoty z Philippe. Następna śmieszna kłótnia bez powodu. Dlaczego jest tak złośliwy? Ostatnio zaczął się z niej naśmiewać. Nazywał ją „divą” lub „super gwiazdą”. Co się z nim dzieje?

— Kochanie, nie zgadniesz, kogo dziś widziałam! — Daphne siedziała obok Chloe pod suszarką w salonie Billa Palmera, gotowa do rozsiewania plotek. Chloe odłożyła magazyn ilustrowany i uśmiechnęła się do przyjaciółki. Daphne zawsze ją bawiła, choć trajkotała jak najęta.

— Josha. Muszę przyznać, że wyglądał bardzo interesująco.

Serce Chloe zabiło szybciej. — Gdzie? — niby od niechcenia zapaliła papierosa. — Gdzie go widziałas?

— W jego domu przy plaży. Robiłam z nim wywiad do „TV Faces”.

— Co u niego słychać? — Chloe była zaintrygowana.

— Co się ze mną dzieje? — pomyślała.

— Wspaniale. Kochanie, on jest boski. Co za mężczyzna! Tak trzęsły mi się nogi, że ledwie trzymałam notatnik na kolanach.

— Nie używasz magnetofonu?

— Używam. W notesie zapisuję to, czego nie widzi magnetofon. Kolor kanapy, co miał na sobie, tego typu informacje.

— No i co miał na sobie?

— Niebieską, bardzo prostą koszulę, nie zapiętą. Wyglądał seksownie, on ma cudowne ciało, Chloe.

— Wiem. Nie pamiętasz, że byłam jego żoną?

— Jak mogłabym zapomnieć — roześmiała się Daphne.

— Porozmawialiśmy sobie szczerze. Opowiadał mi wszystko; jak pił i brał narkotyki, jak zniszczył samego siebie.

— O dziewczynach też ci opowiedział? — spytała sarkastycznie Chloe.

— Dojdę i do tego. Nie przerywaj. W każdym razie powiedział mi, że to on rozbił wasze małżeństwo. Opowiadał, jak cudowną kobietą jesteś — najlepszą, jaką kiedykolwiek miał — Daphne uśmiechnęła się widząc, że Chloe poczerwieniała.

— Opowiadał o tobie, gdy wszedł ten jego służący mówiąc, że jest bardzo pilny telefon z Ameryki Południowej — coś, co ma związek z filmem, w którym ma grać w przyszłym roku. Przeprosił więc i poszedł odebrać telefon.

— Co dalej? — Chloe była coraz bardziej zainteresowana.

— Jedna cała ściana jest zawieszona twoimi zdjęciami.

— Przestań, żartujesz chyba.

— Nie, to prawda. Musi tam być ze dwadzieścia zdjęć. Twojej sylwetki, wasze wspólne, ty z Annabel, nawet wasze zdjęcie ślubne. — Pochyliła się w kierunku Chloe szepcząc konspiracyjnie: — Myślę, że on cię nadal kocha. Naprawdę. Zdjęcia są w jego pokoju. Aha, słyszałam tam jedną z twoich ostatnich ballad, tę o miłości. — Wróciła pod suszarkę, czekała na reakcję Chloe.

— Wiesz, Daphne, jesteś jak Sherlock Holmes. To interesujące, co mówisz, ale ja nie jestem nim zainteresowana. Nie wracam do tego, co się skończyło.

— Pleciesz głupstwa. Wiem, że nigdy go nie zapomniałaś. Gdyby tak było, dawno podpisałaś papiery rozwodowe i wyszłabyś za mąż za Philippe.

— Jestem uczulona na małżeństwo — odpowiedziała szczerze Chloe. — Nie sprawdzam się jako żona.

— Byłaś wspianą żoną dla Josha. Nie zwracałaś uwagi na jego zdrady. Ignorowałaś problemy z narkotykami. Byłaś dla niego za dobra i zbyt łatwo przebaczałaś. Ich trzeba krótko trzymać!

— Wiem, nie musisz mi już więcej mówić. Już ci mówiłam, że jestem szczęśliwa z Philippe — tak nienawidziła kłamać.

Daphne skończyła suszyć włosy. — Uciekam, kochanie, robię artykuł o Sabrinie Jones dla „US”.

— Wpadnij do nas na obiad w sobotę. Philippe będzie robił barbecue — wołała za nią Chloe.

— Pa, kochanie — powiedziała Daphne. Wiedziała, że obudziła w Chloe pewne trudne do wyrażenia uczucia.

Samotna przez chwilę, Chloe siedziała bardzo spokojnie. Teraz już była pewna, że Emeraldal mówiła prawdę.

28

Calvin wreszcie znalazł sposób, by dostać się na plan. Debbie Drake. Obserwował ją codziennie. Po pracy chodziła na drinka do baru naprzeciwko studia. Zanim wsiadła do czerwonego mustanga i pojechała do domu w Westlake, siadywała z ekipą zdjęciową i wypijała kilka piw. Spędził w barze kilka dni obserwując ją. Była przyjazną duszą i nie było trudno zawrzeć z nią znajomość. Kilka tygodni umacniał tę przyjaźń, choć czuł się niełojalny wobec

Emeraldy. Miała ładne długie włosy i miły uśmiech, ale Calvin nie interesował się nią jako kobietą. Chciał tylko zdobyć jej zaufanie, by móc dostać się na plan „Sagi”.

Pewnego dnia, niby przypadkiem, wspomniał, że chciałby przyjść do studia, bo jest wielbicielem Sissy Sharp. Debbie zawsze gotowa do pomocy, załatwiła mu przepustkę dla zwiedzających.

Calvin Foster dostał się na plan „Sagi”.

Krew napłynęła mu do twarzy. Stał przed Chloe. Jego jasne buty ze skóry krokodyla kontrastowały ze starannie zaprasowanymi, brązowymi spodniami. Jak zwykle był nienagannie ubrany, mimo że była dopiero siódma rano.

Chloe miała zawroty głowy po poprzedniej nocy. Usiłowała ubrać się szybko. I tak już była o pół godziny spóźniona. Profesjonalistka nie powinna się spóźniać, po co asystent reżysera ma się niepotrzebnie denerwować.

— Kochanie, musimy porozmawiać o ofercie wideo. Myślałem, że chcesz podpisać kontrakt.

— Słuchaj, Philippe, nie mogę o tym teraz rozmawiać. Nie widzisz, że jestem strasznie spóźniona?

— Powinniśmy zgodzić się na to chérie. Ostatnio jesteś ciągle zajęta, odkładasz wszystko na później, zwlekasz. Uspokój się, usiądź, tylko minutę zajmie nam przeczytanie kontraktu.

— Philippe, posłuchaj mnie do cholery! — Wściekłość, którą miała zachować na dzisiejszą scenę Mirandy z Siroppe, oładnęła ją tak bardzo, że nie mogła już zapanować nad sobą. — Muszę już wyjść! Boli mnie głowa! Spałam tylko cztery godziny. Proszę cię, daj mi spokój! — twarz jej płonęła, upał i złość sprawiały, że serce waliło mocno. Czy czterdziestoletnie kobiety dostają ataku serca? — pomyślała przez chwilę. — Porozmawiamy o tym później. Wieczorem, obiecuję.

— O.K., O.K. Nigdy mnie nie słuchasz, traktujesz jak psa. Zapomnij o kontrakcie, co mnie on obchodzi. Robiłem to dla ciebie, ale ty nie doceniasz moich wysiłków, pani Divo.

Czuła, że nie znieśie już dłużej jego oskarżeń. — Kochanie, wiem, że to ważny kontrakt. Porozmawiajmy o nim w studiu, jak skończę zdjęcia, zanim pójdziemy na obiad do Jaspera, dobrze? — pocałowała go i uśmiechnęła się, choć przyszło jej to z trudem.

— Dobrze, zawsze muszę się dostosowywać do twoich planów — mruknął prawie ułagodzony jej gestem.

— Cóż, ja jestem niewolnikiem „Sagi” — powiedziała zarzucając szalik.

Zauważyła w lustrze, że znów powinna schudnąć ze dwa kilogramy. — Przyjdź do studia koło siódmej. Powinam już skończyć zdjęcia. Usiądziemy, nikt nam nie będzie przeszkadzał, przejrzymy kontrakt. Pa, kochanie, muszę już iść.

Zdjęcia przeciągały się. Nagła fala upałów źle wpływała zarówno na aktorów, jak i na ekipę zdjęciową, a klimatyzacja jak zwykle źle działała. Chloe wydawało się, że temperatura w południowej Kalifornii nie zna miary.

Zawsze było albo za gorąco albo za zimno.

Ludzie z trudem panowali nad sobą. Chloe nawet posprzeczała się z Chelsea Deanem, którego uwielbiała. Sissy była bardziej zgryźliwa i uszczypliwa niż zwykle, a ekipa ponura. Ale gdy Bill Herbert przyniósł na plan ostatnie notowania popularności, wszyscy pojaśnili — od zeszłego tygodnia zyskali trzy punkty. Byli teraz tuż za „Historią Ameryki”.

Chloe niechętnie usiadła przed przenośną toaletką, dwudziesty raz pudrowała twarz. Czuła się i wyglądała na zmęczoną. Pod oczami miała cienie, których nie mógł przykryć nawet gruby telewizyjny makijaż.

Calvin włóczył się po studiu cały dzień. W rudej peruce, czapce baseballowej i okularach, cały dzień obserwował poczynania Chloe. Zauważył, jak paskudnie wyglądała, gdy zeszła z planu po sprzeczce z miłym brytyjskim reżyserem, fałszywe łzy ciekły jej po twarzy.

Obserwował stado schlebiających jej dziwek. Vanessa, Trixie, De-De poszły do garderoby, by ją uspokoić, wysłuchać jej żądań. Przyniosły herbatę, aspirynę, papierosy. Nadworna świta tej suki.

Podśledzał jak Sissy mówi do Doris, jaką arogancką krową jest Chloe. Że nie umie grać, a rolę dostała tylko dlatego, że przespała się z Abym Arafatem. — Abby jest taki gruby. Wyobrażasz to sobie, dwieście kilo wciskające cię w łóżko — chichotały razem.

Calvin podniósł porzucony egzemplarz „American Informer” i przeczytał, że Chloe obwołano jednocześnie:

A. Jedną z najbardziej podziwianych kobiet w Ameryce

B. Jedną z najbardziej znienawidzonych.

Nie było wątpliwości, jak głosowałby Calvin. Ci, którzy głosowali tak jak on, już wkrótce mu podziękują.

Nie udało mu się w Las Vegas, ale tym razem, prawie pięć lat później, wiedział, że to zrobi. Był tego pewien. Zacisnął dłoń na rękojeści długiego noża. Wypróbował jego działanie na kilku psach. Podcinał gardła z niezwykłą łatwością.

Już trzeci dzień włóczył się po planie czekając na nią. Miał nadzieję, że dzisiejszej nocy załatwi ją na parkingu. Kiedy kupiła czerwonego ferrari, zrezygnowała z kierowcy przydzielonego jej przez studio. Zaczeka na tylnym siedzeniu. Nigdy nie trudziła się, by zamknąć samochód. Głupia dziwka.

— O.K., koniec na dziś — zawołał Ned. — Jutro jak zwykle o tej samej porze. Dobranoc. — Ekipa zdjęciowa zaczęła pakować sprzęt. Jak na dzień zdjęciowy nie było jeszcze późno, ale oni musieli tu wrócić jutro o szóstej rano.

Chloe opadła na kanapę w maleńkiej garderobie. Niechętnie zdjęła kolczyki i naszyjnik. — Jestem taka zmęczona, że nie mam ochoty się przebierać — powiedziała do Trixie. Siedziała w białej jedwabnej sukni. Trixie odsunęła ubrania Mirandy, Vanessa nalała tak upragnioną szklaneczkę wina.

— Chcesz, żebym z tobą została? — spytała Vanessa.

— Nie, nie dziś, kochana. Zaraz przyjedzie Philippe, mamy przejrzeć kontrakt. Zobaczymy się jutro — zmusiła się do uśmiechu.

— Radosne jak skowroneczki — żartowała Daphne, która nigdy nie wyglądała na zmęczoną. — Nie zapomnij przywieźć niebieskiej bluzki. Calvin ukrył się za dekoracją z napisem „sypialnia Mirandy”. Widział jak obie kobiety opuszczają garderobę Chloe. Ostatni ludzie z ekipy wyszli ze sprzętem. Na planie zapanowała cisza. Przerwał ją tylko grzmot piorunu przeszywający ciężkie powietrze. Ukradkiem podszedł do okna garderoby i zajrzał do środka. Przeglądała jakieś papiery, sączyła wino i paliła papierosa. Co za dziwka. Podszedł do drzwi. Pchnął je. Nie były zamknięte. Bezmyślna zdzira!

Chloe odwróciła się. Kto to jest? Szcherzył zęby w przerażającym uśmiechu.

— Dobry wieczór, panno Carriere.

— Kim pan jest? Niech się pan wynosi z mojej garderoby zanim wezwę strażników! — czuła, że strach paraliżuje jej ruchy.

— Nie pamięta mnie pani? — drwił zdejmując okulary, czapkę baseballową, a potem rudą nylonową perukę.

O mój Boże! Chloe mało nie zemdląła. To był on. Policja mówiła, że ten mężczyzna usiłował ją zabić w Las Vegas. Musieli go wypuścić z więzienia.

— Co pan tu robi? Czego pan chce? — starała się mówić stanowczym głosem, choć była sparaliżowana strachem. Sięgnęła po telefon, ale on złapał go pierwszy.

— Chcę z panią porozmawiać. Pamięta mnie pani, prawda?

Nie odpowiedziała.

Przysunął do niej swą twarz. — Nie pamiętasz mnie, dziwko?

— Tak — szepnęła — pamiętam.

Zamknę oczy, a on odejdzie. To tylko sen, koszmar nocny. To nie może być prawda. Gdzie jest Philippe — miał być tu o siódmej? Boże, dlaczego go jeszcze nie ma? Gdzie się podziewa?

— Porozmawiamy sobie, panno Chloe, Wielka Gwiazdo, ale najpierw mam dla ciebie mały prezent.

Rozsunął suwak jeansów odsłaniając czerwonego sztywnego penisa. Trzymał go spoconą grubą dłonią. W drugiej był nóż, ostrze błyskało w jasnym świetle garderoby.

Był o centymetry od niej, wymachiwał i penisem, i nożem. Podniosła szlankę z winem i desperackim ruchem chlusnęła mu w twarz. Ryknął oślepiony.

Podniósł ręce do twarzy, upuścił nóż. W tej sekundzie Chloe udało się wybiec na scenę. Tu było ciemno, błyskało tylko słabe światło nad rusztowaniem dźwigu. Ale ona знаła tę scenę jak własną kieszeń. Wiedziała, gdzie znajdują się cztery wyjścia. Musi dostać się do jednego z nich, znaleźć strażnika.

Wołanie o pomoc nie miało sensu. Obcasy ślizgały się po podłodze, usiłowała przejść przez kable. Upadła. Odwróciła się, widziała sylwetkę mężczyzny w świetle garderoby. Z jego gardła wydobywały się zwierzęce dźwięki. Widziała

nóż i zwiotczały członek zwisający z jeansów. Usiłowała wstać, lecz uświadomiła sobie, że chyba zwichnęła kostkę. Jęcząc z bólu i strachu, wlokła się przez kable, usiłując znaleźć wyjście.

— Dziwka! Kurwa! Dostanę cię, pieprzona dziwko!

— Słyszała, jak przedziera się przez kable za nią. Gdy gołymi stopami dotknęła miękkiego dywanu wiedziała, że zostało już tylko pięćdziesiąt jardów. Zielony napis WYJŚCIE był jak drogowskaz. Potykała się o lampy łukowe, wpadła na urządzenie do parzenia kawy. Gdzie jest strażnik? Gdzie jest Philippe? Płakała ze strachu nie mogąc uciekać szybciej.

Nagle poczuła ręce Calvina zaciskające się na jej ramionach. Usiłowała uwolnić się, ale trzymał ją mocno. Czowała jego pot, gdy przewrócił ją na brązową kanapę i usiadł na niej okrakiem.

Czerwona rzecz, którą poruszał, znów była twarda. Jej czerwony jedwabny szlafrok rozchylił się, pod spodem miała tylko cienkie czarne majtki. Usiadł na jej udach, nabrzmiały penis gniótł jej brzuch, nóż naciskał gardło.

— Tak, panno Carriere. To już twój koniec, ty zdiro!— uderzył ją, nożem wolno przeciął jej majtki od pasa do wżgórka łonowego. Walczyła, ale ogarniał ją paralizujący strach. Gdy nożem dźgnął ją w policzek, pociekła krew.

— Nie ruszaj się, dziwko! Jeśli chcesz mieć przyjemność, a będziesz ją miała, nie waz się ruszać, ty wstretna zdiro. Czytałem, jak bardzo lubisz to robić ze wszystkimi — z mężczyznami, psami, końmi — tak, dziwko! To prawda?!

Czytałem w więzieniu wszystkie opowieści o tobie, ty kurwo! — Bił ją po twarzy usiłując wejść w nią.

Śmierć jest lepsza od tego — pomyślała Chloe. Natychmiastowa śmierć jest znacznie lepsza od gwałtu maniaka. Z nadludzką siłą, wołając pomocy, zrzuciła go z siebie kopiąc w przyrodzenie tak mocno, jak tylko potrafiła. Na kolanach zaczęła czołgać się w kierunku drzwi.

Philippe wydawało się, że słyszy stłumione krzyki. Prawie niemożliwe było usłyszeć cokolwiek z dźwiękoszczelnej sceny, on jednak wyczuł zagrożenie. Otworzył ciężkie drzwi i stanął jak wryty. Naga Chloe zwinęła się w kłębek na dywanie, jej twarz była straszną maską. Tuż za nią stał mężczyzna. W podniesionej ręce trzymał nóż. Zaskoczony popatrzył na Philippe. Przez sekundę zamarł, potem jego dłoń przecięła powietrze, a ostrze rozdarło koszulę intruza.

Uszy Chloe przeszył krzyk. Nie wiedziała czyj — Philippe czy szaleńca.

Zawsze oglądali poranny dziennik telewizyjny na małym przenośnym telewizorku w charakteryzatorni.

Emeralda siedziała na krześle. Na śliczną nową twarz nakładała delikatny podkład Max Factora. Przyglądała się sobie w lustrze wzrokiem, który z upływem lat stracił ostrość. To była twarz ślicznej trzydziestopięcioletniej kobiety.

Josh pochylił się w swym skórzanym i chromowanym fotelu. Zamknął oczy, myślał o następnej scenie.

Komunikat telewizyjny o usiłowaniu zabójstwa Chloe i śmierci Philippe wyrwał ich oboje z marzeń.

— Chryste! Muszę do niej zadzwonić — krzyknął wyskakując z fotela i biegnąc do garderoby. Numer Chloe był zajęty, ciągle zajęty. Kręcił i kręcił. — Jesteś potrzebny na planie — Emeraldą weszła bez pukania. — Na twoim miejscu nie dzwoniłabym do niej — powiedziała zazdrosna. — Ta kobieta właśnie straciła mężczyznę, którego kochała. Ostatnią osobą, z którą zechce o tym porozmawiać, jest chory z miłości były mąż.

Josh położył słuchawkę. Poprosił Perry'ego, by posłał Chloe kosz białych róż i tulipanów, napisał kartkę z kondolencjami. Następnego dnia wyjechał na plan zdjęciowy w górach San Gabriel.

Emeralda jechała razem z nim limuzyną. Siedział skulony w wełnianym swetrze, głęboko zamyślony. Ignorował ją.

Spróbuje pozbyć się go ze swych myśli. Musi to zrobić! Właśnie poznała nowego mężczyznę, bankiera z Houston. Był bogaty, dwa razy już rozwiedziony. Miał siwe włosy, ale nadal wyglądał bardzo atrakcyjnie. Może to nareszcie będzie ten jedyny. Ten, którego szukała przez całe życie i nigdy go nie znalazła — może nigdy nie znajdzie. Otworzyła puderniczkę. Nadal ślicznie wygląda. Nie zmieniła się przez te pół godziny, gdy ostatnio zaglądała do lusterka. Nadal jest piękna i sławna. Znowu jest wielką gwiazdą. Cały świat ma u swych stóp.

Z radia płynęła delikatna romantyczna muzyka. Nat King Cole zawodził: „Najwspanialszą rzeczą, jakiej możesz się nauczyć, jest kochać i być kochanym”.

Josh słuchał. To była jedna z piosenek, które razem z Chloe śpiewali w Las Vegas w latach siedemdziesiątych.

Myślał o ich domu. Pamiętał jej turkusowe oczy, jaśniejące gdy patrząc na niego śpiewała te słowa.

Pogrzeb Philippe znalazł się na pierwszych stronach wszystkich gazet na świecie. Poświęcono mu tyle uwagi co pogrzebom Rozalinde i Sama. „Saga” stała się bardziej popularna niż kiedykolwiek. Abby i Gertrude byli w ekstazie. Znacznie wyprzedzili „Historię Ameryki”.

Chloe poddała się depresji i melancholii. Żyła, bo umarł Philippe. Tęskniła za nim, za ich miłością. Zapomniała o tym, jaki był uparty i nudny. Pamiętała tylko chwile szczęścia.

Lipiec 1987 roku.

Gorące sobotnie popołudnie. Chloe szła wolno wzdłuż plaży w Malibu, jej mały terrier płał się pod nogami. Za dwa tygodnie skończy się piąty sezon „Sagi”. Co wtedy? Co zrobić z trzymiesięczną przerwą w grze? Czy powinna zgodzić się na jedną z ofert filmowych, jakie otrzymała? A może razem z Annabel pojechać w podróż dookoła świata? Tak bardzo pomagała jej od

śmierci Philippe. Natychmiast przyleciała z Londynu i nie opuściła jej do tej pory. Została teraz w domu przy plaży, przygotowywała ulubiony obiad Chloe. Kopnęła kamień w kierunku wody, mały terrier pobiegł za nim radośnie.

— Witaj, Chlo. Co za dzień! Można być zadowolonym Brytyjczykiem w Kalifornii — znajomy głos przerwał jej myśli.

— Josh, co tutaj robisz? Myślałam, że mieszkasz w mieście. — Zadrżała widząc go. Słońce odbijało się w jego oczach. Czarne włosy, przyprószone siwizną, były zmierzwione, nieco za długie i w nieładzie. Zawsze takie lubiła. Patrzyła na niego z przyjemnością.

— Kupiłem tutaj dom, ten mały, czerwony. — Chloe spojrzała na komin, z którego teraz unosił się dym. Całość wyglądała przytulnie i jakoś brytyjsko.

— Jaki słodki domek — zauważyła.

Jaka słodka twarz — pomyślał, patrząc w jej turkusowe oczy. Miała na sobie jeansy i zwykły podkoszulek. Włosy związała w koński ogon, na białych ustach nie było szminki. Chciałby wziąć ją w ramiona, scałować ból widoczny w głębi oczu.

— Dostałam kwiaty i liścik — powiedziała miękko.

— Dziękuję, Josh. Delikatnie ścisnął jej rękę. Nie trzeba było nic mówić. Świeciło słońce, fale oblewały ich białe stopy, ona była tuż obok.

— Co byś powiedziała na filiżankę herbaty?

— Angielskiej? Chętnie. Mam nadzieję, że masz Earl Greya?

— Oczywiście, kochanie. Nie myślisz chyba, że pijam jak Amerykanie herbatę w torebkach ze sznurkiem zwisającym ze szklanki. To odrażające. Mam nawet nowy chiński czajniczek kupiony u Harrodsa, bułeczki i śmietankę.

— A herbatniki? Masz jakieś angielskie herbatniki? — uśmiechnęła się. Szli wolno w kierunku domku.

— Czy mam herbatniki? Oczywiście. — Popatrzył na nią z zagadkowym uśmiechem. — Powiedz tylko, jakie chcesz, a znajdą się dla ciebie.

Czekoladowe McVitiego, kremowe Cadbury, szkockie z Fortnum. I ciemny chleb z masłem. Wszystko, co lubisz, Chloe, co zawsze lubiłaś, kochanie.

— A cukier? — Lubiała herbatę z cukrem i lubiła jego. Nie tylko lubiła, kochała go — nigdy nie przestała go kochać. Teraz płomień ogarniał ją mocniej. — Mam nadzieję, że masz odpowiedni cukier?

— Założę się, że mam. Żadnej sacharyny, słodziku czy brunatnego cukru nadającego herbacie zabawny kolor. Mam odpowiedni cukier. Oczywiście biały w kostkach. Nawet jeśli ci szkodzi, nie dbam o to. Jestem Brytyjczykiem, lubię herbatę taką, jaka powinna być. — Popatrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Szli wolno przez mokry piach. Fale chlupotały u ich bosych stóp, roześmieli się podwijając nogawki spodni. Ocean w Malibu był spokojny jak ciemnoniebieski welwet czesany pod włos. Słońce późnego popołudnia rzucało złote błyski na łagodne fale.

— A do herbaty masz miód? — mruzczała jak kotka. Josh objął ją ramieniem w pasie. Przytuliła głowę do jego ramienia. Znalazła jego dłoń. Trzymała ją mocno.

